

POWSTAJE INSTYTUT ŚLĄSKI IM. W. KORFANTEGO

CENA 5 ZŁ (w tym 0% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

ŚLĄSK

 Śląskie. Pozytywna energia

Nr 5 (163) • ROK XV • MAJ 2009

WIESŁAW MYŚLIWSKI: Piszę, bo nie wiem

Przyszłość sama nie przyjdzie – rozmowa ze STEFANEM BRATKOWSKIM

KATARZYNA GŁUCH-JUSZKIEWICZ – Patologie w szkole

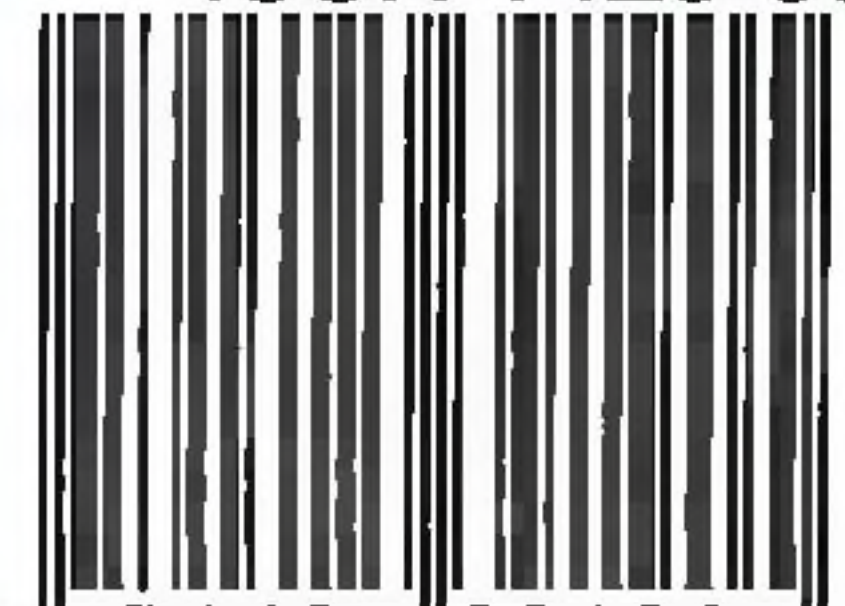
KRZYSZTOF KARWAT – Janusz Gajos: szkic do portretu

Wiersze MARIANA KISIELA i FELIKSA NETZA

„Śląskowizna” – rozmowa z JANEM GOCZOŁEM



ISSN 1425-3917



9 771425 391905



W ramach obchodzonego Roku Wojciecha Korfantego, 20 kwietnia odbył się uroczysty koncert w wykonaniu połączonych zespołów Orkiestry Symfonicznej i Chóru Filharmonii Śląskiej, Orkiestry Dętej Kopalni „Murcki”, którymi dyrygowali Jan Wincenty Hawel i Jarosław Wolanin. Solistami byli: Joanna Kściuczyk-Jędrusik, Jarosław Kitala i Antoni Brożek – fortepian. W programie koncertu znalazły się utwory: Józefa Świdra *Tryptyk powstańczy*, Hipolita Brzezińskiego *Korfanty. Marsz na fortepian op. 299*, śląskie pieśni powstańcze op. 32 w opracowaniu Jana Gawłasa: *Tam od Odry, tam od Warty, Przyszli po wypłata górniczy, Czemu płaczesz ty powstańcze* oraz *Poszli wszyscy na powstanie*.



Foto. Krzysztof Lisiak

Foto. Tomasz Zakrzewski



Podczas tegorocznego rozdania Złotych Masek tryumfował spektakl Opery Śląskiej *Carmina Burana* Carla Orffa w reżyserii Roberta Skolmowskiego, który okrzyknięto Przedstawieniem Roku! Uroczystość wręczenia Złotych Masek odbyła się 30 marca w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Nagrodę odebrał Tadeusz Serafin – Dyrektor Naczelny i Artystyczny Opery Śląskiej (na zdjęciu z Robertem Skolmowskim). Złotą Maskę otrzymała także Karina Skrzyszewska za tytułową partię w *Łucji z Lammermoor* oraz rolę Dziewczyny w *Carmina Burana*.



Foto. Henryk Bzdok

W galerii „Na żywo” Radia Katowice otwarta została wystawa poświęcona twórczości Jerzego Moskala – artysty plastyka, znakomitego scenografa, twórcy i wieloletniego dyrektora Centrum Scenografii Polskiej przy Muzeum Śląskim w Katowicach. Jerzy Moskal jest autorem ponad 130 scenografii teatralnych, telewizyjnych, operowych i filmowych. Współpracował m.in. z Lidią Zamkow, Kazimierzem Kutzem, Bohdanem Hussakowskim, Józefem Parą, Jerzym Zegalskim, Józefem Wyszomirskim, głównie w teatrach Śląska i Katowic, Łodzi i Zielonej Góry.

Wśród tegorocznych laureatów Nagrody im. Wojciecha Korfantego znaleźli się między innymi aktor Bernard Krawczyk, ekonomista prof. Andrzej Klasik, dziennikarka, senator Krystyna Bochenek, jej mąż – kardiochirurg prof. Andrzej Bochenek oraz księża dr Zygmunt Nabzdyk i Władysław Zązel. Uroczystość wręczenia Nagród odbyła się 20 kwietnia, w dniu 137. rocznicy urodzin tego śląskiego polityka. W tym roku przypada też 70. rocznica jego śmierci. Nagrody jego imienia od 1993 r. przyznaje Związek Górnośląski – regionalna organizacja promująca śląską kulturę i tradycję.



Foto. Beata Tomanek

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 5 (163). Rok XV. MAJ 2009 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13

Tel. 032 253-62-21

e-mail: slask@neostrada.pl

www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA
ANNA STRUMIŁOWSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 032 206-82-71

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrówki 15/12, tel. 032 354-09-88,
032 781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Dele-
gatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpo-
średnio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach po-
cztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – re-
dakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowi-
ce 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata rocz-
na – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest
dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.
Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE:

Józef Wycisk OBOK KRYZYSU	3
UCHWAŁA SEJMIKU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO.	
APEL O POWOŁANIE INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO	4
Rozmowa ze Stefanem Bratkowskim PRZYSZŁOŚĆ SAMA NIE PRZYJDZIE	6
Katarzyna Głuch-Juszkiewicz TWARDA SZKOŁA ŻYCIA	10
Maria Gamar-Guzy JAK TO RÓŻNIE W SZKOLE BYWAŁO... ..	14
Wiesław Myśliwski PISZĘ, BO NIE WIEM	16
Feliks Netz WIERSZE	18
Krzysztof Karwat JANUSZ GAJOS. SZKIC DO PORTRETU	22
Bogusław Tracz PARTIA U KRESU	26
Zbigniew Niedźwiecki BIOGRAFIE DRAMATYCZNE	29
Ilona Kula OPOWIADANIA	30
Rozmowa z poetą, publicystą i działaczem społecznym Janem Goczolem	
ŚLĄSKOWIZNA	34
Wiesław Myśliwski WIECZOREM U JANKA GOCZOŁA	39
Marian Kisiel WIERSZE	40
Jan F. Lewandowski NAJMŁODSZE LATA KORFANTEGO	42
Tadeusz Bujnicki BYŁ MOIM „UCZNIEM”	45
Ryszard Bednarczyk Z TRZEWICZKAMI W DŁONIACH	46
Jan Cofalka NASI W WARSZAWIE (11)	49
Michał Lubina NIEUSTANNIE DO PRZODU	50
Magdalena Dziadek NIE TYLKO DLA REKSIA	52
Jan F. Lewandowski ZRĘCZNY RZEMIEŚLNIK KINA	53
Adam W. Jarosz PRZEKORNA POCHWAŁA REAKTYWACJI	
INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH	54
Bogdan Widera O BŁOGOSŁAWIONYM PATRONIE W TYCHACH	57
Rozmowa z Arkadiuszem Kuzio-Podruckim ŚLĄSKA SZLACHTA MAŁA	
i DUŻA	58
Wiesława Konopelska BÓG – SŁOWO: EMN-OM-AMEN	64
Barbara Firla CIAŁO W PRZESTRZENI – PRZESTRZEŃ CIAŁA	65
Witold Turant NIE JEST NAJLEPIJ (Z POWIEŚCIĄ)	66
Wiesława Konopelska „SZTUKA GÓRNEGO ŚLĄSKA”	
– PO PIĘCIU LATACH	80
WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY	81
MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRÓW LALKOWYCH.	
PROGRAM	96
ŚLĄSKI MIESIĄC	2
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA	
Marek S. Szczepański WIELOPOLSKA	
REGIONALNA (IV)	13
POZA KADREM	
Feliks Netz GRAN TORINO	33
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA	
Jan Miodek POLEKU, POLEKU... ..	61
EKOLOGIA	
Jolanta Matiakowska ZIELONE CZEKI	62
Jolanta Karmańska ENERGETYKA OD NOWA!	63
TEATR	
Bogdan Widera MICKIEWICZ MISTRZA	
KARELA	68
Marcin Halaś BILLIE i JUDY	69
KABARET	
Ryszard Bednarczyk DWA KABARETY W TE-GE	
Magdalena Dziadek MIĘDZY NUTAMI	71
KSIĄŻKI	
Jan Kwaśniewicz ŚLĄSKI SCHINDLER	72
Krzysztof Karwat W KUTZOWYM MŁYNIE	73
Krzysztof Lisowski DLA DOBRA OBYWATELI... ..	74
Krystyna Heska-Kwaśniewicz O BERNARDZIE	
KRAWCZYKU I JEGO TEATRACH	74
Sabina Kwak TO MOJE?	75
Krzysztof Karwat KINO NA PERYFERIACH	76
Tadeusz Kijonka SAMOSĄDY	76
Jerzy Lucjan Woźniak CIEKAWA KSIAŻKA	77
Bogdan Widera KRÓTKO O KSIAŻKACH	78
PODKOPKI	79
NOTATNIK KULTURALNY	
Wiesława Konopelska KATOWICE	90
Jan Picheta BIELSKO	92
Elżbieta Kot CZĘSTOCHOWA	93
Janusz Wójcik OPOLE	94
Jacek Sikora ZAOLZIE	95

Pismo wspierane finansowo
przez ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO

oraz dotowane przez
URZĄD MIASTA
KATOWICE

Zrealizowano w ramach
PROGRAMU
OPERACYJNEGO
PROMOCJA
CZYTELNICTWA
ogłoszonego przez
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

W kolorze:

• Antoni Kowalski „Amen” – wy-
stawa w Rondzie Sztuki, Katowi-
ce (str. A) • Judyta Bernas – gra-
fika (str. B) • Sztuka Górnego
Śląska (str. C) • Znaki i Twarze
Miasta Katowice. Podlesie – zapi-
sane w pamięci (str. D).

Na okładce:

Muzycy czeladźkiej górniczej or-
kiestry dętej, obchodzącej 110 lat
istnienia.

Fotografia:

Wiesława Konopelska

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.

Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31.

www.ruch.com.pl

■ **MINISTERSTWO Środowiska** wydało spółce Karbonia PL, 50-letnią koncesję na wydobywanie węgla w nieczynnej dziś kopalni „Dębieńsko” w Czerwionce-Leszczynach. Karbonia, należąca do firmy New World Resources, w której jednym z udziałowców jest Zdenek Bakala, czeski przedsiębiorca i współwłaściciel czeskiego koncernu węglowego OKD, chce w ciągu najbliższych pięciu lat wybudować na gruzach „Dębieńska” praktycznie nową kopalnię. Czeski biznesmen z amerykańskim paszportem zadeklarował, że jest gotów wyłożyć na ten cel od 800 mln do 1,5 mld euro.

■ **HANDLOWCY** z Bielska-Białej, Żywca i innych odwiedzanych przez Słowaków miejscowości, zacierają ręce. W Polsce nasi południowi sąsiedzi kupują żywność, materiały budowlane, a nawet... czeskie piwo, bo i ono jest u nas tańsze niż na Słowacji.

■ **WŁADZE** Rudy Śląskiej mają już dość graficiarzy i sprośnych rysunków na cmentarnych murach czy zabytkowych kamienicach. Za jednego złapanego wandalę miasto płaci 1000 zł, bo usuwanie napisów i tak kosztuje dużo więcej.

■ **DO** Rudy Śląskiej mieli przyjeżdżać młodzi ludzie z całego świata, by tu uczyć się tolerancji. Tymczasem Instytut im. Jana Karskiego, który miał się tym zajmować, zamiast w obiecanej willi został ulokowany w pokoiku. Pamiątki po słynnym kurierze leżą w magazynach.

■ **TYŚLĄCE** mężczyzn na Śląsku zostało bez środków do życia, ponieważ kopalnie najpierw kazały im się zwolnić z poprzedniej pracy, a potem nagle wstrzymały przyjęcia. Okazuje się, że wszystko przez nowe przepisy, które górnikom przechodzącym na emerytury każą odrabiać L-4 aż z 18 lat wstecz!

■ **PREZYDENT** Lech Kaczyński 4 III odwiedził Katowice. Dawał rady na kryzys, bronił politologa Marka Migalskiego i mówił o swoich pomysłach na szkolnictwo wyższe. Związkowcom z „Solidarności” powiedział, że jeśli kryzys ma dobre strony, to jest wśród nich umacnianie się związków zawodowych.

■ **FIRMA** Swedwood podległa koncernowi IKEA miała rozbudować zakład w Skoczowie. Mieszkańcy tak długo protestowali (bali się hałasu), aż firma zrezygnowała. Teraz zainwestuje na północy Polski, oni mają ciszę, ale zostali bez pracy.

■ **DZIESIĄTKI** pacjentów, którzy zdecydowali się na tomografię komputerową w Szpitalu im. Leszczyńskiego w Katowicach, czekają na wyniki badań po sześć tygodni, a nawet dłużej. To straszne, bo większość z nas ma raka – skarżą się chorzy. A komputer, jak każdy twór człowieka, po prostu często się psuje.

■ **KONIEC** strachu z powodu coraz mniejszej sprzedaży diesla! W Bielsku-Białej produkować się będzie pół miliona silników benzynowych rocznie. 400 milionów euro zainwestuje prawdopodobnie Fiat w produkcję nowych silników. Na razie jednak nie wiadomo, czy plany firmy oznaczają zwiększenie zatrudnienia.

■ **DOM** Prasy bez dziennikarzy. Z katowickiego Domu Prasy wyprowadzili się 6 III ostatni lokatorzy. Do budynku przy ul. Młyńskiej, który przez wiele lat był siedzibą śląskich dziennikarzy, wprowadzają się najprawdopodobniej miejscy urzędnicy.

■ **LIDEREM** mniejszości niemieckiej na Śląsku przed II wojną światową był Eduard Pant. Gdyby dożył jej wybuchu (zmarł w 1938 r.) skończyłby pewnie w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. 6 marca w katowickim Archiwum Państwowym jego postać przypomniał historycy. Pretekstem do konferencji na temat Panta było otwarcie w gmachu Ar-



chiwum Państwowego przy ul. Józefowskiej wystawy poświęconej temu politykowi.

■ **ZAGŁĘBIU** grozi śląska nawała. Obronić je ma Instytut Zagłębiowski, organizacja powołana kilka dni temu na spotkaniu w Wyższej Szkole Humanitas. Zadaniem Instytutu będzie promowanie Zagłębia.

■ **SŁAWA** polskiej transplantologii, znakomity kardiochirurg, profesor Zbigniew Religa, zmarł 8 marca.

■ **FEMINISTKI** bronią Aniołów. – Izba Porodowa w Łędzinach już nie istnieje, ale trzeba zrobić wszystko, by się odrodziła. Jeśli nie w Łędzinach to w innych miastach, najlepiej w wielu naraz. Bo to kobiety powinny decydować, jak i gdzie chcą rodzić – przekonywały 7 III uczestniczki IV Śląskiej Manify.

■ **TYŚLĄCE** ludzi, wśród nich prezydent, premier, posłowie i senatorowie przybyło 13 marca na warszawskie Powązki, by pożegnać Profesora Zbigniewa Religę. Byłego posła, senatora i ministra żegnano z przysługującym Mu ceremoniałem wojskowym. Ale tłumy ludzi żegnały wielkiego lekarza serca i człowieka o wielkim sercu.

■ **PODCINANIE** gałęzi, na której się siedzi. Z powodu dwugodzinnego strajku ostrzegawczego kopalnie Kompanii Węglowej wydobyły 12 III ok. 8 tys. ton węgla mniej niż planowano. To mniej więcej tyle, ile przez dobę wydobywa średniej wielkości kopalnia. A w rezultacie strajk nie był potrzebny i nie musiało do niego dojść.

■ **DO** tragedii doszło 14 III w Katowicach Bogucicach przy ul. Podhalańskiej. Piętnastoletni chłopiec wszedł na X piętro i skoczył w dół. Pogotowie stwierdziło zgon, policjanci uznali skok za samobójstwo.

■ **TRZYNIEC** nad Olzą – przemysłowe miasto w Czechach. Huta żelaza, bloki i dwa zabytkowe kościoły. 13 marca bawiło się tam 700 kobiet o tym samym imieniu: Dzień Krystyn! To było spotkanie na granicy, bo Krystyny świętowały w tym roku m.in. na ulicach Cieszyna.

■ **KRYZYS**, a salony gier przeżywają oblężenie. Ludzie, którzy utracili pracę, liczą, że odkują się przy automacie. Noszą ze sobą talizmany, albo-

wiem modlą się za wygraną w kości. W kryzysie są zagubieni.

■ **JURY** złożone z męskich autorytetów uznało Krystynę Bochenek wicemarszałek Senatu RP za najbardziej wpływową kobietę woj. śląskiego. W gronie 50 najbardziej wpływowych kobiet województwa znalazły się m.in. Elżbieta Bienkowska, minister rozwoju regionalnego, Teresa Mokrysz, właścicielka firmy Mokate i Magdalena Piekorz, jedna z najbardziej utalentowanych reżyserek młodego pokolenia.

■ **GÓRNOŚLĄSKO-Zagłębiowska** Metropolia Silesia to ostateczna nowa nazwa dla naszej metropolii. W skrócie: Silesia. Tak zdecydowali 17 III prezydenci miast zrzeszonych w Górnośląskim Związku Metropolitalnym.

■ **STUDENCI** Uniwersytetu Śląskiego dostali aż 60 ministerialnych stypendiów za osiągnięcia naukowe i sportowe. 17 III odebrali dyplomy i gratulacje od rektora. Przez 10 kolejnych miesięcy na ich konta wpływać będzie po 1,3 tys. zł.

■ **ARKADIUSZ** Gremza z IV LO im. gen. Maczka w Katowicach, Michał Rawlik z I LO w Gliwicach oraz Mateusz Jończyk z Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Raciborzu pojadą do ośrodka badawczego Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych (CERN) pod Genewą. To nagroda za zwycięstwo w rozstrzygniętym 17 III ogólnopolskim konkursie „Fizyka się liczy” zorganizowanym przez Instytut Fizyki Uniwersytetu Śląskiego.

■ **PRZEDSZKOLA** nie są w stanie przyjąć wszystkich dzieci, a listy rezerwowe liczą po kilkadziesiąt nazwisk. Dla rodziców to dramat. Wielu ucieka się nawet do kłamstwa, by zapewnić maluchowi opiekę.

■ **KONIEC** dyskusji o metropoliach. Wicepremier Grzegorz Schetyna, szef MSWiA, zapowiedział 19 III w Rudzie Śląskiej, że w ustawie o polityce miejskiej będą wymienione tylko trzy: Górnośląsko-Zagłębiowska Silesia, Warszawa i Trójmiasto. Będą mogły również powstać inne, mniejsze obszary miejskie, ale tylko za zgodą rządu.

■ **ARTYSCI** i rektorzy wyższych uczelni poparli starania uczniów Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych o uratowanie historycznej nazwy tej szkoły. Nie zgadzają się z ministerialnym przepisem degradującym historyczną średnią uczelnię do pospolitej nazwy „Technikum nr 17”.

■ **DZIĘKI** unijnemu wsparciu obok opactwa w Rudach powstaną parkingi i zaplecze turystyczne. To część większego projektu „Południowo-zachodni szlak cystersów”.

■ **AŻ** 1480 pracowników odejdzie w tym roku z hut należących do największego producenta stali w Polsce Arcelor Mittal Poland. To więcej niż planowały władze spółki kilka miesięcy temu (980). Pogłębiający się kryzys pokrzyżował te plany.

■ **GARNUSZEK** górniczy jest setną potrawą z naszego regionu, która znalazła się od 23 III na liście produktów tradycyjnych.

■ **REPREZENTANT** Polski w skokach narciarskich, dwukrotny olimpijczyk, wielokrotny mistrz Polski Józef Przybyła z Buczkowic zmarł 21 marca.

■ **KULTURALNO-sportowy** projekt dla rodzin wielodzietnych w Tychach dopiero ruszył, a już zgłosiło się do niego 25 rodzin i sześć instytucji.

■ **ŚLĄSKI** sztab kryzysowy został postawiony na nogi, bo może pojawić się u nas dziki kot. Drapieżnik grasuje na Opolszczyźnie. Są podejrzenia, że to puma, lampart albo irbis.

■ **WYNIKI** referendum, w którym prawie 92 proc. biorących w nim udział górników opowiedziało się za strajkiem nie jest zaskoczeniem. Ale frekwencja, która wyniosła nieco ponad 61 proc., już tak. Część górników nie chce strajkować, bo widzi, że w innych zakładach ludzie nie walczą o podwyżki, ale o przetrwanie – mówią eksperci.

■ **MINISTER** sportu i turystyki Mirosław Drzewiecki odwiedził 27 III Stadion Śląski. Chciał sprawdzić przygotowania do EURO 2012. Zobaczył też na filmie, jak stadion będzie wyglądał po przebudowie. Był zachwycony...

■ **INGRES** nowego biskupa diecezji sosnowieckiej ks. Grzegorza Kaszaka odbył się 28 III w sosnowieckiej katedrze. W uroczystościach udział wzięli m.in. kardynałowie: prymas Polski Józef Glemp i metropolita krakowski Stanisław Dziwisz oraz liczne grono biskupów, krewnych nominata i setki wiernych.

■ **SCENA** teatralna Gliwickiego Teatru Muzycznego została 30 III zamknięta. Powodem jest zły stan techniczny dachu.

KRONIKARZ

Wyrazy głębokiego współczucia
naszemu drogiemu Przyjacielowi i Współpracownikowi
ZBIGNIEWOWI SAWICZOWI
z powodu śmierci
żony Haliny

składa
Zespół „Śląska”

Obok kryzysu

JÓZEF WYCISK



Foto: Agnieszka Luczakowska

Europejski Kongres Gospodarczy, który w połowie kwietnia odbył się w Katowicach posługiwał się w swojej autopromocji angielską nazwą European Economic Congress 2009. Może dlatego, że angielski skrót nazwy to EEC. Polski skrót wyglądałby jak EKG, i być może medycznych skojarzeń organizatorzy chcieli uniknąć. Chociaż...

Kongres odbywał się w okresie narastającej w Polsce atmosfery kryzysu, więc krótkie EKG polskiej i globalnej gospodarki na pewno uczestników tego spotkania interesowało. Jednak warto od razu dodać, że przygotowania do tej imprezy rozpoczęły się z górą rok temu, a wówczas w polskiej rzeczywistości słowo „kryzys” nie pojawiało się w ogóle. Wówczas też zakładano, że debata w czasie Kongresu poświęcona zostanie kwestii globalnego ocieplenia oraz problemom wynikającym ze Strategii Lizbońskiej, czyli nowoczesnej gospodarce opartej na wiedzy. Jak powiedział w czasie otwarcia kongresu szef Komitetu Organizacyjnego prof. Jerzy Buzek – kiedy opracowywano założenia Kongresu, kwestie emisji CO₂ oraz problem innowacyjności gospodarki były bardzo ważne. Dzisiaj są jeszcze ważniejsze.

Kryzys rzecz jasna przewijał się w każdej debacie w czasie każdego panelu. Jednak Kongres nie został sprowadzony do szukania odpowiedzi na pytanie, kiedy kryzys się skończy. Co więcej, pod koniec imprezy można było odnieść wrażenie, że kryzys wcale nie powinien skończyć się tak szybko. Dlaczego?

Ponieważ sytuacja polskiej gospodarki znacząco odbiega od sytuacji gospodarek wielu innych państw. W wystąpieniu otwierającym Kongres premier Donald Tusk podkreślił, że polski rząd obrał inną drogę walki ze skutkami spowolnienia i nie będzie powielał pomysłów stosowanych w in-

nych krajach. Ta „polska droga” sprowadza się do... trzymania za kieszenie. Jak powiedział premier – rząd odpowiedzialny to taki, który szanuje pracę każdego Polaka, pracę i jej owoce. „Wierność fundamentalnym wartościom oznacza także szacunek dla wysiłku każdego człowieka. W Polsce postanowiliśmy walczyć z kryzysem nie poprzez mnożenie wydatków – nie jest bowiem sztuką szastać pieniędzmi publicznymi. Każdą złotówkę będziemy oglądać bardzo starannie, wiedząc, że powierzyli nam ją obywatele. Władza jest także po to, by w sposób rozważny dysponować środkami publicznymi.”

Wystąpienie premiera zbiegło się w czasie z informacją o otwarciu linii kredytowej Międzynarodowego Funduszu Walutowego, co między innymi spowodowało dalszą stabilizację złotówki. Wspominając o tym, premier podkreślił, że Polska znalazła się w gronie kilku państw, kilku tak zwanych „wschodzących gospodarek”, które w ten sposób zostały docenione. Z drugiej strony, premier przypomniał, że Polska ma swój „Pakiet Stabilizacyjny”, a jego trzonem są pieniądze Unii Europejskiej, środki, przeznaczone między innymi na infrastrukturę, na innowacyjną gospodarkę czy na rozwój obszarów wiejskich.

Nieco dalej w swojej opinii na temat kryzysu poszedł wiceminister gospodarki Adam Szejnfeld, który zachęcał przedsiębiorców do wykorzystywania zjawisk kry-

zysowych na świecie. Przypomniawszy, że jest na świecie sporo obszarów w których polskie firmy nadal nie są obecne, i jest na świecie wiele firm, które z powodu kryzysu wpadły w większe tarapaty, niż firmy podobnej branży w Polsce. Trochę zabrzmiało to jak zachęta do przejmowania innych firm przez polskie przedsiębiorstwa, chociaż literalnie nikt tego nie powiedział.

A skoro już wspomnieliśmy o przedstawicielach polskiego rządu, dodajmy, że Kongres to także obecność trzech Komisarzy Unii Europejskiej, a ponadto przesłanie, (wideo-przesłanie) José Manuela Barroso, przewodniczącego Komisji Europejskiej, który powiedział – „Jestem zadowolony, iż rozmowy w trakcie tej konferencji będą koncentrować się nie tylko na wyzwaniach w krótkiej perspektywie czasowej, ale też na bardziej strukturalnych wyzwaniach w dłuższej perspektywie czasowej”.

I tak istotnie było. Wszak żaden Kongres nie jest wydarzeniem, po którym spodziewamy się konkretnych, namacalnych efektów, jednak tym razem było inaczej. Właśnie w czasie Kongresu, w atmosferze debat o trudnej sytuacji gospodarki opartej na węglu, o wyzwaniach wobec przemysłu chemicznego i energetyki, odbyła się oficjalna inauguracja programu Wspólnoty Wiedzy i Innowacji w ramach Europejskiego Instytutu Technologicznego. W wydarzeniu, które odbyło się podczas sesji „Energetyka – rynek energii elektrycznej”, w której uczestniczył m.in. Andris Piebalgs, komisarz UE ds. energii. Wspólnota Wiedzy i Innowacji to międzynarodowe porozumienie uczelni, instytutów i firm, które w drodze konkursu będzie ubiegało się o tytuł Węzła Wiedzy i Innowacji Europejskiego Instytutu Innowacji i Technologii. Dostojny tytuł i olbrzymie pieniądze. Inauguracja tej międzynarodowej współpracy, na początku polsko-niemieckiej, to osobista zasluga profesora Jerzego Buzka, którego wkład w zainicjowanie tej współpracy jest niepodważalny.

W czasie Kongresu jego uczestników pytano o perspektywy gospodarki. Wyniki badania przeprowadzonego przez Millward Brown SMG/KRC pokazują, iż polscy przedsiębiorcy na obecną sytuację ekonomiczną spoglądają optymistycznie. 11 proc. badanych uznało, że już teraz widać wyraźne symptomy wychodzenia gospodarki europejskiej z zapaści, a 38 proc. stwierdziło, że dojdzie do tego jeszcze w tym roku.

Czy ten optymizm jest rezultatem obrad, czy może z takim nastawieniem kilka tysięcy uczestników na Kongres przyjechało, tego nie wiemy. Wiemy jednak, że Kongres był przedsięwzięciem udanym, choć udowodnił także, iż brakuje w Katowicach Centrum Kongresowego. Udowodnił również, że Górny Śląsk jest już dzisiaj w Europie obszarem znanym i kojarzonym pozytywnie. Jak powiedział prezes Polskiego Towarzystwa Wspierania Przedsiębiorczości i organizator Kongresu – Wojciech Kuśpik – sam fakt, że spotkanie odbędzie na Górnym Śląsku powodował, iż wielu uczestników chętniej decydowało się na udział w Kongresie.

Aż strach pomyśleć, co będzie w przyszłym roku...



Rok Korfante

Podczas uroczystej sesji Sejmiku Województwa Śląskiego
21 kwietnia br. w sali Sejmu Śląskiego,
inaugurującej obchody Roku Korfante
została przyjęta uchwała
Sejmiku Województwa Śląskiego
w sprawie powołania instytutu badań nad Śląskiem

Sejmik przygotował uchwałę
w sprawie
**PODJĘCIA DZIAŁAŃ ZMIERZAJĄCYCH
DO PROWADZENIA BADAŃ ŚLĄSKOZNAWCZYCH
NA TERENIE WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO**

Na podstawie art. 18, pkt 20 ustawy z dnia 5 czerwca 1998 r. o samorządzie województwa (jednolity tekst Dz. U. z 2001 r. nr 142 poz. 1590, z późniejszymi zmianami) oraz § 18a pkt 2 Statutu Województwa Śląskiego.

Sejmik Województwa Śląskiego uchwała

§1.

Wystąpić do Prezesa Rady Ministrów z inicjatywą utworzenia instytutu naukowo-badawczego zajmującego się problematyką śląskoznawczą.

§2.

Wykonanie powierza się Zarządowi Województwa Śląskiego.

§3.

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

PRZEWODNICZĄCY SEJMIKU
WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

Michał CzarSKI

**Uzasadnienie do uchwały w sprawie podjęcia działań
zmierzających do prowadzenia badań śląskoznawczych
na terenie województwa śląskiego**

Od wielu lat środowiska naukowe postulują powołanie instytutu naukowo-badawczego zajmującego się badaniami śląskoznawczymi w miejsce zlikwidowanego w roku 1992 Śląskiego Instytutu Naukowego. Problematykę tę podjął m.in. red. Tadeusz Kijonka na łamach miesięcznika „Śląsk” publikując wypowiedzi przedstawicieli nauki na temat potrzeby utworzenia takiej placówki, jej zadań i założeń organizacyjnych. W wypowiedziach podkreślano, że zaniechanie systematycznych badań naukowych nad szeroko rozumianą tematyką śląską doprowadziło do deficytów poznawczych w wielu dziedzinach nauki.

Utworzenie takiej jednostki wymaga stosownej inicjatywy rządowej – zgodnie z ustawą o jednostkach badawczo-rozwojowych jednostki takie, w drodze rozporządzenia, tworzy właściwy minister w uzgodnieniu z ministrem właściwym do spraw nauki oraz ministrem właściwym do spraw finansów publicznych.

Głównym zadaniem jednostki byłoby monitorowanie i opis zjawisk istotnych dla województwa a efektem tych prac – coroczne analizy, zakończone raportem, zawierające opis tendencji i diagnozę na przyszłość. Zadaniem instytutu byłaby także integracja środowiska śląskoznawczego w skali ponadlokalnej oraz popularyzacja współczesnej naukowej wiedzy o Śląsku.

Podjęcie tej inicjatywy przez Sejmik Województwa Śląskiego w Roku Wojciecha Korfante byłoby świadectwem przywiązywania należytej wagi do przeszłości oraz rozwoju naszego regionu.

I Rocznicę historycznej wagi upamiętniające ważne wydarzenia i postaci, których miejsce w życiu społeczeństw i narodów zasługuje na szczególne uhonorowanie, wymagają aktów i decyzji o znaczeniu historycznym. Taką postacią był i pozostał Wojciech Korfante, który odegrał uznaną rolę w powstaniu II Rzeczypospolitej jako czołowy organizator Powstania Wielkopolskiego a następnie działań niepodległościowych na Górnym Śląsku, których finałem było III Powstanie Śląskie i przyłączenie wschodniej części Górnego Śląska w roku 1922 do Polski.

O pozycji Wojciecha Korfante w zbiorowej pamięci na ojczystym Śląsku świadczy jego I miejsce w plebiscycie „Gazety Wyborczej” ogłoszonym w 2000 roku na 100 najwybitniejszych Ślązaków XX wieku. Wielkie znaczenie w postrzeganiu losów życiowych tego charyzmatycznego przywódcy Ślązaków w drodze do Polski ma także pasmo doznanych krzywd i upokorzeń w latach międzywojennych oraz tragiczne okoliczności śmierci Wojciecha Korfante na krótko przed wybuchem II wojny światowej. Po roku 1945 skazany na długą nieobecność w historii Polski, wykluczony z niej i znieważany z nienawistnych politycznych wyroków, dopiero w III Rzeczypospolitej doczekał się oczekiwanej rehabilitacji oraz przywróceniu godnej pamięci na miarę zasług. Przede wszystkim stało się tak na Górnym Śląsku, o czym świadczą liczne akty nadania nazw i patronatów imienia Wojciecha Korfante a także pomniki. Potrzeba jednak jeszcze wielu inicjatyw i wytrwałych działań by ten wybitny mąż stanu wszedł na trwałe w świadomość Polaków na miarę historycznych zasług dla Polski.

Szczególne znaczenie w tym procesie powinien odegrać ogłoszony przez Sejmik Województwa Śląskiego, w nawiązaniu do 70. rocznicy jego śmierci, Rok Wojciecha Korfante. W programie obchodów – obok licznych imprez, spotkań, ekspozycji i uroczystości rocznicowych – muszą znaleźć się akty o wysokim prestiżu i znaczeniu trwałym. Istotne w nim miejsce może zająć powołanie Instytutu Śląskiego imienia Wojciecha Korfante z siedzibą w Katowicach, co nastąpić powinno podczas uroczystej sesji Sejmiku 20 kwietnia br., zwołanej w 136. rocznicę urodzin Wojciecha Korfante. Nie ma i nie będzie bardziej sprzyjających warunków na powołanie takiej instytucji naukowej niż trwający Rok Wojciecha Korfante.

II O konieczności podjęcia takiej decyzji – w nawiązaniu do toczącej się na ten temat wielomiesięcznej debaty na łamach „Śląska” – świadczą okoliczności i trwałe następstwa likwidacji Śląskiego Instytutu Naukowego dokonanej ostatecznie z datą 31 grudnia 1992 roku.

Ta utworzona w atmosferze społecznego poparcia na fali odrodzenia polskiego państwa nowa placówka naukowo-badawcza nawiązywała do działalności wielce zasłużonego Instytutu Śląskiego w Katowicach powołanego w 1934 roku z Romanem Lutmanem na czele, który uznał to zadanie za misję swojego życia. Wskrzeszony przez niego w Katowicach już w marcu 1945 roku Instytut Śląski, który podczas okupacji prowadził heroiczną konspiracyjną działalność w Warszawie, Krakowie i Lwowie, został jednakże zlikwidowany

Apel o powołanie Instytutu Śląskiego w Katowicach

z nastaniem roku 1948 z bezpardonowego wyroku czasów stalinowskich. Był to czas, gdy w Katowicach kasowano wówczas wszystko co nie odpowiadało dyktaturze tej unicestwiającej polskie życie komunistycznej władzy, kiedy to padają liczne organizacje, pisma, instytucje i placówki. I tak ułożył się szereg 3 dat związanych z likwidacją śląskich instytutów naukowych w Katowicach obejmujący lata 1939, 1949 i 1992. Szczególnie przykry jest w tym układzie fakt, że daty związane z unicestwieniem Instytutu Śląskiego przez hitlerowców oraz komunistyczne władze z nastaniem mrocznej epoki stalinowskiej, poprzedzają likwidację powołanego w 1957 roku po raz trzeci instytutu, co nastąpiło akurat już w wolnej Polsce – III Rzeczpospolitej. Bo jak to zostało stwierdzone w toczącej się teraz debacie na temat konieczności powołania na Śląsku znowu takiej placówki: *Instytut należało zmienić, poddać rewizji personalnej i badawczej, radykalnej i fundamentalnej, zważywszy na biografię niektórych pracowników, ale zachować. Tak jak to zrobiły władze województwa opolskiego.*

Od tamtego likwidacyjnego wyroku mija już 17 lat. Nie da się oszacować dotkliwych strat na różnych polach, które poniósł Śląsk w wyniku unicestwienia Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach. A są to akurat czasy, gdy stawał się najbardziej potrzebny – w okresie nieuchronnej restrukturyzacji, dramatycznych wstrząsów gospodarczych i społecznych, kiedy należało tworzyć spójne strategie nowoczesnego rozwoju tego wielkoprzemysłowego regionu. Doszło niestety do zmarnowania znacznej części dorobku i wartościowych inicjatyw naukowych, do utraty siedziby doprowadzonej do ruiny, do rozproszenia kadry naukowej a także do zatarcia poczucia ciągłości, skoro powołanie nowego instytutu wymaga teraz jego budowy od podstaw. Już niemal się nie pamięta, że kiedyś taki instytut istniał oraz jaką miał misję do spełnienia. A przecież Śląsk był, jest i długo jeszcze pozostanie najbardziej złożonym obszarem w kraju, o szczególnie trudnych do rozwiązania problemach, ze względu na ich skalę oraz gospodarcze

i społeczne uwarunkowania. W tym stanie rzeczy nie są nadal uruchamiane ważne, zintegrowane programy badawcze, jak to się dzieje w czołowych ośrodkach kraju a w czym Śląsk na miarę swych potrzeb wciąż nie uczestniczy. O stanie narastających zaległości świadczy fakt, że Śląsk nie ma dotąd pewnych podstawowych opracowań fundamentalnych, jak na przykład słownika historyczno-geograficznego.

Instytut, który się narodzi – bo był i powstać musi! – będzie niewątpliwie nawiązywał do tradycji swoich poprzedników, ale – że powołamy się na zdanie jednego z autorów w toczącej się debacie, a jest to stanowisko zgodne... *zarówno sposób organizacji przyszłego ośrodka badawczego, jak i metody realizacji zadań badawczych muszą odpowiadać warunkom koniecznym dla prowadzenia badań w XXI wieku.*

III W tym stanie rzeczy w obchodzącym właśnie Roku Wojciecha Korfantego, w 75 lat od aktu powołania w 1934 roku Instytutu Śląskiego w Katowicach, należy uznać za decyzję pilną a nieodwołalną powołania takiej placówki od nowa; instytucji absolutnie niezbędnej w tak ważnym dla kraju wielomilionowym, gospodarczo rozwiniętym regionie. Musi to być instytut z programem i zadaniami na miarę potrzeb i problemów naszego stulecia, z uwzględnieniem sytuacji kraju, który wszedł do grona państw Unii Europejskiej, instytut który działać będzie w regionie nadgranicznym i tranzytowym o wielokulturowych tradycjach, toteż winien respektować zarówno nową perspektywę europejską, ale i to co decyduje o specyfice regionu i jego kulturowych zasobach. W tej sytuacji należy mieć także na uwadze, że jako obszar nadgraniczny Śląsk jest również terenem rywalizacji naukowej.

To wszystko uzasadnia powołanie instytutu naukowego o szerokiej, interdyscyplinarnej formule, która wyrastać będzie z intelektualnych zasobów naukowych Górnego Śląska, więc musi mieć – jak to już stwierdzono – *szeroki program naukowy obejmujący całe spektrum nauk: od przyrodniczych, technicznych, poprzez społeczne do humanistycznych. Ma to więc być instytut regionalny, zajmujący się Śląskiem, z uwzględnieniem jego kontekstu europejskiego a nawet światowego, co w dobie globalizacji powinno stanowić założenie podstawowe, aby nie była to instytucja o pozycji i zasięgu regionalnym.* Musi to jednocześnie być – naukowo-badawczy *Instytut Szybkiego Reagowania* na bieżące zagadnienia regionalne ze wszystkich dziedzin, monitorujący najważniejsze procesy, syntetyzujący dorobek różnych ośrodków i zespołów badawczych, tworzący także niezbędne raporty na podstawie wypracowanych diagnoz i analiz. Ma to być niewątpliwie instytut obejmujący uwagę badawczą w kwestiach śląskoznawczych zarówno przeszłość regionu, ale i przyszłość a już szczególnie w kwe-

stiach strategii rozwojowych, co pozwoli na realizację jego najszerzej pojętej misji.

Tak sprecyzowana formuła i program działalności nowego instytutu z zakresem badań odpowiadających społecznym oczekiwaniom i potrzebom, pozwoli wreszcie należycie wykorzystać rozproszony obecnie kapitał intelektualny, zintegrować warsztaty badawcze, pozyskać i skupić kadrę naukową, w tym młodych o dowiedzionych aspiracjach badaczy. Zaspokojenie niezbędnych a stabilnych potrzeb materialnych może stać się także wynikiem znacznie większej absorpcji funduszy europejskich na realizację projektów badawczych, ze względu na interdyscyplinarny profil instytutu oraz jego społeczne zobowiązania.

Instytut o tak szerokim, pojemnym modelu i koncepcji programowej musi być placówką naukową samodzielną, suwerenną, instytucją o własnej ustalonej statucie strukturze, niepodlegającą od chwili powołania zewnętrznym uzależnieniom organizacyjnym czy podporządkowaniu. To zadanie po opracowaniu dokumentu programowego stanie się także jedną z powinności Rady Naukowej Instytutu, złożonej z autorytetów ze świata nauki i życia społecznego nie tylko macierzystego środowiska. Tylko w ten sposób nowy instytut może zyskać należny prestiż by spełnić swoją misję.

IV Nastał wreszcie czas wręcz historycznej okazji, jaką stanowi Rok Wojciecha Korfantego, na powołanie nowego instytutu naukowo-badawczego w Katowicach – placówki na miarę potrzeb i wyzwań XXI wieku, co także uzasadnia nadanie mu imienia największego spośród Ślązaków poprzedniego stulecia. Jego powołanie w uroczystej rocznicowej sprawie stanie się zapewne aktem o wielkim społecznym prestiżu i rezonansie. A to teraz także nader ważne – pozyskanie społecznego wsparcia oraz utrwalenie tego faktu w świadomości zbiorowej.

Patronat Wojciecha Korfantego stanie się też najlepszą rekomendacją dla rozruchu nowej placówki w służbie regionu na miarę potrzeb, lecz także skali narosłych strat i zaległości, odkąd placówka ta została wymazana z rejestru. Po tylu latach trzeba wrócić znów do podstaw, a więc do idei. Bo na początku jest i zawsze musi znaleźć się idea, a następnie wytrwała praca zbiorowa nad jej ukoronowaniem.

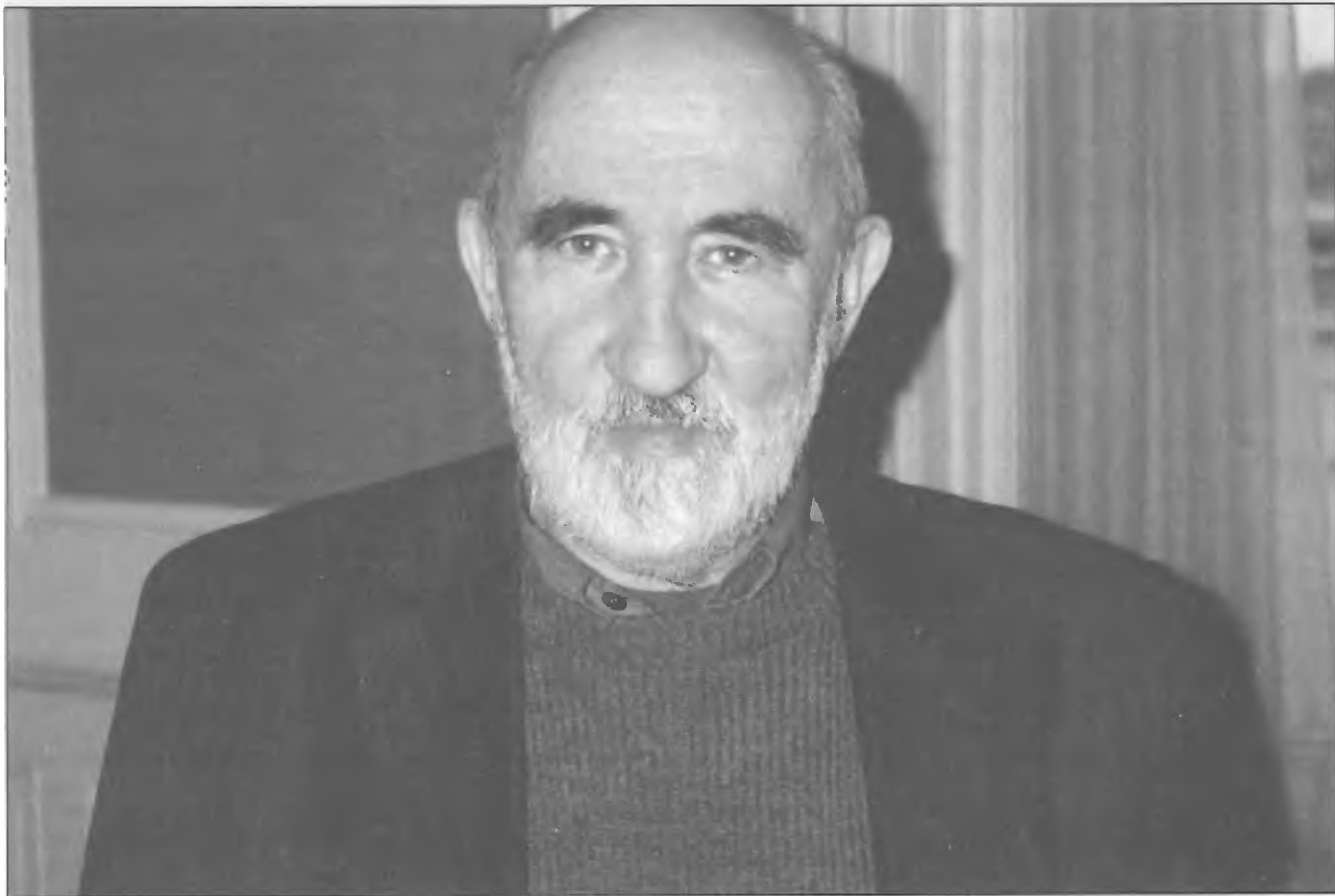
* * *

Autorzy artykułów w „Śląsku” w cyklu „Instytut Śląski. Był i powstać musi!”:

Profesorowie: Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Antoni Barciak, Edward Długajczyk, Marian Grzegorz Gerlich, Ryszard Kaczmarek, Andrzej Klasik, Marek S. Szczepański, Wojciech Świątkiewicz i Jacek Wódz oraz profesorowie: Eugeniusz Knapik, Jan Malicki, Zygmunt Woźniczka, dr Tadeusz Sierny i red. naczelny „Śląska” Tadeusz Kijonka.

Rok Korfantego





Przyszłość sama nie przyjdzie

– W styczniu 2009 r. odebrał pan przyznawaną w Poznaniu nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego. Uznano, że w roku 90-lecia wybuchu powstania wielkopolskiego właśnie panu, który przyczynił się do zachowania pamięci o „najdłuższej wojnie nowoczesnej Europy” należy się ta nagroda. Poczuł się pan usatysfakcjonowany?

– Nie wiem, czy dobrze ta nagroda trafiła, bo nie zajmowałem się powstaniem lecz tym, dzięki czemu Wielkopolska stała się właśnie Wielkopolską. Między innymi tym, co się określa „najdłuższą wojną nowoczesnej Europy”. Powiedziałem więc, że rad byłbym, gdyby Wielkopolska była znów Wielkopolską, żeby zrobiła coś sama dla siebie. Bo np. wysycha ona i stepowieje – bie-

ga już po niej fauna stepowa. Poziom wód gruntowych nadal się obniża, jednocześnie mój przyjaciel (telefoniczny bardziej niż bezpośredni) prof. Janusz Gołaski zlokalizował 1500 miejsc po zamarych młynach. Innymi słowy, bardziej byłbym usatysfakcjonowany, gdyby tradycja zaradności w rozwiązywaniu problemów własnymi rękami, którą wykształciła właśnie Wielkopolska, rzeczywiście tam znowu odżyła.

– Niech pan młodszym czytelnikom przypomni, czym była „najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”?

– To była po prostu tradycja Stanisława Staszica i Stefana Garczyńskiego, pionierów Oświecenia w Polsce w XVIII wieku, rozwiązywania problemów własnymi rękami.

Początek telewizyjnego serialu jaki zrealizowaliśmy pod tytułem „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” opowiadał o Dezyderym Chłapowskim – adiutancie Napoleona, generale powstania listopadowego w 1831 roku, który oddziedziczył całkowicie zdewastowane dobra w Poznańskim i pojechał do Szkocji, aby nauczyć się nowoczesnego rolnictwa. Wrócił i przekształcił swoje dobra w ośrodek nowoczesnego rolnictwa. Nie tylko postawił na nogi swoje dobra, lecz jednocześnie uczył sąsiadów, w tym chłopów, jak efektywnie uprawiać ziemię, by rolnictwo przynosiło dochody. Potem, kiedy nadeszła pora uwłaszczenia chłopów, rozdał im najlepsze swoje ziemie. Był to czyn „wielkopolskości”, jeszcze przed dr. Karolem Marcinkowskim,

który po powrocie do kraju z emigracji po powstaniu listopadowym (był adiutantem Chłapowskiego), rozwinął szeroką działalność organiczną, którą wiąże się w Wielkopolsce właśnie z jego nazwiskiem.

– **Ta filozofia pracy organicznej, zaradności i radzenia sobie, różniąca się od filozofii wzniecania kolejnych nieudanych powstań z czegoś musiała wynikać?**

– Wielkopolska miała własną tradycję nieudanych powstań. W Wielkopolsce przygotowywano powstanie do którego w ogóle nie doszło; w 1846 roku, wyaresztowano wszystkich spiskowców, ich proces w Berlinie zakończył się akurat dla nich szczęśliwie. Potem był 1848 rok – Wiosna Ludów, kiedy Wielkopolska zbrojnie walczyła z opresją pruską i też poniosła porażkę. Wyciągnięto z tego wnioski, a właściwie umocniło się przekonanie Marcinkowskiego i Cegielskiego, że trzeba budować przede wszystkim własną siłę ekonomiczną i oświatową w takich warunkach, jakie są. I trzeba być lepszym od prześladowców w tym, co się uważa za ich zalety. W rezultacie to Polacy mogli na terenie Wielkopolski i Pomorza uczyć osadników niemieckich dobrego rolnictwa. Innymi słowy, wszystko było odwrotnie niż w „Placówce” Bolesława Prusa („Placówka” opowiada o chłopie spod Nałęczowa, a nie z Wielkopolski!). Co więcej nasi warszawscy pozytywiści i – pisarze – niewiele wiedzieli o Wielkopolsce i wypisali bzdury, sugerując, że dla Wielkopolski jedyną alternatywą: albo ulec Niemcom, albo umrzeć w zestarzałych formach dawnej polskości.

– **Wielkopolska i Śląsk wcześniej należały do tego samego państwa niemieckiego. Jaki widzi pan związek pomiędzy „najdłuższą wojną nowoczesnej Europy” a wielowiekowym fenomenem trwania Śląska przy Macierzy, na którym po wiekach ucisku i germanizacji, urzędowe pruskie statystyki wykazały w latach 1910-1911, że na dwa miliony mieszkańców prawie 3/4 ludności przyznawało się do polskości?**

– To był fenomen o którym dziś często zapominamy. Zapominamy też o ogromnej roli duchowieństwa katolickiego na Śląsku i to roli bardzo rozległej, bardzo różnorodnej. Na przykład, na upadek powstania listopadowego dawna Polska zare-

agowała powszechnym pijaństwem. Zaborcy byli wręcz tym ukontentowani. Dramatycznie to wyglądało właśnie na Śląsku, Śląsk tę klęskę bardzo przeżywał... Dla mnie jednym z naszych bohaterów narodowych jest ksiądz Jan Ficek „piesek Matki Boskiej”, jak sam siebie nazywał, który pokonał alkoholizm. Potrafił wpłynąć na ludzi, uświadomić im, że to nie tylko kwestia moralna, lecz i narodowa, kwestia, kim my jesteśmy, kim chcemy być? Jeżeli jesteśmy Polakami nie możemy pić, bo to nas wykończy.

Śląsk miał tradycyjnie zawsze dobre związki z Wielkopolską, skąd otrzymywał wsparcie w różnych inicjatywach służących pobudzaniu aktywności społecznej. To paradoksalne, bo Śląsk miał bardzo blisko do Zagłębia, po drugiej stronie kordonu w Królestwie Polskim, ale tu nie znajdował oparcia w inteligencji wywodzącej się ze szlachty. Śląsk nie miał własnej inteligencji, więc tu polską tożsamość, przy znacznej właśnie pomocy księży, uchował lud. Znane też są fakty, że także Niemcy – o zainteresowaniach społecznych, którzy starali się mieć kontakt z ludem, ponieważ ten lud był polski, zaczynali się interesować historią Polski. Naraz okazywało się, że ta historia jest znacznie bardziej pociągająca niż historia Prus. Bo trzeba pamiętać o jeszcze jednej rzeczy, nie było jednych Niemiec. Prusaków – wiem to z opowieści mojej matki – w innych niemieckich krajach nie uważano w ogóle za Niemców. To byli według nich tylko ludzie mówiący po niemiecku. Co więcej, dzisiaj się nie pamięta, że Prusy po prostu podbiły resztę Niemiec. Bitwa pod Sadową w 1866 roku nie była bitwą Prus z Austrią, lecz z wszystkimi innym państewkami niemieckimi.

– **Jak jednak tłumaczyć to, że Korfanty upominał się o Piłsudskiego w swoim słynnym przemówieniu w Reichstagu 25 października 1918, kiedy domagał się dla Polski: Śląska, Poznańskiego i Prus z dostępem do morza, wypominając Niemcom, że go trzymają w twierdzy Magdeburgu, mimo że wcześniej Piłsudski oświadczył przedstawicielom rządu Niemiec, że obecna generacja Polaków nie będzie prowadziła wojny o Poznańskie i Pomorze. Podobnie odnosił się do Śląska i do samego Korfante, przez co, kiedy w 1922 roku przyjechał**

na Śląsk, to go na dworcu wygwizdano?

– Wszystko to polega na totalnym nieporozumieniu, ponieważ koncepcja Piłsudskiego, była koncepcją, że pójdziemy najpierw z państwami centralnymi, a jak one przegrają, obrócimy się przeciwko nim. Stąd też wypowiedzi Piłsudskiego sprzed 1918 roku trzeba traktować w tym właśnie kontekście. My może byśmy nawet nie zawieżyli tej strategii, gdyby nie to, że w 1912 roku Piłsudski mówił o niej w obecności mieńszewika rosyjskiego Czernowa, który zapisał ją w swoich wspomnieniach jako przejaw utopii, rodzaj iluzji, jaka marzy się polskiemu rewolucjonistom. Tymczasem koncepcja Piłsudskiego jednak wygrała. Aby uderzyć w zachodnim kierunku trzeba było najpierw zbudować armię. W 1919 roku liczyła już ona 800 tysięcy żołnierzy i była w stanie przeciwstawić się bolszewikom, którzy liczyli nie tyle na podbój Polski, lecz na to, że czeka na nich gotowa do rewolucji klasa robotnicza Niemiec. Innymi słowy chodziło o to, aby nie dopuścić bolszewików do wnętrza Europy i to się nam udało i było wtedy najważniejsze. Jak wynika z lektury pism Piłsudskiego, nie zamierzał on porzucić Wielkopolski, Pomorza i Śląska, chodziło jednak o pewną kolejność i możliwość osiągnięcia zamierzonych celów. Jeśli więc Piłsudski posłał trochę ludzi do powstania wielkopolskiego, w tym dowódcę gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego, a potem wspierał powstania śląskie, mimo że tego oficjalnie nie mógł czynić, to z czegoś to przecież wynikało.

– **Co odradzająca się po niewoli Polska zawdzięcza Wielkopolsce?**

– Przede wszystkim kadre finansową i sporo kadry administracyjnej. Wielkopolska była jedynym regionem, poza Galicją, gdzie można było kształcić się w zakresie gospodarki. Galicja mogła dać urzędników, i dała całkiem niezgorszych, natomiast Wielkopolska dostarczyła koncepcji gospodarowania, koncepcje finansów i specjalistów od nich. Nie wspominając o stutysięcznej wyszkolonej armii.

– **Jak pan ocenia rolę Wojciecha Korfante w powstaniu wielkopolskim?**

– Powstanie to głównie kwestia organizacji wojskowej. Tamta organizacja wojskowa była przygotowy-

wana bardzo długo. Tu każda lokalna społeczność miała swoje oddziały, wcale nieźle wyszkolone, i nie tylko tych, którzy wrócili armii pruskiej, ale i tych, którzy trenowali walkę na bagnety walką na palcaty. Te oddziały wymagały następnie sprawnego dowództwa, i pierwszy dowódca awansowany do stopnia majora Stanisław Taczak wcale nie był taki zły. Znał on przede wszystkim dobrze Wielkopolskę, a nie ma nic ważniejszego jak dobre rozpoznanie terenu. Ponadto wiele wiedział o armii pruskiej, w której uprzednio służył. Za bezpośrednią podniechęć do wybuchu powstania uważa się przyjazd do Poznania Ignacego Paderewskiego, co jest swego rodzaju nieporozumieniem. Powstanie i tak by wybuchło.

Jeśli chodzi o Korfanteo w tym powstaniu, myślę, że najważniejszym było dla niego zdobyte tu doświadczenie i nawiązane kontakty, które owocowały następnie w przygotowaniu najważniejszego, trzeciego powstania na Śląsku. Myślę, że koncepcja trzeciego powstania śląskiego była, jakoś tam, oparta na doświadczeniach powstania wielkopolskiego.

– **Czy bez Wielkopolski i bez śląskich kopalń, hut i stalowni, jakie przypadły Polsce po powstaniach śląskich, odradzająca się Rzeczpospolita mogłaby stanąć na nogi?**

– Nie sądzę. Tu trzeba koniecznie przypomnieć o takiej organizacji jak „Zet”, konspiracyjny Związek Młodzieży Polskiej, ruch młodzieży studiującej na wyższych uczelniach Rosji i zachodnich państw Europy, który przygotowywał się z jednej strony do walki o Polskę, z drugiej – do pracy dla Polski. Ruch ten przygotowywał fachowców. Takimi fachowcami, między innymi, byli Ignacy Mościcki i Eugeniusz Kwiatkowski, którzy wzięli się za uruchomienie chorzowskich azotów. Kiedy obejmowali te zakłady, odchodzący fachowcy niemieccy mówili: „Nam tu kaktus na dłoni wyrośnie jeżeli się to wam uda w ogóle uruchomić”. Oni uruchomili zakłady w miesiąc. Oczywiście było to możliwe dzięki wsparciu majstrów i robotników śląskich, od których uzyskiwali wszystkie potrzebne informacje do uruchomienia urządzeń i kompletów maszyn. Przyłączenie Górnego Śląska miało ogromne znaczenie dla Polski,

także moralne, bo ci fachowcy skierowani na Śląsk uczyli potem Polaków tego, czym jest dla Polski Śląsk.

– **Od swoich dziadków słyszałem, że był ponoć pomysł federalcyjnego państwa Wielkopolska – Śląsk (Śląski przemysł, Wielkopolska żywność)?**

– To był chyba pomysł przeniesiony z niemieckich landów, które były samodzielnymi krainami. To się w jakimś stopniu przenosiło na nasze tereny. Górny Śląsk też był zróżnicowany, np. niezwykle silne było poczucie odrębności Śląska Cieszyńskiego. Wiem coś o tym, bo mój ojciec był pierwszym polskim konsulem w Morawskiej Ostrawie i brał udział w akcji plebiscytowej. Cieszyńscy mieli nawet pewne poczucie wyższości w stosunku do reszty Śląska. Wynikało to może z tego, że oni, żyjąc w austriackim zaborze, wytworzyli własną inteligencję, która sprzyjała budowaniu ich tożsamości, to stawiało ich w lepszej sytuacji w stosunku do gnębionych przez Prusaków Górnoszlazaków, bo nacisk pruski był niesłychanie silny, dziś nie zdajemy sobie sprawy z tego do jakiego stopnia. Nawet duchowieństwo było w najrozmaitszy sposób szykanowane przez pruską hierarchię kościelną.

– **Jak wyglądały pomosty łączące Wielkopolskę ze Śląskiem, kiedy Śląsk, wzorem Wielkopolan, zdecydował się walczyć zbrojnie o powrót do Macierzy?**

– Uważa się, że do połowy 1919 roku wpływy Poznania na losy Śląska były decydujące. Ale związki i tradycje współpracy były znacznie wcześniejsze i sięgały połowy XIX wieku. Te związki były budowane przez spółki zarobkowe, odpowiedniki niemieckich banków ludowych, z tym, że do naszych spółek zarobkowych mogli należeć także chłopci, nie było przedziału między miastem a wsią. Natomiast patronem związku rewizyjnego spółek był wielkopolski wódz spółdzielczości kredytowej ks. Piotr Wawrzyniak, który bardzo często bywał na Śląsku, bo sieć tych spółek była wielkopolsko-śląska. To była kwestia nie tylko ludzkiej zdolności współpracy. W radach nadzorczych tych spółek zarobkowych w Wielkopolsce zasiadali nawet niepiśmienni chłopci, którzy dopiero w tych spółkach uczyli się czytać i pisać, ale byli na tyle bystrzy, że potrafili nadzorować gospodarkę

finansową tych spółek. A co ważniejsze, wiedzieli komu warto dać kredyt, a komu nie. Spółki te robiły wiele dobrego, między innymi odbudowywały na Śląsku drobny handel polski. I to ze spółkami związany był ruch czytelnictwa ludowych, a w ślad za tym rzecz jasna rozwój czytelnictwa i działalność wydawnicza. Sam ks. Wawrzyniak był także kierownikiem drukarni i księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Silne wydawnictwa działały na Śląsku Cieszyńskim, bez pruskich ograniczeń, stamtąd szmuglowano na Górny Śląsk najrozmaitsze książeczki, od bardzo prostych, uczących, co to jest być Polakiem, po literaturę fachową, czasopisma i literaturę piękną. A to właśnie sprzyjało utrwalaniu polskości.

Jeśli chodzi o same powstania śląskie, to sporo, bo kilkuset ochotników z hr. Ignacym Mielżyńskim na czele, poszło w nich walczyć, w tym „zetowscy” przyjaciele mojej rodziny, późniejszy senator Nowak, doktor Jarczyk. Zresztą jeszcze wcześniej, bo w grudniu 1918 roku, kiedy utworzona została w Poznaniu Narodowa Rada Ludowa (NRL), która posiadała w swym 80-osobowym składzie 28 Górnoszlazaków (w tym Wojciecha Korfanteo i Józefa Rymera), posłano na Śląsk specjalnych emisariuszy, których zadaniem było tworzenie organizacji paramilitarnych, przygotowujących do walki o wyzwolenie Śląska. Wielki wpływ na postawy Ślązaków miał przecież sam fakt zwycięstwa powstania wielkopolskiego. Mój ojciec, z innymi kolegami z „Zet”, należał do licznej grupy organizatorów pomocy dla walczących Ślązaków. Pomoc ta była bardzo znacząca o czym potem wielokrotnie mówił Wojciech Korfanty: pomoc żywnościowa, materialna, pieniądze na zakup uzbrojenia, schronienie dla wielu powstańców po upadku pierwszego i drugiego powstania, leczenie rannych powstańców, wreszcie duża pomoc w akcji plebiscytowej i wiele wieców poparcia pod hasłem „Ratujmy Śląsk”.

Nie wiem, czy sprawa relacji wielkopolsko-śląskich została jakoś przystępnie opracowana i upubliczniona. Nie jestem tego pewien, myślę, że wiele w tym zakresie jest jeszcze do zrobienia.

– **Czy Wielkopolanie, tak jak Ślązacy, rozczarowali się następnie do II Rzeczypospolitej?**

– Przede wszystkim żyjąca nie-udanymi powstaniem Warszawa najzwyczajniej w świecie nie rozumiała Wielkopolski i Śląska, nie była przygotowana do organizowania i funkcjonowania nowoczesnego państwa. Administracja galicyjska, która dała Polsce podstawową masę urzędników, tego nie gwarantowała, bo jeśli chodzi o rozwój gospodarczy Galicja była niesłychanie zacofana, mimo że dysponowała w ramach Austro-Węgier wielką swobodą. Była ona przecież prawie niepodległym państwem w obrębie państwa Franciszka Józefa, posiadającym swój rząd – „Wydział Krajowy”. Ministrami finansów u Franciszka Józefa byli w Wiedniu przez 50 lat wyłącznie Polacy, nie mówiąc już o tym, że byli premierami rządu Austro-Węgier. Wracając do pytania, najzwyczajniej w świecie, porozumienie między Warszawą i wschodnią częścią Polski i zachodnią jej częścią było dość trudne. Wielkopolska została określona przez Ludwika Erharda w książce *Die Polnische Frage* w 1906 roku jako państwo w państwie. Ostrzegał on Niemców, kiedy Prusakom się wydawało, że zgnetli tu już polskość. Potem okazało się, że Polacy wykupili w sumie więcej ziemi z rąk Niemców niż Komisja Kolonizacyjna z rąk polskich. Gospodarstwa polskie stały na znacznie wyższym poziomie niż kolonistów niemieckich. Podobnie na Śląsku rolnicy, jeśli chcieli się utrzymać, musieli być lepsi od Niemców. Żeby zorganizować szeroki ruch dla związania Wielkopolski i Śląska z resztą kraju i dla pomocy tym ziemiom w walce o polskość, powołano do życia Związek Obrony Kresów Zachodnich. Wiem coś o tym, bo mój ojciec był jednym ze współzałożycieli tego Związku, który przekształcił się w 1934 roku w Polski Związek Zachodni i do dzisiaj nie znam solidnej monografii poświęconej jego ważnym dziejom i roli.

– W 1989 roku napisał pan w „Tygodniku Powszechnym”: gdyby z polską administracją przyszli na Górny Śląsk Poznaniacy, sprawni, zdyscyplinowani i dokładni, byłoby może zdo-

byli uczucia Śląska dla Polski, a przynajmniej szacunek.

– Tak, dokładnie tak uważam. Zwyciężyła także wtedy, co i dzisiaj przecież obserwujemy, żądza władzy zamiast kompetencji.

– Napisał pan też kiedyś: „Są w Polsce ludzie, których nikt nie rozumie. Nie rozumie ich ogół narodu i nie rozumieją ich najbliżsi sąsiedzi. To Ślązacy.” Czy nadal tak pan sądzi?

– Czy ja wiem, może dzisiaj jest już trochę inaczej. To już inny świat. Bo widzi pan tylu ludzi z dawnych Kresów wschodnich, którzy w rezultacie drugiej wojny światowej osiedli na Śląsku, jakoś się w końcu porozumieli ze Ślązakami i stopili się z nimi w jeden nowy Śląsk. Dla mojej żony, która pochodzi z Kresów, śląskie Gliwice są jej Gliwicami, z którymi się kojarzy.

– Czy dzisiejsza Polska już nieco lepiej rozumie Śląsk?

– Proszę pana niech pan popatrzy na mapę, na ten półksiężyc od Gdańska przez Ziemie Zachodnie do Śląska, to jest najlepiej rozwinięta część kraju. Przecież znowu mamy sytuację, że najsłabiej rozwinięta jest tzw. ściana wschodnia. Dzisiaj stosunek do Śląska w ogóle musi być taki jak do całego zachodniego pasa. Wiadomo, że to są ludzie najżywsi, najlepiej zorganizowani, mało tego i – najzaradniejsi i mający najwięcej ducha ekspansji w sobie.

– Co pan sądzi o firmowanych, także przez K. Kutza, dążeniach do odzyskania autonomii Śląska,

nadania gwarze śląskiej statusu języka, a niektórzy nawet marzą o statusie mniejszości narodowej dla Ślązaków?

– Uważam to za nieporozumienie. Ludzie, którzy by mogli się powoływać na śląską tożsamość są już na samym Śląsku mniejszością. Co więcej, Ślązacy z wszystkimi mieszkańcami Ziemi Północnych i Zachodnich są najdynamiczniejszą częścią ludności naszego kraju i schodzenie do poziomu jakiegoś „podkraju” byłoby nieporozumieniem, a nawet anachronizmem.

W Polsce w ogóle nie ma tego typu tradycji. W sześćdziesiąt lat po wojnie nie wyobrażam sobie realności tego typu postulatów. Oczywiście gwarę należy zapisywać, bo jest ona ważną częścią kultury tej ziemi i trwania tej ludności przy Macierzy. Rzecz w tym, że jeśli się żyje w Polsce, to trzeba żyć po prostu z Polski, bo nie da się żyć z czegoś innego. Po wojnie reszta kraju żyła ze Śląska, w tej chwili wyeksploatowany Śląsk musi żyć z reszty kraju. Niezbędny jest program transformacji Śląska i myślę, że taki program powstaje, przede wszystkim na samym Śląsku.

Trzeba szukać nowych nisz produkcyjnych badając starannie rynki i ile z nich można zgarnąć dla siebie i jak to zagospodarować. Mało tego, w to wszystko trzeba wciągnąć pracowników, nie tworzyć sytuacji w której pracownicy są skazani wyłącznie na decyzje wyższych czynników zarządzania przedsiębiorstwami. Moim zdaniem program Reagana, formowania spółek pracowniczych, współodpowiedzialności pracowniczej, notabene po raz pierwszy lansowany przez Piusa XI, program współodpowiedzialności pracowników za przedsiębiorstwo w dzisiejszych czasach, gdy potrzebna jest transformacja przedsiębiorstw i to na ogromną skalę, jest niesłychanie istotnym zagadnieniem, znacznie ważniejszym od dość jałowej wydaje mi się – dyskusji o autonomii. I jest też jeszcze ważna kwestia, to potrzeba pobudzenia wyobraźni Ślązaków w poszukiwaniu swej przyszłości, bo przyszłość sama nie przyjdzie.

Stefan Bratkowski – ur. 22 listopada 1934 roku we Wrocławiu, z wykształcenia prawnik, z zamiłowania dziennikarz, publicysta, pisarz. Honorowy prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Należy do najwybitniejszych polskich publicystów ostatniego półwiecza, orędownik nowoczesności, potrafiący łączyć refleksje o zjawiskach z przeszłości z problemami obecnej doby. Fascynują go idee leżące u podstaw kultury materialnej i metod gospodarowania dawnych i współczesnych społeczeństw. Niepoprawny pozytywista, stale krążący wokół takich idei i wartości jak: pochwała dobrej roboty, samorządności i wolności gospodarczej w duchu solidaryzmu społecznego.

Opublikował ponad 20 książek, m.in.: *Księga wróżb prawdziwych* (1969), *Gra o jutro* – napisana z bratem Andrzejem (1970), *Z czym do nieśmiertelności* (1977), *Nowy Marsyliusz, czyli społeczeństwo inteligentne* (1981), *Kilka sposobów na niemożliwość* (2000), *Nieco inna historia cywilizacji: dzieje banków, bankierów i obrotu pieniężnego* (2003), *Kim chcę być Niemcy* (2006). Szerokie uznanie przyniósł mu zrealizowany, według jego pomysłu, przez Jerzego Sztwernię 13-odcinkowy serial telewizyjny, *Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy* (1981). Laureat nagrody: im. Adolfa Bocheńskiego (1980 r.), Nagrody Kisiela (1990 r.), PEN Clubu im. K. Pruszyńskiego (1998 r.), Nagrody im. R. Kapuścińskiego (2009 r.)

Kiedy zasiadałam do napisania artykułu o patologiach wśród młodzieży i przemocy w szkołach, wszystko wydawało mi się proste: tzn. czasy się zmieniły, młodzież jest gorsza niż była a nauczyciele bardziej bezradni niż kiedyś. Jednak pisząc tak wyszłabym jedynie na kolejnego niekompetentnego zgreda, który całą odpowiedzialność zrzuca na „złe czasy”.

Twarda szkoła życia

KATARZYNA
GŁUCH-JUSZKIEWICZ

Co jest nie tak ze współczesną młodzieżą, do której za kilka lat należeć będzie moja córka i dzieci przyjaciół? Czy zawinili rodzice, którzy mają coraz mniej czasu na wychowanie poprzez rozmowę, czy może instytucje oświatowe, w których coraz rzadziej zdarza się pedagog z autorytetem? W drugiej połowie XX w. szkoły w Europie koncentrowały się głównie na przekazywaniu uczniom wiedzy o otaczającym ich świecie. W konsekwencji mamy obecnie paradoksalną sytuację, w której ludzie młodzi coraz lepiej rozumieją świat zewnętrzny, a jednocześnie coraz mniej rozumieją samych siebie i ludzkie życie.

Bullying, cyberbullying i harassment

Jestem tuż po przeczytaniu fantastycznej książki Małgorzaty Szejnert „Czarny ogród”, za którą autorka otrzymała nagrodę mediów publicznych „Cogito 2008”. W okresie przedwojennym przeciętny uczeń w giszowieckiej szkole często „dostawał przez łeb, albo po galotach witką”. Nauczyciel był szanowany, na równi z ojcem i księdzem. Warunki do nauki były trudne, więc wspominający dziś tamten czas byli uczniowie doceniali poświęcenie i trud. Ale to nie tylko patetycznie brzmiące frazesy, tak było naprawdę, jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to w granatowym, fartuszkowi z tarczą na ra-

mieniu dumnie trzymałam „tytę” i wrzesnia. Do dziś pamiętam ból ręki, kiedy oberwałam linijką za napisanie w dyktandzie „Józia” przez „U” zwykle. Ból ciągniętego ucha za niewypite mleko wylane ukradkiem do wazonika. Do dziś pamiętam ból innej części ciała, w którą dostałam za to, że uderzyłam kolegę książką w głowę i nie pomagały tłumaczenia, iż młodzian ów chciał mi obciąć pięknie zaplecione warkocze. Więc agresja w szkole była od zawsze. Tylko czy musiała ewoluować aż do granic przestępstwa kryminalnego? Początek lat 90. przyniósł pierwsze zmiany, coraz więcej osób dostawało kieszonkowe, na targowiskach pojawiały się „markowe” ciuchy, alkohol był dostępny i nikt nie patrzył czy kolega „X” albo „Y” ma skończone 18 lat. Po papierosy z „Peku”, czyli Peweksu można było wyskoczyć na przerwie. Gdy kończyłam zabrzańskie liceum, w toalecie można już było kupić skręta marihuany, a gdy rozpoczynałam studia w Katowicach – amfetamina była dostępna o wiele łatwiej niż mleko dla alergików.

Jak jest dziś?

Jedno z katowickich gimnazjów. Pora raczej przed niż poobiednia. Koło boiska na murku siedzi grupka dziewcząt. Nie wiem o czym rozmawiają, słyszę tylko przekleństwa i to z gatunku siarczystych. Przechodzę z dzieckiem, więc

zwracam im delikatnie uwagę, że może jednak powinny zmienić swój język, chociażby z tego względu, iż są uczennicami i dziewczynami. Nie zacytuję co usłyszałam w odpowiedzi, bo klawisze komputera z czarnych zrobiłyby się czerwone. Dowiedziałam się natomiast, że one to są „w porzo”, najgorsza jest koleżanka „X”, bo za numerka w toalecie hipermarketu wzięła tylko bluzkę, a za to, co zrobiła, to bierze się co najmniej adiki. Chodziło pewnie o buty. Nie param się dziennikarstwem śledczym, ale będąc na zakupach (już bez dziecka) we wspomnianym hipermarkecie, zagadnęłam ochroniarza stojącego przy drzwiach.

– Przychodzą tu cichodajki z kolesiami, potem idą na ciuchy, nie wiem nawet, czy mają gumki – wzrusza ramionami pan w czerni.

– Próbowaliście państwo wezwać policję? – pytam naiwnie.

– Po co? Żeby nam banda potem demolkę urządziła? Jak się chcą „uhifić”, to niech się bzykają, co mnie to...

No właśnie. Jego może nic, ale mnie ruszyło. Odbijam się od różnych dykcji różnych szkół jak od ściany. W końcu przestaję chodzić i łapię za telefon. Chyba tak jest prościej, bo jedna z dykterek potwierdza:

– Zdarzają się akty przemocy, prostytucja i handel narkotykami. Na ten ostatni reagujemy wraz z funkcjonariuszami komendy miejskiej policji w Katowicach, ale w pozostałych przypadkach pozostaje liczyć na wychowanie przez rodzinę. Bo widzi pani, aspołeczne zachowania dzieci są lustrem rodziców. To proste. My organizujemy pokazy, prelekcje, zapraszamy policjantów i osoby odpowiedzialne za profilaktykę HIW/AIDS, ale niewiele to daje. Ostatnio męczymy się z bullyingiem, cyberbullyingiem i harassmentem.

– Nie wiem, o czym pani mówi – przyznaję.

– Też do niedawna nie wiedzieliśmy, ale dziś już powstają prace naukowe na ten temat. W skrócie chodzi o formę mobbingu, coś między tym, co dzieje się w wojsku, a tym co w niektórych rodzinach. Do tego dochodzi Internet, telefony komórkowe z aparatami fotograficznymi, programy do obróbki zdjęć, nagrania. Harassment to mobbing, ale z dodatkiem przemocy seksualnej. Wie pani, ile razy na portalu nasza-klasa można znaleźć gołe zdjęcia dziewczyn w niewybrednych pozach? To fotomontaże wrzucane do Internetu przez „życzliwych” kolegów. Jeśli ktoś jest słaby psychicznie, może nie wytrzymać i skończy się to tragedią.

To prawda. Niemal codziennie środki masowego przekazu przynoszą nowe zatrważające wiadomości na temat kolejnego aktu przemocy i okrucieństwa dokonanego przez nieletnich. „Biły i przypalały papierosami...”, „pobili kijami bejsbolowymi...”, – tego rodzaju doniesienia przerażają okrucieństwem. Sama, jako „etatowy serwisant”, muszę podawać tego typu informacje. Treści bardziej okrutne nie są prezentowane na ra-

diowej antenie. Żeby komuś nie wpadł podobnie głupi pomysł do głowy.

Pani dyrektor nie pozwala ujawniać ani swego nazwiska, ani nawet numeru szkoły. Powoli przestaje się dziwić.

Alkohol

— **M**łodzież zaczyna pić już w szkole podstawowej, oczywiście nie we wszystkich środowiskach — przyznaje dr Marek Staniaszek, specjalistą psychiatrii, kierownik Wojewódzkiego Ośrodka Terapii Uzależnień w Łodzi. Jego zdaniem stereotypy wychowawcze u dziecka kształtują się przecież we wczesnym dzieciństwie. A właśnie często domy i rodziny nie dają właściwych wzorców. Jednocześnie dzieci oglądają reklamy napojów alkoholowych w telewizji i podświadomie chłoną, że są one aprobowane, dobre i dostępne. A przecież dzieci nie odróżniają reklamy alkoholu od reklamy innych produktów np. masła. Tak duża siła oddziaływania telewizji na dzieci uwarunkowuje je podświadomie na określone reklamowane produkty na przyszłość. I dlatego mówienie dzieciom w wieku 12-15 lat, które mają już ukształtowany określony system norm, wzorców i wartości, że alkohol jest zły jest już zdecydowanie za późno.

Za późno... Uczestnicy kwietniowego seminarium, w Mikołowie, poświęconego profilaktyce, twierdzą, że nigdy nie jest za późno już po raz 13. Stowarzyszenie Klub Abstynenta „Powrót” w Mikołowie zorganizowało ponadregionalne spotkanie. Stanisław Faber — śląski Kurator Oświaty przyznał w czasie seminarium, że problemy współczesnej cywilizacji sprzyjają generowaniu zagrożeń, wśród których należy wymienić agresję, przemoc, konsumpcjonizm, rozpad rodziny i uzależnienia, w tym alkoholizm. Jednak — jak twierdzą niektórzy psycholodzy — prowadzone działania profilaktyki antyalkoholowej służą bardziej uspokojeniu nauczycieli, rodziców i społeczeństwa, nie przynoszą natomiast efektów psychologicznych. Zwłaszcza że generalnie dzieci są straszone alkoholem, a tymczasem widzą, że dorośli go często piją. Czyli zauważają niespójność między tym, co dorośli im mówią i co czynią.

— Wielu się oburza, że dzieci piją. Dzieci piją, bo naśladują dorosłych. Taka jest rola dziecka i na tym polega wchodzenie w życie — tłumaczy dr Staniaszek.

Narkotyki

— **Nie** bądź niemyym świadkiem przestępstw narkotykowych! — alarmowali uczestnicy wspomnianego wcześniej seminarium w Mikołowie. — Nie zamykaj oczu, nie działaj pochopnie!



Foto: Agnieszka Luczakowska

Narkotyki wkroczyły w codzienne życie grup młodzieżowych w połowie lat 60. A w Polsce wybuch narkomanii nastąpił dekadę później, gdy student chemii z Pomorza wyprodukował po raz pierwszy polską heroinę, czyli „kompot”. Wzrost podaży środków odurzających w Polsce następował stopniowo od lat 70. Szersze otwarcie granic w 1989 roku spowodowało szybki napływ znanych już narkotyków, jak i zupełnie dla nas nowych.

Jak wielu młodych ludzi w Polsce dziś sięga po środki odurzające? Trudno powiedzieć.

Narkotyki, traktowane dotąd z szacunkiem przez starożytne i aborygeńskie kultury jako święte, wymknęły się spod społecznej kontroli. Zaczęły być używane w celach relaksacyjno-rozrywkowych. Według danych statystycznych, opublikowanych w piśmie *Polityka*, w pierwszej klasie liceum narkotyków próbowało już 22 proc. młodzieży. Tylko

na przełomie czerwca i lipca pierwszego skręta zapaliło kolejne sto tysięcy młodych Polaków. Marihuana dotarła także do miasteczek i na wieś.

Branie narkotyków jest dziś modne. Dla młodych ludzi palenie „trawki” jest czymś normalnym. Nikogo już nie szokuje, że ktoś od czasu do czasu wypali skręta — to słowa Janusza Sierosiawskiego, socjologa z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. — Porażka, sukces w szkole, ciężki dzień w pracy — każdy pretekst jest dobry do sięgnięcia po „trawkę”. Branie narkotyków zaczęło przypominać polski styl picia alkoholu: żadna impreza, czy przyjęcie nie może się bez tego obejść.

Młodzież wręcz nie potrafi sobie wyobrazić spotkania ze znajomymi bez — „trawki” — tłumaczy Ewa Korpetta, psycholog z Poradni Uzależnień w Warszawie. Nadal głównym powodem sięgania po narkotyki jest ciekawość — tak twierdzi 15 proc. nastolatków. Z badań

Barbary Fatygi i Jolanty Rogali-Oblękowskiej, auterek książki *Style życia młodzieży a narkotyki*, wynika, że 60 proc. gimnazjalistów próbowało miękkich narkotyków mniej niż dziesięć razy.

Zaglądam do pierwszej lepszej księgarni. *Pamiętnik narkomanki* Barbary R. jest nadal jedną z lepiej sprzedawanych pozycji wśród młodzieży. Ale także *Narkotyki* Witkacego. Cóż, lepiej przeczytać niż eksperymentować samemu.

Policja robi co może. Począwszy od uświadamiania przedszkolaków i śląskiej akcji „Sznupiek” po eveny i sięganie po sztukę. Niedawno w Siemianowickim Centrum Kultury odbyła się siemianowicka premiera spektaklu *Blackout*. Sztukę i całość programu, w którym uczestniczyli gimnazjaliści wyreżyserował inspektor Grzegorz Jach z KGP. Gospodarzami spotkania byli wspólnie komendant siemianowickiej policji i prezydent miasta. W liceum imienia Śniadeckiego powstanie od września pierwsza w Polsce klasa artystyczno-humanistyczna pod patronatem „PaT”. (Ten skrót oznacza: „Profilaktyka a Teatr”). Spektakl dotyczył problemu narkomanii i kończył się niezwykle wymowną sceną w prosektorium. Widzów, którymi byli uczniowie z 2. Gimnazjum w Siemianowicach, zapoznano z założeniami programu „PaT”. Spektakle edukacyjno-profilaktyczne do programu „PaT” autorstwa Grażyny Małkowskiej – pedagoga szkolnego z Warszawy są realizowane w całym województwie. *Dzwonek* – prezentowany w programie PaT/R pokazuje przeciętną, niepatologiczną rodzinę, w której rodzice, uwikłani w swoje problemy, nie mogą się porozumieć. W domu „przepełnionym” konfliktem dorasta syn – uczeń gimnazjum (postać pozytywna), który mimo swoich starań nie radzi sobie z nauką. I nie otrzymuje oczekiwanej pomocy ze strony rodziców. Taką pomoc oferują mu za to dilerzy narkotyków. One mają być sposobem na łatwą naukę. Spektakl kończy się nadzieją i kolejną szansą na odbudowywanie dobrych relacji w rodzinie. *Blackout* – prezentowany jest w programie PaT/M. Dwa światy, dwóch braci – to przedstawienie, które pokazuje drogę prowadzącą do uzależnienia od narkotyków. A także rozpaczliwie bezradną próbę pomocy narkomanowi. Spektakl kończy się śmiercią starszego brata i postawieniem pytań wobec tych, którzy nie zdołali mu pomóc.

Podobno większość uczniów wychodzi ze sztuki z płaczem.

Dopalacze

Dopalacze to środki pobudzające, zawierające najczęściej benzylo-piperazynę (BZP). Jest ona w Polsce legalną substancją, która działa jak nielegalna amfetamina, ale dziesięć razy słabiej. Zapewnia jednak kilka godzin

pobudzenia, wręcz euforii. Dlaczego BZP jest w sprzedaży? Bo nie jest zakazany! I dopóki się to nie zmieni, policja nie ma podstaw do działania. Jednak ma być wpisany na listę substancji zabronionych. Bo – jak twierdzi Mariusz Sokołowski z KGP: „nie mam złudzeń, że może być dla młodych wstępem do przygody z narkotykami. Ktoś spróbuje dopalacza, poczuje odłot, więc będzie chciał więcej i mocniej”. Pracownicy Monaru mówią wprost: – To legalne narkotyki, które są na rynku z powodu dziurawego prawa!

Świadectwa

Nikt nie chce mówić! Obiecując anonimowość rozmawiam ze znajomymi, którzy mają dzieci w wieku szkolnym. Okazuje się, że ich pierwotni już zeknęli się z przemocą. Zabieranie śniadań, zamykanie w łazience, wycieranie koszulką z w-f toalet, kradzież „kieszonkowego”, piłek, komórek, groźby i szantaż. Wizyty w domu rodziców winowajców kończą się nawet strażeniem policją, woźnym, siekierą... „Bo MOJE dziecko jest przecież niewinne!” Włosy stają mi powoli dęba.

Na szczęście ktoś w tym kraju jednak myśli. Dzieci i młodzież z całej Polski mogą bezpłatnie dzwonić na ogólnokrajowy telefon zaufania. Linia jest obsługiwana przez wykwalifikowanych psychologów i pedagogów, którzy udzielą młodym ludziom profesjonalnej porady w sytuacjach kryzysowych. Konsultanci telefonu 116 111 w przypadku podejrzenia, że zdrowie lub życie dziecka jest zagrożone będą inicjowali policyjną interwencję wypracowaną pomiędzy KGP a Fundacją „Dzieci Niczyje”.

Grupa linii 116 to grupa ogólnoeuropejskich linii telefonicznych o charakterze społecznym {116 000 to numer interwencyjny w sprawie zaginionych dzieci, 116 123 to telefon wsparcia dla dorosłych}. Polska jako piąty kraj w Europie uruchomiła linię 116 111. Numer ten działa już w Czechach, Rumunii, Słowacji i na Węgrzech. Tadeusz Rosa – przewodniczący spotkania trzeźwościowego w Mikołowie uważa, że takie spotkania to coś ważnego, nazywanie rzeczy po imieniu. Jego zdaniem działania związane z profilaktyką muszą być rozpowszechnione na wszystkie dziedziny życia. Nawet na różne religie.

– Trzeba budować koalicję ludzi różnych wiekowo i pod względem profesji – zaznacza Rosa. – Do wszystkich trzeba mówić jednym głosem.

Na razie do szkół trafiły wskazówki dla dyrekcji i nauczycieli. Oto kilka z nich:

W Twojej szkole doszło do poważnego pobicia? Nie wpadaj w panikę! Najważniejsze co należy zrobić na samym początku to:

KROK 1

Odizolowanie sprawcy od innych uczniów

KROK 2

Ustalenie kto i w jakim stopniu został poszkodowany!

KROK 3

Udzielenie ofierze pierwszej pomocy przedmedycznej. Pamiętaj, najpierw zajmij się ofiarą potem sprawcą!

Z innej broszury:

Pełnoletnia uczennica zajmuje się prostytutką. Co dalej?

Rozwiązanie: Nauczyciel powinien przekazać tę informację dyrektorowi szkoły. Samo uprawianie nierządu nie jest karalne. Stwierdzenie takiego przejawu demoralizacji nieletniego wymaga zawiadomienia o tym sądu rodzinnego (art. 4 ust. 1 ustawy z 26 października 1982 r. o postępowaniu w sprawach nieletnich). Przestępstwami związanymi z prostytutką są nakłanianie do prostytucji lub ułatwianie jej w celu osiągnięcia korzyści majątkowej oraz czerpanie korzyści z uprawiania prostytucji przez inną osobę (art. 204 ustawy z 6 czerwca 1997 r. – Kodeks karny). Dyrektor nie może wykluczyć, że na terenie szkoły dochodzi do nakłaniania do prostytucji i demoralizacji nieletnich dziewcząt przez osobę pełnoletnią, zatem powinien zgłosić sprawę policji (art. 304 § 2 ustawy z czerwca 1997 r. – Kodeks postępowania karnego).

I jeszcze fragment z ostatniej ulotki o profilaktyce HIV-Aids:

Rozmawiaj, rozmawiaj, rozmawiaj! W ten sposób osiągniesz najwięcej!

Problemu patologii wśród dzieci i młodzieży nie rozstrzygnie się jednak samym pisanem broszur, naukowych prac, felietonów, artykułów. Nie wystarczy godzina wychowawcza raz w tygodniu w szkołach, polegająca często jedynie na wyjściach do kina lub na spacer, albo wypełniona uzupełnianiem dziennika. Nie pomogą tylko i wyłącznie rekolacje wielkopostne, czy prelekcje dla nauczycieli. Nic nie da zapisanie dziecka do prywatnej, strzeżonej przed dilerami szkoły, jeśli na podwórku będzie miało kontakt z przemocą. Policja i lekarze w pojedynkę nie zrobią nic. Musimy zadziałać wspólnie. Tyle wiem. Tylko, podobnie jak większość osób w tym kraju nie mam niestety pojęcia, od czego zacząć. Tym bardziej że dziecko wróciło dziś z przedszkola z blizną na policzku. Mam nadzieję, że za parę lat podczas rozwiązywania problemu z cyklu „o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad Świątami Wielkiej Nocy” zamiast klocków w ruch nie pójda kije bejsbolowe...

Co wtedy będzie dla naukowców „przyczyną” i lustrem? Oby nie „rodzić”. Chodźmy do teatru na *Czerwonego Kapturka* pod patronatem policji, oglądamy razem *Reksia*, czytamy *Małego księcia*, a w naszym domu o bejsbolu nawet tatuś nie ma zielonego pojęcia.

• Uniwersyteckie antydepresanty

Główną instytucją społeczeństwa nowoczesnego jest uniwersytet, placówka, w której formułuje się systemy teoretyczne i poddaje się je empirycznej weryfikacji. Uniwersytet zastąpił przedsiębiorstwo przemysłowe, naczelną instytucję epoki industrialnej. Z jednej strony tworzy wiedzę, która jest najcenniejszym towarem nowoczesnego społeczeństwa z drugiej zaś strony kształci jednocześnie doradców i ekspertów. Ludzie najlepiej wykształceni są mniej nękani widmem bezrobocia, gdyż w grupie osób z cenzusem uniwersyteckim czy politechnicznym jest ono wciąż nieznaczne, choć stale rośnie. Wykształcenie łagodzi także indywidualne koszty transformacji! osoby najlepiej wyedukowane żyją dłużej niż inni, rzadziej trapią je depresje, a ich prywatne firmy rzadziej bankrutują. Ludzie z dyplomem szkoły wyższej są również – co tylko nielicznym wydać się może paradoksalne – mniej narażeni na otyłość. Wiadomo bowiem, że cechują ich wyższa świadomość zdrowotna, lepsze nawyki żywieniowe i przekonanie o dobroczynnej roli aktywnego wypoczynku.

• Meiji i Ruhra

Pomyślność długofalowych przedsięwzięć restrukturyzacyjnych, mających na celu modernizację, podejmowanych w regionach zależy w znacznym stopniu od przeobrażeń systemu oświatowego. Jest niemal pewne, że inwestycja w system edukacyjny to najlepsza, najtańsza i najskuteczniejsza forma przygotowania do zmiany wizerunku każdego województwa. Przywołać tutaj można – zachowując wszelkie proporcje – przykłady innych krajów i regionów, takich chociażby jak nowo uprzemysłowione państwa świata: Korea Południowa czy Malezja. Także wielokrotnie eksponowany przez Lecha Wałęsę japoński cud gospodarczy, zapoczątkowany przez cesarza Meiji, rozpoczął się od stworzenia podstaw pod nowoczesny system edukacyjny. I wreszcie – zainicjowanemu w 1958 roku, procesowi restrukturyzacji przemysłu w Zagłębiu Ruhry towarzyszyły równoległe zmiany w regionalnym systemie oświaty. Poziom wykształcenia w sposób istotny wpływa na potencjał rozwoju regionów. Osoby mające wyższe wykształcenie osiągają zwykle wyższe dochody, a co za tym idzie cechują się na ogół większą skłonnością do migracji i częstotliwością codziennych, tygodniowych i urlopowych przemieszczeń, są więc znacznie bardziej ruchliwi od osób o niższym poziomie wykształcenia.

• Ariergarda edukacyjnej rewolucji

Mapa wieloPolski edukacyjnej pokazuje dzisiaj znaczące różnice pomiędzy poszczególnymi polskimi regio-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

WieloPolska Regionalna (IV)

nami. Metaforyczna geografia magisterium to województwo mazowieckie z największą liczbą osób z wykształceniem wyższym i stopniem naukowym doktora i trzy województwa z nieco mniejszym udziałem osób z dyplomami szkół wyższych: łódzkie, małopolskie i dolnośląskie. Dane Głównego Urzędu Statystycznego za 2006 rok wskazują dwa województwa o najsłabszym nasyceniu mieszkańcami z wyższym wykształceniem. Jest to województwo opolskie i kujawsko – pomorskie. Oprócz zróżnicowań regionalnych widocznych na mapie magisterium w Polsce wciąż jednym z zasadniczych, najważniejszych problemów pozostaje dziedziczenie statusu i wykształcenia. Do uniwersyteckiej rury za rzadko dostają się przedstawiciele hołubionej niegdyś, a dzisiaj zdegradowanej symbolicznie i ekonomicznie, klasy robotniczej oraz chłopskiej. Realna, zatem staje się groźba zjawiska, które w socjologicznym żargonie nazywane bywa reprodukcją struktury społecznej poprzez system oświatowy.

Chodzi tutaj w istocie o to, że dziecko robotnicze najprawdopodobniej powieli drogę życiową rodziców. Podobnie też syn rodziny chłopskiej stanie się zazwyczaj chłopem lub robotnikiem wiejskim, a dziecko inteligenta zazwyczaj inteligentem. To błędne koło pozostaje w głębokiej sprzeczności z ideami pań-

stwa obywatelskiego, wyrównywaniem szans, wsparciem finansowym i intelektualnym dla świata głębokiej prowincji, ulokowanego z dala od uniwersytetów i szkół wyższych. Chociaż województwo podkarpackie poszczycić się może chlubnymi doświadczeniami oświatowymi jeszcze z czasów Galicji, to jednak młodzież z tego regionu wciąż ma bardzo utrudniony dostęp do edukacji na poziomie wyższym. Największy potencjał wykształcenia występuje w miastach tych województw, w których znajdują się duże aglomeracje miejskie, a przede wszystkim Warszawa i Kraków oraz w ośrodkach miejskich obszarów słabo zurbanizowanych, w których główne miasto wyraźnie dominuje jak np. Lublin (lubelskie), Rzeszów (podkarpackie) i Kielce (świętokrzyskie).

• Toczy się śnieżna kula

Z całą pewnością na dynamikę zróżnicowań regionalnych i szansę rozwojowe województw ma poziom inwestycji zagranicznych, zwłaszcza tych poważniejszych, przekraczających 1 milion dolarów, lub umiejscowionych na obszarze przekraczającym 5000 m². W przypadku inwestycji w poszczególnych regionach szczególnie widoczny jest efekt śnieżnej kuli. Prawdopodobieństwo pojawienia się w regionie kolejnych inwestorów znacznie wzrasta, gdy jeden przetrze przysłowiowy ślad. Dzieje się tak z jednej strony dlatego, że inwestycja każdego przedsiębiorstwa jest przez inne traktowana jako pierwszy wskaźnik atrakcyjności inwestycyjnej danego obszaru, z drugiej strony kolejnych inwestorów często przyciąga po prostu inne przedsiębiorstwo, które potrzebuje rozszerzonego otoczenia własnej działalności, gdyż większość zadań nie związanych bezpośrednio z głównym celem firmy wyprawia ona na zewnątrz, korzystając z tzw. *outsourcingu* który polega na rezygnacji z prowadzenia działalności pomocniczej związanej z obsługą podstawowej działalności przedsiębiorstwa i zakupie usług na zewnątrz przedsiębiorstwa to również napędza dynamikę wzrostu na lokalnym i regionalnym rynku usług.

Badania przeprowadzane regularnie przez Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową dla wszystkich regionów i podregionów Polski ukazują zróżnicowanie pod względem atrakcyjności inwestycyjnej. Mapa atrakcyjności inwestycyjnej z 2006 roku pokazuje wyraźnie, iż niekwestionowanymi liderami pozostają trzy województwa: mazowieckie, śląskie i dolnośląskie. Tendencja ta utrzymuje się od kilku lat, przy czym ostatnie trzy lata na pozycji niekwestionowanego lidera sytuują województwo śląskie.

Tekst powstał we współpracy
z Weroniką Słezak-Tazbir



Jak to różnie w szkole bywało...

MARIA
GATNAR-GUZY

Trwa obecnie powszechna dyskusja związana ze zmianami w szkolnictwie. Rodzice sześciolatków protestują, nie chcąc wysyłać maluchów do klasy pierwszej.

Jako była nauczycielka, obecnie emerytka (liczę dopiero 85 wiosen!...), chciałabym wyrazić swój pogląd na tę sprawę.

* * *

Do Szkoły Powszechnej w Pielgrzymowicach zostałam przyjęta po ukończeniu lat sześciu. Wejście w progi szkolne nie stanowiło dla mnie żadnego problemu. Prawda, że przedtem chodziłam do tak zwanej „szkółki”, którą prowadziły w naszej miejscowości Siostry Jadwizanki. Wychowawczynią w tej „szkółce” była kochana Siostra Józefa, która prowadziła zajęcia w sposób interesujący, nowoczesnymi metodami.

W pierwszym dniu pobytu w szkole moja kuzyneczka, równolatka Adelka trochę popłakiwała (nie chodziła przedtem do przedszkola); musiałam ją trochę podtrzymywać na duchu, lecz i ona szybko się w szkole „odnalazła” i obydwie przechodziłyśmy z klasy do klasy z pozytywnymi ocenami.

Nie mogę zrozumieć, o co tyle hałasu? Przecież dzisiejsze sześciolatki są o wiele dojrzałsze niż my przed wojną. Przeważnie są jedynakami, wzrastają wśród dorosłych, co wpływa na ich wcześniejsze dojrzewanie. Często wnuczuś uczy dziadka, jak ma się posługiwać komputerem. Wystarczy też przysłuchać się niektórym audycjom telewizyjnym z udziałem dzieci. Jak one się wspaniale wypowiadają!

Sześciolatki są w pełni dojrzałe do obowiązku szkolnego. Padają argumenty, że szkoły nie są przygotowane na przyjęcie tak małych dzieci, że meble niedostosowane. Przed wojną w mojej szkole powszechnej siedzieliśmy w drewnianych, czteroosobowych ławkach, co nam wcale nie przeszkadzało w nauce.

Jedyną rzeczą, która mnie martwi, są dojazdy do szkoły. Już widzę zmarznęte maluszki, czekające na autobus na przewiewnych przystankach. Gdyby się rodziło więcej dzieci, szkoła byłaby w każdej wiosce...

Systemy szkolne zmieniały się zawsze wraz ze zmianą ustroju.

Moja Babcia Joanna uczęszczała do szkoły w Pielgrzymowicach. Urodzona w 1852 r. uczyła się po polsku. Uczył ją Karol Miarka w tak zwanej „Organistówce”. Wówczas nauczyciel był równocześnie organistą. Karol Miarka wykształcony w niemieckim seminarium, nie zdawał sobie początkowo sprawy, że jest Polakiem. Nie znał polskiej literatury, uważał język polski za coś pośledniejszego, za język, którym pruski nauczyciel nie powinien się posługiwać.

Karol Miarka jako lojalny pruski nauczyciel był zobowiązany uczyć także wiernopoddańczych pieśni. Co też początkowo czynił. Babcia zapamiętała: „Za ojczyznę, króla – za ojczyznę, króla

Idzie pruski żołnierz do pola,
Swoją krew, swoją krew, z ochotą daje,
Za króla – za króla i pruskie kraje”

Dopiero po zetknięciu się z polskimi działaczami z Cieszyńskiego, a także pod wpływem biskupa Bogedaina zaczął poznawać polską literaturę i stał się orędownikiem polskości na Górnym Śląsku, jak to pięknie opisuje Zofia Kossak w „Nieznany Kraj”. Moja babcia do późnej starości czytała „Katolika” drukowanego po polsku, a w czasie plebiscytu gorąco agitowała za przyłączeniem Śląska do Polski.

Moi Rodzice uczęszczali w końcowych latach dziewiętnastego stulecia do szkoły w Ruptawie. Było to już po bismarkowskim „kulturkampfe”, czyli był to okres przymusowej germanizacji. Za używanie polskiej mowy byli bici. Bicie było na porządku dziennym.

Wspominał Ojciec:

Szkoła była czteroklasowa, więc klasy były łączone. Z tyłu siedziały czteronastoletnie dryblasy, z przodu młodsze

dzieci.... W pewnej chwili nauczyciel-sadysta zaczął bić małą dziewczynkę z pierwszych ławek. W tym momencie podrywają się chłopcy z tylnych ławek i w milczeniu stoją. Nauczyciel spojrzął i... odłożył kij. Wspominała Matka:

Nauczyciel uderzył dziewczynkę tak silnie, że z ucha poląła się krew. Ojciec dziewczynki wniósł sprawę do sądu. Nauczyciel, chcąc się uwolnić od odpowiedzialności, zaczął wmawiać dzieciom, które były świadkami zajścia, że dziewczynki nie uderzył. Zastraszone dzieci na pytanie „czy uderzyłem” odpowiadały po kolei „Nein”. Gdy doszedł do Kasi (mojej Mamy) usłyszał „Jawohl”, za co Kasia też dostała po buzi. W czasie rozprawy Kasia mówiła prawdę, gospodarz sprawę wygrał, nauczyciel musiał zapłacić odszkodowanie, lecz potem próbował się mścić. Postanowił pozostawić Kasię na drugi rok w tej samej klasie. Miał za zadanie przeprowadzenie lekcji pokazowej w tej klasie. W tym celu przygotował uczniów z rachunków z nowego materiału, w czasie nieobecności Kasi. Jednak Kasia się dowiedziała od koleżanki, co było przerabiane, więc się przygotowała i w czasie lekcji pokazowej, wezwana do tablicy zadanie rozwiązała. A finał był taki, że kierownik szkoły „Oberlehrer”, gdy wśród dzieci powstała jakaś sprzeczka zawsze wzywał Kasię: „Mów ty, bo ty mówisz prawdę”

* * *

Szkoła w Ruptawie była wprawdzie tylko cztero- lub ew. pięcioklasowa z niemieckim językiem nauczania, lecz sadzę, że poziom nauki był dosyć wysoki. Kładziono oczywiście nacisk na pamięciowe opanowanie materiału. Ojciec w dziewięćdziesiątym roku życia potrafił wyrecytować nazwy wszystkich dopływów Odry i Renu. Młodzię była dwujęzyczna, opanowała język polski i niemiecki „in Vort

und Schrift", ale nastawiona patriotycznie, czując się Polakami.

W domu rodzinnym Matki abonowano „Gwiazdkę Cieszyńską”, czytano powieści Sienkiewicza wychodzącymi w odcinkach w którejś polskiej gazecie. Brat Matki Teodor brał udział w powstaniach śląskich, był nawet postawiony przed niemieckim plutonem egzekucyjnym, jednak na szczęście w ostatniej chwili egzekucję odwołano.

Matka знаła na pamięć wiele utworów poetyckich, zarówno polskich jak i niemieckich. Jeden z nich przytoczę, niestety nie znam autora:

„Auf dem Binsenlager
Ferne von der Welt,
Sterbend in der Hütte
Liegt ein Polenheld.

Edle Polensöhne
Bärtig und voll Mut
Drängen sich ans Lager
Wo Czarniecki ruht.

Skąd ten wiersz, nie wiem. Przypuszczam, że ksiądz proboszcz w Ruptawie miał jakieś powiązania z Krakowem, gdyż Mama jako młoda dziewczyna wozila z proboszczową kucharką żywność do Krakowa, przekupując na granicy austriackich strażników.

Moja edukacja odbywała się przed drugą wojną światową w siedmioklasowej Szkole Powszechnej w Pielgrzymowicach. Większość dzieci uczyła się w „Nowej Szkole”, gdzie były trzy duże sale lekcyjne oraz mieszkania kierownika i nauczycieli. Jedna klasa mieściła się w „Organistówce”, gdzie w drugiej połowie XIX wieku uczył Karol Miarka.

Podejście nauczycieli do uczniów było w naszej szkole przyjazne. Pamiętam zdziwienie mojej Mamy na widok nauczyciela, witającego serdecznie swoich uczniów. „Do nas nauczyciele niemieccy odnosili się bardzo surowo, żadnych uprzejmości” powiedziała.

Pomimo serdecznego podejścia, kari cielesne też jednak były. Oczywiście tylko dla niepoprawnych łobuzów. Uczniowie na ogół czuli respekt dla „ciała pedagogicznego” i nie zdarzyło się by próbowali nauczycielowi wsadzić na głowę kosz na śmieci.

Nauczyciele naszej szkoły zajmowali się także młodzieżą, która już ukończyła szkołę. Jeden z nich, porucznik rezerwy prowadził oddział „Strzelca”, pani nauczycielka była prezeską „Młodych Polek”. Nauczyciele byli także reżyserami sztuk teatralnych, które w owych czasach zastępowały telewizję, a raczej spełniały rolę dzisiejszej telewizji. Organizowali akademie listopadowe i 3-majowe, podtrzymywali kult Marszałka Piłsudskiego.

W międzywojennej szkole wyposażenie sal lekcyjnych było dość spartańskie. Ciężkie czteroosobo-

we drewniane, niemalowane ławki, pulpit z otworami na kałamarz, pod pulpitem półeczka na książki. Książek było niewiele, w pierwszej klasie elementarz Jana Żebroka i łupkowa... tabliczka z rysikiem. Tabliczka była krucha, często się tłukła, a wtedy był bek.

W następnych klasach posiadałam tylko podręcznik do języka polskiego i rachunków. W klasie szóstej podręcznik do geografii podarował mi nauczyciel za b. dobre postępy w nauce. Być może dlatego po wojnie wybrałam geografę na studiach wyższych?

Pozostałych podręczników Rodzice mi nie kupili, bo ich nie było na to stać. Pamiętam jak w klasie siódmej bolało mnie serce gdy kierownik szkoły powiedział: „Najlepszym Polakiem jest pan Kowalski, bo on kupił córce wszystkie podręczniki”. Pan Kowalski był naszym dalekim krewnym, przyjaźniłam się z jego córką, często u nich bywałam i czasem słyszałam »pierońsko Polska«. A powodziło mu się w Polsce dobrze – był rzeźnikiem i miał dwa sklepy.

Pamiętam też jak w latach trzydziestych część miejscowych sympatyków niemieckich zaczęła się domagać przeniesienia swoich dzieci do niemieckiej szkoły w pobliskich Golasowicach. W tej szkole, wspieranej przez Volksbund, były bardzo dobre warunki materialne. Do naszej szkoły zjechała komisja, która miała przeegzaminować delikwentów. Ci jednak nie wykazali się znajomością języka niemieckiego i musieli pozostać w naszej szkole.

Nasze Pielgrzymowice były w większości katolickie. Mieszkańcy z pewnymi wyjątkami czuli się Polakami. Natomiast w sąsiednich Golasowicach było dużo Niemców. Wielu z nich to potomkowie kolonistów „fryderycjańskich”. Ci byli ewangelikami. Katolicy byli zdeklarowanymi Polakami (odwrotnie niż w cieszyńskim). W rezultacie w Golasowicach istniały trzy szkoły: Szkoła katolicka z polskim językiem wykładowym, Szkoła ewangelicko-polska, w której uczono także niemieckiego oraz niemiecka szkoła mniejszościowa z niemieckim językiem wykładowym.¹ W czasie okupacji istniała tam jedna szkoła niemiecka dla wszystkich dzieci. Po wojnie również nie stosowano tam segregacji.

Okres okupacji rozpoczął się w Pielgrzymowicach paleniem polskich książek z biblioteki szkolnej. Niektóre dzieci wynosiły książki cichcem pod sweterkiem, by je uratować od ognia. Ukryto je po domach, gdzie były jedynym, drukowanym polskim słowem w mrocznych czasach wojny.

Po zakończeniu działań wojennych zaczęłam pracować w szkolnictwie, zdobywając równo-

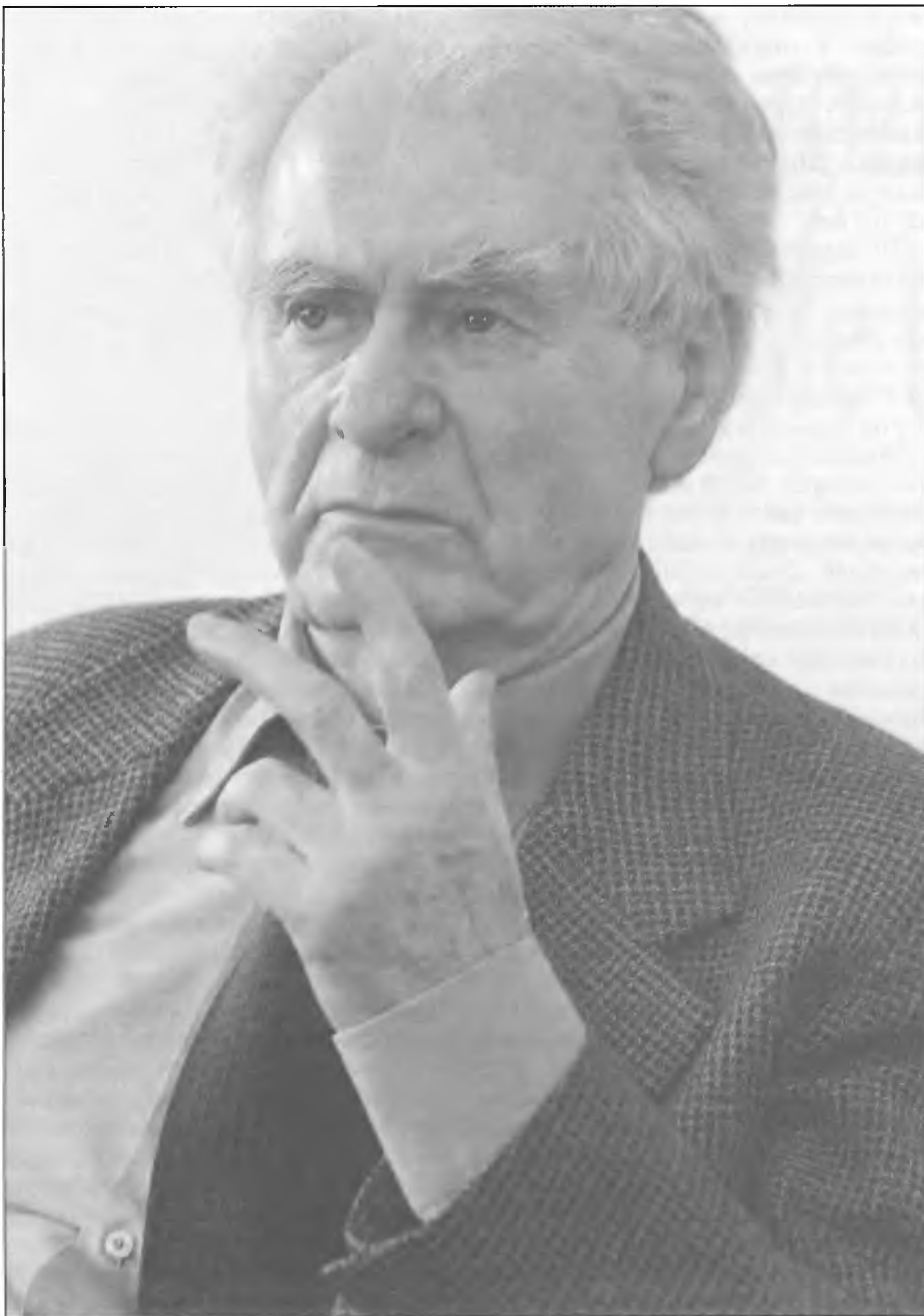
cześnie kwalifikacje zawodowe.. Gdy ukończyłam stacjonarne studia wyższe, otrzymałam nakaz pracy do dużego liceum /jedenastolatka/, mającego swą siedzibę w sanatorium dla dzieci i młodzieży. Były to lata pięćdziesiąte ub. wieku. Wiadomo jakie to były czasy. Na gwałt próbowano zlaicyzować i upartyjnić społeczeństwo. W niektórych szkołach wręcz wymuszano na nauczycielach zapisywanie się do PZPR. W mojej szkole też takie próby były. Ponieważ jednak żony dyrektorów były bezpartyjne a niektóre nawet religijne, udało mi się PZPR ominąć. Były także próby budzenia przyjaźni do ZSRR. Był nawet pewien nauczyciel, który bez porozumienia z załogą sanatorium, zgłosił ją w całości do Tow. Przyjaźni polsko-radzieckiej. Odezwały się jednak głosy oburzenia i jakoś to koło nie zaczęło działać.

Kiedyś wychowawczynie klas młodszych przybiegła do dyrektora z podręcznikiem, w którym jakiś maluch wydrapał sportretowanemu tam Stalinowi oczy. Mogła z tego wyniknąć wielka afera, lecz rozsądny Dyrektor burknął: Niech pani wyrwie tę kartkę i zniszczy!

W programie nauczania jedna lekcja w tygodniu była tak zwaną lekcją wychowawczą. Nauczyciel do pewnego czasu mógł ją prowadzić według swego uznania. Były rozstrząsane problemy wychowawcze, zdrwotne i niektóre zagadnienia związane z przygotowaniem do życia po wyjściu z sanatorium. Aż raptem w połowie lat sześćdziesiątych odgórnie narzucono program obowiązujący na lekcjach wychowawczych. Były to zagadnienia polityczne, związane z sytuacją międzynarodową, zagadnienia ideologiczne, ateizm. Dyskusja się nie kleiła, uczniowie nie wykazywali zainteresowania, czasem był to nawet cichy bojkot. Nauczyciel, też tą tematyką nieszczególnie zainteresowany, z trudem nawiązywał porozumienie z uczniami. Trochę to przypominało dawną pruską szkołę, w której wprawdzie uczniowie uczyli się niemieckiej mowy, lecz posługiwali się nią tylko w szkole, zachowując polską mowę dla domu.

Na początku moich rozważań o szkole uznałam protesty dotyczące sześciolatków za niesłuszne. Doszłam jednak w końcu do wniosku, że dobrze się stało, że nareszcie o pewnych sprawach społeczeństwo może dyskutować i decydować o swoim losie, nie tak jak w poprzednich okresach, kiedy nas próbowano germanizować, rusyfikować i pozbawiać wiary.

¹ Zygmunt J. Orlik – „Gmina Pawłowice” Szkic z dziejów – Kraków – 2001



Piszę, bo nie wiem

WIESŁAW
MYŚLIWSKI

Jej Magnificencjo,
Wysoki Senacie,
Szanowna Pani Dziekan
Wydziału Filologicznego,
Szanowne Panie
i Panowie Profesorowie,
Szanowni Państwo

DZiękuję władzom Uniwersytetu Opolskiego za obdarzenie mnie tym zaszczytnym wyróżnieniem, jakim jest doktor honoris causa, chociaż nie mogę się pozbyć

wątpliwości, czy ten uniwersytecki tytuł powinno się przyznawać pisarzom. Literatura bowiem, w moim przekonaniu, a mogę to potwierdzić własnym doświadczeniem pisarskim, rodzi się nie z wiedzy, lecz z niewiedzy. Pisarz nie musi być tytanem umysłu, erudytą, jakkolwiek w historii literatury zdarzały się i takie przypadki. A nawet nie musi mieć szczególnie bogatego doświadczenia życiowego. Spotykałem dalekich od literatury ludzi o takim bogactwie przeżyć, że doznawałem wobec nich

pokory. Doświadczenie życiowe pisarza może być skromne, nawet pospolite, nie ma to większego znaczenia. Znaczenie ma poczucie dotkliwości istnienia i wynikający stąd wewnętrzny przymus do poszukiwania odpowiedzi na pytanie, kim jest człowiek, to znaczy ja. Ja, to znaczy, kto? Z tego fundamentalnego pytania rodzą się wszystkie inne pytania o nasze relacje z otaczającym nas światem, z czasem, w którym przyszło nam żyć, z miejscem nam przypisanym.

Powiedziałem kiedyś: piszę, bo nie wiem. Literatura jest bowiem dla mnie próbą samopoznania, a tym samym świata w sobie i poprzez siebie. Próbą dramatyczną, jako że tajemnica naszego ja nie będzie nam nigdy do końca dostępna. Lecz poza tym własnym ja pisarz nie ma innej własności. Gdyby było inaczej, odpowiedni poziom wykształcenia, wiedzy byłby dostatecznym powodem, aby otrzymać metrykę pisarza. A oryginalność, ranga pisarskiego rezultatu układałaby się wprost proporcjonalnie do poziomu wykształcenia, wiedzy. Tymczasem nawet tzw. świadomość literacka, na którą składa się również wykształcenie, wiedza, okazuje się nie być pomocna pisarzowi. A wręcz stanowi niezwykle trudną do przełamania barierę w akcie twórczym jako że oznacza ni mniej, ni więcej tylko konieczność zapomnienia przynajmniej w części tego wszystkiego, co się wie o literaturze. I równać się może jedynie z barierą bezradności wobec własnej niemocy, zwłaszcza niemocy wobec słowa, jakiej doznajemy w trudzie układania słów w zdania, a zdań w opowieść. Ale również własne doświadczenie pisarskie niezbyt jest przydatne, jako że doświadczenie uczy, aby nie ufać doświadczeniu. Idealnym stanem, naturalnie niemożliwym do osiągnięcia, byłoby nic nie wiedzieć o literaturze, a nawet nie wiedzieć, że istnieje coś takiego jak literatura. Słowem pisząc, nie wiedzieć, że tworzymy literaturę. Ta nasza tęsknota do takiego dziewiczego stanu świadczy, że ryzyko podjęcia opowieści, którą chcemy przekazać innym, wymaga od nas naiwności. Owa naiwność, przynajmniej w stopniu niezbędnego minimum, jest warunkiem uprawiania literatury, wiary w jej sens.

Wspomniałem, że literatura rodzi się z niewiedzy, a więc z czego? Tomasz Mann, zastanawiając się w jednym ze swoich esejów, czym jest talent, napisał, że talent to „zdolność do posiadania losu”. Co prawda pojęcie talentu jest dla mnie dwuznaczne i nie o kwestię talentu w tej Mannowskiej definicji mi chodzi. W istocie bowiem Mann pyta, z czego rodzi się literatura i co może stanowić upoważnienie dla tego, kto chce uprawiać literaturę, i odpowiada: „zdolność do posiadania losu”. Konstatacja ta nasuwa wiele pytań. Na przykład, co Mann rozumie przez los, jeśli ma on być funkcją zdolności do jego posiadania? Dla moich uwag ważniejsze jest jednak inne pytanie, jakie należałoby zadać tej Mannowskiej definicji: cóż to jest owa „zdolność do posiadania losu” i jak ma się ona wyrażać? Tego Mann nie wyjaśnia, lecz w moim przekonaniu możliwa jest tylko jedna odpowiedź: „zdolność do posiadania losu” jest równoznaczna ze zdolnością do posiadania własnego języka, bo tylko poprzez język los się opowiada. W przeciwnym przypadku rację mieliby ci, którzy twierdzą, że wszystko zostało już powiedziane,

że wszystkie powieściowe światy różnią się co najwyżej odmiennością wersji, realiami swojego czasu, historycznym, społecznym czy obyczajowym tłem.

I rzeczywiście jeśli spojrzeć z takiego fabularnego punktu widzenia na literaturę, to można byłoby się nawet pokusić o zamknięcie każdego ludzkiego życia, zawartego w granicach między narodzinami a śmiercią, w mniejszej lub większej liczbie schematów z nadrzędnym schematem, jaki stanowią owe granice. Notabene to z takich schematów korzystają zazwyczaj wszelkie produkty literaturopodobne, dominujące w tzw. masowym obrazie literatury. Skoro jednak mówimy o literaturze, a nie o produktach masowego spożycia, mamy na myśli literaturę jako sztukę, w której słowo jest kreatorem naszego świata, konstruktorem naszego losu i jeśli można tak powiedzieć, treścią i formą w jednej osobie. Mamy na myśli literaturę, w której człowiek zyskuje wymiar niepowtarzalności. Bo przecież jest prawdą oczywistą, że każdy, kto żył, żyje lub żyć będzie na tym świecie, jest bytem niepowtarzalnym. Niepowtarzalny jest jego los i niepowtarzalny jego świat.

Powiada Ludwig Wittgenstein w swoim „Traktacie logiczno-filozoficznym”: „Jestem moim światem.” A w innym miejscu: „Cóż mnie obchodzi historia? Mój świat jest pierwszy i jedyny.” A pisał to nie myśliciel zamknięty w wieży z kości słoniowej, lecz czynny oficer armii austriackiej, waleczny i odznaczony, notujący swój dziennik – który stał się później podstawą tegoż „Traktatu” – na frontach I wojny światowej.

Nie jest to, sądzę, przypadek, że w tym samym mniej więcej czasie, kiedy Wittgenstein notuje swoje myśli, pojawiają się – niedocenieni za życia – dwaj wielcy literatury europejskiej: Marcel Proust i Franz Kafka, którzy wyznaczają nową drogę powieści, proponują nową jej wizję. W tej nowej wizji człowiek przestaje być elementem zbiorowości, historii. To zbiorowość, historia przepływają przez człowieka. Literatura coraz bardziej traci zainteresowanie opisem zewnętrznego świata, wyzbywa się złudzeń tzw. obiektywizmu, a mówiąc ściślej, świat zewnętrzny zostaje wchłonięty przez nasze ja i na tyle staje się istotny, na ile mieści się w tej jednostkowej, subiektywnej perspektywie. Niezależnie od wielu wynikających stąd dla literatury konsekwencji, można się dopatrzeć w tym przeczucia nadciągającej massmedialnej cywilizacji. Przeczucia, że w miarę rozwoju nowych wynalazków nadawczych staną się one dla literatury nie tylko konkurencją, lecz w coraz większym stopniu będą ograniczać jej przestrzeń. Tę przestrzeń, która, na przykład, jeszcze w powieści XIX wieku nie miała właściwie granic, rozciągała się na wszystkie terytoria, także wiedzy: historii, historiozofii, socjologii, psychologii itd.

Może zabrzmi to paradoksalnie, lecz moim zdaniem miało to dla literatury zbawienno skutec. Jak gdyby zmuszona została do określenia się na nowo, czym jest, czym może być i powinna w tej skurczonej i kurczącej się wciąż przestrzeni, aby nie stracić swojej racji, tym bardziej że jej to wrócono, a nawet dzisiaj się jeszcze nieraz wróży, czego objawem jest chociażby ogłaszanie od czasu do czasu jej kryzysu. I literatura określiła tę swoją przestrzeń, właśnie jako sztukę słowa. Nie słowa jako takiego, bo

Uroczystość nadania doktoratów Honoris Causa Uniwersytetu Opolskiego Wiesławowi Myśliwskiemu i profesorowi Henrykowi Samsonowiczowi

W jubileuszowej oprawie

Społeczność akademicka Uniwersytetu Opolskiego świętowała jubileusz 15. rocznicy powołania Uniwersytetu Opolskiego oraz 55. rocznicy powstania Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

Opolska uczelnia powstała 10 marca 1994 roku z połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Powstańców Śląskich i opolskiej Filii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Powrót do modelu klasycznego Uniwersytetu z wydziałem teologii (na świeckiej uczelni) możliwy był dzięki zabiegom liderów wielu opolskich środowisk, na czele z ks. arcybiskupem Alfonssem Nossolem oraz po akceptacji przez papieża Jana Pawła II.

Uniwersytet Opolski był pierwszym powołanym w Polsce po przemianach w 1989 roku. Jego powstanie wyzwoliło w środowisku akademickim Opola dodatkowe ambicje, przyczyniając się do rozwoju szkolnictwa wyższego na Śląsku Opolskim.

Dotychczas Uniwersytet Opolski, a wcześniej WSP, ukończyło około 80 tys. absolwentów, wśród których są wybitni polscy uczeni, intelektualiści, pisarze, poeci, dziennikarze, reporterzy, politycy w randze ministrów, posłów, senatorów, wojewodów oraz tysiące dyrektorów przedszkoli, szkół podstawowych, gimnazjów i liceów.

Jednym z nurtów, w 15-letniej historii wielokierunkowej działalności Uniwersytetu jest Złota Seria Wykładów Otwartych – forum, na którym swoje osobowości i osiągnięcia naukowe, społeczne oraz artystyczne prezentują wybitni polscy i europejscy intelektualiści, uczeni, politycy i artyści.

Kulminacją obchodów 15-lecia Alma Mater Opoliensis, była uroczystość nadania tytułów doktora honoris causa – wybitnemu pisarzowi, dwukrotnemu laureatowi nagrody literackiej Nike Wiesławowi Myśliwskiemu i znakomitemu historykowi, prof. Henrykowi Samsonowiczowi, która odbyła się 10 marca br. w auli Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego, uświetniona obecnością wielu znakomitości życia społeczno-kulturalnego i naukowego oraz koncertem chóru akademickiego „Dramma per Musica” UO pod dyrekcją Elżbiety Tylnik.

Uniwersytet Opolski przyznaje tytuły doktora honoris causa UO od 1995 r. wybitnym osobistościom w dowód uznania zasług dla rozwoju nauki i kultury, współpracy międzynarodowej i akademickiej. Senat Uniwersytetu Opolskiego w latach 1995 – 2009 przyznał 31 tytułów. Najwyższym laurem akademickim zostali uhonorowani m. in.: ks. abp Alfons Nossol (1995), Kazimierz Kutz (1997), Stanisław Lem (1997), Ryszard Kaczorowski (1998), Wojciech Kilar (1999), Tadeusz Różewicz (1999), Adam Hanuszkiewicz (2001), Wojciech Wrzesiński (2001), J. Em. kard. Miloslav Vlk (2002), Zbigniew Religa (2002), papież Jan Paweł II (2004), Jan Miodek (2006), Jerzy Janicki (2006), Hans – Gert Pöttering (2007), J. Em. kard. Walter Kasper (2007), Dorota Simonides (2008), Władysław Bartoszewski (2008).

JANUSZ WÓJCIK

tym była zawsze, lecz słowa jednostki – podmiotu świata i podmiotu poznania. Niezależnie bowiem od tego, że jako społeczność, lud czy naród mówimy tym samym językiem, każdy człowiek ma własny język. Toteż siebie samego jest w stanie tylko on opowiedzieć. Jeśli nawet kreuje, mistyfikuje, prowadzi grę z pamięcią, opowiada zawsze jedyną możliwą prawdę o sobie, i nikt inny nie jest w stanie za niego tej jego prawdy opowiedzieć. Innym pozostaje tylko osąd. W opowieści świat jest zawsze mój, twój, jego i każdego człowieka z osobna.

A tak na marginesie – cała literatura świata jest opowiedziana w pierwszej osobie i nie może być inaczej, bo taka jest natura opowieści. Narracje w drugiej czy trzeciej osobie są jedynie teoretycznymi rozróżnieniami. W istocie rzecz polega na tym, czy opowiadający występuje na scenie jako bohater pierwszo-, drugo- lub dziesięcioplanowy; czy opowiada z ukrycia. Ale i w tym przypadku da się go odkryć poprzez opowiadany świat i język.

Język nie jest tylko narzędziem opowieści, jak niektórzy sądzą, jest jej budulcem. To, jak się opowiada, jest tym, co się opowiada. Niejednokrotnie z banału, z pospolitości i powszedniości, z lokalności i drobniactw język potrafi zrobić rzeczy uniwersalne i przejmujące, jeśli wypływa z poczucia dotkliwosti istnienia człowieka. Komunikacyjna funkcja języka jest tylko jedną z jego funkcji. Cytowany już Ludwig Wittgenstein, który uczynił z języka priorytet wszelkiego poznania, napisał: „Język stanowi część organizmu ludzkiego i jest nie mniej niż on skomplikowany.”

Moje pisarstwo zawdzięcza najbardziej owocne doświadczenie z językiem kulturze chłopskiej, której już nie ma, a która uformowała jeszcze mój pierwszy świat. Dużo, dużo później, kiedy redagowałem kwartalnik „Regiony”, prawdopodobnie to moje doświadczenie z dzieciństwa przeniosłem na zainteresowania kulturą chłopską już umarłą. Jak wiadomo, była to kultura mowy, nie pisma. Nietrudno sobie wyobrazić jak szerokie spektrum znaczeń i funkcji może mieć słowo w kulturze mowy. A może trudno, jako że wychowani jesteśmy w piśmie i coraz częściej też mówimy piśmem. Najkrócej: w kulturze chłopskiej słowo służyło nie tylko do porozumiewania się, słowo miało moc sprawczą, zaklinało nieszczęścia, nawet z przestróg, snów i wyobrażeń ustanawiało rzeczywistość, oblaśkawiało śmierć. Człowiek był wolny od wszelkich kanonów i konwencji, jakie są znamieniem pisma. Był twórcą i panem swojego języka.

I to mowa jest przestrzenią mojego pisarstwa, z niej czerpie inwencję mój język, moja wyobraźnia, moje widzenie ludzkiego losu. Jakkolwiek żadna opowieść pisana nie jest i nie może być reprodukcją mowy. Sztuka jest sztucznością, dotyczy to również sztuki słowa. Niemniej jednak tę sztuczność staram się tworzyć z ducha wolności mowy. Bo wolnym prawdziwym językiem jest żywa ludzka mowa. Toteż jeżeli człowiek nie zatrać zdolności do posiadania własnej mowy, a tym samym jego wyobraźnia nie podda się procesom unifikacji, to i literatura będzie godnie służyć człowiekowi.

ARS POETICA

Poezja to jest gest
z jakim Norwid wyjmuję z kieszonki zegarek
zastawiony w lombardzie

Poezja to jest jedyny pasażer
słynnego pociągu
jadącego z punktu A do punktu B

Poezja to jest to co pies
nosi w sercu

NIE TAK DAWNO

Nie tak dawno pamiętałem
jak głęboki jest rów mariański
i raptem nie wiem;
w moim mózgu coś umiera,
to ja umieram w moim mózgu,
nie wszystek od razu,
nie cały,
po kolei.

Germanie mówią: śmierć jest mężczyzną,
der Tod, des Schlafes Bruder,
bo kto widział babę z kosą:
Po polsku śmierć nie może być bratem,
o czym przekonał się mistrz Polikarp,
albowiem jest przyrodzenia niewieściego;
w mojej ojczyźnie śmierć jest siostrą snu.

Moja śmierć jeszcze śpi,
jakby sama trochę umarła.
Jeszcze sobie tego nie mówimy,
ale od roku dwóch patrzymy na siebie,
udając że patrzymy gdzie indziej.

Mój mózg czuje, że mam do niego pretensję,
widzę po jego skurczach jak bardzo jest zmieszany;
jeszcze sobie tego nie mówimy,
ale on wie, że umiera,
nie wszystek,
nie cały,
nie od razu.



Rys. Wojtek Łuka

NIE OBCHODZI MNIE

Nie ponaglam, ani nie zwlekam.
Sándor Márai

Rozumiem, co mówi do mnie odkurzacz,
ale nie rozumiem Elizabeth, a jeszcze w nocy,
nim wpadłem w wykopany płytko dół snu,
czytałem na głos po angielsku przez lupę
Etykę Spinozy i rozumiałem, co czytam.

Już wiem, że to zrobię.
o świcie, którego nie odróżniam od wieczoru,
ale wiem, że ten ptak, którego nigdy nie widziałem,
a znam go tylko ze słyszenia, odzywa się o świcie.

Co może chcieć ode mnie ta Murzynka?

Nie umiem się skupić na niczym,
boję się, że nie potrafię skupić się na własnej śmierci.

Mam swoją tajemnicę:

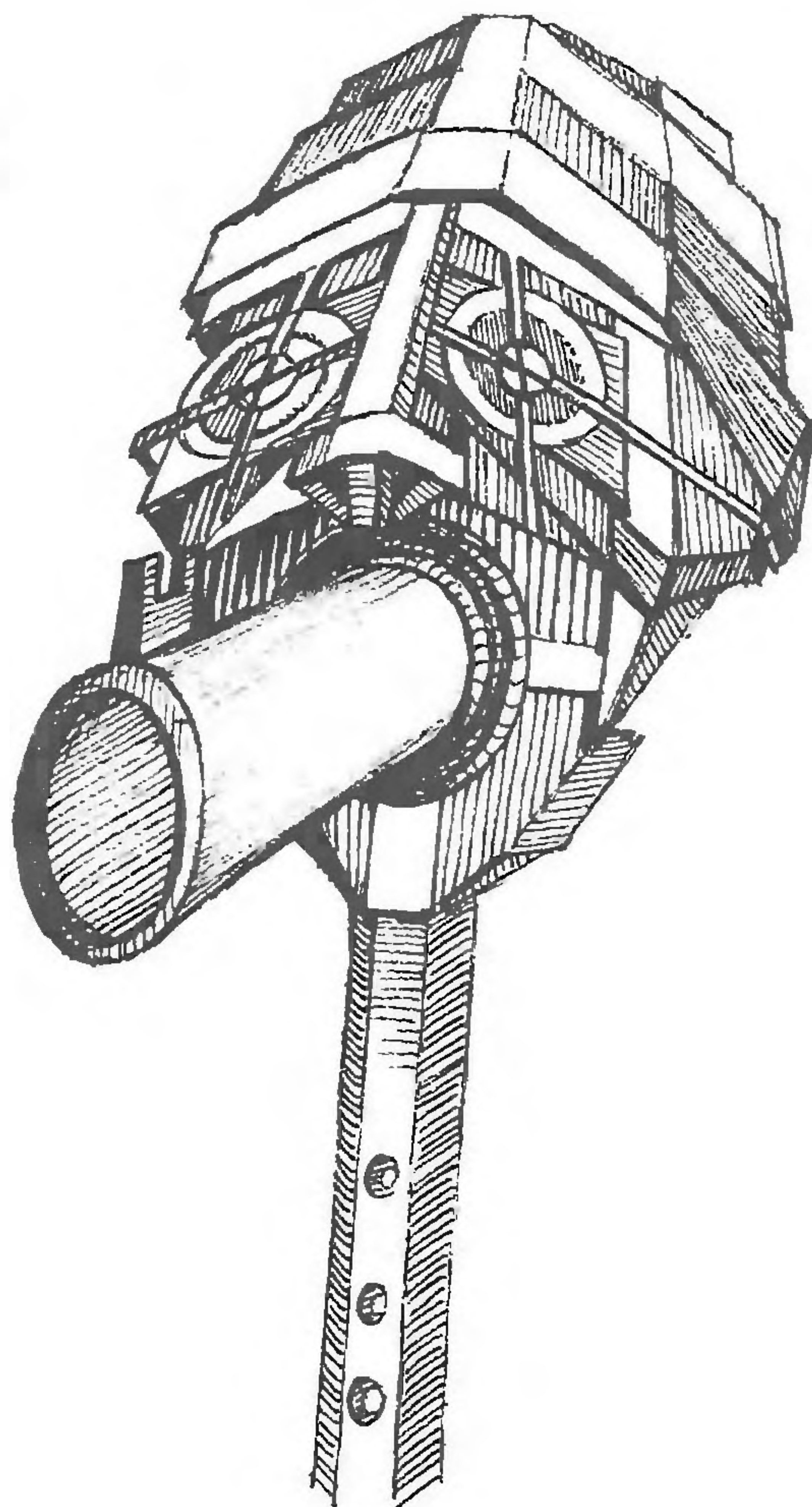
- dwanaście sonetów manhattańskich
w różowej teczce przepasanej zieloną gumką;
- poduszeczkę w czarnej aksamitowej poszewce z wyszytym
przez matkę zdobieniem mojego imienia: Sanyika, którą
podłożę sobie pod głowę, żeby mózg nie obryzgał ściany –
minimum schludności obowiązuje także po śmierci;
- okrętową skrzynię, coś w rodzaju przewoźnej trumny,
w której trzymam tak zwane dzieło mojego życia:
milion liter, albo milion milionów liter,
które napisała moja prawa ręka.

I co ty na to, moja prawa ręko?
Czy słyszysz jak się rozpadasz?
Czy wiesz, że razem z tobą rozpada się milion,
albo milion milionów liter,
bo nie jest tak, że umiera tylko ta ręka, która pisze!

Nie znam historii tego miejsca gdzie pustynia
spotyka się z oceanem. Nie dotyczy mnie
ten jegomość w granitowym surducie
z kamiennym kapeluszem w ręce. Nie obchodzi mnie.
Nie znam tego miasta bez cmentarzy, gdzie prochy
po spalonych ciałach wsypuje się do oceanu,
a w święto zmarłych zjeżdżają rodziny na plażę
i w milczeniu wpatrują się w duchy biegnące po fali.

Jeśli tu kogoś znam to tego człowieka,
którego ptak obudził o świcie,
który czeka aż Elizabeth wyłączy odkurzacz
i gderając wyjdzie raz na zawsze z jego życia,
którego mam zastrzelić strzałem w podniebienie,
strzał w podniebienie daje sto procent pewności,
naturalnie, jest to pewność teoretyczna,
bo nawet słynny anestezjolog Vilmos Csernohorszky
zauważył, że lekkie drgnięcie ręki może uszkodzić mózg,
nie zabijając, ale przecież „Mistrz nie myśli o sobie?!”

Nie ponaglam, ani nie zwlekam.



Rys. Wojtek Łuka

FELIKS NETZ

ZA MAŁO GŁÓW

Rys. Wojtek Łuka

Golonka dymiła jak rozbudzony wulkan
na dębowym biurku rektora wiedeńskiej
Kunstakademie, z białą jak łabędź chustką

pod owalną wygoloną szczęką, z musującą
śliną na końcu wysuniętego języka; olbrzymie
niemowlę pomyślał kandydat na artystę

Za mało głów powiedziało olbrzymie niemowlę
z żalem odsuwając na bok parujące mięso
aby zrobić miejsce dla szkiców piórkiem

i akwarel kandydata na artystę; *za mało głów!*
„A czy psie głowy się nie liczą?” – spytał kandydat
na artystę ledwie słysząc własny głos.

„A owszem” odrzekło szybko olbrzymie niemowlę,
pożądliwie zerkając na kawałek martwej świni,
lepiej panu wyszły, niż głowy kobiet. a osobliwie

„oczy psów! Mają, przyznasz pan, jakiś smęt”,
rzekło olbrzymie niemowlę w stylu epoki, „za to
oczy kobiet są jak dziurawe garnki, nie są

bramami duszy, panie...” – tu kandydat na artystę
blady jak kupka tartego chrzanu obok golonki,
z gardłem suchym jak wiór, rzekł coś niewyraźnie;

„Wie, bitte?!” – Dłoń zwiniętą w trąbkę olbrzymie
niemowlę przytknęło do różowego ucha z kępką
wyłazającej zeń ryżawej szczeciny, lecz kandydat

na artystę zignorował to pytanie, bezczelne
i poniżające, bo prace były podpisane imieniem
i nazwiskiem, lecz po chwili rzekł: „Adolf Hitler”

„Also, Herr Hitler, nieźle rysujesz pan budowle
popróbuj pan zapisać się na politechnikę,
może będzie z pana architekt, aber der Maler – nein”!

Kandydat na artystę spuścił głowę kosmyk czarnych
włosów opadł mu na czoło zasłaniając lewą
połowę – „das ist alles” – przyjął te słowa jak wyrok

śmierci niemożliwy do odwołania stał przed olbrzymim
niemowlęciem które pożądliwie zerkąło na golonkę
w końcu westchnęło jak to niemowlę i rzekło:

„wissen Sie was? Wpiszę pana na listę studentów
panie Hitler bo ani pan jesteś gorszy ani lepszy od
innych, ale też coś mi mówi, że gdybym pana nie

przyjął, pan byłbyś gotów podpalić świat! olbrzymie
niemowlę zadławiło się śmiechem, „a teraz pozwolisz pan
że pożegnam go i dokończę przepyszną golonkę...”

Adolf Hitler stał jeszcze chwilę, z rozjątrzonym okiem,
ręce – jedna na drugiej – przycisnął do krocza, jakby
zawstydzony chciał zasłonić nagie przyrodzenie.

Rys. Wojtek Łuka

ZBIGNIEW CYBULSKI GRA W KATOWICACH

Rys. Wojtek Łuka

kapelusz pełen deszczu, tytuł intryguje
co ma znaczyć, nie wiem, może: tyle, co nic
mam ciemne okulary spodnie udają džinsy
za tydzień matura albo za rok nie pamiętam

ze zgrzytem powoli unosiła się żelazna kurtyna

na stadionie ruchu chorzów gerard cieślik
strzelił ruskim dwa gole Pan Bóg
rozpiął nad Polską białą czerwoną tęczę
marek hłasko pierwszy zrobił krok w chmury
„gorejąc nie wiesz, czy stawasz się wolny”
ostrzegał norwid w filmie popiół i diament

żelazna kurtyna zawisła nad sceną
gotowa każdej chwili runąć w dół
jak ostrze gilotyny

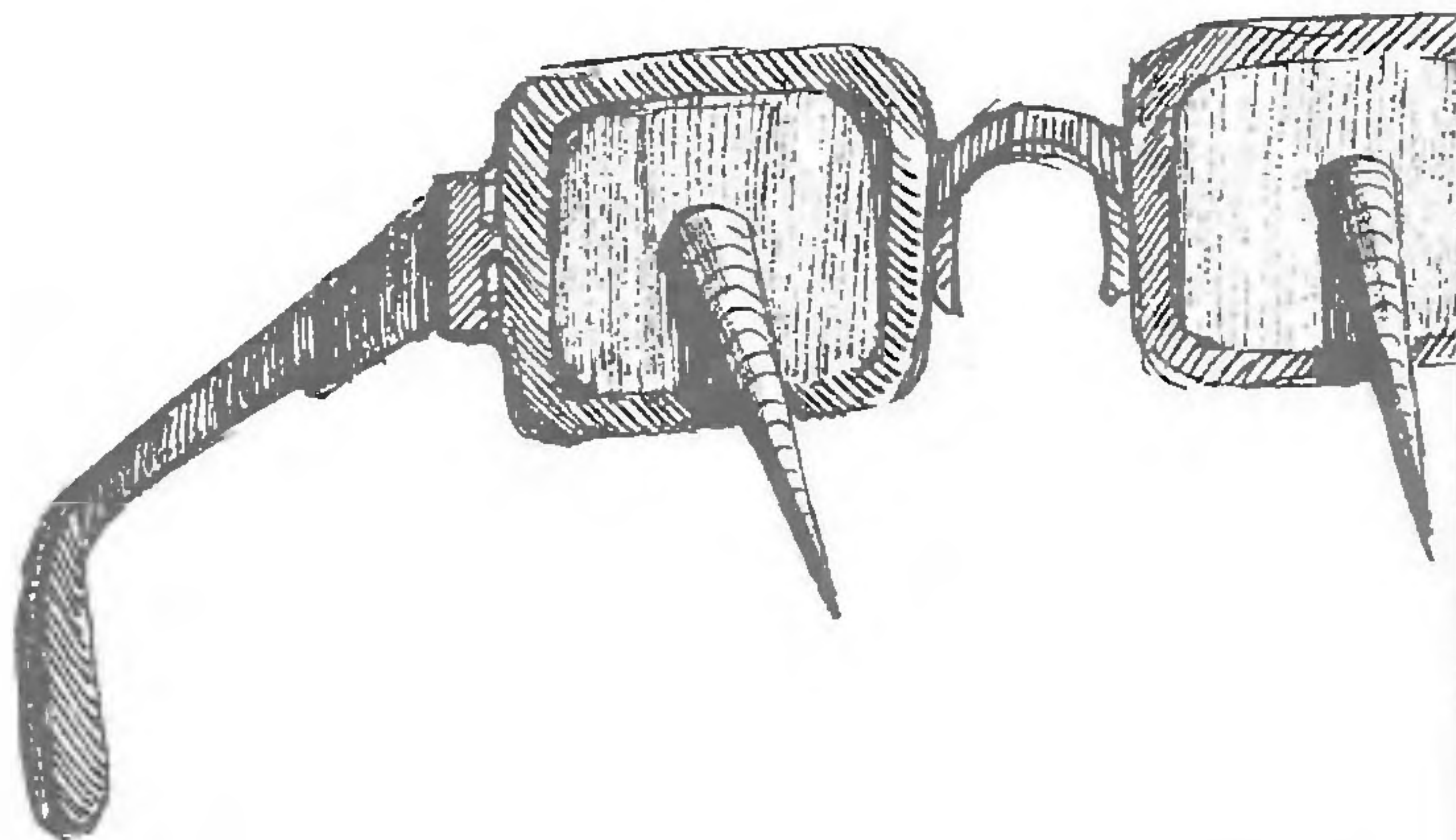
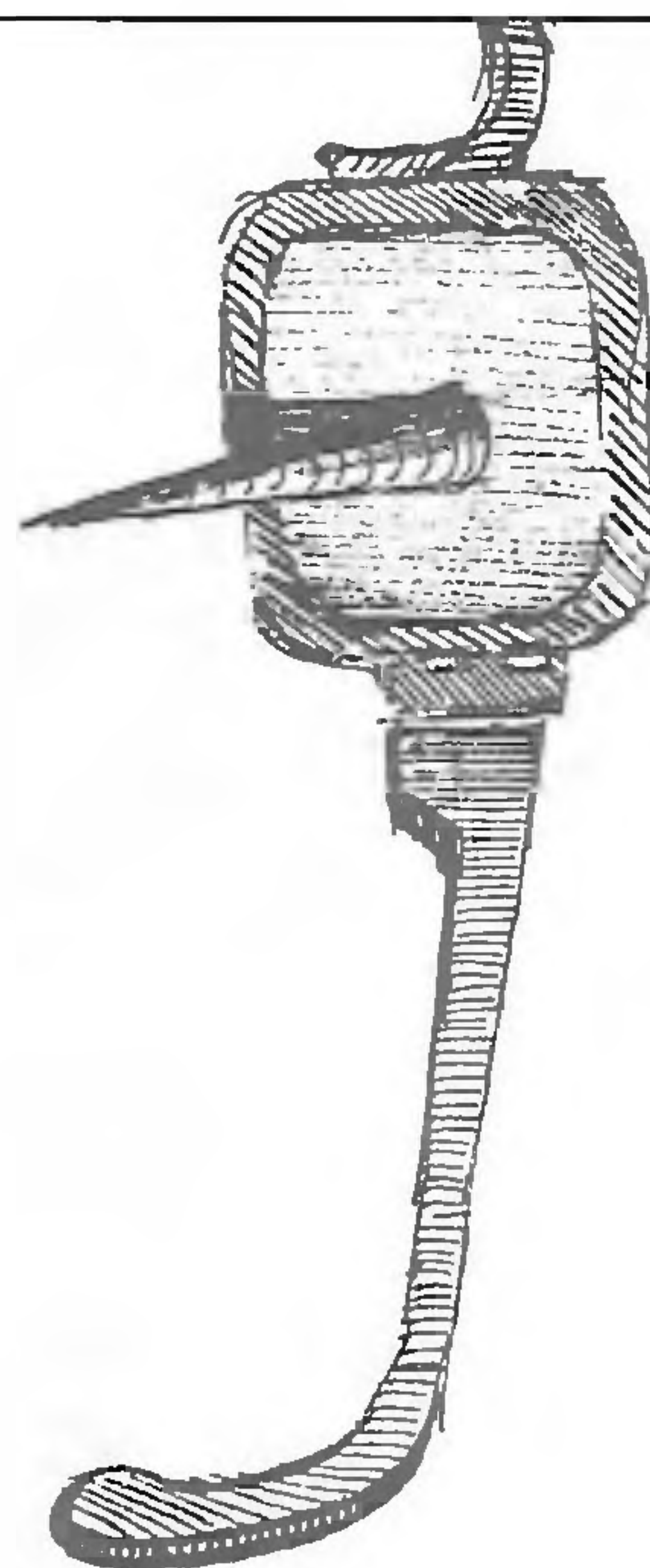
w teatrze pałacu młodzieży imienia
bolesława bieruta rzuca się ciska
miota nie bohater sztuki kapelusz
pełen deszczu i nie zbigniew cybulski
ale maciek chełmicki w džinsach
i ciemnych okularach

dowlókł się resztką sił
z wysypiska śmieci

podkulił nogi
wygląda jak embrion
który chce wrócić do łóżyska
matki-polki.

OSTATNIA WOLA

Życzę wam moje kości, aby rozwłoczyły was
głodne, bezpańskie psy, bo tego, co pies zakopie,
człowiek nie odnajdzie.



Rys. Wojtek Łuka

FELIKS NETZ

Nie ma dzisiaj w Polsce aktora, który miałby w swym dorobku tak bogaty i zróżnicowany, poniekąd „wewnętrznie sprzeczny” dorobek

Foto: Janusz Szewczyk



Janusz Gajos: „Pamiętam, jak zazdrościliśmy studentom, którzy w sobotę przyjeżdżali na będzin-
ski dworzec... Na szczęście trafiłem do Teatru Dzieci Zagłębia i traktowałem to jako etap do mojego
celu”.

Janusz Gajos.

KRZYSZTOF
KARWAT

Szkic do portretu

Urodził się 23 września 1939 roku w Dąbrowie Górniczej. W roku 1950 wraz z rodzicami przeprowadził się do pobliskiego Będzina. W tym mieście ukończył podstawówkę i III Liceum Ogólnokształcące noszące dziś imię Cypriana Kamila Norwida. Tutaj, na szkolnej scenie, wystąpił w inscenizacji *Pana Tadeusza*. Wtedy poczuł, że chce być aktorem.

Ale droga wiodąca do tego celu okazała się wyboista. Dziś trudno w to uwierzyć: Janusz Gajos bez powodzenia kilkakrotnie próbował dostać się do szkół aktorskich. Dopiero w roku 1961, po odbyciu służby wojskowej, został studentem łódzkiej filmówki. I wtedy wyjechał z rodzinnego Zagłębia.

Zawodową karierę rozpoczął jednak wcześniej. Był adeptem w będzin-
skim Teatrze Dzieci Zagłębia. W dokumentach kadrowych odnotowano, że został zatrudniony 1 września 1957 roku w „zespole artystycznym pomocniczym”. Pracę w Będzinie zakończył 14 października 1959 roku. Zachowała się ad-

notacja, że w tym czasie Janusz Gajos otrzymał „powołanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej”.

Nauczyciel Dorman

„**B**ędzin wraca do mnie w różnych momentach – mówił Gajos w wywiadzie dla „Dziennika Zachodniego” w grudniu 2005 roku, po uroczystości nadania mu godności Honorowego Obywatela Będzina. – Jest jednak rzeczą trudną opowiedzieć bez banałów, że tu, w tym miejscu rodziły się moje marzenia, którym towarzyszył strach, czy uda się je spełnić. Wspomnień z tym miastem, poza teatrem oczywiście, mam bardzo wiele. Na przykład deptak na ulicy Kołłątaja, po którym często maszerowaliśmy z kolegami, już po maturze, kiedy nie dostaliśmy się na studia. To był taki trochę marsz donikąd. Pamiętam też, jak zazdrościliśmy studentom, którzy w sobotę przyjeżdżali na będzin-
ski dworzec... Na szczęście trafiłem do Teatru Dzieci Zagłębia i traktowałem to jako etap do mojego celu. Jego dyrektor Jan Dorman wiele nas nauczył. Przede wszystkim abstrakcyjnego myślenia. Pamiętam, jak wieszał pieluszki i kazał nam myśleć, co mogą symbolizować”.

Różne biografie aktora pomijają będzin-
ski epizod, co raczej nie jest uzasadnione, bo nie wiadomo, jak potoczyłaby się jego kariera, gdyby nie krótki okres terminowania u Jana Dormana. Wprawdzie niewiele śladów zachowało się sprzed półwiecza, to jednak w archiwum Teatru Dzieci Zagłębia odnajdujemy choćby taką oto notatkę, sporządzoną w maju 1958 roku, a zamieszczoną w okolicznościowej publikacji z roku 1975: „Kol. Janina Dorman prowadzi próbę *Kolorowe piosenki* z udziałem: Riedel, Bulski, Gajos, Sitko, Michaluk, Dormanowa, Krasowiak”. W tym jubileuszowym druku więcej razy nazwisko Gajosa już się nie pojawia, bo musimy pamiętać, że w owym czasie przyszły aktor nie miał nawet 20 lat i był tylko adeptem, chyba jeszcze nie zdradzającym skali swego nadzwyczajnego talentu.

Podobnie pomija się malutkie epizody, jakie zdarzało się grywać studentowi Gajosowi w polskim filmach (Wydział Aktorski PWSTiF w Łodzi ukończył w roku 1965,

dypłom uzyskał w roku 1972). Jego oficjalną filmografię otwiera dopiero obraz Janusza Wejcherta pt. *Obok prawdy* z roku 1964, w którym Gajos zagrał młodego, przybyłego ze wsi robotnika, sprawcę kopalnianego wypadku (notabene, zdjęcia kręcono m.in. na Górnym Śląsku, w Chorzowie). Ta rola zadaje kłam niemal powszechnemu przekonaniu, że w filmie Gajos debiutował dopiero jako słynny Janek Kos w serialu *Czterej pancerni i pies* (w rzeczywistości – nie był to nawet jego debiut telewizyjny, bo rok wcześniej wystąpił w epizodzie w jednym z odcinków serialu *Kapitan Sowa na tropie*). Przed Kosem zagrał jeszcze parę innych epizodów – w *Barierze* Jerzego Skolimowskiego oraz *Panience z okienka* i *Biczu Bożym* Marii Kaniewskiej. Niemniej rzeczywiście dopiero główna rola w serialu Konrada Nałęckiego przyniosła mu wielki sukces, uznanie i niebywałą sympatię milionów przede wszystkim młodych Polaków.

Fenomen *Czterech pancernych...* jest trudny do przecenienia, ale i ocenienia. Nawet późniejsze zarzuty, w dużym stopniu zasadne, że serial ten niósł pod atrakcyjnym płaszczykiem młodzieńczej przygody sporą dawkę propagandy i przede wszystkim upraszczał obraz II wojny światowej, nie zmieniły prawdy podstawowej – te filmy wykreowały pełnokrwistych bohaterów, z którymi można się było identyfikować. Wielka w tym zasługa przede wszystkim właśnie Janusza Gajosa, który połączył w postaci Janka Kosa młodzieńczą czupurność z bezwiednym, pozbawionym patosu bohaterstwem, a tony komediowe umiejętnie stopił z delikatnymi nutami romantyczno-sentymentalnymi. Naturalność, wdzięk i ujmująca prostota – oto cechy, za które miliony pokochały Gajosa-Kosa.

Nie Kordian, a Turecki

Ale przecież ta rola na długie lata zamknęła aktora w „szufladzie”, z której w pewnym momencie – zdawało się – nie było już wyjścia. Warto uświadomić sobie, że *Czterech pancernych* produkowano „na raty”. Ostatnie odcinki powstały dopiero w roku 1970, czte-

ry lata po premierze pierwszego. Okres hibernacji, pewnego zamknięcia w „pancernym getcie”, trwał więc dość długo, bo wiązał się też z licznymi podróżami po kraju, dziś rzeklibyśmy – promocyjnymi. Wprawdzie w tamtych latach angażowano Gajosa do kolejnych obrazów, nieraz powierzając mu role mundurowych, ale były to role albo nieistotne, albo drugoplanowe, albo drugorzędne okazywały się same filmy. W każdym razie Janusz Gajos nie miał szczęścia. Nie trafił do żadnego głośnego filmu z lat 60. czy nawet 70., wyłączywszy końcówkę tej drugiej dekady, kiedy to włączył się w nurt „kina moralnego niepokoju”, sporadycznie występował w filmach Andrzeja Wajdy (np. w *Dyrygencie*) i otrzymał główną nagrodę aktorską na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku (w roku 1977 za rolę Józefa Mikuły w filmie *Milioner* w reżyserii Sylwestra Szyszki). Także jednak wtedy Janusz Gajos pozostawał niemal wzorcowym przykładem aktora, którego wykończył telewizyjny sukces jednej roli. Notabene, roli ciągle przywoływanej w niezliczonej ilości powtórek. O tym, że Janusz Gajos zamknął się (czy raczej: został zamknięty) w swoistej złotej klatce, pułapce jednego sukcesu, dyskutowało się niemal powszechnie i potocznie. Zresztą tak jest do dziś, tyle tylko, że obecnie przywołuje się ten przykład jako zwycięską i rzadką umiejętność przełamania stereotypu, zrobienia czegoś nowego i ważnego na przekór wszystkim i wszystkiemu. Jest więc niejako odwrotnie niż przed laty. Postać Janka Kosa przywoływana jest przez krytyków i dziennikarzy właściwie w każdym wywiadzie z aktorem. Ale teraz po to, by stanowić rodzaj tła, od którego aktor skutecznie się odbił. Swoją drogą, dla niego samego temat ten musi być już ograny jak najbardziej zdarła płyta. Ale kiedyś nie mógł takim być. Był raczej nieprzyjemny. Po latach Gajos przyznawał: „Dostawałem tylko mało ważne propozycje. Przeżywałem to bardzo boleśnie. Myślałem, że będę grywał Kordianów, a tymczasem to wszystko przepadło”.

Kordianów rzeczywiście nie grywał, ale w teatrach pracował (na scenie dramatycznej debiutował w roku 1964, aż do końca dekady etatowo związany był z Teatrem im. Jaracza w Łodzi) i jednak od czasu

do czasu powierzano mu poważniejsze zadania aktorskie. W końcu jednak wyjechał do Warszawy, gdzie przez wiele lat związany był z Komedią i Syreną, a przede wszystkim z Kwadratem, grając w wielu komediach i farsach reżyserowanych przez Edwarda Dziwońskiego. Zaczął też pojawiać się w jego spektaklach telewizyjnych, odkrywając przed coraz bardziej zaskoczoną publicznością swe ogromne możliwości komediowe (np. w *Oskarze* Claude’a Magniera). „To jest Janek? Chyba tylko podobny?” – takie pytania pojawiały w niejednym polskim domu. No, bo rzeczywiście – dojrzały już Janusz Gajos także zewnętrznie przestał przypominać sympatycznego, szczupłego blondyna o wiecznie chłopięcym wyglądzie. Poważnym sygnałem pokazującym zmianę kierunku i totalne odwrócenie utrwalonego emploi była kapitalna rola Antka, brata Magdy Karwowskiej, w dziewiątym odcinku kultowego *40-latka* Jerzego Gruzy. Gajos z wigorem i dynamiką ukazał lekko skarykaturowanego badylarza, jak się wtedy mówiło, który przyjechał do stolicy zamienić pieniądze zarobione z hodowli królików na zagraniczny samochód. Antek, jowialny i bezceremonialny, obrazował typ małomiasteczkowego dorobkiewicza, któremu słoma z butów wyłazi. Stąd był już tylko krok do postaci woźnego Tureckiego z telewizyjnego *Kabaretu* Olgi Lipińskiej. Ta rola, pomysłana jako drugoplanowa, urosła niemal do rangi symbolu epoki „późnego Gierka”. Pewny siebie, chamowaty, na swój sposób cwany, niechlujny i z petem przylepionym do warg stał się Turecki klasycznym przykładem „klasy pracującej i rządzącej”, więc mogącej wpływać nawet na decyzje dyrektorskie.

Wraz z pojawieniem się Tureckiego, bezpotomnie „umarł Janek Kos”. Odtąd *Pancernych...* można było powtarzać choćby co roku. Już było wiadomo – Gajos to „ktoś inny”. Zarchetypizowana postać Tureckiego znowu przydała karierze Gajosa nowego blasku. Nawet mniej wyrobieni telewidzowie mieli świadomość, że trzeba być niezwykłym aktorem, by przejść taką ewolucję. Ba, Gajos tak świetnie rozwinął swe komediowe talenty, że ponownie pojawiło się niebezpieczeństwo, że nikt go już nie będzie chciał zatrudniać (ani oglądać) w produkcjach „poważnych”.

Kolejny okres kwarantanny był jednak tym razem znacznie krótszy. W Polsce dokonywały się wielkie przemiany społeczno-polityczne. Teatr i kino próbowały oddać rytm i temperaturę tych wielkich procesów dziejowych. Pojawiło się kilka znaczących filmów, choć niektóre z nich musiały poleżakować na „półkach”.

Przełomowe filmy

Przynajmniej w dwóch z nich pojawił się Janusz Gajos. To były świetne role w bardzo dobrych filmach. Prawdziwy moment przełomu w karierze aktora. Mowa przede wszystkim o roli Michała Szmańdy w *Wahadelku* Filipa Bajona (kolejna główna nagroda aktorska na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych) i bezwzględного majora „Kąpielowego” w *Przestłuchaniu* Ryszarda Bugajskiego. Tą drugą rolę Gajos jakby zdarł podejrzenie, że zawsze będzie obsadzany tylko w filmach politycznie „słusznych”. Ona niejako odblokowała go. Zresztą wyznaczyła także inną, szerszą i wieloletnią perspektywę. Odtąd re-

żyserzy różnych generacji i uprawiający różne gatunki filmowe chętnie będą obsadzali Gajosa w rolach rozmaitych dygnitarzy, cenzorów i podejrzanych moralnie aparatczyków. Przywołajmy choćby tylko kilka z nich: towarzysz Winnicki w serialu *Alternatywy 4* Stanisława Barei, redaktor Winiecki w *Idolu* Feliksa Falka, sędzia Laguna w *Piłkarskim pokerze* Janusza Zaorskiego czy cenzor Rabkiewicz w *Ucieczce z kina „Wolność”* Wojciecha Marczewskiego. Gajos okazał się mistrzem w kreowaniu postaci etycznie podejrzanych, prześląkniętych cynizmem, niekiedy sporą dawką swoistej autoironii, dystansu do siebie, ale i otaczającej nas rzeczywistości. Istota zła, by tak rzec, w jego wykonaniu przybiera zawsze niejednorodną barwę. Przez różne gatunki i różne filmy aktor niesie zaskakujące i trochę nieprzyjemne przesłanie, że oto świat, w którym żyjemy, ciągle poddawany jest nieudanej próbie wierności jakimś zasadom; o ileż łatwiej ulec moralnemu mataczeniu, wygodzie, podejrzanym interesom i dwuznacznym kompromisom.

Te role i te obrazy pozwoliły później Gajosowi wystąpić w kolejnych produkcjach telewizyjnych i filmo-

wych, w których grał wyrachowanych gangsterów i przestępców. Nigdy jednak już nie pozwolił się zamknąć w kolejnej „szufladce”, mimo że tak sugestywnie zagrał na przykład byłego ubeka „Siwego” w *Psach* Władysława Pasikowskiego czy mafiosa Jana Tuwarę w kolejnych seriach *Ekstradycji* w reżyserii Wojciecha Wójcika. Bo też w latach 90. i obecnej dekadzie Janusz Gajos miał okazję do twórczego płodozmianu, by przypomnieć jedynie jego znakomite doświadczenia w filmach Krzysztofa Kieślowskiego (np. w *Trzy kolory: Białe*). Mówimy już o czasach, gdy o tego aktora upominali się „wszyscy” polscy reżyserzy. Mówimy o czasach, gdy bywało, że Gajos właściwie jednoosobowo decydował o powodzeniu filmu (to przypadek filmu Jacka Bromskiego *To ja, złodziej*).

Genialny Odon von Horvath

Koleje aktorskiego losu są w przypadku Janusza Gajosa zaskakujące i pouczające. To niebawem zakręty i zakosy, z których

Foto: Janusz Szewczyk



Janusz Gajos w „Nartach Ojca Świętego” Jerzego Pilcha (Scena przy Wierzbowej warszawskiego Teatru Narodowego).

artysta nie pozwolił się wypchnąć, mimo że nie zawsze sprzyjało mu szczęście i tzw. okoliczności zewnętrzne. Ilekroć jednak pojawiała się szansa, by dotknąć „nowego”, potrafił to zrobić i wykorzystać. Stąd tak łatwo wskazać w jego przebogatej karierze punkty przełomowe i nadzwyczajnie znaczące. Bez wątpienia jeden z przełomów nastąpił wraz z serią spektakli telewizyjnych zrealizowanych przez Kazimierza Kutza pod koniec lat 80. i na początku 90. minionego stulecia. Mowa przede wszystkim o genialnej roli Odon von Horvatha w *Opowieściach z Hollywoodu* Christophera Hamptona (aktor nadzwyczajnie „kaleczył” język, pokazując, że jego bohater słabo zna angielski), Podsiekalnikowa w *Samobójcy* Nikołaja Erdmana i Jana Sebastiana Bacha w *Kolacji na cztery ręce* Paula Barza. Wprawdzie Gajos w następnych latach zagrał wiele niezapomnianych ról w teatrze telewizji (np. tytułową w *Bigda idzie* Juliusza Kadena-Bandrowskiego w reżyserii Andrzeja Wajdy), to jednak właśnie kreacje w spektaklach Kutza określiły jego wprost nieograniczone możliwości. Były ważne podwójnie, bo wyznaczyły wraz z tymi spektaklami nową estetykę, nową poetykę widowisk telewizyjnych.

A przecież Janusz Gajos odnosząc tak spektakularne sukcesy w telewizji i kinie (nie ominęły go właściwie żadne możliwe nagrody, jurorskie i publiczności, nie wyłączając „Orłów” i „Złotego Berła” Fundacji Kultury Polskiej), nigdy nie przestał być aktorem teatralnym, choć prze-



Teatr Dzieci Zagłębia, 2005 r., uroczystość nadania Januszowi Gajosowi tytułu Honorowego Obywatela Będzina, z kolegą z lat szkolnych Waldemarem Szydłą.

cież początki nie były łatwe. W ostatnich latach z wielkim powodzeniem grał w warszawskich teatrach w sztukach m.in. Czechowa, Gogola, Dostojewskiego, Mrożka czy Millera, reżyserowanych przez Andrzeja Domalika, Jana Englerta, Jerzego Jarockiego czy Kazimierza Kutza. Nie rezygnuje też ze swej wielkiej pasji, jaką stała się dla niego fotografia (zauważmy, pierwszą wystawę indywidualną miał w Katowicach w roku 2002). A przecież – to pewne – nie powiedział jeszcze w sztuce aktorskiej ostatniego słowa. Dziś zaś można już powiedzieć, że po śmierci Tadeusza Łomnickiego i Gustawa Holoubka nikt spośród ciągle aktywnych aktorów nie osiągnął tak wiele jak właśnie Janusz Gajos. Czy to przypadek,

że w ankiecie tygodnika „Polityka” na najważniejszego aktora polskiego XX wieku tego niegdysiejszego członka „artystycznego zespołu pomocniczego” z małego teatryku w Będzinie, tak długo bezskutecznie dobijającego się do drzwi uczelni teatralnych, wyprzedziły tylko te dwie wielkie postacie polskiej sceny? Nie przepadam za takimi rankingami i stratyfikacjami artystycznymi, ale w tym przypadku fakt ten przypominam, mając niemal pewność, że Janusz Gajos urosł na rangi gwiazdy największej wielkości. Gwiazdy? I tym razem boję się używać w odniesieniu do jego sztuki pojęcia, które ostatnio rezerwuje się dla amatorów tańczących na lodzie.

Na koniec zatem musi nam wystarczyć taka oto konstatacja: nie ma dzisiaj w Polsce aktora, który miałby w swym dorobku tak bogaty i zróżnicowany, poniekąd „wewnętrznie sprzeczny” dorobek. Gajos dotknął wszystkiego: kabaretu i satyry, komercyjnego serialu, wielkich ról w wielkim repertuarze teatralnym, współczesnym i klasycznym, wybitnych kreacji w wybitnych filmach – komediowych, dramatycznych, politycznych i sensacyjnych. Ba, nawet estradą nigdy nie gardził. Cóż, bo wyszedł z prowincji. Cóż, miał wielki talent, choć zaczynał od tego, że – w Będzinie – „ogładał pieluszki” a jego pierwszy dyrektor kazał mu myśleć, co też one mogą symbolizować. Widać, była to dobra lekcja.



Teatr Dzieci Zagłębia, 2005 r., niekończące się wspomnienia z będzińskich lat.

Partia u kresu

BOGUSŁAW
TRACZ

PZPR województwa katowickiego w 1988 r.

Dru ga połowa lat 80. to bez wątpienia jeden z ciekawszych okresów w po wojennych dziejach Polski i choć od tamtych wydarzeń dzieli już prawie ćwierć wieku, to w dalszym ciągu nie brakuje kontrowersji, sporów i polemik, przede wszystkim dotyczących sposobu w jaki doprowadzono do demontażu systemu komunistycznego.

Głosy te w większości przypadków mające podtekst polityczny, niestety nie służą rzetelnej, naukowej analizie procesu rozkładu ustroju i struktur PRL. Historycy ostrożnie wchodzą na tereny ostatniej dekady Polski Ludowej tłumacząc się krótkim dystansem czasowym, który dzieli nas od tamtych wydarzeń. Z kolei politolodzy pewniej czują się w dyskusjach na poziomie teoretycznym, z pominięciem – nieraz podstawowej – faktografii. Stąd lata 80. jawią się coraz częściej jako przysłowiowa *terra incognita*, nie tylko zresztą dla pokoleń dzisiejszych dwudziestolatków, od których trudno wymagać by pamiętali tamte wydarzenia. O ile jeszcze wiadomości na temat sytuacji, koncepcji i decyzji podejmowanych na szczytach władzy są już coraz lepiej opracowywane, o tyle w wymiarze lokalnym wystarczyłaby jedna ręka, by policzyć naukowe dysertacje rzetelnie podejmujące głos w dyskusji.

Partia się starzeje

Wiosną 1988 r. PZPR w województwie katowickim wciąż stanowiła najbardziej liczną organizację partyjną w kraju. Według stanu na dzień 31 marca 1988 r. liczyła ogółem 251.924 członków i kandydatów. Lata 80. były jednak dla niej niekorzystne. Pomimo ofensywnych działań propagandowych i prób reorganizacji struktur wojewódzkich i terenowych nie udało się odrobić strat, które przyniósł początek dekady. W latach 1981-1985 sukcesywnie malała liczba towarzyszy. Partia na terenie województwa zmniejszyła się w tym okresie o pra-

wie 128 tysięcy osób, tj. 33,6 proc. W 1985 r. o mało co nie przekroczono progu poniżej 250 tys. członków i kandydatów. Proces uszczuplania się partyjnych szeregów udało się na krótko zahamować dopiero w 1986 r. Katowicka partia jednak „starzała się” – wśród i tak niewielkiej liczby przyjmowanych kandydatów tylko połowę stanowili ludzie młodzi, poniżej 29 roku życia. Nastąpiła obawa powstania trudnej do odrobienia luki pokoleniowej. Przykładowo w 1987 r. w partyjnych szeregach znajdowało się zaledwie 86 spośród 22 tys. zarejestrowanych studentów studiów stacjonarnych. W 1987 r. średni wiek dorosłej ludności województwa wynosił 42,4 lat, a średni wiek członka partii 44,1 lat, co oznaczało, że statystyczny członek partii był średnio o 1,7 roku starszy od dorosłego mieszkańca województwa.

PZPR na Górnym Śląsku była organizacją masową. W 1987 r. robotnicy stanowili większość, ale jedynie nieznaczną, bo 50,2 proc. wszystkich członków. Na drugim miejscu – 48,3 proc. – uplasowali się przedstawiciele szeroko pojętej „inteligencji”, czyli ludzie ze średnim i wyższym wykształceniem nie parający się pracą fizyczną, którym daleko było do klasycznego pojęcia „proletariusza”. W tej grupie mieścił się prawie cały aktyw partyjny, osoby na stanowiskach kierowniczych, pracownicy administracji państwa, prokuratorzy i członkowie palestry, nauczyciele, funkcjonariusze MO i Służby Bezpieczeństwa, żołnierze zawodowi, i szeroko pojęta nomenklatura zatrudniona na różnych szczeblach i stanowiskach administracji gospodarczej. Na trzecim miej-

scu, niewiele ponad 0,8 proc. wszystkich członków znajdowali się chłopci i pracownicy rolni. Pozostałe 0,7 proc. zajmowali przedstawiciele „wolnych” zawodów (rzemieślnicy, artyści). Największy odsetek członków partii odnotowano wśród dziennikarzy (64 proc.), inżynierów (41 proc.), samodzielnych pracowników naukowych wyższych uczelni (40 proc.), mistrzów (38 proc.), ogółu nauczycieli (34 proc.) oraz w grupach zawodowych związanych z pełnionymi funkcjami: dyrektorów jednostek gospodarczych (88 proc.), prokuratorów (60 proc.), sędziów (44 proc.) i adwokatów (41 proc.). To właśnie te grupy zawodowe nadawały ton działaniom i pracy Komitetu Wojewódzkiego i poszczególnych miejskich, gminnych i zakładowych organizacji partyjnych.

„Dobre życie” to mit

W listopadzie 1987 r. stanowisko I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach objął Manfred Gorywoda, który zastąpił pełniącego tę funkcję od 1983 r. Bogumiła Ferensztajna. Nowy pierwszy sekretarz miał 45 lat i w odróżnieniu od swego poprzednika był od urodzenia związany z Górnym Śląskiem. W PZPR od 1962 r., większą część swej działalności publicznej spędził na różnych szczeblach administracji Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie. Po pół roku sprawiania funkcji I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego, w wywiadzie udzielonym katowickiemu tygodnikowi „Panorama”, za najważniejsze bolączki Górnego Śląska uważał degradację środowiska naturalnego, bardzo trudną sytuację mieszkaniową, złe funkcjonowanie handlu i szeroko pojętych usług, zacofanie kulturalne regionu oraz ogólne pogorszenie się nastrojów społecznych. Na zakończenie wspomnianego wywiadu I sekretarz stwierdził m. in.: *Te parę miesięcy mojej pracy w Katowicach utwierdza mnie w przekonaniu, że teza o „dobrym życiu” na Śląsku jest uproszczona i nie odpowiada prawdzie. Ten mit zrodził się z różnych przesłanek m.in. z punktu widzenia dochodów pracowniczych. Np. zarobki górników utożsamiano z warunkami życia w ogóle. A trzeba pamiętać o tym, że górnicy, którzy zarabiają dobrze, pracują w bardzo ciężkich i niebezpiecznych warunkach. (...) Na warunki życia nie można patrzeć tylko przez zarobki. Decyduje o nich wiele innych czynników, np. stan środowiska naturalnego, możliwość zaspokajania podstawowych potrzeb, komunikacja. Patrząc tak na warunki życia trzeba stwierdzić, że kształtują się one w województwie katowickim znacznie mniej korzystnie niż w innych regionach kraju.*

Zgodnie z wytycznymi Sekretariatu Komitetu Centralnego PZPR jeszcze we wrześniu 1987 r. rozpoczęto przygotowania do przeprowadzenia przeglądu stanowisk pracy aktywu partyjnego. Przeglądem tym objęto łącznie 1.320 osób zatrudnionych przez Komitet Wojewódz-

ki PZPR, a w tym 863 pracowników politycznych i 450 pracowników administracji i tzw. pionów technicznych. Jego wynikiem było opracowanie nowej struktury i zakresu kompetencji Wydziałów Komitetu Wojewódzkiego PZPR oraz nowych zakresów czynności pracowników. Z dniem 1 stycznia 1988 r. zmniejszono ilość Wydziałów KW, ograniczono etaty kierownicze, trzynaście etatów politycznych przekazano do instancji terenowych oraz zreorganizowano strukturę Rejonowych Ośrodków Pracy Partyjnej. Reforma struktur okazała się jednak niewystarczająca i w zasadzie nie przyniosła większych zmian w funkcjonowaniu partyjnej administracji na terenie województwa. Przełom 1987/1988 r. upłynął na próbach wyjścia z politycznego impasu w jakim znaleźli się rządzący krajem po nierozstrzygniętym referendum w listopadzie 1987 r., w którym odrzucono partyjno-rządowy projekt reformy państwa i gospodarki. Oceny jego przygotowań, przebiegu oraz wyniki w województwie katowickim dokonały sekretariat i egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego. Przeglądu sytuacji dokonały także egzekutywy terenowych instancji partyjnych. W specjalnym sprawozdaniu, które opracowano dla I sekretarza KW Manfreda Gorywody stwierdzono, że wpływ na wyniki referendum miały m. in.: ogólna sytuacja społeczno-polityczna w kraju, obawa przed możliwością pogorszenia się warunków życia i brak wiary w skuteczność wdrażania reform ekonomicznych. Jednocześnie na rynku lokalnym wciąż brakowało podstawowych produktów, paliw, węgla opałowego dla ludności, złe było zaopatrzenie w leki i środki higieniczne. Partia obwiniała również samą siebie, zauważając brak skuteczności działania konkretnych instancji i organizacji partyjnych, instytucji zależnych od partii i jednostek administracji państwowej. Za pierwszorzędną uznano brak zdolności do podjęcia szybkich i zdecydowanych działań w krótkim okresie czasu oraz nieumiejętność rozwiązywania problemów nurtujących mieszkańców województwa. Okazało się, że faktyczna siła sprawcza PZPR na terenie Górnego Śląska jest mniejsza niż to do tej pory oceniano, a jej działania nie przekładają się na konkretne efekty.

Strajki '88

Wiosna 1988 r. w województwie katowickim była „gorąca”. Przeciągający się kryzys gospodarczy dawał się wszystkim we znaki. Pogłębiała się inflacja, a wraz z nią znów nastąpiło pogorszenie zaopatrzenia rynku w podstawowe artykuły, co wpływało na spadek realnego poziomu życia. Na porządku dziennym były ograniczenia w poborze energii elektrycznej, a w niektórych miastach i osiedlach nawet wody. Reforma gospodarcza, która zdaniem rządzących miała być antidotum na większość problemów, okazała się niewypałem, a niezadowole-

nie brało górę nawet wśród jej dotychczasowych zwolenników. Panowało powszechne przekonanie, że w sytuacji materialnej społeczeństwa następuje regres i proces ten będzie się pogłębiał. Strajki, które wybuchły na przełomie kwietnia i maja 1988 r. nie ogarnęły Górnego Śląska, choć sytuacja w wielu zakładach była bardzo napięta.

W połowie lipca 1988 r., po wprowadzeniu nowych stawek płac zasadniczych, do Komitetu Wojewódzkiego partii w Katowicach zaczęły dochodzić informacje przekazywane z organizacji terenowych o wzroście niezadowolenia i napiętej atmosferze w wielu zakładach pracy, zwłaszcza na kopalniach. Niezadowolenie społeczne przybierało spore rozmiary, choć nie było jeszcze powszechne. Zdecydowano się na podjęcie działań, które miały na celu zabezpieczenie „ładu i bezpieczeństwa” w województwie. Poddano je ocenie na posiedzeniu egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego w dniu 11 sierpnia 1988 r. Na niektórych kopalniach postanowiono uruchomić rezerwy finansowe, w celu wydania tzw. dodatkowej premii zadaniowej. Wielu górników odebrało te nadprogramowe wypłaty, skądinąd słusznie, jako tzw. „strachowe”. Strajków jednak nie uniknięto, choć strategia marchewki była skuteczna – tam gdzie wypłacono pieniądze do przerw w pracy nie doszło.

W połowie sierpnia 1988 r. przez województwo przetoczyła się największa fala strajków w górnosłańskich kopalniach od 1982 r. Najdłużej i najliczniej protestowali górnicy z Jastrzębia-Zdroju – miasta, które borykało się z nierozwiązanymi problemami infrastruktury, gdzie kryzys gospodarczy szczególnie dawał się we znaki. Tym razem obok postulatów ekonomicznych strajkujący domagali się legalizacji NSZZ „Solidarność”, co *de facto* wiązało się z podważeniem monopolu władzy przez partię rządzącą. Kiedy okazało się, że strajków nie uda się już zatrzymać powołano w instancjach partyjnych wszystkich szczebli – od Komitetu Wojewódzkiego począwszy, skończywszy na ważniejszych Komitetach Zakładowych – tzw. „sztaby polityczne”, których zadaniem była analiza meldunków wpływających co kilka godzin z terenu oraz ocena zmieniającej się sytuacji w celu ewentualnego podjęcia odpowiednich decyzji. Partia stała się zakładnikiem własnych struktur. Z jednej strony sytuacja wymuszała podejmowanie przez instancje terenowe na bieżąco szybkich decyzji, jednak to, co proste w teorii okazywało się niewykonalne w praktyce, gdyż w obliczu upolitycznienia strajków „doły” partyjne nie były w stanie podjąć żadnych działań bez przyzwolenia i konsultacji ze strukturami nadrzędnymi. Tym bardziej, że kontrola strajkujących zakładów znalazła się w gestii służb porządkowych i Służby Bezpieczeństwa.

Na skalę województwa postanowiono rozpocząć ofensywę propagandową

w mediach. Partyjny dziennik „Trybuna Robotnicza” każdego dnia zamieszczał artykuły, w których informowano dla czego strajk w Jastrzębiu jest nielegalny. Próbowano zrzucić na strajkujących winę za pogłębiającą się zapaść gospodarczą i sugerowano, że protesty szkodzą nadrzędnym interesom Polski i mogą utrudnić negocjacje z zagranicą. Dopiero 23 sierpnia, a więc ponad tydzień po rozpoczęciu strajków, na posiedzeniu Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie przyjęto list „Do członków PZPR”, który w następnych dniach rozesłano do aktywów i członków partii w całym kraju. List ten był traktowany przez poszczególne terenowe organizacje partyjne jako wykładnia stanowiska partii. Wezwano w nim m.in. do zdecydowanego przeciwdziałania próbom nielegalnych strajków, troski o utrzymanie rytmu produkcji, poparcia reform realizowanych przez partię i rząd, oraz stania na stanowisku porozumienia narodowego.

Strajki odbiły się szerokim echem w całym województwie. Bez względu na opinie przeciwników i zwolenników strajków spowodowały one bezspornie zintensyfikowanie dyskusji społecznej na temat uciążliwości życia codziennego, braków podstawowych artykułów na rynku i coraz większej inflacji i dewaluacji pieniądza. W rozmowach zauważano, że reforma zakończyła się fiaskiem, co świadczyło o zupełnym braku kompetencji osób przeprowadzających ten kolejny „manewr gospodarczy”.

Zapowiedź „Okrągłego stołu”

Przełomem okazało się oświadczenie ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaka zawierające propozycję *odbycia w możliwie najszybszym czasie spotkania z przedstawicielami różnorodnych środowisk społecznych i pracowniczych. Mogłoby ono przybrać formułę okrągłego stołu.* Opublikowała je sobotnio-niedzielną „Trybuna Robotnicza” ukazującą się na terenie województwa w sobotę 27 sierpnia. Tego samego dnia odbyło się posiedzenie egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, któremu przewodniczył Manfred Gorywoda. Głównym tematem obrad była sytuacja w strajkujących kopalniach. Obradujących towarzyszy targwały sprzeczności. Z jednej strony przyznano rację strajkującym i zgodzono się, że sytuacja w górnictwie węglowym na Śląsku była karygodna, a postulaty ekonomiczne załóg słuszne, z drugiej zaś stwierdzono, że w żaden sposób nie można usprawiedliwić strajków jako metody wymuszania decyzji na rządzących. Egzekutywa wypowiedziała się za natychmiastowym zaprzestaniem strajków i surową oceną „politycznych wychowawców” młodzieży, która brała aktywny udział w protestach. Zwrócono się do wszystkich by „przeciwstawili się strajkowej fali, politycznym awanturom i bezprawiu”.

W następnych dniach w całym województwie rozpoczęły się rejonowe spotkania aktywu partyjnego poświęcone omówieniu sytuacji społeczno-politycznej oraz przekazaniu wytycznych i postanowień VIII plenum Komitetu Centralnego PZPR. W spotkaniach uczestniczyli członkowie centralnych i wojewódzkich władz partyjnych. Symbolicznym zwieńczeniem tych spotkań był przyjazd do Jastrzębia premiera Zbigniewa Messnera. Premier, uważany za przedstawiciela partyjnego „betonu”, spotkał się 2 września z górnikami i aktywnym partyjnym na kopalni „Borynia”. Został m.in. zaatakowany pytaniami o sens i ideę okrągłego stołu. Zaniepokojonych członków partii premier utwierdził w przekonaniu, że nie ma możliwości odrodzenia „Solidarności”. W tym samym czasie na sąsiedniej kopalni „Manifest Lipcowy” trwało burzliwe spotkanie strajkujących z Lechem Wałęsą, które zakończyło się decyzją o zaprzestaniu strajku.

Następnego dnia zakończył się najdłuższy trwający strajk w kopalni „Manifest Lipcowy”. W tej sytuacji, przynajmniej teoretycznie, możliwa była kontynuacja rozmów w sprawie zorganizowania „okrągłego stołu”. Po raz kolejny, zebrała się egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. Postanowiono zapoznać wszystkich członków partii z materiałami VIII plenum Komitetu Centralnego PZPR w sprawie kontynuacji reform oraz polecano dokonać analizy przyczyn strajków zarówno w perspektywie całego województwa, jak i na szczeblu miast, gmin i zakładów pracy, w których doszło do protestów.

W wielu przypadkach członkowie lokalnych struktur partii nie chcieli się zgodzić z decyzjami podjętymi w Warszawie, zwłaszcza że informacje o rozmowach Lecha Wałęsy z szefem policji gen. Czesławem Kiszczakiem były dla większości bardziej niż zaskakujące. Na partyjnych naradach często wówczas padały słowa pełne rozgoryczenia. Mówiono wprost, że strajki są dla partii „przykre pod względem strat politycznych i moralnych”. Odgłosy, które trafiały do Komitetu Wojewódzkiego PZPR z całego regionu świadczyły o załamaniu się jednej „przewodniej linii partii” wśród jej członków. O ile jeszcze w sierpniu wyrażali oni jedynie zaniepokojenie, tak w miarę rozwoju wydarzeń opinie coraz bardziej radykalizowały się i to w różnych kierunkach.

Na początku września 1988 r. odnotowano wśród członków PZPR, jak i aktywistów partyjnych wypowiedzi świadczące o zniechęceniu i wzroście nieufności do poczynań władz kierowniczych. Według ankiety, którą na polecenie Komitetu Centralnego PZPR, przeprowadzono wśród członków PZPR z kopalni „Knurów” w Knurowie, aż 50 proc. ankietowanych wypowiedziało się krytycznie o PZPR, uzasadniając swe wypowiedzi stwierdzeniami, że kierownictwo par-

tii stało się niewiarygodne, podejmuje mało trafne decyzje, ludziom partii brak konsekwencji w realizacji reformy gospodarczej, natomiast szkolenia partyjne odbiegają od realiów życia codziennego. Przeważała opinia, że PZPR powinna pełnić rolę kontrolną i egzekwować narysowane plany polityczno-gospodarcze bez czynnego udziału w realizacji zmian systemu ekonomicznego kraju. Lokalne struktury partii wyraźnie znalazły się w impasie.

Poszukiwanie leku na kryzys

Rozpoczęto gorączkowe poszukiwania antidotum na kryzysową sytuację we własnych szeregach. Postulowano, że partia, aby odzyskać dawną siłę, musi zadbać o ideologiczną czystość swoich szeregów, a w jej władzach powinna wzrosnąć reprezentacja robotników. Zauważono także zapóźnienie cywilizacyjne organizacji w kontekście coraz szybszego postępu technologicznego. Skonstatowano, że partia przegrywa walkę o „rząd dusz”. By temu zaradzić proponowano, żeby zamiast skostniałej ofensywy ideologicznej prowadzić działalność kulturalno-rozrywkową w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu, tak by dojść z ofertą partii do ludzi młodych. Wśród postulatów wewnątrzpartyjnej reformy pojawiały się również bardzo radykalne. Na jednej z narad I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Zabrze przyznał, że partia do tego stopnia przestała nadążać za przemianami społeczno-politycznymi i ekonomicznymi które ogarnęły kraj, iż nadszedł czas stworzenia nowej formacji, która byłaby zdolna do prowadzenia steru rządów. Tuż po nim zabrał głos jeden z towarzyszy, który powiedział: *Rządy powinna przejąć inna partia (...) Nasza partia nie powinna być jedyną partią w narodzie. Zapis konstytucyjny o kierowniczej roli PZPR powinien być zmieniony. Powinniśmy mieć konkurencję.* Były to twierdzenia, które jeszcze niedawno były nie do pomyslenia na zebraniach partyjnych.

Począwszy od połowy 1988 r. przez wszystkie kolejne miesiące zaczęła spadać liczba członków PZPR na terenie województwa katowickiego. Odnotowano liczne rezygnacje z ubiegania się o przyjęcie w szeregi partii, a także przypadki podejmowania przez jej członków decyzji o rezygnacji z przynależności do PZPR. Sprawozdawcy partyjni za bardzo niepokojące zjawisko uznali fakt, że co piąty kandydat został skreślony z szeregów partii, a z tego co drugi zrezygnował osobiście z dalszego kandydowania. Na przestrzeni 1988 r. aż 27 miast, 13 miast-gmin i 20 gmin Górnego Śląska wykazało zmniejszenie stanu liczbowego członków i kandydatów PZPR. Jedynie w Sławkowie, Wodzisławiu Śląskim i – paradoksalnie – również w Jastrzębiu Zdroju odnotowano minimalny wzrost szeregów partyjnych. Stan wojewódzkiej organizacji partyjnej na dzień 31

grudnia 1988 r. wynosił 244.508 członków i kandydatów. Najmniejszą chęć przystąpienia do PZPR w drugiej połowie 1988 r. wyrażali ludzie młodzi. Przykładowo w środowisku akademickim Katowic, liczba studentów-członków PZPR spadła w tym czasie poniżej 50 osób.

Strajki, a w ich efekcie dopuszczenie do głosu opozycji i związany z tym brak pewności co do dalszego rozwoju wydarzeń na scenie politycznej przyniósł stagnację w pracy partii i wzrost nastrojów defetystycznych. Jeszcze we wrześniu 1988 r. jeden z sekretarzy Komitetu Miejskiego PZPR w Jastrzębiu-Zdroju stwierdził, poniekąd proroczo: *Na IX i X Zjeździe przyjęliśmy, że model stalinowski nie spełnia zadania. Przekreślając go, nie zarysowano jednak innego nowego modelu ustrojowego i roli partii w tych warunkach. Największe źródło naszych rozterek i wewnętrznych niepokojów leży w tym, że model ustrojowy musi być akceptowany przez cały naród i nie może preferować stanowczo jednej klasy, choćby była najliczniejsza. Myślę, że szukanie sojuszników wśród dawnych wrogów jest rozwiązaniem wyłącznie na krótką metę. Może lepiej byłoby powiedzieć sobie otwarcie, że programowo chcemy zbliżyć się raczej do sprawdzonych praktyk i programów socjaldemokratycznych. Jak najprędzej należy znaleźć wspólną wizję przyszłości. Partia znajduje się w tej chwili na etapie poszukiwań. Grunt po którym stąpamy jako partia i ustrój w przebudowie jest bardzo grząski.*

* * *

Podświadomości strajków i ukształtowanej w ich wyniku latem 1988 r., coraz bardziej czytelnej, nowej konfiguracji na scenie politycznej lokalni członkowie partii zadawali sobie coraz częściej pytanie o drogę i cele, które obrało kierownictwo PZPR. Część zapewne wahała się, nie wiedząc, czy mają do czynienia z nową strategią działania i zupełnie odmienną jakością w polityce, czy jedynie jest to kolejne posunięcie taktyczne kierownictwa. Partia lokalna wyraźnie zaczęła się dzielić na reformatorów, skupionych wokół I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Manfreda Gorywody oraz na część zachowawczą i „doły” partyjne, których członkowie czuli się coraz bardziej rozczarowani zmieniającą się konstelacją polityczną.

Wydarzenia do których doszło na przełomie lata i jesieni 1988 r. stanowiły punkt zwrotny w taktyce obozu władzy, która zrezygnowała z próby siłowego rozwiązania narastającego konfliktu społecznego na rzecz metod politycznych. Stosunek do tych działań podzielił członków partii na Górnym Śląsku, ukazał kryzys wewnątrz jej szeregów. Monolit pękł, erozja postępowała. W tej sytuacji rozpad monopartyjnego systemu politycznego, był już tylko kwestią czasu.

Hanek – Ślązak

Biografie dramatyczne

Kpr. pchor. pilot Jan August Niedźwiecki urodził się 25 lutego 1920 r. w Katowicach-Nikiszowcu kiedy to Górny Śląsk był jeszcze w rękach niemieckich.



Jako młody chłopak wstąpił do Aeroklubu Śląskiego na lotnisku w Katowicach-Muchowcu, który reprezentował polskie siły lotnicze w okresie międzywojennym. W 1937 r. Janek czyli śląski Hanek wygrał zawody modelarskie, a członkowie kierownictwa aeroklubu zaproponowali mu wstąpienie do lotnictwa w Krakowie.

Posłuchał rady, by wstąpić do szkoły podchorążych lotnictwa. Został wcielony w szeregi 2-go pułku lotniczego małoletnich, który stacjonował na lotnisku Kraków-Rakowice. Z pułku skierowano go na praktyczne szkolenie lotnicze do Krosna nad Wisłokiem. W chwili wybuchu II wojny światowej i bombardowania lotniska polowego w Krośnie zdołał uratować samolot RWD-13 i wystartować z dwoma kolegami do ucieczki w kie-

runku Rumunii zgodnie z planami wojskowymi. Po krótkim locie zostali zestrzeleni przez Rosjan nad terytorium Ukrainy, a następnie aresztowani. Ze względu na obowiązujący jeszcze wtedy układ pokojowy z ZSRR, pilotów zwolniono z aresztu i pozwolono wrócić pieszo do domu. Był to decydujący moment, który uchronił młodego polskiego pilota przed Katyniem.

Hanek, krótko przed świętami Bożego Narodzenia, powrócił do Katowic, ukrywał się, ale wkrótce został powołany do armii niemieckiej. Po krótkim dochodzeniu wcielono go do Wehrmachtu, tak jak czyniono z wieloma młodymi Polakami, którzy urodzili się na Śląsku. Służył w kwatermistrzostwie i tam dopiero uczył się poprawnie języka niemieckiego. Znając już dobrze niemiecki, znalazł się ponownie na lotnisku w Krośnie – tyle że w innym mundurze. Jako żołnierz niemiecki nawiązał współpracę z partyzantami a potem, już po ucieczce z frontu wschodniego, z członkami Armii Krajowej w Warszawie znany jako Hanek – Ślązak.

Po zakończeniu II wojny światowej, jako obywatel polski, powrócił do rodzinnego domu na Nikisz. Niedługo jednak cieszył się wolnością, ponieważ został aresztowany i wię-



ziony przez NKWD za swoją działalność w AK i Wehrmachcie. Ponadto ówczesne władze nie lubiły AK-owców i przedwojennych żołnierzy. Dwa lata spędził w więzieniu przy ul.



Mikołowskiej w Katowicach bity i kopany na przesłuchaniach. Był to jeden z głównych powodów, dla których Jan Niedźwiecki w latach 70. wyemigrował do Włoch, a następnie, korzystając z prawa do emerytury, do Niemiec, szukając spokojniejszego życia bez prześladowań ze strony UB.

Zmarł w 85. roku życia z pogodnym czołem i poczuciem ulgi.

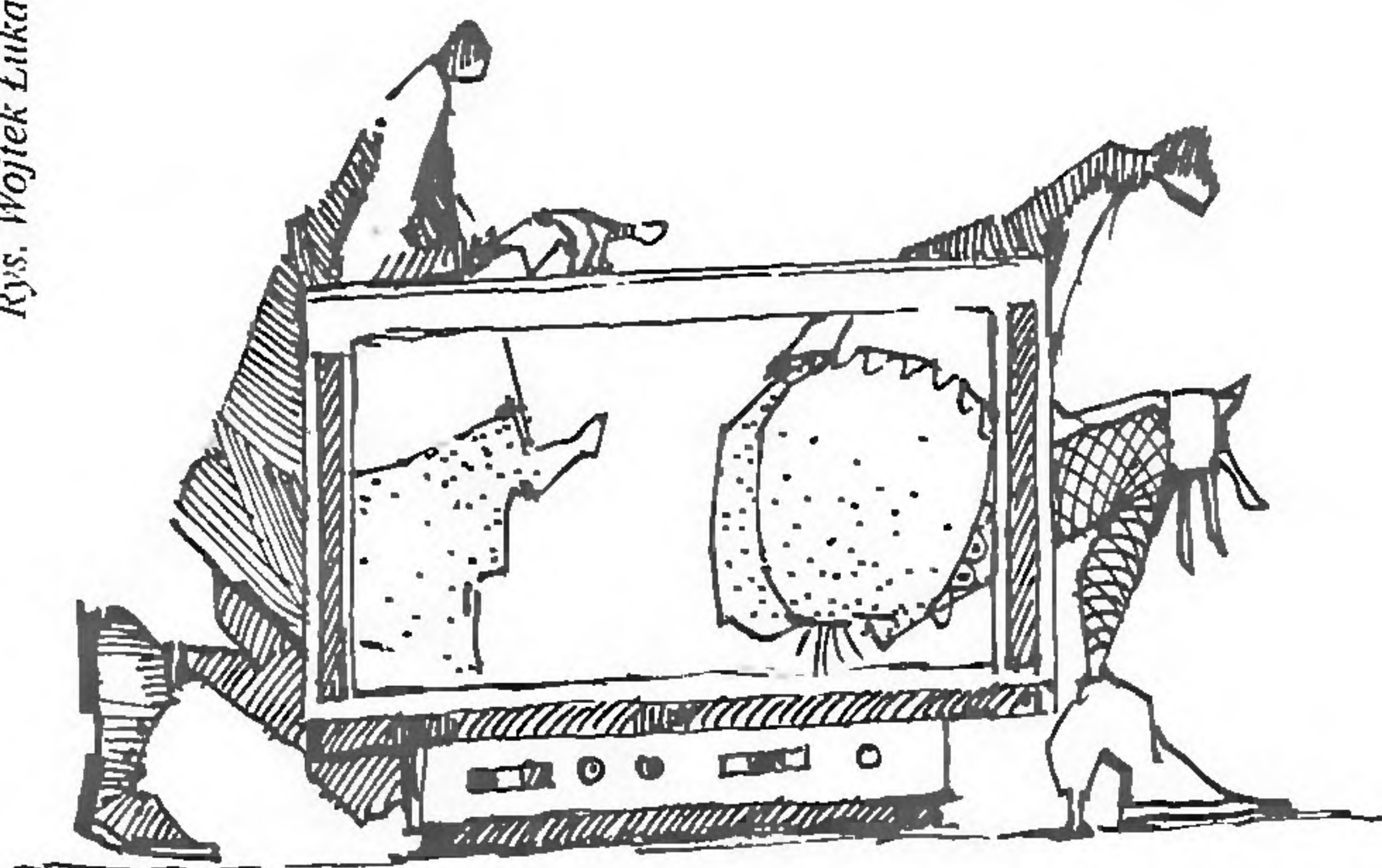
Po nabożeństwie żałobnym odprawionym w kościele Garnizonowym w Katowicach pochowany został z honorami wojskowymi na cmentarzu w Katowicach-Szopienicach na swojej Śląskiej Ziemi i widokiem na dwa kominy kopalni Wieszowice, które go zwabiły do spojrzenia na nie z lotu ptaka, kiedy był jeszcze chłopakiem.

ZBIGNIEW NIEDŹWIECKI

Olbrzym

ILONA KULA

Rys. Wojtek Łuka



— Z serem czy pasztetem? – zapytała Alicja męża przechylając się przez próg kuchni do małego, ciemnego pokoju, w którym siedzący na stołku Jurek wkładał buty. Dwie z serem, albo najlepiej trzy – odparł kobiecie, podnosząc wzrok na wysokość jej kolan. Zauważył, że ma brudne kolana. Nie minęło pięć minut a kanapki pojawiły się w pokoju.

– Ciasne?

– Okropnie.

– Pewnie od deszczu.

Mężczyzna spojrział na kobietę i powiedział jej co myślał, coś w rzeczywistości bardzo przykrego, po czym kobieta wyszła z pokoju. Nie chciała doprowadzić Jurka do furii. I to wcale nie ze względu na siebie – dzisiejszy dzień był dla Jurka dniem niezwykle ważnym. Dniem takim, jakie przytrafiają się zaledwie kilka razy w roku, ale to wystarczy, żeby resztę dni przeżyć w miarę spokojnie. Ale – o ile Alicja zadbała o niego w ten sposób, myć jej się wcale nie chciało. Co dopiero rano brała prysznic, a brudne kolana były tym prawdziwym efektem szorowania podłogi. Stała więc przy oknie cichutko symulując kąpiel. Wytrzymała tak dziesięć minut i weszła do pokoju, w którym Jurek nadal zakładał buty. Jurek nie zwrócił na jej nogi najmniejszej uwagi. Sukces.

– Pójdę po łyżkę do sąsiada.

– Lepiej będzie, jeśli zwrócisz spodnie i kupię sobie nowe buty.

– Przecież sam kupiłeś mi te spodnie.

Mężczyzna popatrzył na nią nijak, po czym ledwo dostrzegalny smutek wystąpił na jego twarzy.

– Ja nie mam o nic pretensji, ja chcę włożyć wreszcie jakieś buty. Już po piątej.

– Pójdę.

Kiedy Alicja zamknęła za sobą drzwi, okazało się, że na włożenie za ciasnych butów istnieje zgoła inny sposób od tego, jakim Jurek dotychczas się posługiwał. Prawie w tej samej chwili, kiedy ściany zadrżały przestraszone zatrzaśnięciem drzwi, nogi Jurka znalazły się w butach. Alicja bez mała niepotrzebnie wyruszyła na poszukiwanie łyżki. Lecz cóż, pomimo że nogi w lakierkach prezentowały się imponująco, nietrudno było nie zauważyć braku spodni i całego zresztą garnituru, który gotowany był na ten dzień od tygodnia.

– Mam! – krzyknęła Alicja pojawiając się nagle w pokoju i wymachując pożyczonym na pięć minut, nie więcej, przed-

miotem. Jurek, już w garniturze, używał łyżki z miną zupełnie zrezygnowanego.

– Umyłeś zęby? – kobieta zauważyła okruchy na talerzu.

– Nie mogłem znaleźć pasty.

– Chyba się skończyła.

– A tubka?

– W koszu.

– Idiotka. Idiotka.

Jurek wszedł do kuchni i otworzył szafkę pod zlewem. Koszyk na odpadki przelewał się, ale Jurek nie takie rzeczy w swoim, chociaż jeszcze krótkim, życiu widział. Znalazłszy tubkę wycisnął kropelkę pasty i poszedł do łazienki. Od trzech lat był śmieciarzem bez szans na znalezienie innej pracy, jako że ta obniżała jego wartość nie tylko w mniemaniu innych, bo istotnie pozbawiała go godności i dobrych manier, które kiedyś nabył. Gdy wyczyścił zęby odłożył pastę na półkę.

– Już prawie szósta! – rozległ się głos żony i mniej więcej w tym samym momencie zadzwieczał dzwonek do drzwi.

– Zgaś światło – rzekł Jurek, który właśnie wchodził na palcach do pokoju.

– Zgaś światło. Niech pomyślą, że nikogo nie ma – powtórzył uśmiechając się.

Żona przez chwilę patrzyła na niego jakby nic nie rozumiejąc, po czym wyłączyła lampkę i poszła otworzyć. Jurek usłyszał gruby, męski głos, najwyraźniej kogoś rozgniewanego, i jak na koniec obydwójce (gruby męski głos i Alicja) wybuchają śmiechem.

– Kto to był? – rzucił w stronę żony, która zbliżała się do niego z uśmiechem chociaż zmarzła stojąc w drzwiach.

– Nasz sąsiad, plotkarz jakich mało.

– Sąsiad?

– Och, tylko nie to – Alicja uśmiechnęła się znowu i usiadła na Jurka kolanach.

– Była policja u Marty. Kazano jej natychmiast... oczyścić budynek i jak najszybciej postarać się o własną ubikację.

– Straszne – odparł obojętnie Jurek.

Alicja głośno westchnęła i wyszła do kuchni.

– Spóźnisz się! – krzyknęła stamtąd.

Jurek nic nie odpowiedział. Podeszedł do okna. Na dworze robiło się coraz ciemniej. Pojedynczy ludzie taszczyli do domów ostatnie zakupy na weekend. Jurek spojrział na zegarek. W słabym świetle nocnej lampki dostrzegł godzinę i mimowolnie pomyślał o tym, jak czas pędzi i jak czasami trudno się w tym odnaleźć, zrobić coś wtedy sensownego.

– Alicja! – zawołał jakoś ze strachem.

– Dobrze, dobrze.

Usłyszawszy owo „dobrze” Jurek zamknął drzwi do pokoju, usiadł wygodnie w fotelu i włączył film o olbrzymie.

Zdarzenie

Pewnej wiosennej soboty, w niewielkim czteropiętrowym bloku, w ciasnym mieszkaniu umeblowanym skąpo aczkolwiek z pewną dozą elegancji, rozegrało się zdarzenie, które zapadło mi w pamięć. Nie było to zdarzenie jakim jest przygoda czy wypadek, ale cała scena potraktowana uważnie zasługuje na miano wydarzenia. Przynajmniej w życiu bohaterów.

Oto w mieszkaniu, w mało przytulnym pokoju, siedzi przy stoliku młoda kobieta. Ubrana w ciemnoszary kostium, „do wyjścia”, pali papierosa. Po pustym kieliszku widać, że nie wypila więcej niż trzeba. Siedzi zamyślona, pali powoli, ale nie rozkoszuje się dymem. Jest cicho. Oczekiwany mężczyzna wchodzi do pokoju jeszcze ciszej.

– Nareszcie jesteś – mówi kobieta nie odwracając się.
– Byłem w domu.
– Dzwoniłam do domu. Twoja matka powiedziała, że cię nie ma.

Mężczyzna zawiesza płaszcz i podchodzi do kobiety. Patrzy na nią uważnie.

– Tak, moja matka nie kłamała. Wyszędłem dużo wcześniej. W drodze... Miałem przygodę. Ja. A ja nie mam przygód. Nigdy.

Tu kobieta odwraca twarz w jego stronę. (Warto dodać, że mężczyzna zachowuje się nieco teatralnie, ale nie sztucznie. Jest świadom swoich słów i gestów.)

– Zabrałem z przystanku autostopowicza. Wyobraź sobie: mężczyzna w garniturze, z teczką, łapiący okazję. Strasznie mnie to zainteresowało więc zahamowałem i uchyliłem okno. Okazało się, że to mój kolega z podstawówki.

Kobieta ironicznie się uśmiecha, ale po chwili poważnieje, i mimo że wcale nie chce wypytywać, bo przecież to takie... nieuczciwe, pyta.

– Kolega?

– Tak. Spotkałem Stacha. Opowiadałem ci kiedyś o nim. Gruby, brzydki, nieufny i... Tak dalej. Opowiadałem ci na pewno. A teraz – swoje przeciwieństwo.

Tu mężczyzna z kolei celuje ironiczny uśmiech i usiada obok, ale bardziej naprzeciwko, gaszącej papierosa kobiety.

– Cóż, ludzie się zmieniają.

– Tak. To dobrze, ale z drugiej strony... Z drugiej strony to niedobrze.

Kobieta odpala drugiego papierosa i delikatnie dmucha mężczyźnie w twarz.

– Dziękuję. Nie ma to jak... Jak dobre chamstwo. Jak to było? Aha: spotkałem Stacha i wstąpiliśmy na kawę. Strasznie dużo opowiadał. A taki był nieśmiały.

– Domyślam się.

– Jest prezesem spółki. Tak dużo mówił, że nie pamiętam jakiej. Ale dużo zarabia. A przecież był...

– Fajtłapą.

– Biedakiem.

Mężczyzna ujmuje dłoń kobiety swoją dłonią i patrzy na nią ni to ironicznie ni to pożądliwie. Kobieta stara się, co prawda, niczego nie dostrzegać, ale przeczucie, że wobec tego, co się dzieje trzeba się jakoś sensownie zachować, powoduje, że wkłada wszystkie swoje siły w spojrzenie mężczyźnie w oczy, które to spojrzenie przeszywa pokój na wylot.

– Pięknie!

– Bo i ja nieźle zarabiam. Czy kiedykolwiek sądziłaś, że zarabiam źle?

– Nie. Kupiłeś mi ostatnio drogą bransoletę.

– Nie była droga. To tylko koral.

– Czerwony.

– Nie spotkałem innego.

Kobieta wstaje i przechadza się po pokoju.

– Czy ty czasem nie uważasz, że porzuciłeś malarstwo z mojej winy?

– Czy to ważne? O nic nie oskarżyłbym ciebie.

Tu kobieta przystaje i patrzy na mężczyznę wyzywająco. Mężczyzna, który spodziewał się takiego spojrzenia, z uporem otwiera i zamyka paczkę papierosów.

– No śmiało, śmiało.

W tym momencie dzwoni telefon. Kobieta siada przy stoliku i odpala kolejnego papierosa. Wciąga dym głęboko, lecz kaszel nie pozwala palić jej dalej.

– Stach dzwonił. Chciał się z tobą umówić na sobotę. Twierdził, że jest twoim kolegą z liceum. Rozmawiałam z nim. Nazywa się Tkacz.

– Tkacz? Nie znam nikogo o tym nazwisku.

Kaszel kobiety rozlega się na nowo. Na dworze robi się coraz ciemniej, tak więc w pokoju jest coraz... czarniej. Zapalone światło na pewno drażniłoby parę.

– Po spotkaniu w kawiarni zajrzałem do dziadka.

– Twój dziadek nie żyje. Dajże spokój.

– Żyje.

– Nie!

Kobieta przestraszona własną irytacją gładzi mężczyznę po włosach.

– Żyje. Czy ty zawsze musisz wszystko komplikować?

– Nienawidzę. Nienawidzę słowa zawsze i wszystko.

Tu mężczyzna wstaje i nalewa sobie wino. Kobieta, wypełniona nagłym przyływem miłości, wodzi za nim oczami.

– Posłuchaj...

– Czy chcesz mi wytłumaczyć, że dziadek nie żyje?

– Dziadek nie istnieje. Gdy umrę będziesz robił wszystko, na co masz ochotę, ale teraz... Nie wąż się. Słyszysz?

– Wypraszam sobie.

– Nie bądź bezczelny. Kocham cię tak samo, jak ty mnie.

Mężczyzna wypija kielich do dna i kuca przy kobiecie, która wzbiera wszystkimi łzami.

– Nie potrafię być dobry, nie, już nie. Nie potrafię spełniać twoich oczekiwań, żądań, trzymać siebie w ryzach tak, jak na początku. Gdy jestem wobec ciebie lojalny, szczery, nie czuję miłości, tylko czuję jak odchodzisz.

– Egoista.

– Jak ty.

– Przepraszam.

– Przepraszasz?

– Tak. Bo kto cię przeprosi za moje ciało?

– A ciebie za moje?

– Gdzie byłeś, powiedz.

– Powiedziałem.

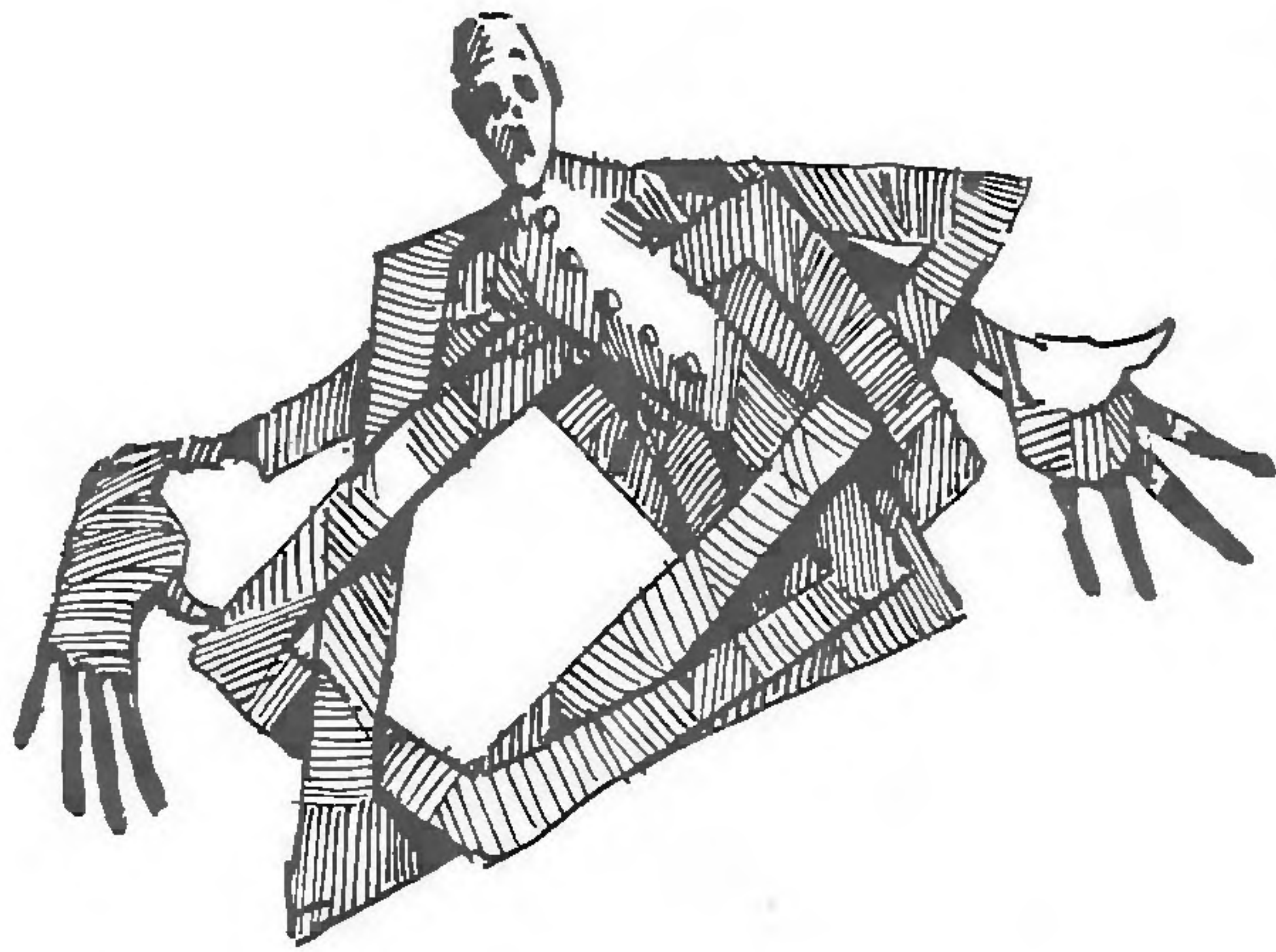
– Wierzę ci.

– Wierz w moje kłamstwo, wtedy będzie dobrze.

Po tych słowach kobieta opuściła mieszkanie, a za nią, za kilka minut, wyszedł mężczyzna.

Czemu ta scena utkwiła mi w pamięci tak dokładnie? Moje małżeństwo jest na wskroś szczęśliwe, poza drobnymi kłopotami finansowymi (wszak trwa „kryzys gospodarczy”) nie ma nic, co mogłoby doprowadzić do podobnej sceny. Kłopotów ze zdrowiem jako takich nie mam. Może to ze względu na czerwoną bransoletę? Noszę taką samą. A może zapamiętałam to zdarzenie dla nich, dla tej pary? A może zapamiętałam coś, co wcale się nie zdarzyło?

Młody gniewny



Rys. Wojtek Łuka

Szybciej, szybciej! Raz dwa z tym odkurzaniem! – popędzał Rafała ojciec. – Myślisz, że w Anglii płacą za lenistwo? I raz chłopca przez głowę, i przez plecy – nie darmo jest się synem swojego ojca. Ojciec Rafała nie sprzątał wcale, od pół roku, praktycznie od dnia, w którym pochował żonę, a porządku pragnął aż przesadnie. W ogóle przestał robić cokolwiek i wziął się za wychowanie syna, który jego zdaniem miał wkrótce zejść na złą drogę. I choćby pod karą śmierci, nigdy nie uwie-

rzyłby w syna takiego, jakim w rzeczywistości był. A kim był Rafał Kowalski? Nikim szczególnym. Mający zaledwie lat szesnaście, wysoki ładny blondyn, uczył się dobrze, czasem pisywał wiersze, nie sprawiając nigdy, trochę leniwym, trochę złośliwym, nauczycielom absolutnie żadnych problemów. Ale nie można było o nim powiedzieć tego, co uratowałoby go przed ojcem: że młodzieniec rozmyślał wieczorami o tym, co jest w życiu ważne, dobre, mądre itd. Za to ojciec wieczorami, po kuflu wina, rozmyślał o złym, choć gdyby mu się przyjrzeć złym człowiekiem nie był. Marzył, że jego syn pojedzie wkrótce za granicę (w końcu źle się uczył i chyba czasami pił) i zarobi majątek. Łatwym sposobem – sprząając u starych ludzi, którym, ale tu już marzył ze wstydem, będzie można coś, hm, ukraść. Kiedy wyobrażał sobie, jak zapytany przez wścibską sąsiadkę o syna odpowiada iż ten udał się na emigrację, dreszcz rozkoszy przechodził mu po grzbiecie.

Z tytułu emigracji wymyślano Rafkowi różne zadania. Zadania mające przygotować chłopca do życia w bogactwie. Wykonywał mianowicie: (prócz sprząwania w domu), usuwanie z chodników psich odchodów, podlewanie uschniętych kwiatów w całej kamienicy, trzepanie dywanów starszym lokatorom kamienicy, a także dwa razy w tygodniu wolontariat w zamiejscowym hospicjum. Ostatnia praca okazała się najcięższa ze wszystkich. Rafek po nakarmieniu i przewinięciu umierających czuł się wyczerpany, nie zmęczony, ale wyczerpany, jakby sam umierał. Czasami płakał po dniu tam spędzonym. Widzisz? – mówił wtedy do niego ojciec – życie nie jest wcale łatwe, mój chłopcze. I Rafek pokornie wierzył. Czasem oczywiście doznawał niejasnej myśli, że coś tu nie gra, że nie jest na swoim miejscu, ale owa myśl obciążona swoją niejasnością szybko się rozmywała i nikła pod postacią ciężkiego Rafkowego snu.

Pewnej soboty ojciec zastał Rafka w łóżku, chorego, z wysoką gorączką. Cały dzień chodził w gniewie, że coś takiego spotkało Rafka w porze wolontariatu. A może to symulacja? Od tego dnia ojciec traktował syna niezwykle podejrzliwie, ale Rafek i tak słabł z dnia na dzień coraz bardziej. Drżały mu ręce i źle wykonywał swoje obowiązki. Sąsiedzi skarżyli się na niego, chociaż widzieli, że jest chory. Mówili: Romek, twój chłopak jest chory, zostanie w Polsce. Ale ojciec nie mógł się z tym pogodzić, tak bardzo pragnął polepszyć warunki ich życia... Zaczął więc udawać przed sobą, synem i sąsiadami, że Rafkowi nic wielkiego nie dolega – ot przeziębienie, zatrucie, a jakże, alkoholem. No i stało się co musiało się stać: przygotowania do bogactwa, które jak się nietrudno domyślić nie miało nadejść nigdy, wycieńczyły chłopca do tego stopnia, że znalazł się w szpitalu. Leżał tam długo. Bardzo długo. Nikt go nie odwiedzał. Ojciec rozpił się i zamieszkał ze swoją siostrą. Zresztą, Rafek chyba nie chciałby odwiedzin ojca.

Pierwszy tydzień pobytu w szpitalu Rafek przespał. Lekarze wywnioskowali, iż któregoś dnia nie obudzi się wcale, i choć robiono mu rozmaite badania to więcej niż o jego wyzdrowieniu mówiono o pogrzebie. Rzecz jasna dociekano, umiarkowanie, powodów nienaturalnego wyczerpania chłopca. Pomysłów było wiele, ale stanęło na tym, iż młodzieńca głodzono. Przemawiał za tym między innymi fakt, że jego ojciec był pijakiem. No i dojmujący brak matki. A sam Rafek? Doktor, ordynator, polecił wykonać badanie na obecność narkotyków. Rafek znalazł się w izolatce.

W trzecim tygodniu szpitalnego pobytu chłopiec wyglądał okropnie. Jego wychudzone, białe ciało, po którym, wciąż delikatnie, rysował się błękit żył, leżało nieruchome, niebiegające, niezasiadające jakby nigdy w szkolnej ławie, podłączone do wielkiego aparatu rejestrującego to, co zostało – bicie serca. Liczbę pielęgniarek opiekujących się Rafkiem ograniczono wkrótce do jednej. Była to potężna, twarda kobieta, która w swoim życiu nadzwigała się bezwładnych ciał co niemiara. Toteż pensję miała dobrą i w oczach radość. Obchodziła się z chorymi zimno, przewijała ich w milczeniu i w milczeniu odchodziła od łóżka. Oni milczeli także, i także odchodzili.

Mimo wielu zabiegów i starań, które zawsze mogłyby być większe, przy całej ludzkiej świadomości, że śmierć istnieje i najgorsze rzeczy dzieją się ot tak, zwyczajnie, po prostu, jakby ktoś posmarował bułkę masłem, Rafek umarł. Stało się to równo pięć tygodni po tym, jak trafił do szpitala. Nie było człowieka, który by nie zapłakał na wieść o tej w gruncie rzeczy tajemniczej śmierci. Jako

że za tydzień chłopiec skończyłby siedemnaście lat, kilka kobiet, pacjentek, żałowało, że nie doczekał swoich urodzin. Miał całe życie przed sobą – szeptały inne, oglądając swoje zaniedbane paznokcie. Posprzątać izolatkę – nakazał ordynator, który kończył drugie śniadanie i rozmyślał o czekającej go operacji.

Koncert

Pan Stanisław nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy. Na dworcu, na którym od lat mieszkał zorganizowano koncert charytatywny na rzecz dzieci z domu dziecka. Przyszło mnóstwo osób, wśród nich lokalni urzędnicy i przedstawiciele kultury, a oprócz tych wielbiciele dobrej muzyki, piwa i spotkań z przyjaciółmi. Wśród zgromadzonych największą grupę stanowiła młodzież, mająca w gruncie rzeczy mało współczucia dla porzuconych dzieci. Ich egoizm powodował, że wyglądali zdrowo i radośnie, ale nie było to zdrowe zdrowie, jak zauważył pan Stanisław. Pan Stanisław, niestety, nie gustował w rodzaju wykonywanej muzyki i był głodny, ale żeby źle nie wypaść tupął nogą i wrzucił swoją puszkę do torby. Zachowywał się grzecznie, choć wszystko mu przeszkadzało. Całymi dniami narażony na hałas pociągów, tym hałasem niejako porażony, nie umiał się odnaleźć wśród rozbawionego tłumu. Ludzie przechodzili obok niego nie wiedząc jak się zachować wobec nędzy, toteż rzucali spojrzenia na przemian groźne i litościwe. Dobrze im było. W reklamówkach nieśli na koncert słodycze, chipsy i orzeźwiające napoje. Pan Stanisław uśmiechnął się na widok jedzenia. Pod zamkniętymi na chwilę, tylko na parę sekund, oczami zobaczył siebie jako kogoś z tego tłumu. Zjadłby ciastka, wypił colę czy piwo i wróciłby do domu. Zjadłby kolację i położyłby się do łóżka. Rano wstałby i zapominając śniadania lub ważnych dokumentów poszedłby do pracy, w której doświadczyłby więcej nudy niż tu gwaru. Pan Stanisław marzyłby może dłużej, ale jeden ze spieszących pod scenę chłopców zawadził o wielką torbę. Posypały się przekleństwa – chłopak rozlał na siebie zawartość niesionej butelki. Pan Stanisław oblał się rumieńcem, ale nie wstyd a spokój nie pozwolił mu na opieprz tego młodego człowieka. Chłopiec wrzeszczał długo, jakby pan Stanisław mógł co najmniej zapłacić odszkodowanie czy zrobić pranie. Nie chcąc tego słuchać, bezdomny skierował wzrok w przeciwną stronę, tam, gdzie ludzie palili papierosy. Jakiś tęgi starszy pan pochylał się nad dziewczynką. Dziewczynka patrzyła mu w oczy uśmiechając się kącikiem ust. Pan Stanisław podrapał się po karku i wydobyl z dna torby, spośród wielu przedmiotów, kanapkę. Młodego mężczyzny już nie było. Zanim jednak zdążył cokolwiek ugryźć, posmakować kotleta i stopionego sera, zauważył, że jedyny tutaj ochroniarz zmierza w jego stronę. Starszy, przygarbiony mężczyzna, u którego blizna na twarzy budziła strach większy niż dzwoniące kajdanki rzekł obniżonym głosem:

- Idź na dwór i przyjdź po koncercie. Rozumiesz?
- Zimno jest.
- To... Idź na koncert. Nie siedź tu.

Tak też bezdomny zrobił. Wrzucił kanapkę i książkę, bo lubił czasem poczytać, do torby i poszedł za tłumem. Po drodze ktoś go zatrzymał i zrobił kilka zdjęć. Oślepiiony światłem pan Stanisław, zatoczył się jak pijany. Dobrze, że Tadek złapał go za rękaw. Tadek – przyjaciel. Dwa dni później ukazała się gazetka, w której znalazło się zdjęcie bezdomnego. W artykule o charytatywnym koncercie pół strony poświęcono ludziom z marginesu, którzy mimo swojej nędzy wrażliwi są na nieszczęścia drugich. Pan Stanisław o artykule dowiedział się kilka tygodni później, kiedy chcąc zapakować chleb szukał po koszach w miarę czystej gazety. Ucieszył się ze swojego zdjęcia, przypomniał sobie młodość, jak sam był dziennikarzem.

Bohater filmu Clinta Eastwooda (reżyseria i główna rola) pt. „Gran Torino” nazywa się Walt Kowalski. Dla dwóch przyjaciół od kufła piwa „Polaczek” – z pewnością urodzony w Ameryce – ma niezachwiane poczucie swej stuprocentowej amerykańskości. Flaga amerykańska niezmiennie powiewa przed jego piętrowym domkiem w stylu, a jakże, kolonialnym. Należy się domyślać, że zmarła żona Walta Kowalskiego (film zaczyna się od jej pogrzebu, a właściwie ceremonii żałobnej w katolickim kościele) też pochodziła z rodziny o polskich korzeniach. W jednym z trzech grzechów, jakie w końcu wyznaje Kowalski księdzu Janovichowi (nazwisko też brzmi dla Polaka nieobco!) także występuje Polka: młody, lecz już żonaty Kowalski pocałował w kuchni koleżankę żony, pannę Jabłońską (wymawia: Dżablonski), patrząc zaś z niesmakiem na zapuszczony trawnik przed sąsiednim, podobnym do jego, domem, spluwa i cedzi przez zęby: „Pilarski nigdy by do tego nie dopuścił”...

Polskość nie odgrywa w pamięci, czy świadomości, czy też zwyczajach domowych żadnej roli, ale już te nieliczne sygnały świadczą o tym, że Walt Kowalski przeżył swoje życie w środowisku amerykańskiej Polonii. Jakie to środowisko w sensie socjalnym? Bez wątplenia robotnicze. Walt Kowalski przepracował pięćdziesiąt lat w fabryce Forda, chyba jako monter osi układu kierowniczego, a wnosząc to stąd, że lubi się chwalić, iż taki układ właśnie on sam wmontował do (tytułowego) Gran Torino. Piękny to ford z roku 1972, i jeśli Walt Kowalski uważa, że coś na świecie jest piękne, to przede wszystkim, i może jedynie ten egzemplarz, który przechowuje w swoim garażu i systematycznie czyści na wysoki połysk.

Trzymam się tej wątej polskości Walta Kowalskiego, bowiem podejrzewam, że w czasach, gdy był dzieckiem lub wyrostkiem, musiał z jej powodu sporo wycierpieć. Pewnie nie szczędzono mu obelg, które nie pozwalały mu zapomnieć, że jest kimś gorszym. Ta polskość, której pewnie nie rozumiał, była raczej wadą niż zaletą, i dopiero udział w wojnie w Korei, co poświadcza szkatuła pełna wysokich odznaczeń, uczynił go Amerykaninem, a kraj, do którego przybyli jego rodzice (lub dziadkowie) stał się jego prawdziwą ojczyzną. Ale ten kraj bardzo się zmienił. Zmienił się równie mocno i głęboko, jak nie zmienił się Walt Kowalski. Dla tego świata Walt Kowalski ma w ustach gęstą ślinę, którą pluje na wszystkich i wszystko, na czarnuchów i żółtków, ale także na swoją wnuczkę. Podejrzewam, że kilkadziesiąt lat temu poplutowano tak w jego stronę. Bez wątplenia, bierze on odwet za „młode cierpienia”.

Świat, a w nim Ameryka, zmienił się, ale teraz to on jest prawdziwym



Gran Torino

Amerykaninem, weteranem wojennym, a ci w sąsiedztwie – to bez wątplenia gorsze plemię. Azjaci! Walt Kowalski głęboko pogardza czarnoskórymi, są to dla niego bez wyjątku „czarnuchy”, ale dla Azjatów ma nie tylko pogardę; pod tą pogardą kryje się jakiś głęboki uraz. Każda żółta twarz jest dla niego twarzą Koreańczyka, a przecież, kiedy był młody i chciał zasłużyć na miano prawdziwego Amerykanina, amerykańska ojczyzna kazała mu zabijać „żółtków” do ostatniego człowieka. Do dziś ma w domu karabin, z którego strzelał do znienawidzonych Azjatów.

I oto ma ich tuż obok. Zamieszkali w domkach, w których niegdyś mieszkali Pilarscy, a pewnie i Jabłońscy, wiele rodzin o nazwiskach kończących się na „ski”. Spośród tej żółtej ludzkiej magmy wyłania się dwoje młodych ludzi: siedemnastoletnia Sue i jej brat szesnastoletni Tao, którzy nieoczekiwanie wchodzi w życie Walta Kowalskiego. Najpierw antypatyczny sąsiad, który dobre słowo ma tylko dla swojej starej suki, mimo woli ocala życie Tao, co i w jego siostrze i w całej rodzinie chłopaka budzi wdzięczność, a jej następstwem są niemal hołdownicze wizyty z mnóstwem prezentów. A przecież Walt Kowalski interweniował tylko dlatego, że nękający chłopaka chuligani, a właściwie gangsterzy-wyrostki naruszyli jego prywatny teren, wleźli na jego trawnik! „Won z mojego trawnika, bo zastrzelę!” – to są słowa Walta Kowalskiego.

Co gorsza, Tao, którego Walt Kowalski nazywa niezmiennie Toad (co znaczy ropucha), udając, że nazwiska obcych są nie do wymówienia (bardzo się zdziwi gdy w przychodni lekarskiej, pielęgniarka (Azjatka!) będzie go wy-

POZA KADREM

woływać jako jakiegoś Koski’ego!) próbował ukraść Gran Torino z garażu Walta Kowalskiego. Przyłapany na tym przestępstwie, próbuje wymknąć się z pułapki, w jaką wpakowali go chińscy koledzy, a wśród nich jest także kuzyn Tao. Właściwie nie są to Chińczycy, lecz Hmongowie – mało znane plemię z Laosu, które podczas wojny w Wietnamie walczyło po stronie Amerykanów, o czym weteran wojny w Korei dowiaduje się

od Sue – i Walt Kowalski, chcąc nie chcąc, powoli wchodzi w tę nieznaną mu, lecz wskutek rasistowskich uprzedzeń, bo trudno tu mówić o przekonaniach, wrogą wspólnotę, co jest zasługą mądrej i po ludzku mu życzliwej Sue, która metodą „przez żołądek” trafia do serca gburowatego sąsiada-świra, w dodatku „starego koguta”, jak odbierają go azjatyccy sąsiedzi. Ta żywiołowa sympatia Hmongów z sąsiedztwa spada na Walta Kowalskiego jak szczerze niechciany ciężar, lecz dzieje się tak, iż pod wpływem tego osobliwego brzemienia zaczyna się coś zmieniać w Walcie Kowalskim, w środku. I nie jest to wcale przysłowiowy, konieczny w filmie hollywoodzkim „przełom w bulwie”; owszem, w strukturze dzieła filmowego taki moment, wedle wszelkich reguł, jest niezbędny, lecz przemiana, jaką obserwujemy w tym przypadku, jest rzeczywiście głęboką wewnętrzną przemianą jaka zachodzi w prawdziwym człowieku. A że jest to człowiek z krwi i kości – to już zasługa scenarzysty (debiut Nicka Schenka) i wielkiego artysty kina jakim jest bez wątplenia Clint Eastwood.

Jest w tym filmie jeszcze jedna ważna postać, która pojawia się na początku i powraca kilka razy w trakcie filmu, jak jakiś nienatrzętny lecz ważny temat muzyczny. To wspomniany już ksiądz Janovich! Przyrzekł on umierającej żonie Walta Kowalskiego, że sprawi, iż jej mąż przystąpi do spowiedzi. Jak między Waltem Kowalskim a Tao, tak i między Waltem Kowalskim a księdzem, od pewnego momentu zaczyna się dziać coś w rodzaju osmozy; jakieś myśli, jakieś prawdy, jakieś wartości przenikają się nawzajem, i nic nie odbywa się w hollywoodzkiej słodko-gorzkiej polewie, lecz rodzi się w bólu i udręce. Stąd też wybór, jakiego dokonuje Walt Kowalski, a którego nie zdradzę, wznosi tę przecież prostą i nieskomplikowaną postać na wyżyny człowieczeństwa, wznosząc zarazem film 78-letniego Clinta Eastwooda w najwyższe rejony sztuki.

FELIKS NETZ

Z poetą, publicystą i działaczem społecznym
JANEM GOCZOŁEM
 rozmawia MARIAN BUCHOWSKI



Rodzina Goczołów, około 1944 r. Od lewej: Jan, matka Emilia z synem Gerardem na kolanach, ojciec Józef z córką Marysią, Joachim.

Śląskowizna

– Wklepałem Cię w internet i wyskoczyło, że urodziłeś się w Rozmierzu. Powinno być, oczywiście, w Rozmierzy. Czym dziś dla Ciebie jest ta wioska pod Strzelcami Opolskimi?

– Sądzę, że dla każdego, kto się urodził i wyrastał we wsi, a więc w miejscu do objęcia jednym spojrzeniem, miejscu rozpoznawalnym dom po domu, ze znajomością nazwisk każdego z osobna i wszystkich mieszkańców takiej miejscowości – to miejsce jest węzłem najpierwszych, podstawowych skojarzeń i emocji; pozostaje w nas jak nie przecięta pępowina pamięci. Póki „rysy twarzy” tej miejscowości, jej zabudowa, jej drzewa i ogrody, jej pola dają się „na pierwszy rzut oka” rozpoznać, nie zmieniają się w anonimowość odnajdujemy się w niej jak w domu.

– Wybudowana w pobliżu cementownia bardzo zmieniła twą wieś?

– Rozmierz w latach mojego w niej wyrastania liczyła 93 domy. Dzisiaj jest ich niewiele więcej, układ ulic i pól też się mało co zmienił. Zajeżdżam tam więc bardzo często jak do siebie z dawnych lat, jak do czegoś trwałego... Można nawet, jeśli ktoś chce, powiedzieć: jak do czegoś odwiecznego i – wyobrażamy sobie – trwałego na zawsze, na wieki, (choć przecież krótko żyjemy). A moja Rozmierz istnieje już od co najmniej 750 lat (dwa lata te-

mu obchodziliśmy ten zaokrąglony jubileusz). Pamięć tak daleko nie sięga. Jakież ustne przekazy w takich miejscowościach bliższe są przypadkowo ocalałym szczątkom, okrucinom, legendom, niż szczegółowej wiedzy. Dla mnie nie ma to znaczenia – jak powiedziałem, jest dla mnie ta moja wieś rodzinna węzłem uczuciowym nie do zdefiniowania, choć bardzo wyrazistym, odczuwalnym codziennie jako pulsujące wspomnienia, jako czyste, młodsze i dorosłe wspomnienia. Staje się też często swoistym, indywidualnym, na mój własny użytek, „miernikiem wartości” dla mojej miejskiej codzienności.

– I jak w tej konfrontacji z Rozmierzą wypada „miejaska codzienność”?

– Składnikiem tej codzienności jest również bezradność i niekiedy z trudem łapaną dystans wobec wszystkich w tym mieście poniesionych klęsk. Bywa więc ciągle Rozmierz miejscem ucieczki przed agresywną anonimowością miejskiego molocha. Instynktownej ucieczki do sacrum tego miejsca. Owszem, zapisywałem to w wielu wierszach: *W niedzielę wracam do Rozmierzy: to ziarenko gorczycy / na mapie w skali 1:2 000 000, / 30 kilometrów na południowy wschód od Opola. / Gdzie kończy się obce: te ostatnie tysiące metrów / mojej drogi; tutaj idę już pieszo:*

od kamienia stajowego / do kamienia – jak od paciorka różańca do paciorka – tajemnica radosna, tajemnica bolesna, tajemnica / chwalebna. Asfalt popękał jak spierzchnięte wargi... Ale przecież ta wieś i nam się w takich chwilach przygląda: Wieś moja, żółw / Rozmierz jest to żółw siedemsetletni. / Z roku na rok po kroku uszła cało / Panom, wójtom i plebanom. / Rozmierz milczy, tak jak milczy zwierzę / Cierpliwe. Spod ciężkiej powieki patrzy / Oko, co się napatrzyło wiele więcej / Nikczemności. / Z rzadka, ale przecież, żółw ten mówi. Coś, / Być może, niezwykłego. Coś, być może, / Czego lepiej nie usłyszeć.

– Ale wiersz jest z czasów, kiedy jeszcze nie pleban, tylko towarzysz sekretarz próbował sprawować rząd dusz.

– Przywołana tu fraza Mikołaja Reja z XVI-wiecznej *Krótkiej rozprawy między Panem, Wójtem a Plebanem* jest tylko pobocznym echem moich, trwających w chwili pisania tego wiersza, studiów filologicznych, otwierającym perspektywę ponadczasowości tej wsi-żółwia z jego wielowiekowymi doświadczeniami, tajemnicami i przemilczeniami.

– Internetowa wyszukiwarka, kiedy zadałem jej *Twoje imię i nazwisko*, wyświetliła też wykaz ofiar Wehrmachtu, rozstrzelanych 1 września 1939 r. w Imielinie koło Mysłowic. Wśród 20 nazwisk rozstrzelanych jest też „Jan Goczoł, urodzony 19 października 1897 r.” Twój ojciec, wywieziony bezpowrotnie z Rozmierzy przez Rosjan w 1945 roku, miał na imię Józef. Pamiętasz ojca?

– O Janie Goczole z Imielina kiedyś się skądyś dowiedziałem. Przeczytałem o okolicznościach jego śmierci. I taka wiedza też może tkwić w milczeniu tego mojego żółwia-Rozmierzy. Być może do Imielina przeprowadziła się ze Śląska Opolskiego jego rodzina po powstaniach, plebiscycie i podziale Śląska w 1921 roku, tak jak na polską stronę Górnego Śląska przeniosła się wtedy inna rodzina Goczołów, spod Głogówka. To byli, prawdopodobnie, moi krewni: w latach siedemdziesiątych otrzymałem niespodziewanie list od Franciszka Goczoła, mieszkającego w Jeleśni za Żywcem, ożenionego z tamtejszą góralką. Napisał do mnie – na adres wychodzącej wówczas w Katowicach „Panoramy”, w której, z jakiejś tam okazji, znalazła się moja fotografia. Napisał mi, że na tej fotografii jestem bliźniaczko podobny do jego brata. Skąd on się jednak tam, w tej Jeleśni wziął?

Otóż Goczoł z Jeleśni mieszkał w czasie wojny też gdzieś w okolicach Miechowa czy Mysłowic, działał w podziemiu, w 1944 roku został aresztowany i podczas transportu do obozu koncentracyjnego udało mu się uciec. Po wojnie, z wykształcenia inżynier, został wydelegowany przez generała Zawadzkiego do Opola, do zespołu mającego przejmować opolskie fabryki i obiekty przemysłowe. Ale trwał już demontaż urządzeń tych obiektów i załadowywanie ich na wagony podstawiane na poszerzonej na prędkę linii kolejowej. Miało to, rzecz jasna, jechać na wschód. Protesty tego Goczoła stawały się dla niego coraz niebezpieczniejsze: za „radą” generała Zawadzkiego schował się w Beskidach, w Jeleśni właśnie. Tam odnalazł

się w rzeźbieniu. A tęsknotę za Śląskiem zapijał. Ponad miarę, by żyć dłużej. Jeszcze go zdążyłem w Jelesni odwiedzić. To też mojemu żółtowiowi powierzyłem.

A wracając do Jana Goczola z Imielina: mój ojciec, Józef, gdyby był zdolny do służby wojskowej, to jako ówczesny obywatel niemiecki, mógł znaleźć się w oddziale Wehrmachtu, który rozstrzelał mężczyzn, wśród których był Jan Goczol.

Co w pamięci mojej wsi nie byłoby czymś niepojętym. Na cmentarzu w Rozmierzy, w drugim rzędzie po prawej stronie, jest grób Jana Lasończyka. To był brat mojej teściowej. Pochodzili z bliskiego Osieka, kiedyś należącego do naszej parafii. Jan miał trzech braci. Wszyscy czterej wzięli udział w III Powstaniu Śląskim. Jeden z nich, Wilhelm, zginął pod Górą świętej Anny. Dwoje starszych (aktywnych w kampanii plebiscytowej), po podziale Górnego Śląska przeniosło się na stronę polską – jeden, Jan, do Lublińca, drugi, Franciszek, do Tarnowskich Gór. Najmłodszy, Józef, został na ojcowiznie w Osieku. W 1939 roku bracia z polskiej strony granicy walczyli w polskich mundurach KOP-u – jeden na froncie zachodnim, przeciwko Niemcom, drugi na froncie wschodnim, przeciwko Armii Czerwonej. Najmłodszy w niemieckim mundurze Wehrmachtu – na górnośląskiej flance południowej. Ten z frontu wschodniego, po dostaniu się do niewoli znalazł się na Syberii, potem z armią generała Andersa przeszedł przez Bliski Wschód, by walczyć pod Monte Cassino. Ten z frontu zachodniego przesiedlał całą wojnę jako jeniec w niemieckim stalagu. Najmłodszy wrócił na ojcowiznę.

Kiedy wszyscy trzej szczęśliwie powrócili do domów i się spotkali, okazało się, że dwaj z nich w czasie wojny dosłownie mogli mierzyć do siebie: Jan z Tarnowskich Gór w polskim mundurze KOP-u, oraz Franciszek z Osieka w mundurze Wehrmachtu, przez cały czas kampanii wrześniowej przemieszczali się z okopów do okopów w odległości kilku kilometrów od siebie... Siedzieliśmy na drugi dzień naszego wesela i milczeliśmy nad tym gorzko przy kieliszkach poweselnego portierówki. Bo o czym tu więcej było mówić? Cmentarz w Rozmierzy przechowuje to w swojej milczącej pamięci siedemsetletniego żółwia.

– A ojciec?

– Mój ojciec nie ma swojego cmentarza. Jeden z nielicznych świadków, którzy z obozu w Borżomi na Zakaukaziu powrócili, zeznał przed sądem w Strzelcach, że spośród kilku tysięcy wywiezionych i przetrzymywanych tam Ślązaków codziennie umierało na tyfus głodowy kilkadziesiąt mężczyzn, których zwłoki zakopywano w naprędce wygrzebanych zbiorowych dołach.

Zapamiętałem ojca z ostatniego z nim spotkania, kiedy pobiegliśmy z matką do niedalekiego Suchego Dąbca, gdzie w szkole – jak się dowiedzieliśmy – miało nocować kilkudziesięciu mężczyzn zabranych z naszego powiatu i prowadzonych przez żołnierzy rosyjskich gdzieś w kierunku Opola. Miałem wtedy 11 lat. Ojciec dał mi książkę, jaką znalazł w celi strzeleckiego więzienia, w której prze-

trzymywano go wraz kilkunastoma innymi z sąsiednich wsi: „Przeczytasz ją sobie, gdy będziesz starszy. To piękna książka.” Przez wiele lat tę książkę przechowywaliśmy – było to niemieckie wydanie „Quo vadis” Sienkiewicza. Nigdy przedtem o takim autorze nie słyszałem.

– Poezja, dobra poezja, to są w jakimś sensie szczyty umiejętności językowych, dawanie rzeczy odpowiedniego słowa, a „rzecz” poetycka to przecież coś niekiedy ledwie przeczuwanego, mającego gdzieś w otchłani podświadomości, wypatrywanego za horyzontem rozumu... Ty, autor znakomitych wierszy, zaczynałeś edukację od niemieckiej szkoły, do władania językiem niemieckim byłeś przysposabiany...

– Ale moim językiem pierwszym, językiem domowym, językiem i matki, i ojca, była śląska gwara. Z punktu widzenia dialektologii – tak zwana gwara kobylorzy, mieszkańców okolic Góry świętej Anny i powiatów strzeleckiego oraz toszeckogliwickiego, polska gwara śląska. To był – jak każda gwara – język mówiony. Ale polskich liter – nieistniejących w alfabecie niemieckim, jakiego uczyliśmy się w szkole i jakim drukowane były podręczniki – uczyła mnie jeszcze podczas wojny nasza starka, babcia, z przechowywanych przez nią w ukryciu głęboko pod łóżkiem egzemplarzy wychodzącego na Górze św. Anny do 1936 roku „Głosu św. Franciszka”, oraz z wydanego w 1884 roku w Brzegu „Żywota wszystkich świętych”. To, być może, były prapoczątki moich fascynacji językowych, urzecznień znaczeniem, a potem i pochodzeniem słów. A kiedy po przejściu frontu i naszych szkolnych „wielkich wakacjach” (między ostatnim dniem w szkole niemieckiej, a pierwszym dniem w szkole polskiej) nowy kierownik szkoły zorientował się, że zaskakująco dobrze radzę sobie z czytaniem po polsku – zaczął mi przynosić ze swojej domowej, a wkrótce już i z zaczątków szkolnej biblioteczki wciąż nowe książki. Połykałem zachłannie jedną po drugiej, wciąż nienasycony, wciąż rozpalony ciekawością następnej.

I zostało to we mnie do dzisiaj, pogłębiając z roku na rok moją gorzką bezsilność, że nie zdołałem przeczytać choćby tych, które zgromadziłem w domu w gorączkującym przeświadczeniu, że każda z nich została napisana jakby dla moich wyczekiwań. W słowach książek zda mi się słyszeć więcej, niż tylko ich językowe znaczenie. Często samo brzmienie, kadencje zdań, zaskakujące pointy i wieloznaczności, wyzwalały niespodziewane, a nieznane uprzednio przestrzenie emocji i refleksji. Na tyle, na ile znam język niemiecki oraz rosyjski, również w tekstach i w książkach napisanych w tych językach to mnie spotyka.

– Jak to się stało, że rozmiłowany podczas filologicznych studiów w gramatyce historycznej, onomastyce, dialektologii – na temat pracy magisterskiej wybrałeś „Nowe kierunki w poezji dla dzieci”?

– Trafnie określiłeś moje rozmiłowania podczas studiów. Od razu mogę powiedzieć, że te rozmiłowania pozostały moją miłością trwałą, na całe życie. Do dzisiaj w gramatyce historycznej odnajduję

„rodowody” moich fascynacji etymologią i onomastyką, a dialektologia jest najpewniejszym i najbardziej niezbędnym „kompasem”, gdy chcę coś komuś, ale i sobie, powiedzieć o gwarach śląskich; „odzywała się” ona we mnie także w każdej podróży w nieznane zakątki za granicą, choćby podczas pobytów w Macedonii, w Szlezewiku i na Wyspach Północnofryzyjskich, czy na Ałtaju (kiedy stamtąd zawsze przywoziłem do domu – zamiast spodziewanych, choćby drobnych, suwenirów – tylko słowniki i mapy tamtejszych dialektów i narzeczy, niekoniecznie w pierwszej chwili spotykała mnie wyrozumiałość).

A temat pracy magisterskiej? Może z tej samej fascynacji językiem? W tym czasie wchłaniałem literaturę polskiej awangardy – prozę Bruno Schulza. Witolda Gombrowicza, dramaty Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz poezję Tadeusza Peipera, Józefa Czechowicza, a nade wszystko Juliana Przybosa. Niespodziewanie zetknąłem się z jego wierszami do córeczki Uty. To było olśnienie. Tak pisać o dziecku i dla dziecka! W takiej gamie, w takim akordzie fonetyczno-znaczeniowym! A na roku magisterskim miałem też wykłady ze znakomitą, a wrażliwą znawczynią historii poezji dla dzieci, panią profesor Izabellą Lewańską z Warszawy. To w sposób nieuchronny ten temat mojej pracy magisterskiej wywołało. Z ogromną dla mnie satysfakcją czytelniczą – rozczytałem się w wierszach dla dzieci, od Stanisława Jachowicza aż po Joannę Kulmową, poznałem znakomitych, najlepszych wówczas w Europie polskich ilustratorów książek dla dzieci, zapoznałem się z opracowaniami historyków tego działu literatury, z pracami pedagogów i psychologów na temat tych utworów. Przez ten pryzmat uzyskuje się nowy i pełny ogląd słowa poetyckiego. Co nie musi być istotne dla samowiedzy poety, ale jest fascynujące dla czytelnika poezji, literatury w ogóle.

– „*Biurko mi dziczało, pozarastało perzem / Niejasnych referatów, lichych komentarzy. / Wiersz się nie przedrze przez te klączy – zagłuszony / Śmiertelnie w samym zarodku pierwszego słowa...*”. To nie moje wyznanie, tylko początek jednego z twoich wierszy.

– Ten wiersz powstał w czasie, kiedy zanurzyłem się w wiry działalności społecznej, która miała – i ma, nie tylko w tamtych czasach – mniej lub bardziej obligatoryjne zabarwienie polityczne; i przesobowanie Opolskiemu Towarzystwu Kulturalno-Oświatowemu, i zasiadywanie w gremium kierowniczym opolskiego Stowarzyszenia „Instytut Śląski”, z okolicami poezji tożsame być nie mogły. W tym też czasie jeden z recenzentów moich wierszy napisał, że ich autor to psychicznie w połowie *homo poeticus*, w połowie *homo politicus*. Może była to, doraźnie, trafna diagnoza.

Ale kiedy teraz, pod koniec życia, próbuję spojrzeć na tamtego siebie z takim swoiście schizofrenicznym rozdwojeniem, to – nie tłumacząc siebie i nie mitologizując lat „spóźnionego dojrzewania” (albo wręcz dożywotniej emocjonalnej „dziecięcej naiwności”) – chyba „obciążony” je-

stem (byłem?) genetycznie. Jednak musiałbym to tłumaczyć zbyt długo pamiętanymi poglądami ojca i matki na współzycie naszej wiejskiej społeczności.

Nie czas i nie miejsce na to. Dość że powiem, iż będąc ministrantem w naszym parafialnym kościele, podczas dużych przerw międzylekcyjnych, nie pamiętam z jakich motywacji, zacząłem zabierać koleżanki klasowe do sąsiadującego ze szkołą kościoła, sadzałem je w ławkach, a sam, przebrawszy się w zakrystii w mszalny strój ministrancki, wychodziłem na ambonę i w szczerym uniesieniu głosiłem im jakieś moje młodzieńcze prawdy. Proboszcz w końcu mnie przyłapał (przypuszczam, że za sprawą donosu jakiegoś klasowego zawistnika) i w trybie natychmiastowym przestałem być ministrantem. Ku bolącemu zawstydzeniu matki. Dla mnie zaś było to pierwsze doświadczenie konfliktowości profanum ideologii (ja jako pouczający społeczność koleżanek klasowych) z sacrum poezji (ja w swoim niewinnym, a naiwnym uniesieniu kaznodziejskim).

Szczęśliwie swoje społecznikowskie złudzenia mogłem przenieść na scenę naszego wiejskiego teatru amatorskiego – nie tylko zaczynałem grać główne role, ale i pisywałem dla tego zespołu okolicznościowe wiersze i przemowy. Jeszcze szerszym i nieomal całorocznym forum mojego profanum stał się też nasz wiejski Ludowy Zespół Sportowy – w nim także wybierano mnie na prezesa, a swoje sportowe „sacrum” odnajdywałem w radości grania w drużynie piłki nożnej, a szczególnie w uprawianej amatorsko lekkoatletyce (biegi średnie i długie – włącznie z maratonem; przeżyłem więc i swoją „samotność długodystansowca”!). Późniejsze – już w mieście – wieloletnie „zaangażowanie” mo... a więc uznać jedynie za „dorosłą recydywę”.

– Zaklinałeś się gdzieś na piśmie: „Wszystkie moje wiersze powstały z miasta, z zamieszkania w mieście”. W jednym z wierszy podmiot liryczny opuszczając wieś mówi: „W zapisie przypadło mi miasto”. A może to los najtrafniej rozszyfrował poetę Goczoła i w ramach ulubionej przez los poezji przypadków dał Ci administracyjny adres: Opole, dzielnica Półwieś? Jesteś człowiekiem półwsi?

To, jak mówisz, zaklinanie się, iż w zapisie przypadło mi miasto, pojawiło się we mnie w czasie, gdy zamieszkałem w samym środku miasta. Dosłownie w środku, bo topograficznie precyzując: przy opolskim rondzie, krzyżującym ulice prowadzące do śródmieścia z Wrocławia od zachodu, z Katowic od strony wschodniej, oraz Namysłowa od horyzontu północnego. W moim ówczesnym postrzeganiu i odczuwaniu – ja-



Poeta w czasach jednej belki

kieś nieomal tektoniczne epicentrum nad moją niepewną „miejskością”. Do rodzinnej wsi i jej „wiejskości” było już bezpowrotnie daleko, do tej „miejskości” wcale nie bliżej. Ale oba te oddalenia zdawały się tworzyć jakąś obiektywizującą perspektywę: siebie widziałem i rozumiałem w niej i tam, i tu.

Dla wyobraźni poetyckiej nie musiało to być schizofrenicznym rozszczepieniem, choć niekiedy prowadzić może do manifestacji swoście masochistycznych. Ten bunt, a przynajmniej niezgoda, też z latami „się ustatecznia”: moim pewnym, nieporuszonym „środkiem świata” stawał się rok po roku mój na Półwsi dom, z przydomowym ogródkiem i podwórkiem. Na którym czterdzieści lat temu posadziłem „swoje” drzewo – wyrytą w zamiejskich chaszczach brzozę; co jest istotne i pozostaje wizualnie sprawdzalną stałością tego miejsca. Jeżeli los, jak mówisz, może najtrafniej mnie rozszyfrował, dając mi adres mojego zamieszkania: Opole, dzielnica Półwieś, to gdyby ta dzielnica tej nazwy nie nosiła, może byłbym ją dla siebie, na własny użytek, musiał wymyślić. Bo, istotnie, od dawna już (choć nie wiem od jak dawna, od jakiej chwili) pozostaję w sobie mieszkańcem półwsi.

– Rafał Urban, legendarna, barwna, wielkiego formatu postać opolskiego

środowiska literackiego, „usynowił” Edwarda Stachurę i ciebie. Miałeś więcej takich z wyboru powinowactw emocjonalno-intelektualnych?

– Tego „synowskiego” powinowactwa emocjonalno-intelektualnego z Rafałem Urbanem nie da się, oczywiście, opisać czytelnikowi, który „ojca” Rafała nigdy nie słuchał, a choćby tylko widział. Dla siebie samego też nie umiałbym o Nim powiedzieć ponad to, co było i pozostało tym bezsłownym, a właściwie – ponad słownym wzajemnym powinowactwem-rozumieniem, powinowactwem-odczuwaniem. To było przeżycie i doświadczenie wyjątkowe, nie do wymiarzania i do porównywania. Ale innymi powinowactwami duchowymi, emocjonalno-intelektualnymi, które można też nazwać przyjaźniami pisarskimi, los mnie kilkakrotnie obdarzył. Były, albo są to przyjaźnie z nieżyjącymi już Tadeuszem Nowakiem, Bolesławem Luboszem i Wilhelmem Szewczykiem, z Wiesławem Myśliwskim i ze Zbigniewem Domino, ze Zbigniewem Żakiewiczem (kiedyś mieszkającym w Opolu, a teraz w Gdańsku), a także z Uwe Juergensenem z Kilonii oraz z nieżyjącym już Aleksandrem Plitczką z Nowosybirsk. Taką bliską przyjaźń spotkałem także ze strony, również nieżyjącego już,

malarza Krzysztofa Buckiego rodem z Pińczowa. Choć zabrzmiałoby to sentencjonalnie, mogę powiedzieć, że w codziennej mojej pamięci wszyscy oni żyją, często z nimi w milczeniu, w nocnym osamotnieniu szczególnie, rozmawiam.

– Mówią i piszą o Tobie, że jesteś nieuleczalnie chory na Śląsk i śląskość, opętany Śląskiem, Obserwuję z daleka, jak pilnujesz czujnie tej swojej „śląskowizny”, tego Śląska traktowanego jak ojcowizna przekazana w opiekę przez odległe pokolenia. Jeden z krytyków napisał o Tobie: „Trybun milczącego ludu”. Ten lud przecież przemówił. I co słyszysz?

– Pisarska choroba „na coś” nazwana została kiedyś, w odniesieniu do kogoś innego, wielkiego, „piękną chorobą”. Nie przymierzając swoich wierszy czy innych moich wypowiedzi do tego porównania, to odczytywanie ich jako „opętanie Śląskiem” mogę przyjąć, a nawet siebie nim przed sobą samym tłumaczyć (przecież nie usprawiedliwiać!): „opętanie” z „oplatania” się wywodzi, więc poeta powiada: *Z tęczy, co wiecznie swą wstążką opęta skrzydła fontannom i włos uaniela. Wyszyły anioły przewodne...* (Słowacki, Beniowski). Pozostając za zasłonami tych poetyckich porównań, mogę odpowiedzieć, że „Śląsk” i „śląskość” są we mnie

opętane i barwnymi wstążkami, i krwawymi bandażami, a niekiedy – coraz częściej dzisiaj – papierowymi taśmami wyciągów bankowych i rachunków z kas centrów handlowych.

Lud milczący (którego trybunem chciało mnie widzieć), przemówił, powiedział. I pytasz, co teraz słyszysz? Gdybym był masochistycznie złośliwy i zgorzkniały, to odpowiedziałbym może, iż słyszysz tuptanie za paszportem przed wiadomym konsulem, szelest liczonych banknotów, zuniifikowane gaworzenie przy grilowaniu. Myślę jednak, jestem o tym spokojnie przekonany, bo bywam tam w samym środku dostatecznie często, na co dzień prawie, że ów śląski „lud” moich stron rodzinnych, to znaczy „mojego” Śląska Opolskiego, nadal ma swoje przestrzenie milczenia, które są jego głębszą, a nie powierzchownie manifestowaną tożsamością.

Nie jest to już jednak milczenie sparaliżowanego niemotą poczucia niepełnowartościowości współmieszkańca, niepełnowartościowego tubylcy, owego Starego Ślązaka z jednego z moich wierszy, podobnego do Siuxy z rezerwatu w Indianopolis. Tę dzisiejszą przestrzeń milczenia Ślązaków dostrzegam na nowo, choć inaczej, w tym, jak oni obecnie swoją śląskość na sobie noszą – nie zasłaniając jej wstydliwie, nie odgradzając się nią od wszystkiego „nie śląskiego”. I w tym, jak wytrwale i przemyślnie, ale nie manifestacyjnie kształtują swój widzialny „świat obecności” – swoje domy, obejścia tych domów, przydomowe ogrody. I nie nowy, ale z widocznym nowym zaparciem, wytrwały sposób ich pracowania – w domu i poza domem. O tym nadal są „milczącym ludem”, widocznie nie odczuwają potrzeby i nie widzą celu, by o tym wszystkim opowiadać. To teraz słyszysz.

Co wcale nie musi być tanim optymizmem. Optymizmem w ogóle. Bo jeśli radować musiało spontaniczne i w jakimś sensie manifestacyjne odrodzenie się śląskiego ruchu śpiewaczego, a na Śląsku Opolskim zawiązało się kilkadziesiąt nowych zespołów śpiewających dawne śląskie pieśni ludowe, to pozostaje to pasją i wzruszeniem samych zespołów, co powyżej lokalnych wiejskich społeczności. A na marginesie, choć wcale nie marginesowo: najświetniejszy z tych zespołów, o najwyższych walorach artystycznych i wykonawczych, czteroosobowy zespół „Silesia” z Lubnian w powiecie opolskim (podziwiali go ze wzruszeniem słuchacze na Litwie, w Białymostku w Rosji, w Texasie, w Niemczech i w Czechach) nie może się doczekać właściwego, a zasłużonego uznania nawet ze strony Towarzystwa mniemającego się Towarzystwem Przyjaciół Śląska...

– Spotykający się corocznie latem w Jarnołtówku osobnicy dotknięci „śląskim zajobem” podarowali ci jednoegzemplarzowy T-shirt z wielkim napisem: **DZIEDZIC ŚLĄSKOŚCI**. Jak dziś wygląda to dziedzictwo? Czy dziś na włościach powojenny „instynkt przywarcia do ziemi” – jak to gdzieś napisałeś – zastąpiło otwarcie na świat zewnętrzny? Czy jest to wreszcie otwartość bezpieczna, nie wymagająca już wyjazdu stąd?

– „Dziedzic śląkości” – to określenie sformułowała wobec mnie (właściwie wobec mojego pisarstwa) najpierw Krystyna Kossakowska-Jarosz z Uniwersytetu Opolskiego w szkicu zamieszczonym w zbiorze „Człowiek i czas” z 2002 roku. Głównym „osobnikiem” wśród tych „dotkniętych śląskim zajobem”, z którymi corocznie latem spotykam się w Jarnołtówku, jest Janek Cofałka, autor głośnej ostatnio książki „Ślązacy w Warszawie”, mój przyjaciel, który ów jednoegzemplarzowy T-shirt (tak się to teraz nazywa?!; nazywałem to zawsze koszulką) wymyślił i uroczysto mi go wręczył. Nie będę zaprzeczał, że mnie to wzruszyło, a na dodatek chyba i obudziło skrywaną, albo też uspioną w duszy małą, przyrodzoną być może każdemu, próżność: podczas każdego nowego tam pobytu demonstracyjnie ją ubieram.

Co zaś do samego „dziedzictwa”. *Powojenny instynkt przywarcia do ziemi*, skoro tak gdzieś kiedyś zapisałem, przywołany został przeze mnie zapewne z wielokroć widzianego obrazu przywartego do ziemi zająca w bruździe, zalęknionego rzeczywistym lub domniemanym niebezpieczeństwem. Dzisiaj wydaje mi się to bardziej postawą, może odruchem, ponadczasowym; niepewność chłopskiego losu, mieszkańców wsi – i to nie tylko na Śląsku – pojawiała się kolejnymi powracającymi falami. W zbiorowej „mądrości” wyrażała się nieufnością nawet wobec oficjalnego słowa drukowanego: „papiór je cierpliwy”, słyszałem w dzieciństwie nie jeden raz, gdy próbowałem w swoich argumentach powoływać się na gazety. Ale też rzeczywiście wyraźnie się staje – szczególnie w młodym pokoleniu – otwarcie na świat zewnętrzny. Nie instynktem, lecz bezpośrednim doświadczeniem tego świata. I też nie „hurtowo”, lecz poprzez indywidualne, wielokrotnie weryfikowane doświadczenia (otwarte granice, wyjazdy do pracy poza swoją parafię czy gminę, powszedność i wielorakość ponadmiejscowych sugestywnych, wzmocnionych obrazem informacji i kontaktów medialnych). Dlatego też dawne „wyjazdy stąd” były, w gruncie rzeczy, ucieczką, wiado-

mo, „od czegoś”, i wiadomo, „do czegoś”. Dzisiejsze wyjazdy to prawie wyłącznie już tylko wyjazdy czasowe, za każdym razem finansowo skalkulowane. Tak, jak w wielu innych regionach kraju i świata.

– W odautorskim słowie otwierającym tom Twoich „Wierszy wybranych” napisałeś gorzko: „*uznaję, że całe to moje poezjowanie było konieczne, być może po to, by przy końcu napisać pół tuzina wierszy o Starym Ślązaku*”. Kim jest ten Stary Ślązak z twoich wierszy? Co go do tych wierszy przywiodło?

– „Niewidzialny, ale jest”, tak teraz o nim piszę. Jako niewidzialnie realny może być i mna, i moją wyobraźnią o sobie, ale i kimś z moich namiętnych pragnień o wymierzeniu sprawiedliwości fałszom o naszym życiu – on byłby wtedy tym koronnym, nieprzekupnym świadkiem tego wszystkiego, czego tutaj, na Śląsku, doświadczyłem, w co uwierzyłem i wierzę. To pragnienie-marzenie o takim świadku coraz to go przywołuję, a on w milczeniu, zda się, na to przystaje. I wciąż jeszcze czeka na swoje „ostatnie słowo” przed sprawiedliwym trybunałem przyszłego czasu.

– Na Opolszczyźnie mieszkają nie tylko – jak to się dawniej mawiało – autochtoni. Nie zapukał nigdy do twojej wyobraźni jakiś, dla odwagi lekko podpity, Stary Repatriant? Jakiś praprzodek Janiny Ptań, drugiej symbolicznej postaci pojawiającej się w Twojej twórczości, córki ludzi wywiezionych z Polski podczas okupacji na roboty przymusowe... Taki ktoś z „repatrianckiego” poematu „12 stacji” Tomasza Różyckiego, wyróżnionego niedawno Nagrodą Kościelskich...

– Owszem, zapukał, ale dla odwagi nie był podpity – nienapoczętą butelkę dobrej, samogonowej śliwownicy przyniósł w gościnę ze sobą. I przyszedł wraz ze Starym Ślązakiem z „Listu autochtonicznego do Janiny Ptań”. I tak, jak można było się spodziewać, zaczął przy tej już odkorkowanej butelce samogonowej śliwownicy opowiadać o swojej wsi rodzinnej, Maczugach, na wschód od Sanu, wsi już nieistniejącej, po wojnie została spalona przez grasujące tam bandy nacjonalistów. Opowiadał, jak



Z Wielawem Myśliwskim w Zamku Ostrogskich.



Jan Goczoł w otrzymanej od przyjaciół koszulce „Dziedzic śląskości”. Jarnołówek 2001 r.

podczas wojny był przymusowo wywieziony w głąb Rzeszy, w okolice Paderborn, gdzie pracował u jakiegoś bauera, jak poznał tam swoją przyszłą żonę, dziewczynę z Kieleckiego, też przymusowo w tamte strony wywiezioną, jak się tam zaraz po wojnie pobrali i w tym Paderborn urodziła im się córka, która teraz jest nauczycielką w Opolu, i jak urodzona w Opolu wnuczka poznała podczas studiów w Lublinie jakiegoś hanysa, który wraz z rodzicami wywędrował z Górnego Śląska do Moenchengladbach w Nadrenii, znaczący się, do RFN, a do Lublina przyjechał na studia dentystyczne, bo tu taniej, i jak ta wnuczka za tego hanysa się wydała i też wyjechała tam na Zachód. Opowiadał o tym bardzo powoli, kiwając przy tym głową nie wiadomo, z niedowierzania, czy z bezradności, może z goryczy...

Ta opowieść Starego Repatrianta mogłaby się znaleźć jako współbrzmiały motyw w przywołanym przez ciebie poemacie „12 stacji” Tomasza Różyckiego, poety z Opolą. To jest poemat (i poeta) z oddechem epickim. Rzadkim, albo w ogóle nieobecnym we współczesnej poezji polskiej. I choć wiele konstatacji czy osądów żywiołu autochtonicznego na Górnym Śląsku powtarza utarte stereotypy, które by tej kondycji epickiej mogły zaprzeczyć, dla czytelnika „repatrianckiego”, czy też bardziej jeszcze – „pozaśląskiego” jest ten poemat kreacją z pewnością artystycznie bardzo sugestywną i wartościową. Nagroda Kościelskich dla „12 stacji” nie była więc zaskoczeniem.

– Byłeś w 1970 r., wraz z Edkiem Pochroniem, współzałożycielem miesięcznika społeczno-kulturalnego „Opole”, potem jego redaktorem naczelnym. Do „Opola” wróciłeś z katowickiej emigracji dziennikarskiej, podczas której byłeś w „Poglądach” (redagowanych przez Wilhelma Szewczyka) delegatem Opolszczyzny w rządzie duszami śląskimi. Bo niezła się wtedy paka w „Poglądach” zgromadziła, musiało tamto towarzystwo wpłynąć nie tylko na Twoją samoświadomość artystyczną, ale i „plemienną”.

– Z pewnością najpierw odczuwałem w tamtych stronach wyraźną wspólnotę plemienną. I to jeszcze wiele lat przed moją „emigracją” do „Poglądów”, bo już w 1951 roku, w pierwszej klasie licealnej, odkryłem dla siebie, skądinąd bardzo przypadkowym a szczęśliwym zbiegiem okoliczności, chorzowski „Ruch” – drużynę, jej stadion i jego okolice. W ówczesnej atmosferze meczowej na stadionie (a w przed- i pomeczowej – w niedalekiej piwnicy) odczułem coś bardzo swojsko bliskiego, powszechny wokoło „wspólnotowy” język gwarowy, aczkolwiek dla mojego ucha wówczas nieco ciemniej zabarwiony, niż nasz, rozmierski; poczułem się od razu, jak u siebie w domu”. Jeździłem przez wiele lat na mecze tej „mojej” drużyny. Kiedy więc po studiach otrzymałem od Wilhelma Szewczyka propozycję pracy w katowickich „Poglądach” („póki nie będziecie mieli w Opolu własnego czasopisma kulturalnego”), nie ostatnią motywacją przyjęcia tej propozycji było to, że jadąc pociągiem do Katowic, przejeżdża się przez Chorzów Batory – z okien wagonu mogłem widzieć dach trybuny stadionu „Ruchu” (bardzo często zresztą, w drodze powrotnej, wysiadałem na tamtejszym dworcu, by przed kolejnym pociągiem do Opoli pochodzić sobie po pustym zwykle stadionie „niebieskich”).

A w redakcji „Poglądów” „śląska paka” była, istotnie, bardzo silna: poza Szewczykiem jeszcze Bolesław Lubosz, Tadeusz Kijonka, Albin Siekierski, Stanisław Wilczek. Tę katowicką „śląskość” zasilali również sosnowiczanie rodem z Jaworzna Jan Pierzchała i Jerzy Moskał, nasz grafik, znakomity scenograf, pochodzący z rodziny drohobyckich naftarzy! A do tego do redakcji wpadali profesor Jan Szczepański, Kazimierz Kutz, „naiwny” malarz Paweł Wróbel... Wieża Babel przed pomieszaniem języków. Dla mnie zaś „śląskość” poszerzona i pogłębiona – terytorialnie i świadomościowo. Widziana w innej, dotychczas nie znanej mi bliżej – nie tylko geograficznie – perspektywie: historycznej, kulturowej, obyczajowej.

– Wytrwale mitologizujesz ten swój Śląsk. A przecież prawdą jest i to, że ci z odwiecznymi tu korzeniami Ślązacy bardzo się – niestety – „spolonizowali”: rozpili, podzielili, skłócili...

Od dawna powątpiewam czy pijaństwo, podziały i kłótnie są cechami wyłącznie Polaków. I czy przed – ratałną, po I oraz po II wojnie światowej – „polonizacją” Górnego Śląska i Górnoszlązaków, byliśmy przykładem wstrzeźliwości i plemiennych zgody. Wystarczy sięgnąć do górnoszląskiego piśmiennictwa okresu wykorzenia się wielkich rzesz Górnoszlązaków z życia wiejskiego i przenoszenia się do powstających pierwszych osad famiłek w rozwijającym się górnoszląskim rewirze przemysłowym (kopalniano-hutniczym). „Erinnerungen” („Wspomnienia”) Maxa Ringa, wieloletniego lekarza w tym rewirze, wydane w 1898 roku we Wrocławiu, są w tym względzie dokumentem (jednym z wielu) wstrząsającym. Jeśli i dzisiaj te rzekomo typowe polskie cechy spotykamy bardzo często i na Górnym Śląsku, to – co znamienne i charakterystyczne – mamy z nimi do czynienia właśnie w tych zagęszczonych, w dużym stopniu „anonimowych” skupiskach przemysłowych górnoszląskiej „wielkiej aglomeracji”.

– Mieszkam teraz w gminie, w której mniejszość niemiecka jest większością w samorządzie, rządzi gminą, a wszędzie rozprawiają gwara z pewną ostentacyjną głośnością. I to dziś ja, przybysz z Dąbrowy Górniczej, czuję się jak jakiś zagłębiowski aborygen, przeflanowany w świat języka, w którym, a jakże, potrafię już dosłuchać się ech staropolszczyzny. Ale dziś to ja jestem „nieswój”, kiedy proszę o kaszanke, a nie o krupniok. Więc zapytam Cię, Janku, jak Cię lubię i cenię: czy wy, odwieczni tutaj, nie przesadzacie z tym rzekomym po dziś dzień utracaniem was, spychaniem na margines? A może rasowy Ślązak Kazimierz Kutz ma trochę racji zarzucając Ślązakom „dupowatość”, która mogła być istotną współprzyczyną przeróżnych barier i czegoś na kształt maszerowania przez życie tyłem?

– Wszelka przesada w nazywaniu swoich krzywd czy ran, z jednoczesnym wskazywaniem, jako sprawców, uogólnionych anonimowych „onych”, jest zwykle manifestacją odruchu obronnego wobec lęku niepewności. Z tym można się zgodzić. Natomiast Kutzowskie proste (a także zarazem prostackie) zarzucanie Ślązakom w ogóle „dupowatości” – wartości rozpoznawczej nie ma. Jeśli więc przyjąć ten częsty lęk niepewności, to widzieć go można w pokoleniowych doświadczeniach i losach ludzi z kulturowo peryferyjnego regionu. Tu metaforyka Kazimierza Kutza znajduje współbrzmienie: peryferyjność jako psychiczne zadupie. W nim progresywne zmiany „wyrównawcze” następują zawsze wolniej i oporniej, niż zmiany substancji nieożywionej (budownictwo, produkcja przemysłowa chociażby, by zostać na „czarnym” Śląsku). Aż tak ponuro, by maszerowano przez życie tyłem, moim zdaniem, z pewnością nie jest. Może nawet z całą pewnością nie jest.

Było to niedawno. Pewnego wieczora w marcu tego roku. Z okazji pobytu w Opolu zostaliśmy zaproszeni wraz z moją żoną, Wacławą, i moim przyjacielem, reżyserem teatralnym, Bogdanem Toszą, na kolację do Małgosi i Janka Goczółów. Mimo że z Bogdanem Toszą Goczółowie nie znali się, atmosfera zrobiła się od razu serdeczna, zgodnie z powiedzeniem: „przyjaciele moich przyjaciół są i moimi przyjaciółmi!”

Jedzenie było smaczne i co nieco wypiliśmy, tak że nie mieliśmy kłopotów z wiązaniem rozmowy, a nawet okazało się, że gdyby wieczór trwał całą dobę, nie wyczerpalibyśmy tego, co mieliśmy sobie do opowiedzenia z rzeczy ważnych i mniej ważnych. Zwłaszcza że z Jankiem przyjaźnimy się od kilku dziesiątków lat, a spotykamy się, niestety, raz na parę lat, no i czasem do siebie telefonujemy.

Pod koniec wieczoru Janek pokazał nam kilka rodzinnych zdjęć matki, braci, córek, toteż w pewnej chwili zapytałem go o ojca, którego na tych zdjęciach nie było. Coś niecoś wiedziałem, mówił mi w jakiejś rozmowie przed laty, co spotkało jego ojca, lecz jakoś nieściśle zapamiętałem. Zastanowił się, jakby niepewny, czy nie zakłóci nastroju spotkania, z jakimś wewnętrznym oporem, wyciskając słowo po słowie, zaczął nam opowiadać tę najtragiczniejszą historię rodzinną, która stała się piętnem całego jego życia. Tym bardziej tragiczną, że nie była historią odosobnioną, lecz doświadczyła w podobny sposób wiele tysięcy Polaków zamieszkujących tę jego rodzinną śląską ziemię z dziada pradziada i pielęgnujących w warunkach germanizacyjnej presji swoją polską tożsamość.

Oto młody jeszcze mężczyzna tuż po zakończeniu II wojny światowej zostaje wraz z innymi zabrany rzekomo do jakichś robót, a następnie bez wiedzy rodziny wywieziony w głąb Rosji, gdzie w nieludzkich warunkach pracuje w kamieniołomach i wkrótce w wieku 38 lat umiera. Nie mogąc zdobyć żadnych wieści, mimo starań, co się z nim dzieje i gdzie przebywa, rodzina nie ustaje w nadziei, wciąż oczekując jego powrotu. Skąpą informację, gdzie ojciec był i jak umarł,

Wieczorem u Janka Goczół



wraz z wyrzeźbionym przez niego krzyżykiem, przynosi dopiero po latach jeden z niewielu ocalałych. Poza tym nic więcej już nigdy do rodziny nie dociera.

Wspominam o tym wieczorze i o tej tragicznej opowieści Janka dlatego, że jakkolwiek znam wszystkie jego wiersze, od debiutu począwszy, dopiero tego wieczora zrozumiałem z jakiego bólu jego poezja wyrasta. Podejrzewam, że to ten ból stał się w ogóle impulsem poezjowania Jana Goczół. Odkrył go dla poezji, pchnął go w jej ramiona jako tej sztuki, w której człowiek może być najdotkliwiej sam na sam z sobą. Zarazem już na zawsze określił przestrzeń tej poezji, jej źródło, ale i jej słowo, jej metaforykę, jej oschłą czułość, jej trzymaną na wodzy wyobraźnię. Wstrzemięźliwy, podskórny, ukryty, ten ból tli się niemal w każdym jego wierszu. W tej oszczędności słów, a właściwie w ich surowości słysząc wyraźnie echo dawnej mowy chłopskich przodków Jana Goczół. Ale też w poezję swoją wgarnął Jan Goczół całą tradycję i całą tragiczność dziejów swojej śląskiej ziemi, dla

której jego rodzinna historia jest tych dziejów jednym z symboli.

Toteż tego wieczora słuchałem opowieści Janka o ojcu jak jednego z jego wierszy. Miałem wrażenie, że oto w naszej obecności rodzi się wiersz, mimowolny, nieświadomy siebie, lecz najprawdziwszy wiersz, bo tego nie można było inaczej przekazać jak tylko zdaniami poezji. Ludwik Wittgenstein, wielki filozof austriacki, powiedział, że „w zdaniu tkwi tyle samo, ile poza nim”. Otóż w opowieści Janka poza zdaniami było dużo więcej niż w zdaniach. Czuliśmy to we wszystkich niedopowiedzeniach, przemilczeniach, załamujących się raz po raz narracji. Do tego opowiadał z tak wyraźnym, charakterystycznym dla jego codziennej mowy rytmem. I z taką samą zwyczajną dostojnością, powstrzymując emocje i wybierając słowa jedynie niezbędne – jak w swoich wierszach.

Gdzieś kiedyś przeczytałem, jak ktoś, omawiając poezję Jana Goczół, zastanawiał się, czy to jest poeta ogólnopolski, czy regionalny. Śmieszny, irytujący schemat, dowodzący jedynie, jak nasze umysły znie-

wolone są wciąż przez schematy. I cóż by to miało znaczyć, poeta ogólnopolski – poeta regionalny? W żadnej dziedzinie sztuki nie ma takiego podziału. Sztukę mierzy się jakością, a nie pochodzeniem. Tak jak się mierzy człowieka. I tylko tak.

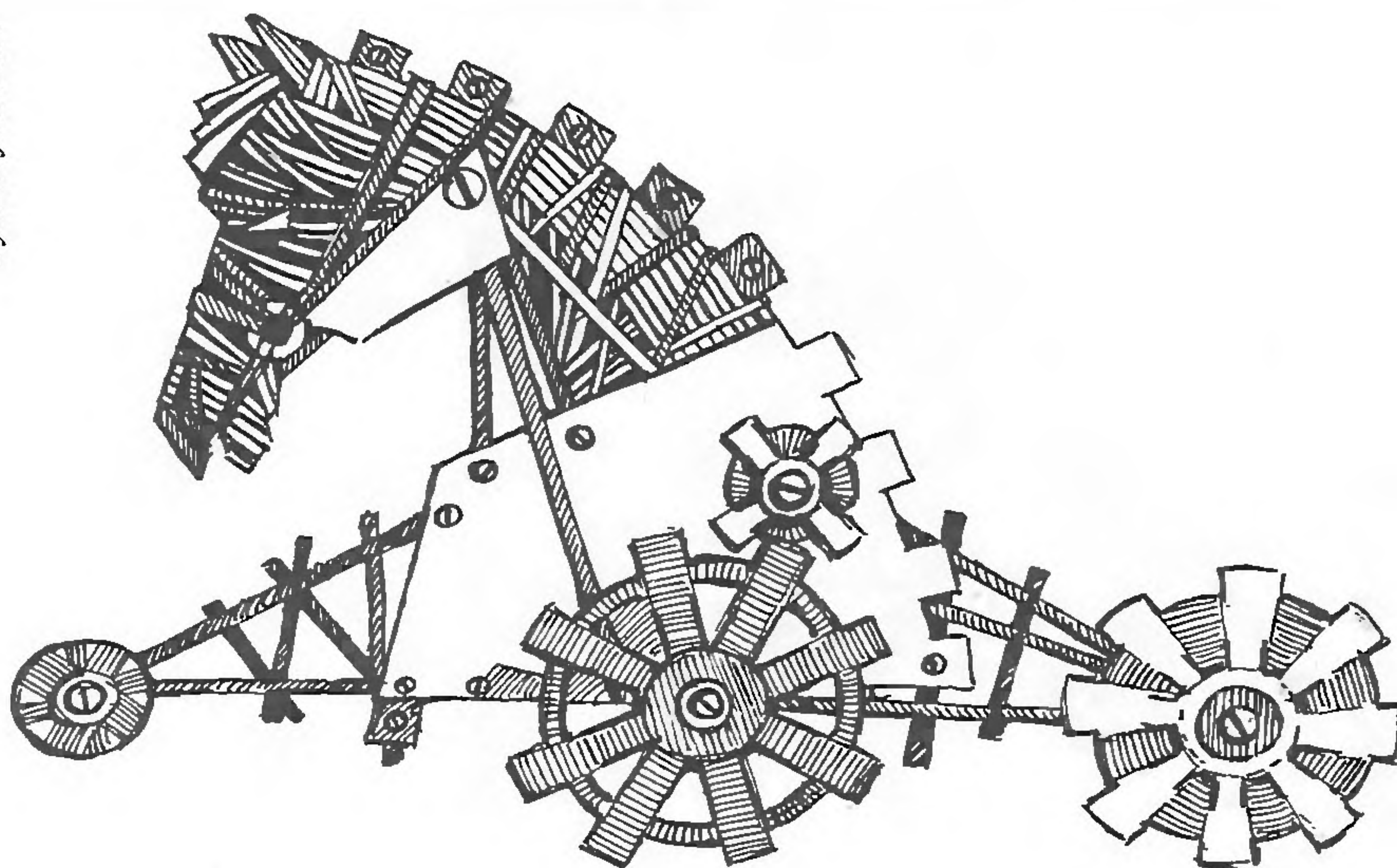
Sztuka może się rodzić w zabitych deskami wsiach i w metropoliach, nie ma to znaczenia. Czy rodzi się z inspiracji regionalnych, czy narodowych, nie ma to znaczenia. Może ogarniać najmniejszy skrawek ziemi i cały kosmos, jakież to może mieć znaczenie? Jeśli kulturę narodową przyrównać do Wisły, to nie byłoby Wisły bez dorzeczy. Zewsząd płyną zasilające ją wody.

Gdziekolwiek spełnia się ludzki los – tam jest źródło sztuki. Doświadczenie jednostkowe czy zbiorowe ma wszędzie taką samą uniwersalną wagę, niezależnie od takiej czy innej, choćby najbardziej lokalnej scenografii.

I to właśnie z dotkliwości swojego i swojej ziemi losu bierze się polska poezja Jana Goczół.

WIESŁAW MYŚLIWSKI

Rys. Wojtek Łuka



Jeżeli jeszcze

*a jeżeli jeszcze pachnie to
co pachnieć będzie
pomimo naszej tu nieobecności
to znak
że materia świata jest doskonalsza
od zmysłów*

*a jeżeli jeszcze będzie rozptywać się
w kolorach
niezapomniana faktura przestrzeni
to znak
że warto było wytężyć wzrok
i zapamiętywać*

*a jeżeli jeszcze będzie w dotyku
delikatna wypukłość ziemi
dywan mleczny i soczystość traw
to znak
że nienadaremnie uczyliśmy się
poetyki doznań*

*bo tyle nas
ile zapachów
kolorów
dotyków*

*które szumią nam w uszach
i jakie smakujemy
smakowaliśmy
gdy jeszcze dane nam było*

to lekceważyć

Żalność nieboszczyka

*byłem
lecz już mnie nie ma*

*ani w rejestrze cmentarnym
ani w tej studziencie
w jakiej mnie zamknęli ci
których sumienie trawiło
i wstyd przed opinią*

*stoi na marnym cokoliku
D.O.M.
inne litery wysiekl deszcz
wywiał wiatr*

*nie mam imienia
więc nie wiem kim byłem*

*i jakiemu bogu
ta nędzna komórka
ma oddawać chwałę
w sproszkowanym cieple*

*krucha to substancja
skoro nie ma po niej śladu*

*sterta kamieni
skruszała opoka
oto moja dziedzina*

*tyłem był wart
że liczyć nie mogę
na zmartwychpowstanie*

*bo skoro kamień wniknął w ziemię
dom stał się metaforą
i pamięci nie ma*

to na co liczyć

Konie

*Tyle koni
i wszystkie mechaniczne.*

*Nie mają maści,
choć mają moc.*

*Nie rżą,
nie wierzgają.*

*Nie zacinają ogonem,
gdy podejść blisko.*

*Co zawiniły konie,
dlaczego ich nie ma?*

*Gdzie podziały się wróble,
które przy nich trwały?*

*Bryczka, wasąg, wóz żelazny, bat.
Słowa przechowane w słowniku umarłych.*

*A gdyby je zawrócić,
te z lat twojej pamięci?*

*Kto by je podkuwał,
skąd dla nich podkowy, hufnale?*

*I kto robiłby popręgi,
podogonia albo lejce?*

*Taki rymarz
gdzie by się uchowal?*

*Ilu kowali
musiałoby wstać z grobu?*

*Konie, konie,
tyle pytań z waszego powodu.*

Villa nuova

*Pamięć ocala, lecz gdy się doń zwrócisz,
już nie pamięta i rzeczy, i ludzi;*

*wieć się wypełniło:
płoty omszały i wniknęły w ziemię;*

*już zapomniałeś:
ziemię przybrudzoną, siwą pyłem,
który się unosił nad jej krętą wstęgą;*

*villa nuova, uniwersum znaczeń:
wioska maleńka, zagubiona w lasach,
gdzieś się prześlepia, chociaż trwa i śni
swój sen w tobie;*

*a ty drżysz, bo wciąż ci się zdaje,
że przechodzisz, dziecko, między kasztanami,
siwy pył się unosi za wozem ze słomą
i psy szczekają głosem, który rozpoznajesz;*

pamięć;

*w pamięci rodzą się zmarli,
odnawiają domy przedzielone na połowę
rodzin, przed sklepem gromadzą się cienie
po sprawunki, na polach koszą zboże
szkielety w drelichach;*

*villa nuova w twych oczach
sprzed czterdziestu lat;*

czy zdołasz ocalić:

*siwy pył nad drogą,
postument kasztanów,
tęsknotę, którą chronisz jakby była prawdą,
nie westchnieniem;*

chwilką tylko.

Twarze

*obce twarze
na tych fotografiach*

*wesołe szczupłe
nie do poznania*

*tyle w nich
czego już nie ma*

*i zaciekłość prawdy
zatartej przez pamięć*

*i błysk jakiego nie znajdziesz
w zmatowiałych oczach*

*po latach nabrzmiały
znikł z nich uśmiech*

*jeżeli jest zapalczywość
to innej natury*

*jeżeli mówią
to jakby wstydliwie*

*panie mój
czego doświadczyliśmy*

*ciało nas opuszcza
i zdradza*

*słyszemy chichot
w zetłętym papierze*

Tomaszek

*Jest w Dolinie Issy taka scena,
kiedy Tomaszek pyta dziadka
o przodków.*

*Tomaszek, pacholę,
lecz już ze zmysłem roztrząsania spraw sumienia,
drży o swój los.*

*„Heretyk?” – pyta o praszczura,
dowiedziawszy się, że był kalwinistą.
„Hm, tak, tak heretyk” – odpowiada dziadek.*

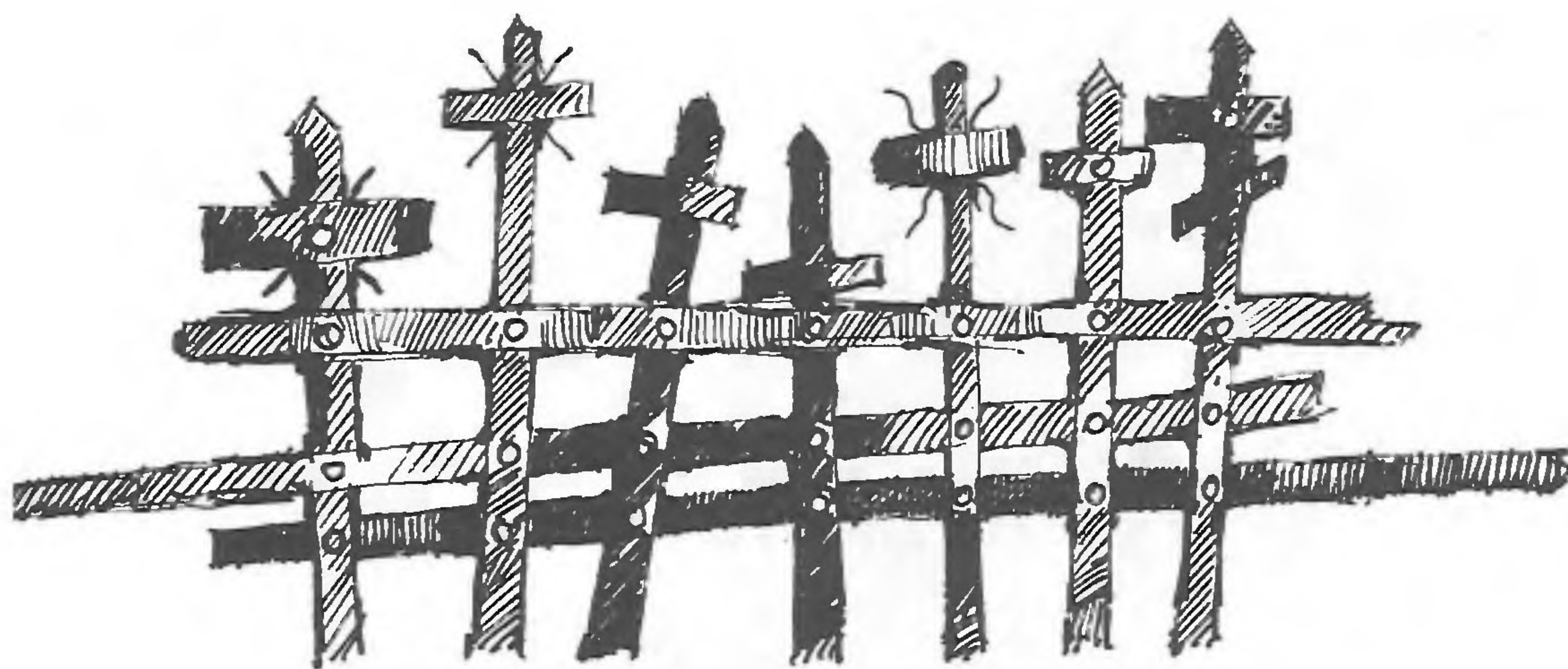
*„Tak oto rzucono ziarno
i dziadek nie wiedział,
jak długo przechowa się ono w roślinnym śnie
wszystkich ziaren,
czekających cierpliwie na swój czas.”*

*Tomaszek jest wierny swojemu stanowi,
lecz pełen utrapienia,
może za sprawą hultaja Domcia.*

*Oto romans cudzego żywota,
który nas dotyka.*

A mój los?

*„Podnosisz bicz –
i tutaj urywa się opowieść.”*



Rys. Wojtek Łuka

MARIAN KISIEL



Rok Korfante

Najwcześniejsze lata Wojciecha Korfante należą do najmniej znanych, chociaż zawierają zapewne zagadkę jego późniejszej wielkości. Jednak Korfante nie pozostawił pamiątek, a jego nieliczne teksty wspomnieniowe niewiele przyniosły wiadomości o jego najmłodszych czasach dzieciństwa i wczesnej młodości.

Najmłodsze lata Korfante

JAN F.
LEWANDOWSKI

Sadzawki

Zazwyczaj historycy podają jako miejsce jego urodzenia osadę Sadzawki albo Sadzawka w parafii siemianowickiej. Jedni wolą Sadzawkę inni Sadzawki w liczbie mnogiej. Profesor Andrzej Brożek, który zajął się niegdyś tą kwestią, uparł się, że była to „Sadzawka”, podpierając się „Spisem miejscowości polskiego Górnego Śląska” Konstantego Prusa z 1920 roku. Jednak Henryk Borek w znacznie późniejszym „Górnym Śląsku w świetle nazw miejscowych” (z 1988 roku) przekonuje za formą „Sadzawki”, która wydaje się zresztą logiczniejsza.

Nazwa tego przysiółka wiejskiego wywodziła się od wielu w tamtej okolicy sadzawek, czyli małych stawów hodowli rybnej. Dziś po dawnych stawach nie pozostało śladu, może poza rybakiem i rybą w herbie miejskim. Do dzisiaj jedna z ulic tej części Siemianowic nosi nazwę: Sadzawki. Przyjmijmy zatem, że Korfante urodził się w Sadzawkach, właśnie w formie mnogiej, w jakiej nazwa przechowała się w lokalnej tradycji nazewnictwa.

Nieścisłe jest określenie biograf Korfante profesora Mariana Orzechowskiego „Sadzawka pod Katowicami” pomijające Siemianowice Śląskie. Jest faktem, że z Sadzawek do Katowic blisko, lecz do Siemianowic jeszcze bliżej. Bowiem Sadzawki należą od dawna do Siemianowic. Dlatego Siemianowice funkcjonują jako miejsce urodzenia Korfante.

Należy tu powiedzieć, że w 1873 roku istniała gmina wiejska Siemianowice o rodowodzie sięgającym czasów średniowiecza, a w jej pobliżu wyrosła osada przemysłowa Laurahutte, po polsku zwana Hutą Laura albo Laurahutą, która dopiero w 1890 roku uzyskała status osobnej gminy. Nowa gmina wchłonęła wtedy kolonie robotnicze związane z hutą „Laura” i pobliskimi kopalniami. W latach dwudziestych obie gminy połączono pod nazwą „Huta Laura – Siemianowice”, którą Sejm Śląski przemianował w 1927 roku na Siemianowice Śląskie, a w 1932 roku Rada Ministrów nadała jej prawa miejskie. Najbardziej właściwe byłoby zatem określenie, że Korfante przyszedł na świat w Sadzawkach niedaleko Siemianowic i Huty Laura (Laurahuty).

W odróżnieniu od przemysłowej i szybko rozwijającej się Laurahuty, liczącej wtedy kilka tysięcy mieszkańców, Sadzawki miały charakter wiejski. Sam Korfante we wspomnieniu o księdzu Skowrońskim pisze o Sadzawkach jako o wsi. Niemniej mieszkańcy Sadzawek znajdowali zatrudnienie w pobliskich zakładach przemysłowych, które wyrastały wtedy wokoło jak grzyby po deszczu.

Do dzisiaj w Sadzawkach (przy dzisiejszej ulicy Mysłowickiej 3) znajduje się dom rodziny Korfanych. Jest to charakterystyczna dla Górnego Śląska dwupiętrowa kamienica z czerwonej cegły, która stoi wśród ruin, bo sąsiadujące z nią domy zostały zburzone, chociaż nie do końca. Dom należy nadal do rodziny Korfanych, potomków Jana Korfante – brata Wojciecha. W tradycji rodzinnej przechowała się informacja, że przy jego budowie rodzice Wojciecha tak się zadłużyli, że niemal gotowy dom miał pójść na licytację. Pozostali jego właścicielami dzięki pożyczce w banku załatwionej przez syna.

Foto: Archiwum



Dom rodziny Korfanych w dzisiejszych Siemianowicach.

Na wysokości pierwszego piętra domu Korfantych znajduje się napis „Oświata i praca Naród wzbogaca”, wykonany podobno własnoręcznie przez Wojciecha Korfantego podczas jego budowy. Było to prawdopodobnie w 1907 roku, skoro w księdze wieczystej dom został wpisany z datą 15 stycznia 1908 roku. Pierwotna tablica zachowała się do 1940 roku, kiedy to niemiecka policja zamazała polskie litery, a po dziesięcioleciach została odnowiona. Po ostatniej wojnie tylko interwencja wicewojewody Jerzego Ziętka uratowała dom Korfantych przed zamierzonym przez władze wyburzeniem.

Jednak domu, w którym urodził się Wojciech Korfanty, już dawno nie ma. Była to przecież wiejska parterowa chata stojąca mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie obecnie kamienica Korfantych.

Domek był niewielki: 1 izba, kuchnia, sieni. Obok ogródek, który umożliwiał prowadzenie małego gospodarstwa. Stara chata nie dotrwała, niestety, do naszych czasów – pisał Stanisław Sopicki w 1935 roku w popularnej książeczce o Korfantym.

Jeszcze do niedawna tamten wiejski dom Korfantych można było sobie wyobrazić, spoglądając za kamienicę, gdzie niczym w jakimś skansenie zachowało się kilka parterowych chat o wyraźnie wiejskim rodowodzie. Były to resztki wiejskich Sadržawek.

Rodzina

Niewiele możemy powiedzieć o korzeniach rodu Korfantych. Profesor Jan Miodek wywodzi frapująco etymologię tego nazwiska od łacińskiego rzeczownika „comu” znaczącego tyle co „róg”. Dlatego w dawnej polszczyźnie wyraz „korfanty” oznaczał „rogatego” czyli „diabła”, a w każdym razie kogoś z rogatą duszą. Możliwe, że wyjaśnia to wiele z charakteru Wojciecha Korfantego. Z kolei ksiądz Emil Szramek napisał w rozprawie „Jak powstały nasze nazwiska”, że *Korfanty pierwotnie brzmiało Koryfant i oznacza tego, co rej prowadzi w tańcu, choćby politycznym*.

Jego ojciec Józef Korfanty urodził się 19 listopada 1845 roku prawdopodobnie właśnie w Sadržawkach. Zapewne był chłopem, który poszukiwał pracy w przemyśle. Został górnikiem najpierw w kopalni „Fanny” w Michałkowicach. Około roku 1890 przeniósł się do kopalni „Laurahutte”, gdy wydrążono nowy szyb „Knoff”, do którego z Sadržawek było znacznie bliżej niż do kopalni „Fanny”: zaledwie kilka minut piechotą.

Jedyną chyba pisemną wzmiankę o Józefie Korfantym znajdujemy we wspomnieniu Antoniego Plutyńskiego (zamieszczonym ongiś w tygodniku „Kierunki”), który spotkał go w 1903 roku w redakcji „Górnoślązaka” w Katowicach:

Oto ojciec Korfantego, wysoki i kościsty, rasowy i muskularny, omawiać ma z panem Szprotem, również byłym górnikiem, średniego wzrostu, krępy i ruchliwym, projektowane małżeństwo dzieci. Nie zważając na mnie mówili długo i szeroko o dawnych czasach w kopalniach węgla, kiedy to górników spuszczano na dół przyczepionych do lin, a stropy się waliły, przypominali wielkie katastrofy pożarów i tych, co tam zginęli. O małżeństwie nie było słowa. To było już pewne, gdy wspomnienia ojców tak były podobne.

Jeszcze mniej wiemy o jego żonie Karolinie, która według podania rodzinnego pochodziła z powiatu lublinieckiego. Była od Józefa młodsza o cztery lata, urodziła się 29 listopada 1849 roku. Jak podaje profesor Jan Przewłocki, podobno była *dziewczyną o nieprzeciętnej urodzie i inteligencji*. Nie wiadomo, w jaki sposób się poznali. Zawarli małżeństwo w 1872 roku, by rok później doczekać się pierworodnego syna – Wojciecha. Jego ojciec Józef Korfanty

miął wtedy 28 lat, a matka Karolina 24 lata. Oboje byli jeszcze młodzi.

Nie był zatem Wojciech piątym dzieckiem rodziców, jak to podaje Marian Orzechowski, ale pierwszym. Po Wojciechu była Rozalia (ur. 1875), potem Andrzej (1879), Julianna (1881) i wreszcie Jan (1883) najmłodszy z tej piątki.

Dużo miał kłopotu ojciec – pisze Stanisław Sopicki, jeden z pierwszych biografów Wojciecha Korfantego – *by tę gromadkę wyżywić i wykształcić. Bo zarobki w górnictwie nie były wysokie. Za 12-godzinny dzień pracy w kopalni „Fanny”, wówczas własności barona Rheinbaben, otrzymywało się coś 2 marki, później nieco więcej.*

Jednak co istotne, rodzice ukończyli pruskie szkoły ludowe, gdzie nauczyli się czytania i pisania po polsku. Co niedzielę czytali wydawanego przez Karola Miarkę „Katolika”. Zadbali też o wykształcenie Wojciecha, który wspominał po latach, że czytania po polsku *nauczyła go matka na „Żywotach Świętych” Piotra Skargi, które nieboszczyk mój ojciec otrzymał w upominku, opuszczając szkołę ludową.*

Jak na owe czasy rodzice Wojciecha Korfantego żyli długo. Ojciec Józef zmarł w 1916 roku, podczas wielkiej wojny światowej, mając lat 71. Natomiast Karolina Korfantowa zmarła w 1928 roku, mieszkając do swej śmierci w rodzinnym domu w Sadržawkach. Pochowano ją, podobnie jak wcześniej jej męża, na cmentarzu przy ulicy Michałkowickiej, gdzie staraniem najstarszego syna postawiono na ich grobie pomnik, potem zniszczony w 1945 roku.

Jak o tym mówił później Korfanty w jednym z przemówień sejmowych w Berlinie, nie tylko jego rodzice, ale i dziadkowie pochodzili z Górnego Śląska. Jednak niczego więcej o nich nie wiemy.

Parafia

W przedsionku kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego w samym centrum dzisiejszych Siemianowic Śląskich znajduje się tablica pamiątkowa przypominająca, że właśnie w tutejszej parafii Wojciech Korfanty został ochrzczony 23 kwietnia 1873 roku, trzy dni po narodzinach. Odsłonił ją biskup Herbert Bednorz w setną rocznicę urodzenia Korfantego w 1973 roku, gdy władze komunistyczne zakazywały jego wspomniania, nie mówiąc o honorowaniu.

Jednak chrztu Wojtka dokonano w 1873 roku nie w tej neogotyckiej świątyni, bo jeszcze jej po prostu nie było. Niemal w tym samym miejscu w 1867 roku poświęcono niewielki kościółek pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej, a mszę świętą odprawił ksiądz Antoni Stabik, proboszcz parafii michałowickiej, znany także jako poeta. Natomiast z dniem 1 kwietnia 1873 roku, zaledwie kilka tygodni przed narodzinami Wojciecha, wydzielono z parafii michałowickiej osobną parafię siemianowicką, której proboszczem został ksiądz Hugon Stabik, bratanek Antoniego. Można zatem widzieć w Korfantym rówieśnika parafii siemianowickiej.

W księdze chrztów parafii siemianowickiej na stronie 289 znajdujemy sporządzony oczywiście po niemiecku zapis, że dnia 20 kwietnia 1873 roku o godzinie 10 przed południem przyszło na świat dziecko, któremu podczas chrztu nadano imię Albert. Jego ojca Józefa (Josepha – jak zapisano w księdze) określono jako górnika, matką była Karolina Klecha. Zapis oznaczony jest kolejnym numerem 264 z roku 1873. Nie zaznaczono, kto chrzącił niemowlę, lecz był to pewnie proboszcz nowej parafii ksiądz Hugon Stabik.

Z tym zapisem wiążą się dwie kwestie wymagające wyjaśnienia. Pierwsza to sprawa imienia Albert, skoro w akcie chrztu nie znaj-

dujemy Wojciecha. Dopowiedzmy, że Albert to skrócona wersja Adalberta, imienia o pochodzeniu starogermanskim, znaczącego mniej więcej tyle co „szlachetny i sławny”. Po wielu latach niemiecka biografia Korfantego piora E. Sontaga, wydana w RFN w 1954 roku, posłużyła się tytułem „Adalbert (Wojciech) Korfanty”, lecz weźmy poprawkę, że napisano ją nad Renem. Na Górnym Śląsku w XIX wieku używano skróconego Alberta. Natomiast w języku polskim odpowiednikiem tego imienia jest po prostu Wojciech.

Imię Alberta (Wojciecha) nadano zapewne chłopcu po ojcu chrzestnym, którym był – jak podaje zapis chrztu – niejaki Albert Wanot. W roli matki chrzestnej wystąpiła Maria Mańka. Jednak w domu rodzinnym nazywano chłopca po prostu Wojtkiem.

Druga sprawa dotyczy nazwiska panińskiego matki Wojciecha. Otóż Marian Orzechowski (zarówno w biografii Korfantego, jak również w jego biogramach w Polskim Słowniku Biograficznym, a także w Śląskim Słowniku Biograficznym) podaje, że matką Wojciecha była Karolina z domu Klecka, a powinno być: Klecha. Błąd wynikał zapewne z nieuwważnego odczytania zapisu, chociaż w księdze można odczytać wyraźnie: Klecha. Zresztą pospolite nazwisko Klecha wydaje się stosowniejsze dla plebejskiej rodziny z lublinieckiego powiatu.

Szkoła ludowa

Jeśli rodzice Wojciecha Korfantego uczęszczali do szkół ludowych w latach pięćdziesiątych XIX wieku, kiedy to po reformach biskupa Bernarda Bogedaina dzieci uczono na Górnym Śląsku po polsku, to syn natrafił już na czasy kulturkampfu. Dwa lata przed narodzeniem Korfantego ogłoszono powstanie II Rzeszy Niemieckiej. Rok przed narodzinami Korfantego kanclerz Bismarck rozpoczął wojnę z Kościołem katolickim, odbierając spod jego nadzoru szkolnictwo. Oznaczało to germanizację szkół wszystkich szczebli. Zarazem oznaczało to walkę państwa pruskiego z katolicką partią Centrum, która reprezentowała także katolickich Górnoślązaków mówiących po polsku.

Sześciolatek Wojtek poszedł do czteroletniej pruskiej szkoły ludowej we wrześniu 1879 roku. W szkole nauczano już wyłącznie po niemiecku. Jego nauczycielem był niejaki Antoni Chrząszcz z rodziny rdzennie górnośląskiej. Jak pisze Sopicki, Chrząszcz *umiał po polsku, ale wolał mówić do dzieci od razu po niemiecku*. Ciekawe, czy Antoni Chrząszcz nie był aby krewnym znanego księdza Johanna Chrząszcza, wieloletniego proboszcza w Pytkowicach...?

Był to dobry nauczyciel – pisze Sopicki – *lecz sądził, że odda chłopcom wielką przysługę, jeśli ich wychowa na dzielnych Niemców, na wiernych poddanych cesarza Wilhelma*.

Wobec młodego Alberta – Wojciecha zabiegi te okazały się nieskuteczne, chociaż był bardzo pilnym uczniem. Bo wychowywał się w domu, w którym mówiono po polsku i w tym duchu wychowywano dzieci. Mówiono oczywiście nie literacką polszczyzną, lecz górnośląską gwarą. Szkołę ludową ukończył z wyróżnieniem.

Jak do tej pory droga młodego Wojtka nie odbiegała od drogi innych proletariackich dzieci z Sadržawek czy Laurahuty. Po skończeniu szkoły ludowej chłopcy podejmowali zwykle pomocnicze prace w przemyśle, a najwyżej uczęszczali jeszcze do jakiejś szkoły realnej. Podobnie mogłaby przebiegać droga Korfantego, gdyby nie decyzja o wysłaniu go do gimnazjum. Była to niełatwa decyzja, skoro samo czesne wynosiło 100 marek rocznie. Istotną rolę w jej podjęciu odegrały namowy księdza proboszcza Stabika, który był

może zobaczyć w nim swego przyszłego następcę.

Gimnazjum

Najbliższe gimnazjum znajdowało się w Katowicach. Było to gimnazjum miejskie otwarte w 1871 roku w tymczasowej siedzibie przy ulicy Młyńskiej, a od roku 1874 posiadające swoją stałą siedzibę w nowym gmachu przy Grundmanstrasse 42 (obecna ulica Trzeciego Maja 42). Dzisiaj znajduje się w nim VIII Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej – Curie.

Do tego gimnazjum uczęszczał Wojciech Korfanty w latach 1887 – 1895, a nie do gmachu dzisiejszego Mickiewicza przy ulicy Mickiewicza, do którego gimnazjum przeniosło się dopiero w 1900 roku, gdy ukończono jego budowę.

Gdy młody Wojciech rozpoczął naukę, dyrektorem gimnazjum był dr Ernst Muller, wybrany na to stanowisko jeszcze w 1871 roku. Z grona kilkunastu nauczycieli warto wspomnieć dr. Georga Hoffmanna, autora wydanej w 1895 roku „Historii miasta Katowice”. Poziom nauczania w gimnazjum musiał być wysoki, skoro w kilkunastoosobowym gronie aż pięciu nauczycieli legitymowało się tytułami doktorskimi.

Dodajmy jeszcze, że gimnazjum było w owym czasie ośmioletnie.

Dzięki wspomnianemu Hoffmanowi wiemy, że w roku szkolnym 1894/1895 do gimnazjum uczęszczało 296 uczniów. Z nich 133 było katolikami, 82 ewangelikami, a 82 było wyznania mojżeszowego. Do pierwszych zaliczamy młodego Korfantego.

Z początku Korfanty przychodził do gimnazjum codziennie piechotą z Sadowek, przemierzając po drodze pola, łąki i zawałiska. Dopiero po pewnym czasie udało się rodzicom umieścić syna na stacji w Katowicach, co oznaczało dla niego w jakiś sposób koniec dzieciństwa.

Zarówno ksiądz proboszcz Stabik, jak i rodzice Wojtka mieli nadzieję, że wykierują go na księdza, co było w owym czasie najbardziej naturalną drogą awansu dla zdolnych proletariackich dzieci z polskich rodzin górnośląskich. Największe nadzieje wiązał z nim ksiądz dziekan Wiktor Schmidt, proboszcz parafii Mariackiej w Katowicach, który udzielał mu pomocy materialnej i wystarał się o korepetycje. Bodaj on pierwszy zwrócił uwagę na nieprzeciętne zdolności biednego ucznia z Sadowek, na jego zainteresowania humanistyczne i talenty językowe. Był potem zawiedziony, gdy Korfanty uznał, że nie ma powołania do stanu duchownego.

Zdecydował zatem, że nie chce zostać księdzem. Jednak trudno byłoby wejrzeć w duszę młodego gimnazjalisty, by odgadnąć, jakie zamiary owładnęły jego myśleniem. Jakie były jego marzenia o dalszej drodze życia... Wiemy tylko tyle, że zapragnął być Polakiem.

Bracia Skowrońscy

Do czasów gimnazjalnych trudno doszukiwać się w młodym Wojciechu jakiegoś świadomego myślenia o swej tożsamości narodowej.

Jedno wspomnienie z dzieciństwa pozostało w nim niezatarte wrażenie, skoro potem przywoływał je kilkakrotnie w rozmaitych wypowiedziach. Było to spotkanie z braćmi Leopoldem i Aleksandrem Skowrońskimi, którzy spacerowali czasem drogą z Laurahuty do Dąbrówki Małej, prowadząc przy tym rozmaite dyskusje. Przechodzili zawsze przez Sadowki, obok domu Korfantego.

Bawiąc się z rówieśnikami – wspominał po latach Korfanty – przystawaliśmy, szepcząc sobie: to akademik z Wrocławia, a ten drugi to

jego brat, doktor i wielki uczone! A obydwaj mówią po polsku i to tak jakoś pięknie po polsku! Było to dla nas nie do uwierzenia, że panowie mogą mówić po polsku. Tego jeszcze we wsi nikt nie widział i nie słyszał; samo się przez się rozumiało, że pan mówi po niemiecku. Głęboko się ludzie nad tym zastanawiali, dlaczego ci dwaj Skowrońscy, choć wyszli na panów, mówią po polsku.

Zastanawiał się nad tym młody Wojtek Korfanty.

Przechadzki braci Skowrońskich, pochodzących z Laurahuty, musiały mieć miejsce w okresie 1885-1889, gdy młodszy Aleksander studiował teologię we Wrocławiu. Był starszy od Korfantego o dziesięć lat. Podobnie był synem górnika, lecz przybyłego do Laurahuty z Królestwa Polskiego. Miał w domu książki Mickiewicza i Słowackiego.

Gdy Aleksander Skowroński uzyskał święcenia, skierowano go w 1889 roku do Królewskiej Huty. Młody, niespełna trzydziestoletni ksiądz zajął się pracą narodową wśród mówiących po polsku gimnazjalistów. Dlatego ksiądz Skowrońskiego, znanego już w kurii biskupiej wrocławskiej z propolskich sympatii, przeniesiono w 1892 roku na odległe krańce regionu.

Jednak nie tylko pod jego wpływem Wojciech Korfanty nabrał przekonania, że jest Polakiem.

Zasługę mojego uświadomienia narodowego – pisał Korfanty po latach – przypisać muszę moim hakatystycznym profesorom w gimnazjum w Katowicach, którzy zohydowaniem wszystkiego co polskie i co katolickie wzbudziła we mnie ciekawość do książki polskiej, z której pragnąłem się dowiedzieć, czym jest ten łżony i poniżany naród, którego językiem w mojej rodzinie mówiłem. I pokochałem naród mój, przeszłość i dole jego i poczułem się synem jego.

Jak można wnioskować z tej nieco egzaltowanej wypowiedzi, dla wrażliwego gimnazjalisty wybór polskości był odruchem serca, romantycznym porywem. W istocie Korfanty został Polakiem, bo chciał nim zostać.

W efekcie założył tajne polskie kółko samokształceniowe w katowickim gimnazjum.

Z lakonicznych przekazów wiemy, że kółko liczyło siedmiu uczniów. Prócz samego Korfantego znamy nazwisko jeszcze tylko jednego ucznia – Konstantego Wolnego, przyszłego marszałka Sejmu Śląskiego, który rozpoczął naukę w katowickim gimnazjum w 1888 roku. Z jego wspomnienia wiadomo, że do kółka wciągnął go Korfanty. Zostali wtedy przyjaciółmi na całe życie.

Długie godziny spędzaliśmy w pokoiku szczytowym u jednego z kolegów na odludnym przedmieściu – wspominał Korfanty – radząc nad sposobem zbliżenia się do naszych nieuświadomionych narodowo kolegów.

Bardzo możliwe, że młodzi buntownicy zbierali się właśnie u Konstantego Wolnego, który mieszkał w domu Walentego Wolnego, kuzyna swego ojca, na Zawodziu, czyli na ówczesnych katowickich peryferiach.

Z początku na spotkania przychodził nie raz ksiądz Skowroński, który mówił o Polsce jako „rzeczy wzniosłej, nieomal świętej, dla której trzeba ponosić wielkie ofiary”. Dzięki niemu uczniowie zdobywali polskie książki. *Czytaliśmy książkę polską – pisał Korfanty – przy pomocy słownika polsko – niemieckiego, bo zasób naszych słów był nader szczupły.*

Z czasem członkowie kółka urządzali wycieczki do Krakowa i Lwowa, by poznawać zabytki polskiej przeszłości. Nawiązywali kontakty z działaczami polskiego ruchu narodowego. Trudno się dziwić, że młody Korfanty stał się przedmiotem zainteresowania komisarza Wilhelma Madlera z pruskiej policji w Bytomiu.

Wilczy bilet

W tych gimnazjalnych latach Korfanty uczestniczył także w zebraniach Towarzystwa świętego Alojzego przy parafii siemianowickiej. Tamtejsze koło zostało niebawem rozkręcone przez młodego księdza Jana Kapitę, wikarego w latach 1892 – 1894. Przeniesiono go do Berlina, gdy okazało się, że liczące już 600 osób koło zajmowało się za nadto pielęgnacją języka polskiego i przeszkadzało niemieckim urzędnikom hut „Laura”. Jednak Korfanty zdążył się z nim wtedy spotkać po raz pierwszy.

Pamiętam – wspominał Korfanty po jego śmierci – jak jako uczeń gimnazjalny obchodziłem z tym młodym wikarym domy i przekonywaaliśmy kupców i właścicieli kamienic, że powinni używać tylko polskich napisów na godłach.

Dosyć niezwykle, że los zetknął gimnazjalistę Korfantego akurat z tymi dwoma księżmi propolskiej opcji – Skowrońskim i Kapitą, najwybitniejszymi górnosłowiańskimi duchownymi tej opcji przełomu stuleci.

Burza nastąpiła, gdy po jednym ze spotkań Alojzjanów żandarm Dzieniszewski sporządził raport o wystąpieniu Korfantego w duchu propolskim. Miało to miejsce w 1895 roku, gdy księdza Kapitę przeniesiono już do Berlina. Policja zawiadomiła dyrektora Mullera, który już rok wcześniej dał mu ostrzeżenie za potajemne wycieczki do Krakowa i Lwowa.

Pewnego dnia Muller wywołał Korfantego z klasy i zaprosił do gabinetu.

– Musiałeś pan bardzo zuchwale sobie postąpić, skoro policja na pana zwróciła uwagę.

Maturzysta Korfanty próbował się bronić, lecz Muller wiedział o jego wyprawach do Krakowa, o kontaktach z wielkopolskimi agitatorami i o tym, że nie może darować Bismarckowi.

– Coś ty chłopcze sobie narobił, po co ci to potrzebne. Przy swych zdolnościach możesz się stać wśród Polaków wielkim człowiekiem, ale będziesz miał psie życie. Wróć do nas, wszystko się naprawi i będzie ci dobrze w życiu.

Tak to wyglądało w relacji Korfantego.

W następstwie tej rozmowy, 14 sierpnia 1895 roku rada pedagogiczna podjęła uchwałę o wydaleniu Wojciecha Korfantego z gimnazjum, i to zaledwie kilka miesięcy przed maturą.

Był to cios straszny – wspominał Korfanty – dla młodego chłopaka, który na swoje kształcenie i utrzymanie udzielaniem lekcji przeważnie sam zarabiał.

Mimo to rogiaty Korfanty nie ukorzył się, nie wydal też członków kółka, którzy zapewne wszyscy, jak Konstanty Wolny, ukończyli gimnazjum.

Jednak Korfanty podjął próbę nakłonienia żandarma Dzieniszewskiego do odwołania raportu. Jak pisała socjalistyczna gazeta *udał się do niego i spotkawszy go w restauracji, oświadczając mu, że jeśli nie cofnie niesłusznej denuncjacji, wtenczas zaskarży go o oszczerstwo*. Po tej burzliwej rozmowie, to Dzieniszewski złożył wniosek do prokuratury, oskarżając rozmówcę o groźby i obrazę.

Podczas rozprawy w katowickim sądzie 28 grudnia 1895 roku prokurator zażądał ukarania Korfantego za obrazę żandarma dziesięciodniowym więzieniem lub grzywną 30 marek. Tym razem pruski sąd stanął na wysokości zadania i uwolnił młodego buntownika od wszelkiej kary.

Jak zapisano w sprawozdaniu prasowym, Korfanty na sali sądowej *oświadczył, że mówi czysto po polsku, jego rodzice innego języka nie rozumieją i on najchętniej mówi językiem ojczystym i najchętniej przestaje ze swoimi rodakami.*

Jako wydany z wilczym biletem z gimnazjum, znalazł się w nader kłopotliwej sytuacji. Zdawało się, że w pułapce bez wyjścia.

Nie pamiętam kiedy po raz pierwszy spotkałem się z Stefanem Szymutką. Może było tak: podszedł do mnie Stanisław Gawliński i powiedział, że ma niezwykle zdolnego ucznia, i chciałby go „polecić” na moje seminarium magisterskie. A może wcześniej, kiedy podjął studia indywidualne i zostałem wówczas jego „opiekunem”? A może jeszcze wcześniej; na zajęciach: z poetyki? historii literatury? Wszystko to domysły, które teraz nie mają większego znaczenia. Nie piszę biografii Szymutki, ale o tym jak przecięły się nasze drogi. A najważniejsze było samo spotkanie na tej drodze. I chyba niemal od razu pewność, że to wybitna osobowość, samodzielny, krytyczny, zadziorny młody człowiek, któremu nie mogła wystarczyć nauczana „kursowo” (wkuwana?) literatura. Którego interesowało jej wnętrze i swoje w to wnętrze wchodzenie. Pisał pracę magisterską w niedobrym czasie, gdy wszyscy byli zaabsorbowani czym innym. Był rok bodajże 1980, kiedy bronił pracy magisterskiej o *Czerwonych tarczach* Iwaszkiewicza. Kolejne wyzwanie, którego się podjął było czytaniem się w powieściopisarstwo Teodora Parnickiego. Ta twórczość go wciągnęła. Pisał do mnie w liście rok przed doktoratem, z lekką nutą autoironii:

Czasem ogarnia mnie zniechęcenie i nachodzą wątpliwości, czy nie wybrałem sobie zbyt dobrego pisarstwa na przedmiot doktoratu. Obiecuję sobie wówczas, że jeśli uda mi się przejść przez sito doktoratu, to habilitację napiszę >z< W. Szewczyka albo z L. Wantuły. Na szczęście po myślach takich przychodzi opamiętanie [...] Nie przypuszczałem, przy mierząc się do tematu, by mógł on zapanować nade mną. Tymczasem – całkiem nieoczekiwanie – stał się dla mnie sprawą osobistą (List z dn. 12 IX 1988 r.).

Zmagał się z nią bezustannie, starając się „niezrozumiałość twórczości wybitnej” uczynić „zrozumiałą” (nieprzypadkowo swoją pierwszą książkę zatytułował: *Zrozumieć Parnickiego*, pisząc pracę doktorską i później tworząc Towarzystwo Literackie im. Teodora Parnickiego. Pociągało go zawsze to, co najtrudniejsze, niejednoznaczne, co mogło mu pozwolić na zmierzenie się nie z zewnętrznością tekstu, z formalną odpowiedzią na pytania: „jak jest zrobione?”, lecz z tym co było głębiej, co należy nie tylko do autora, lecz także do niego, czytelnika-partnera. Pisał po spotkaniu z Parnickim: *Trochę dziwnie czuję się w tej sytuacji, gdyż zafascynowany zdrowymi strukturalnymi zasadami, starałem się nigdy nie wchodzić z przedmiotem w zbytne poufaleń* (List jw.). Jed-



Foto: Zbigniew Sawicz

Był moim „ucznikiem”

nak wszedł w nie i uczynił z nich główną pasję swojego badawczego życia.

Pamiętam, irytowały mnie różne spekulacje Stefana. Były wyrazem Jego stanowczego osądu często – wydawało się – poza możliwością sporu i polemiki. To była jego osobista przystojna z lekturą, trudno przekładalna na inne rodzaje lektury. Zwłaszcza na te tradycyjnie historycznoliterackie, może standardowe, ale jakoś niezbędne dla polonisty. On je znał, ale ich nie aprobował, sprzeczał się, dowodził. Był urodzonym, dociekliwym polemistą.

Leżą przede mną cztery książki Stefana Szymutki. Wszystkie, jak na niego przystało z obszernymi, nie banalnymi dedykacjami. Tym dla mnie ważniejsze, że za każdym razem autor przyznaje się do swego „uczniostwa”. Ile w tym subtelnej ironii, nie wiem, ale wiem ile rzeczywistego poczucia trwałego związku, tam także gdzie różnica poglądów była widoczna. Ale właśnie w jednej z dedykacji napisał, iż dziękuje za *wpojenie, że trzeba być samodzielnym*. To chyba dla „nauczyciela” największa pochwała, ale także wskazująca na charakter „ucznia”, który od początku się spierał, wyklócał o swoje zdanie, nierad go modyfikował, ale argumentom – dawał się przekonywać. I przede wszystkim – pokazywał jak można uczyć się... od ucznia.

Dwie ostatnie książki, zbiory interpretacyjnych esejów zatytułował jak zwykle przekornie, ale i pytająco: *Rzeczywistość jako zwątpienie w lite-*

raturze i literaturoznawstwie oraz Przeciw marzeniu? Jedenaście przykładów i ośmioro pisarzy. „Rzeczywistość”, „zwątpienie”, „marzenie” – ta triada układa się w swoisty porządek dociekania. „Przeciw marzeniu” opatrzy jednak znakiem zapytania, a więc wątpiaco, niejako otwierając ciąg dalszy przemyśleń i poszukiwań, których – niestety – już nie będzie.

W jego pisaniu o literaturze nie wiadomo, czy bardziej się z nią mocował próbując wejść w jej wnętrze, czy bardziej mocował się z sobą. Gdyby nie napisał *Nagrobka ciotki Cili*, mógłbym sądzić, że trochę z tą swoją lekturą akrybią przesadza, ale kiedy poznałem ów Jego niezwykle osobisty dokument, w którym erudycja kontroluje i jest nieustannie kontrolowana, musiałem zmienić zdanie. W tym dziele był bowiem cały Stefan, dla którego literatura była sprawą poważną, częścią jego życia, a On był dociekliwy do bólu i granicy wytrzymałości w jej rozpoznawaniu.

Z trudem przychodzi mi uwierzyć, że Go już nie ma. Że Jego zmaganie ze śmiercią, które wyraźnie przebija z kart świetnego i niezwyklego tekstu *Nagrobka ciotki Cili*, jest już zamknięte. Spotykaliśmy się ostatnio rzadko, zbyt rzadko, aby powiedzieć sobie więcej, ale zawsze było to spotkanie serdeczne. Teraz, kiedy myślę o Stefanie Szymutce, odczuwam brak wcześniejszych spotkań, które powtarzały się w jego mieszkaniu na Brzeczkiwskiej, wówczas, kiedy powstawało jego doktorskie „opus magnum” o Parnickim. Miały one szczególny walor, kiedy ja, starszy znacznie wiekiem i doświadczeniem, znajdowałem w nim partnera zmuszającego do szczególnej aktywności, do znajdowania argumentów, do ciągłej dyskusji polemiki. To było potrzebne nam obu. Przypominały mi się wówczas inne podobnego typu spotkania, z Wojciechem Wysockim, wielką osobowością, znakomitym polemistą i także bardzo mi bliskim „ucznikiem”. To tacy przede wszystkim „uczniowie” zobowiązują. Im się często zawdzięcza więcej, niż własnym „nauczycielom”.

Kiedy odchodzą rodzi się żal, dlaczego tak wcześnie? Dlaczego wcześniej? Zostając po tej stronie mamy poczucie, ich niedokończonych dzieł. Ile jeszcze mogli by stworzyć! Szymutce jednak – inaczej niż Wysockiowi – zostali jego własni uczniowie. Można mieć nadzieję, że jego nauki o samodzielności i dociekliwości – jako zasadniczych elementów postawy badacza – nie zapomną.

TADEUSZ BUJNICKI



Kaya Mirecka-Ploss w otoczeniu stypendystów.

Z trzewiczkami w dłoniach

Tekst i zdjęcia:
RYSZARD
BEDNARCZYK

Jak do dobrej ciotki z Ameryki przyznaje się do niej wiele śląskich miejscowości. Jednak Kaya Mirecka-Ploss, która nazywa siebie „dziolchą ze Śląska”, najbardziej przywiązana jest do Nakła Śląskiego, gdzie spędziła radosne i „chmurne” dzieciństwo.

Tylko przymknę oczy, to widzę siebie, jak z osady szłam do szkoły. Miałam tornister na plecach i trzewiczki w dłoniach, bo zakładałam je dopiero przed szkołą, żeby się nie zniszczyły – wspominała Kaya Mirecka-Ploss podczas ostatnich odwiedzin nakielskiej szkoły w listopadzie 2008 roku. Choć urodziła się 12 września 1924 roku w Zgorzelcu, w gminie Łagiewniki, obecnie dzielnicy Bytomia, gdzie jej matka – zamieszkała na stałe w Piekarach Śląskich – pojechała

w zaawansowanej ciąży odwiedzić siostrę, to w Nakle Śląskim dorastała i dojrzewała. Jej ojciec, Wiktor Czech, technik z wykształcenia, znalazł pracę w Tarnowskich Górach i z całą rodziną w 1926 roku wyprowadził się z Piekar Śląskich do Nakła Śląskiego.

Okno na świat

Przez siedem lat mała Kaya, która wtedy jeszcze miała na imię Hanna Adela, bo ksiądz nie zgodził

się przy chrzcie nadać jej wybrane go przez matkę imienia bohaterki *Quo vadis*, uczyła się w nakielskiej podstawówce. Dopiero na bierzmowaniu przybrała imię Kaya, którego na dobre zaczęła używać w 1967 roku po otrzymaniu amerykańskiego obywatelstwa.

– Pamiętam twarz każdego nauczyciela, ale nie nazwiska. Jediną nauczycielką, którą pamiętam z nazwiska, była Maria Świdarska z Nowego Sącza. Mówiliśmy na nią „gorolka”. Miała pomalowane usta, pierwsze, jakie widziałam w życiu, i pomalowane paznokcie. Biła nas po łapach, ale otworzyła okno na świat, bo nauczyła mnie czytać książki – opowiada Kaya Mirecka-Ploss.

Ostatni raz ujrzała swoją nauczycielkę we wrześniu 1939 roku w Tarnowskich Górach. Maria Świdarska była zaniedbana, nie miała ułożonej fryzury ani pomalowanych ust i paznokci. W ręce trzymała walizkę. Wracała do Nowego Sącza. – Wiesz, ja już nie mam tu co robić, ale wszystko jest w twoich rękach. Te ostatnie słowa stały się potem moim życiowym mottem – przyznaje Mirecka-Ploss.

W dzieciństwie spędzonym w Nakle Śląskim Kaya doznała także wielu nieszczęść. Jej matka Luiza Zyta Imisz – protestantka, która na prośbę córki w dniu jej pierwszej komunii świętej przyjęła katolicyzm, zmarła na raka w 1937 roku. Wcześniej pod opieką Kai dożywała ostatnich dni w męczarniach, bo rodziny nie stać było na morfinę. Po śmierci matki Kaya zajęła się domem i młodszym o rok bratem Walterem. Nieraz zaznała głodu, bo jej ojciec stracił pracę i niewiele zarabiał, sprzedając po wsiach święte obrazy. Ratunkiem były resztki strawy z hrabiowskiego pałacu Donner-smarcków.

Ze sceny za kraty

Tuż przed wybuchem wojny ojciec znalazł pracę w Chorzowie i przeprowadził się z rodziną do Kamyc w gminie Wojkowice. Po zajęciu Polski przez hitlerowców Wiktor Czech jako były powstaniec śląski ukrywał się przed Niemcami. Kaya podjęła pracę telefonistki na kopalni. Za sprzyjanie polskości skatowało ją gestapo.

W 1941 roku wyjechała na przymusowe roboty do Niemiec. Pracowała jako pomywaczka w hotelu

w Szklarskiej Porębie. Rok później uciekła do domu, gdy dowiedziała się, że ojca wywieziono do obozu w Dachau a brata na roboty do Westfalii. Odnaleziona przez żandarmerię wróciła na przymusowe roboty, tym razem do laboratorium firmy fotograficznej w Monachium, gdzie przebywała do zakończenia wojny.

Podczas powojennych poszukiwań ojca i brata trafiła do Włoch i wstąpiła do II Korpusu Wojska Polskiego. Występowała w grupie teatralnej i uczyła się. W karierze pomagały jej uroda, ładny głos i umiejętność gry na mandolinie oraz pianinie. W zespole teatralnym poznała Wiesława Szeligę Mireckiego, przedwojennego aktora Teatru Narodowego. Ślub z aktorem wzięła w 1947 roku w Anglii, gdzie przeniósł się II Korpus. Wtedy spotkało ją nieszczęście. Jedyny z tego małżeństwa syn Jerzy, chory na Heinego-Medina, zmarł, gdy Mirecka-Ploss miała 25 lat.

Po opuszczeniu wojska występowała z mężem w założonym przez nich Teatrze Sztafeta, równocześnie pracując w restauracji. Z teatru zrezygnowała po wypadku samochodowym, w którym była ciężko ranna, podjęła jednak naukę w Wyższej Szkole Sztuki w Londynie, którą ukończyła w 1954 roku. Po otrzymaniu stypendium studiowała w Królewskiej Akademii Sztuk. Od 1957 roku pisała doktorat na Uniwersytecie Londyńskim. Nadal pracowała jako kelnerka a w soboty i niedziele występowała w Polskim Teatrze Dramatycznym w Londynie. Mieszkała w pokoiku na poddaszu londyńskiego Domu Literata Polskiego, który sprzątała za zwolnienie od czynszu.

Mąż Kai w 1956 roku wyjechał do Polski pracować w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Rok później podążyła w ślady męża. Do kraju ściągnęła ją wiadomość, że ojciec, który po wojnie wrócił do Ojczyzny i skazany został przez komunistów na 15 lat więzienia, właśnie wyszedł na wolność. W drodze do Polski odwiedziła brata mieszkającego w Niemczech Zachodnich.

W komunistycznej Polsce Mirecka-Ploss zajęła się projektowaniem ubiorów. Występowała w programach radiowych i telewizyjnych poświęconych modzie, pisała artykuły. Projektowała ubiory dla Domu Mody Ewa. W 1958 roku na zlecenie Ministerstwa Handlu Zagranicznego zaprojektowała elegancką i nie-

drogą odzież dla zwykłych ludzi, sprzedawaną w utworzonej sieci sklepów Moda Polska.

Niespodziewanie w 1961 roku Kaya Mirecka-Ploss została aresztowana. Komunistyczne władze namawiały ją do wyjazdu do Szwajcarii, gdzie miała pomóc w rozbiciu Radia Wolna Europa. Odmówiła. Uwolniono ją po tygodniu przesłuchań dzięki interwencji pisarza Leona Kruczkowskiego, znajomego jej męża. Pozbawiona zatrudnienia starała się o wyjazd na Zachód. Rozstała się z mężem. Wtedy napisała pierwsze rozdziały powieści *Droga przez most*, która nawet miała zostać sfilmowana. Dramat *Aleja słowików* wystawił teatr w Bielsku-Białej, ale cenzura szybko zdjęła go z afisza. W radiu aktorzy czytali jej 12 opowiadań. Napisała drugą powieść *Ballada o mojej ulicy*, ale książka nie uzyskała pozytywnych recenzji w żadnym wydawnictwie.

Serce za serce

W 1963 roku po raz pierwszy przyjechała do Nakła Śląskiego – krainy swojego dzieciństwa – na pogrzeb koleżanki ze szkolnej ławy. Zamierzała zaadoptować jej sześciolletnią córkę Lidię i zabrała ją do Warszawy.

– To był dla mnie bardzo ciepły okres. U nas w domu była bieda a tam miałam wszystko. W mieszkaniu była służąca i kot. A mąż pani Kai chciał mi nieba uchylić. Pamiętam spacer po Ogrodzie Saskim. Dla mnie dała uszyć w te-

atrze futerko z czapką i mufką – wspomina 52-letnia Lidia Siwy, mieszkanka Nakła Śląskiego. Po sześciu tygodniach dziewczynka przyjechała do domu na urodziny ojca i tak mocno zatęskniła za pięciorgiem rodzeństwa i rodzicem, że już nie wróciła do Warszawy.

Ale o Kai Mireckiej-Ploss nie zapomniła. Był nawet czas, że Lidia uznała swoją niedoszlą macochę za zmarłą i odmawiała paciorek za spokój jej duszy. Dlatego była zaskoczona, gdy zobaczyła ją w 1999 roku żywą w telewizji. Po rozmowie telefonicznej obie panie spotkały się jeszcze w tym samym roku w Warszawie na spotkaniu wigilijnym fundacji „Porozumienie bez Barrier”.

– Pani Kaya od razu mnie poznała i stwierdziła, że jestem podobna do ojca. Wypytywała mnie o moją rodzinę – opowiada Lidia Siwy. Po kilku miesiącach odwiedziła Mirecką-Ploss w Waszyngtonie. Spotykają się nadal.

– Niekiedy pani Kaya, gdy rozchoruje się i trafi do szpitala, dzwoni do mnie w nocy a ja rano lecę samolotem do Waszyngtonu, gdzie opiekuję się jej domem – dodaje pani Lidia.

Bogata ciotka z Ameryki

W smutnym okresie połowy lat 60. XX wieku na duchu podtrzymywały Kayę regularne wyjazdy do brata zamieszkałego w Heidelbergu i studia doktoranckie



Z amerykańską przyjaciółką w Nakle Śląskim.

na tamtejszym uniwersytecie. Kiedy na początku 1965 roku gotowa była jej praca doktorska na temat XVI-wiecznej literatury teatralnej oraz projektowaniu kostiumów z tej epoki, została ponownie aresztowana. W więzieniu przesiedziała siedem tygodni. Podczas rewizji mieszkania zarekwirowano jej pracę doktorską, szkice, notatki i niedokończoną powieść oraz zatrzymano paszport. W wyrobieniu nowego dokumentu pomogli jej, o dziwo, znajomi jej i męża: premier Józef Cyrankiewicz oraz Jan Mitreęga, minister górnictwa i energetyki.

Wyjechała w 1966 roku do Stanów Zjednoczonych. Nie wyruszyła w ciemno, czekał tam na nią Sidney Ploss, profesor Uniwersytetu Princeton. Kaya poznała go podczas studiów doktoranckich w Heidelbergu. Już wówczas cztery lata młodszy od niej i wyznania mojżeszowego Ploss prosił ją o rękę. Ślub, na który zgodziła się dopiero sześć tygodni po przyjeździe do USA, wzięli w New Jersey. Wkrótce przeprowadzili się do Waszyngtonu, gdzie Ploss, znany sowietolog, został doradcą prezydenckim. Małżeństwo nie było udane, choć przetrwało 21 lat. Ploss nie zrozumiał nigdy katolickiej duszy Kai Mireckiej. Były mąż zapewnił jej po rozwodzie w 1988 roku dobrobyt, co pomogło jej uporać się z chorobą nowotworową.

Dzięki znajomości z Barbarą Piassecką Johnson rozpoczęła nowy etap życia, przez trzy lata prowadząc audycję radiową *Polish Panorama* oraz projektując ubiory dla Domu Mody w Waszyngtonie. Działała w Polsko-Amerykańskim Klubie oraz w Amerykańskiej Radzie Kultury Polskiej. Zebrała milion dolarów na kupno Domu Kultury Polskiej w Waszyngtonie, w którym mieści się Amerykańskie Centrum Kultury Polskiej, którego Kaya Mirecka-Ploss była od 1991 roku przez 14 lat dyrektorką wykonawczą. Za tę działalność otrzymała w 1993 roku odznaczenie Ministerstwa Kultury i Sztuki „Zasłużona dla Kultury Polskiej”. Odznaczona została Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski i Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski. W 2004 roku wręczono jej Order Uśmiechu oraz Order Ecce Homo, została również Obywatelką Roku. Od 1999 roku Kaya Mirecka-Ploss współpracuje z Fundacją „Porozumienie Bez Barier”, organizując



Podczas odwiedzin w nakielskiej szkole.

dzieciom wakacyjne wyjazdy do USA.

Obywatelka, patronka, fundatorka

Do Nakła Śląskiego przyjechała ponownie w 2002 roku. Powodem wizyty było przyznanie jej przez radnych tytułu Honorowego Obywatela Gminy Świerklaniec. Wtedy po raz pierwszy od lat odwiedziła swoją szkołę podstawową. Uczestniczyła w otwarciu Izby Regionalnej i podarowała podstawówce tysiąc dolarów na sprzęt szkolny. Zaprosiła także dwie nakielskie uczennice z opiekunką na wakacje do USA. Latem 2006 roku kolejne cztery nakielskie uczennice z opiekunem pojechały do Ameryki.

Uchwałą świerklanieckiej Rady Gminy została we wrześniu 2006 roku patronką Zespołu Szkół w Nakle Śląskim. Granitową tablicę z wizerunkiem patronki i mottem „Wszystko w Twoich rękach” odsłoniła Jolanta Kwaśniewska, żona prezydenta Polski. Ukoronowaniem działalności stało się założenie przez nią i władze gminy Świerklaniec Fundacji „Dzieci Śląska” im. Kai Mireckiej-Ploss. Fundacja zaczęła wspierać edukację dzieci.

W 2007 roku p. Kaya podczas odwiedzin nakielskiej szkoły poznała

pierwszych 10 stypendystów jej Fundacji. – Ufundowaliśmy już 22 stypendia, 16 stypendiów po tysiąc złotych dla uczniów oraz wspólnie z Fundacją Edukacyjnej Przedsiębiorczości z Łodzi po 380 złotych dla 5 studentów i dla jednego ucznia już drugi rok lekcje języka angielskiego. Opieramy się na kapitale początkowym założycielki – mówi Teresa Podleszka, prezes Fundacji „Dzieci Śląska” im. Kai Mireckiej-Ploss.

Najnowszym pomysłem Kai Mireckiej-Ploss było utworzenie w listopadzie 2008 roku w Rudzie Śląskiej Międzynarodowego Instytutu Dialogu i Tolerancji im. Jana Karaskiego. Legendarnego emisariusza okupacyjnego Polskiego Państwa Podziemnego, który pierwszy starał się o reakcję polityków na zagładę Żydów, poznała w 1968 roku dzięki mężowi, znanemu sowietologowi. Zaprzyjaźniła się z Karaskim i jego żoną Polą. Od 1992 roku, kiedy Karaski owdowiał, opiekowała się nim. Po śmierci słynnego kuriera, w 2000 roku została wykonawczynią jego testamentu. Do Instytutu Dialogu i Tolerancji im. Jana Karaskiego przekazała jego dyplom uniwersytecki ze Lwowa, dyplom *Sprawiedliwy wśród Narodów Świata*, odznaczenia, ulubione szachy i biurko. Pieniądze na działalność rudzkiego instytutu będą pochodzić z publikacji dorobku naukowego Karaskiego i filmów, w których występował.

Bożena Łobzowska, prezes instytutu, zapowiedziała zorganizowanie w tym roku spotkania studentów dyplomacji z całego świata, podczas którego będą uczyć się zrozumienia odmienności kultur. A Kaya Mirecka-Ploss, pomimo swoich 85 lat, myśli już o ufundowaniu kolejnej nagrody, tym razem imienia Kazimierza Kutza. Choć coraz częściej zastanawia się także, gdzie będzie jej grób.

– Wykupiłam już miejsce na cmentarzu w Illinois, ale moje miejsce jest tutaj, gdzie matka ewangeliczka przyjęła katolicyzm. Tu chcę być pochowana, w Nakle Śląskim, gdzie moja matka. Przyjdźcie na mój grób i zapalcie mi świeczkę. Choć ja się jeszcze na drugi świat nie wybieram – mówiła do mieszkańców Nakła Śląskiego podczas ubiegłorocznych odwiedzin szkoły, której jest patronką.

W Teatrze Narodowym

W Teatrze Narodowym w Warszawie 12 grudnia 2008 roku miała miejsce premiera komedii W. Szekspira *Wiele hałasów o nic*, w przekładzie Stanisława Barańczaka i w reżyserii Macieja Prusa. W obsadzie spektaklu znalazło się trzech aktorów ze śląskim rodowodem: **Andrzej Blumenfeld** ur. w Zabrzu, **Arkadiusz Janiczek** ur. w Opolu oraz **Bożena Stachura** ur. w Paczkowie, która szerokiej widowni telewizyjnej znana jest z roli Grażyny w popularnym ciągle serialu *M jak miłość*.

Szeroka w stolicy

W czasie Noworocznego Spotkania członków i sympatyków Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, odbytego 6 stycznia 2008 roku w Sali Balowej Pałacu Raczyńskich, przy ul. Długiej, z wielkim powodzeniem wystąpił zespół folklorystyczny *Druga młodość* z miejscowości Szeroka (obecnie dzielnica Jastrzębia Zdroju) z programem „Świeć nam gwiazdeczko świeć”. Przed ich występem promowano książkę Grzegorza Łubczyka *Henryk Sławik. Wielki zapomniany Bohater Trzech Narodów*, której fragmenty czytała, pod baczną kontrolą obecnych na spotkaniu: **Franciszka Pieczki**, **Olgerda Łukaszewicza** i **Andrzeja Grabarczyka**, nowa warszawianka wywodząca się z Raciborza, aktorka **Karolina Wojdała**, ubiegłoroczna absolwentka PWST w Warszawie.

Promocję książki o Henryku Sławiku TPŚI zorganizowało także w dniu 9 lutego 2009 r. w Klubie Księgarza przy Rynku Starego Miasta w Warszawie. Fragmenty książki czytał **Olgerd Łukaszewicz**.

Romulus (nie) Wielki

W lubianym przez warszawiaków teatrze Polonia, 16 stycznia 2009 roku, znany reżyser filmowy Krzysztof Zanussi, rzadko pracujący w polskich teatrach, wyreżyserował dramat F. Dürrenmatta „Romulus Wielki”. Niestety, recenzenci twierdzą nawet, że Zanussi się skompromitował. W postać cesarza Rzymu wcielił się Janusz Gajos, którego jak zwykle świetna gra nieco ratuje przedstawienie. Uczestniczą w nim także: raciborzanka **Magdalena Walach** i opolanin **Rafał Maćkowiak**.

Kapela Góralska Beskidy

W Natolińskim Ośrodku Kultury 18 stycznia br. wystąpiła **Kapela Góralska Beskidy** z Bielska Białej. Jest to grupa przyjaciół, którzy grają muzykę regionu Beskidów, Podhala i Karpat „bez udziwnień”, okraszając ją śpiewem, nauką góralskich tańców, różnymi konkursami i góralskim humorem. Śpiewane utwory pochodziły z płyty „Hej małućki, małućki”, która przyniosła kapeli I miejsce w kategorii folk na Ogólnopolskim Festiwalu Kolęd i Pastorałek „Będzin 2002”.

Nasi (11) w Warszawie

Kwartet Śląski

W dniu 27 stycznia 2009 roku w Filharmonii Narodowej w Warszawie wystąpił **Kwartet Śląski**, za granicą znany jak Silesian Quartet. Powstał on w 1978 roku z muzyków wywodzących się z Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach. Dziś kwartet ten zaliczany do najlepszych na świecie gra w składzie: **Szymon Krzeszowiec** – I skrzypce, **Arkadiusz Kubica** – II skrzypce, **Łukasz Syrnicki** – altówka, **Piotr Janosik** – wiolonczela (do 1998 roku I skrzypkiem w kwartecie był, obecnie dyrygent AU-KSO **Marek Moś**).

W czasie koncertu w stolicy zagrali trzy kwartety: Ludwiga von Bethovena e-moll op. 59 nr 2, Antona Weberna op. 28 oraz Dmitrija Szostakowicza op. 117.

Odmieniony Jarzyna

Po dłuższej nieobecności w kraju (rozwłoszenie inscenizacji „Lwa na ulicy” w wiedeńskim Burgtheater, głośna reżyseria „Graczy” Dostojewskiego w operze w Lyonie) powrócił do Teatru Rozmaitości w Warszawie **Grzegorz Jarzyna** (ur. 41 lat temu w Chorzowie), nazywany buntownikiem polskiego teatru, od którego zaczęła się moda na nowy teatr i wojna młodych ze starymi. Powrócił i zaskoczył miłośników teatru. Jego nowe przedstawienie zatytułowane „T. E. O. R. E. M. A. T.” (premiera 1 i 3 lutego br.) nawiązujące do kontrowersyjnego filmu Piera Paolo Pasoliniego „Teoremat” (1968), stanowi przełom w jego pojmowaniu teatru. W miejsce dawnych fajerwerków reżyserskiego stylu, pojawiła się powaga i namysł dojrzałego człowieka, który usiłuje zrozumieć świat i nadać mu sens. Co więcej, jego dotychczasowy największy antagonist, dyr. Teatru Narodowego Jan Englert, gra w tym przedstawieniu. W siedmioosobowej obsadzie znalazł się również **Rafał Maćkowiak**.

Niesamowity Feel

W dniu 2 lutego 2009 r. wręczono Telekamery 2009 r. nagrody przyznawane przez czytelników Tele Tygodnia telewizyjnym osobowościom. W kategorii muzyka, nagrodę otrzymał, po raz drugi z rzędu, zespół **Feel** z Katowic. Ten istniejący od 2005 roku zespół zebrał już łącznie 30 nagród, w tym tak znaczące jak: Słownik Publiczności i Bursztynowy Słownik w Sopocie w 2007 roku, Złote Dzioby w kategorii Odkrycie Roku 2007, Telekamery 2008, Fryderyki 2008 jako Nowa Twarz Fonografii i 2 Superjedynki, oraz za potrójną platynową płytę i diamentową płytę, jaką otrzymuje się za sprzedaż ponad 200 tysięcy krążków.

Krystian Zimerman w stolicy

Tym razem nie w Sali Filharmonii Narodowej, lecz w Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego, 6 lutego 2009 r. wystąpił nasz wielki pianista, czcząc setną rocznicę urodzin wybitnej kompozytorki Grażyny Bacewicz. Był to pierwszy od dziesięciu lat występ **Krystiana Zimermana** w stolicy, uznany zgodnie za wydarzenie muzyczne roku. Wielkiemu pianiście towarzyszył, w wykonaniu utworów Grażyny Bacewicz kwartet smyczkowy złożony z najwybitniejszych naszych gwiazd: skrzypaczek **Kaji Danczowskiej** i **Agaty Szymczewskiej**, altowiolisty **Ryszarda Groblewskiego** i wiolonczelisty **Rafała Kwiatkowskiego**.

O kupieniu biletów na występ Zimermana w Warszawie można było tylko pomarzyć.

SBB gra już 40 lat

W dniu 9 lutego 2009 r. w znanym Klubie Stodoła wystąpiło legendarne SBB z jego twórcą i liderem **Józefem Skrzekiem**. SBB zawiązało się w Siemianowicach-Michałkowicach. Początkowo przez dwa lata akompaniowali Czesławowi Niemenowi, potem poszli własną drogą.

Po wielkich sukcesach w Polsce i zagranicą zespół rozwiązał się 1980 roku. Następnie odbyło się kilka prób reaktywacji (1991, 1993, 1998) lecz dopiero w 2000 roku udało się Skrzekowi wskrzesić zespół. Swoim fanom podarowali nową płytę „Iron Curtain” (Żelazna kurtyna). Na koncercie w Stodole zagrali zarówno stare kompozycje jak i nowe, w nieco mocniejszym brzmieniu.

„Polterabend” w stolicy

W dniu 21 lutego 2009 r. wystąpił gościnnie, w wypełnionym do ostatniego miejsca Teatrze Polskim w Warszawie, **Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego z Katowic**, prezentując głośny na Śląsku spektakl **Stanisława Mutza „Polterabend”**, w reżyserii **Tadeusza Bradeckiego**. Spektakl, choć grany w gwarze śląskiej warszawska publiczność przyjęła wręcz entuzjastycznie. Po spektaklu **Grażyna Torbicka**, sama Ślązaczka, z właściwym sobie ciepłem, przedstawiła publiczności twórców spektaklu i aktorów oraz problemy jakie to przedstawienie podejmuje. To była dobra lekcja Śląska w stolicy.

Myslovitz powrócił

W 2008 roku znana i popularna formacja **Myslovitz Tadeusza Rojka** grająca britpop zrobiła sobie przerwę w koncertach, bo trzej członkowie zespołu urządzili sobie tacierzyńskie urlopy. Teraz wracają na estrady zapowiadając wydanie 10. już albumu płytowego. Myslovitz po urlopie zagrał w warszawskim klubie Palladium 25 i 26 lutego 2009 r. Ponoć są w dobrej dyspozycji.

JAN COFAŁKA

Wspomnienie o śp. ks. prałacie dr. JERZYM PAWLIKU



Ks. Jerzy Pawlik z papieżem Janem Pawłem II.

Do przodu!...

MICHAŁ LUBINA

Ksiądz prałat dr Jerzy Pawlik wybór swoich felietonów i artykułów wydanych w 2005 roku przez Częstochowskie Wydawnictwo Archidiecezjalne REGINA POLONIAE zatytułował „Nieustannie do przodu”. W przedmowie do tego tomu dr Katarzyna Wencel napisała, że „to nie tylko tytuł książki, ale też motto prowadzące autora [...] przez całe życie. Nieustannie do przodu w służbie Panu Jezusowi i Jego Matce. Wszystkie teksty w tej publikacji przepełnione są ogromną miłością do Stwórcy i Jego dzieła – świata i człowieka.” Ten ciągły ruch do przodu – i w sensie drogi wiodącej go często daleko poza ukochany Górny Śląsk, i w sensie podejmowania nowych zadań, to właśnie szczególna cecha Księdza Prałata.

Dane mi było wielokrotnie spotykać się z ks. Jerzym Pawlikiem. Za każdym razem uważnemu spojrzeniu zza okularów towarzyszył życzliwy uśmiech i pytanie „Co u was słychać?”. Zwracał się do mnie – młodszego o jedno pokolenie – używając formy „wy”, z lubością wprowadzając wyrazy gwarowe i różne archaizmy językowe.

Pracowite i długie było życie śp. ks. Jerzego Pawlika. Urodził się 9 marca 1919 roku w Wełnowcu. Był najstarszy z czwórki rodzeństwa. Gdy miał dziewięć lat zmarła matka, a trzy lata później ojciec. Ksiądz Jerzy z tkliwością wspominał ro-

dziców, obdarzających dzieci miłością, troszczących się o ich rozwój duchowy. Ojciec był majstrem w hucie cynku „Wełnowiec” i wiele razy zabierał syna, by pokazać mu hutę. Jerzy zresztą krótko – po ukończeniu Gimnazjum – w niej pracował. Huta była ważnym obiektem w jego małej ojczyźnie. Do grupy istotnych elementów w najbliższej przestrzeni należały ulokowane przy ul. ks. Józefa Bedera dom rodzinny, kościół parafialny i szkoła powszechna. Uczęszczał do niej cztery lata, by potem kontynuować edukację w Państwowym gimnazjum Klasycznym w Katowicach – obecnie Liceum Ogólnokształ-

cące im. Adama Mickiewicza. Ze szkołą tą miał żywy kontakt przez blisko... osiemdziesiąt lat! Pedagodzy katowickiego Gimnazjum i proboszczowie rodzinnej parafii mieli wielki wpływ na ukształtowanie osobowości przyszłego księdza. To stwierdzenie może wydawać się banalne – ks. Jerzy Pawlik podkreślał jednak, że uczniowie szanowali ich za kulturę osobistą i godne szacunku postępowanie. Dużo zawdzięczał wełnowieckim duszpasterzom otoczony ich opieką po utracie rodziców. Ciekawe, że jak wspominał, bardzo wcześnie, dzięki kronikom parafialnym i zajęciom szkolnym, rozbudził w sobie zainteresowanie historią i kulturą Górnego Śląska.

Po zdaniu matury w 1937 roku został przyjęty do Śląskiego Wyższego Seminarium Duchownego i podjął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studia w Krakowie przerwał wybuch wojny. Dzięki kardynałowi Adolfowi Bertramowi, który zaopiekował się śląskimi alumnami, Jerzy Pawlik mógł je ukończyć w seminarium duchownym w Widnawie (obecnie Republika Czeska), należącej wtedy do biskupów wrocławskich. Świecenia kapłańskie przyjął w 1942 roku we Wrocławiu. Warto zauważyć, że w losie ks. Jerzego Pawlika jakby zogniskowała się tradycja kształcenia górnośląskich kapłanów w różnych okresach historycznych w trzech miastach: w Krakowie, Ołomuńcu i we Wrocławiu.

Po II wojnie światowej podjął pracę w Piekarach Śląskich jako katecheta w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Jana III Sobieskiego. Wcześniejsze pielgrzymowanie z Wełnowca do Piekar Śląskich, a potem dłuższy pobyt w tym ważnym dla Górnoślązaków sanktuarium maryjnym zaowocowały głębszym zainteresowaniem Piekarami Śląskimi (wydał kilka publikacji na ich temat) i ruchem pielgrzymkowym. Odbudował w szkole Sodalicję Mariańską Uczniów i Sodalicję Mariańską Uczennic, doprowadził do reaktywowania szkolnej drużyny ZHP, a nieco później do założenia szkolnego koła PTTK. Jego aktywność została dostrzeżona – w grudniu 1946 roku został Diecezjalnym Moderatorem Sodalicii Żeńskich Gimnazjalnych. Potem przybywało mu obowiązków w diecezji katowickiej i poza nią. Nie sposób w krótkim tekście opisać całokształtu jego działalności. Był m.in. Krajowym Moderatorem i Duszpasterzem Pracującej Młodzieży Żeńskiej oraz członkiem Komisji Maryjnej Episkopatu Polski, w której kierował pracami Podkomisji Sanktuariów Maryjnych i ruchem pielgrzymkowym w Polsce. Zajmował się nim od 1946 roku. Wiele razy uczestniczył w europejskich i światowych kongresach dotyczących ruchu pielgrzymkowego. Współorganizował też Światowe Dni Młodzieży w Rzymie, Buenos Aires, Santiago de Compostela, Częstochowie i Denver.

Szczególnym rodzajem działalności ks. Jerzego Pawlika była organizacja duszpasterstwa Polaków w krajach zrzeszonych w ówczesnej Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG). Został wydelegowany do niej przez Konferencję Episkopatu Polski w 1972 roku. Współpracował wte-

dy z Papieską Komisją do spraw Duszpasterstwa Emigrantów i Migrantów. O ogromie jego pracy może świadczyć fakt, że powstało kilkadziesiąt ośrodków i punktów duszpasterskich w Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republice Demokratycznej (12 ośrodków dla Polaków z 72 miejscowości!), Związku Radzieckim, Rumunii, a także na Węgrzech i na Łotwie. Nazywano go nieoficjalnie „ordynariuszem RWPG”. Ks. kardynał Stefan Wyszyński powierzał Księdzu Prałatowi różne szczególne zadania, jak na przykład sprowadzenie z Pragi relikwii świętych Pięciu Braci Męczenników Polskich bez wiedzy władz państwowych, czy też misję do Istambułu. Niektóre przedsięwzięcia ks. Jerzego Pawlika mogłyby służyć za kanwę scenariuszy filmowych. Jak sam zauważył „w klasztorach kontemplacyjnych modlą się nieustannie o rozsądek, rozwagę i odwagę dla ks. Pawlika”.

Wróć jeszcze do zainteresowań Księdza Prałata historią i krajoznawstwem. W latach 1949-1953, będąc już kapłanem, studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i „zaliczał” wykłady z historii i geografii. Studia zakończył obroną pracy doktorskiej „Parafie dekanatu piekarskiego w XVII i XVIII wieku”, po czym podjął studia podyplomowe archiwalno-biblioteczne zorganizowane przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych w Warszawie. Od 1967 roku prowadził ćwiczenia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a także wykładał historię Kościoła w Polsce w Studium Duchownym Ojców Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach oraz w Śląskim Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie, gdzie dodatkowo wykładał metodologię pracy naukowej.

Część praktyczną z tego przedmiotu prowadził między innymi w Bibliotece Śląskiej, gdzie przez wiele lat przyjaźnił się z doc. Grzegorzem Groblem, kierownikiem Działu Udostępniania Zbiorów. W Śląskiej Książnicy czuł się bardzo dobrze – z jej zbiorów nauczył się korzystać jeszcze przed II wojną światową i do końca życia był jej najwierniejszym czytelnikiem. Jako najstarszy czytelnik otrzymał w 1997 roku tytuł Amicus Librorum, a w dniu otwarcia nowej siedziby Biblioteki w październiku 1998 roku „złotą kartę czytelnika” nr 1. W instytucji tej w roku 1999 otrzymał też Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Ks. Jerzy Pawlik jest autorem wielu publikacji dotyczących historii Kościoła na Górnym Śląsku. Ma w swoim dorobku dwa dokonania szczególne: publikację „Szlak husarii polskiej” i... wymuszenie na Polskich Kolejach Państwowych zmiany nazwy stacji Katowice Bogucice na Katowice Zawodzie. Wcześniejsza, niewłaściwa nazwa, była używana od początku istnienia stacji, tak więc wiele wysiłku kosztowało ks. Jerzego Pawlika doprowadzenie do poprawienia przez PKP tego błędu.

Drugą pasją Księdza oprócz historii było krajoznawstwo – przez kilkadziesiąt lat należał do Komisji Krajoznawczej Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, które nadało mu tytuł Człon-

ka Honorowego. Był zapalonym turystą i przewodnikiem do końca 2008 roku.

Ks. Jerzego poznałem w 1991 lub 1992 roku, kiedy pracowałem w Sejmiku Samorządowym Województwa Katowickiego. Wtedy też pierwszy raz zetknąłem się ze specyficznym humorem Księdza Jerzego. Usłyszałem któregoś dnia: „Jo zech nie wiedzioł, że wy w Sejmiku pijecie ino kawa francusko”. „Nie, to nie jest kawa francusko”. „Jak to niy, prze-ca łona je tako de łur”. Odtąd było wiadomo, że kawa dla naszego Gościa musi być mocna, a z czasem wiedza ta została pogłębiona: wino, jeżeli już ma być, to tylko czerwone wytrawne.

W II kadencji Sejmiku (lata 1994-1998) ks. Jerzy Pawlik został przez Sejmik powołany w skład Komisji Współpracy Zagranicznej. Szczególnie aktywnie uczestniczył w pracach Podkomisji do spraw Współpracy z Krajami Europy Środkowo-Wschodniej. W dużym stopniu dzięki jego zabiegom Sejmik organizował, albo włączał się w wiele przedsięwzięć, szczególnie na rzecz Polaków mieszkających na Bukowinie (po stronie rumuńskiej i ukraińskiej). Pochłaniała go też wieloletnia współpraca z organizacjami i stowarzyszeniami skupiającymi Polaków w Rumunii, Łotwie i Słowacji. Ksiądz Prałat był Honorowym Członkiem Związku Polaków na Łotwie (od kwietnia 1998 roku) i Związku Polaków w Rumunii „Dom Polski” (od czerwca 1996 roku).

Na nasze spotkania w Sejmiku nałożyły się kontakty ze Związkiem Górnośląskim. Najbardziej żywe były z Kołem Bogucice – od 1974 roku był rezydentem w boguckiej parafii. Członkowie Koła współorganizowali uroczystości związane z kolejnymi rocznicami urodzin Księdza Prałata oraz jubileuszem 65-lecia kapłaństwa. Wtedy też liczną grupą w strojach śląskich (dla sprawienia przyjemności rozmiłowanemu w śląskości Księdzu Jerzemu) pojechali na Jasną Górę, by przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej dziękować Bogu za dar bycia z Jubilatem i prosić o dalsze dla niego łaski. Zapraszany był też przez Bractwo Myśli Bratniej Związku Górnośląskiego. Przychodził na spotkania dyskusyjne, uczestniczył w wydarzeniach, które go interesowały. Widać było, że cieszą go spotkania z Czesławem Rymere, członkiem Bractwa, starszym od Księdza o dwa lata. Przed osiemdziesięciu laty chodzili do tego samego Gimnazjum.

Zarząd Bractwa wystąpił o nadanie ks. Jerzemu Złotego Medalu Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Otrzymał go w kwietniu 2002 roku na uroczystym spotkaniu w siedzibie Bractwa. Co roku pojawiał się w salonie Bractwa – w gronie 30-40 osób – na styczniowych spotkaniach kółkowych z prof. Julianem Gembalskim. Ksiądz Prałat był i w tym roku 19 stycznia. Wydawało się, że w niezłej kondycji. Ktoś narzekał, że kiepsko mu się śpiewa bez śpiewnika. I wtedy usłyszał uwagę Księdza: „U nos downij to sie niy szukało śpiywników. U nos każdy kolyndy poradził śpiywać. Wszystkie zwrotki!”

Ks. Jerzy Pawlik był osobą bardzo szanowaną w Związku Górnośląskim. W 1998

roku otrzymał Nagrodę im. Wojciecha Korfantego „za bogaty wkład w duchowość Śląska, wieloletnią i wszechstronną pracę na rzecz drugiego człowieka, dbałość o godność istoty ludzkiej.” Był też Członkiem Honorowym Związku.

Bóg obdarzył śp. ks. Jerzego długowiecznością przy bardzo dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. W 2007 roku pojechał do rodaków na Sycylię. We wrześniu ubiegłego roku czekałem z grupą osób przed katowickim dworcem na wycieczkowy autobus. Po drugiej stronie ulicy na inny autobus czekała grupa przewodników w charakterystycznych strojach. Stali w wianuszkach, a pośrodku nich siedział Ksiądz Nestor. Podszedłem. Okazało się, że wyjeżdżali do Zakopanego. Ksiądz ucieszył się z tego krótkiego spotkania. „Jo zech niy wiedzioł, że waszo cera robi za dochtórka. Gryfno dzioucha” – usłyszałem. Wtajemniczeni wiedzieli, o co chodzi: dla poratowania zdrowia musiał już odwiedzać szpital w Bogucicach.

Z radością oczekiwano na zbliżający się jubileusz 90. urodzin ks. Jerzego Pawlika. Muzeum Historii Katowic i Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Rumuńskiej zaprosili na 9 marca, czyli dokładnie w dzień urodzin, „na koncert z okazji 90. rocznicy urodzin wybitnego katowiczana ks. prałata dr. Jerzego Pawlika”. Koncertu nie odwołano – odbył się jako poświęcony pamięci Księdza Jerzego. Ksiądz Prałat oczekiwany był 6 marca na Jasnej Górze, gdzie do Matki Boskiej Częstochowskiej dotarła XXV Ogólnopolska Pielgrzymka Przewodników Turystycznych. Miał tam wygłosić odczyt „Terminologia sakralna w praktyce przewodnickiej.”

Bóg „zarządził” inaczej: odwołał 1 marca 2009 roku z ziemskiego pielgrzymowania swojego wiernego syna. Wiele osób spośród tych, które zetknęły się z ks. Jerzym Pawlikiem przyszło go pożegnać 4 marca do kościoła pw. św. Szczepana w Bogucicach i potem na cmentarzu w Józefowcu. Mszę św. pogrzebową celebrowała liczna grupa księży pod przewodnictwem ks. bp. Gerarda Bernackiego. Celebransami byli także ks. bp Stefan Cichy i o. Izydor Matuszewski, Generał Zakonu Paulinów. Mszę św. odprawiano w obecności ks. abp. Damiana Zimonia. Homilię wygłosił ks. Gerard Gulba, emerytowany dziekan dekanatu myślowickiego. Zwrócił w niej uwagę między innymi na ciągłe pielgrzymowanie ks. Jerzego, na jego otwarcie na drugiego człowieka. Po Eucharystii ks. Jerzego Pawlika krótko pożegnał ks. abp Damian Zimoń. Nazwał Zmarłego – ze względu na różnorodność zainteresowań i skalę dzieła – człowiekiem Renesansu. Zetknął się z nim już jako kleryk, kiedy ks. Jerzy organizował pielgrzymki do polskich sanktuariów.

W obrzędach pogrzebowych szczególnie widoczne były bardzo liczne poczty sztandarowe oraz dwie grupy uczestników: mieszkańcy Bogucic w strojach śląskich i przewodnicy turystyczni w czerwonych kurtkach. Kościół wypełniony był po brzegi.

W marcu siedemdziesięciolecie urodzin obchodził Zenon Kowalowski, wybitny kompozytor muzyki teatralnej i filmowej, przez wiele lat związany z bielskim Studium Filmów Rysunkowych. Urodził się w Białej Podlaskiej, gdzie jego ojciec dostał pracę w fabryce urządzeń lotniczych. Rodzina artysty pochodzi jednak ze Śląska, konkretnie – z okolic Cieszyna. Zenon Kowalowski ukończył studia w zakresie kompozycji (1962) i dyrygentury (1964) w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie.

Jego profesorem kompozycji był Stanisław Wiechowicz, dyrygentury uczył się pod kierunkiem Witolda Krzemieńskiego i Henryka Czyży. Błyskotliwym początkiem jego kariery kompozytorskiej było wyróżnienie uzyskane na Konkursie Młodych Kompozytorów organizowanym od 1958 roku przez Związek Kompozytorów Polskich – prestiżowej imprezie traktowanej jako swego rodzaju kuźnia karier. Za nagrodą poszły ministerialne stypendia i pierwszy angaż – do Teatru Zagłębia w Sosnowcu (1968). Przepracował w nim na stanowisku kierownika muzycznego cztery lata, komponując muzykę do *Zemsty* Fredry w reżyserii Wiesława Mireckiego, *Persów* Ajschylosa (reż. Józef Para), *Czarodziejskiej lampy* Alladyna Niny Hernet (reż. Wiesław Mirecki), *Majstra i czeladnika* Józefa Korzeniowskiego (reż. Wiesław Mirecki), *Straconych zachodów miłości* Szekspira (reż. Wiesław Mirecki), *Przyszedłem pana zabić* Stanisława Goszczurnego (reż. Wiesław Mirecki) i in. Pisał też muzykę do przedstawień Teatru Polskiego w Bielsku-Białej (Słowacki – *Księżę niezłomny*, Szekspir – *Kupiec wenecki*, Żeromski – *Wierna rzeka*, Kruczkowski – *Niemcy*, Wyspiański – *Bolesław Śmiały*, Różewicz – *Kartoteka*), katowickiego Teatru im. Wyspiańskiego (Fredro – *Mąż i żona*) oraz Teatru im. Fredry w Gnieźnie (Brecht – *Opera za trzy grosze*).

Kontakt Zenona Kowalowskiego z teatrami przerwał się nagle w 1972 roku, kiedy kompozytor popadł w konflikt z kolektywem partyjnym sosnowieckiej placówki. Otrzymał wówczas wilczy bilet, za który potomność powinna być partii wdzięczna, jako że pomógł mimochodem artyście odnaleźć się w dziedzinie, która przyniosła mu największe powodzenie – w muzyce filmowej.

Zenon Kowalowski rozpoczął współpracę ze Studium Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej już w 1970 roku. Debiutował muzyką do filmu krótkometrażowego *Szyf* w reżyserii Zdzisława Kudły. Nawiązawszy następnie kontakt ze znanym reżyserem i scenarzystą Lechosławem Marszałkiem,

Nie tylko dla Reksia



Zenon Kowalowski nie wygląda na swoją siedemdziesiątkę. Młody duchem i ciałem, towarzyski i bezpośredni, pogodny i uśmiechnięty, jak jego muzyka.

zajął się pisanem muzyki do filmów rysunkowych dla dzieci. W 1972 roku powstał pierwszy odcinek kultowego *Reksia* z muzyką Zenona Kowalowskiego (*Reksio strażak*). W następnych latach ilustrował kompozytor jeszcze ponad 60 odcinków tego serialu, zyskując niezwykle uznanie jako twórca muzyki nie tylko trafnie i ciekawie ilustrującej narrację filmową, ale też genialnie współtworzącej akcję. Przypomnę, że były to czasy, kiedy muzyka do filmów była nagrywana przez zespół żywych muzyków, a powstawała w formie pełnej instrumentalnej partytury, wypracowanej we wszystkich szczegółach: harmonicznym, rytmicznym, instrumentacyjnym. I to wszystko „na piechotę”, bez komputera! Oglądając dziś owe partytury (zachował ich kompozytor zaledwie kilka!) doceniam świetny warsztat, ogrom inwencji – takiej naturalnej, nie narzucającej się – i rozeznanie w nowoczesnych środkach pozwalających kreować rozmaite efekty wyrazowe i ilustracyjne (ma się rozumieć – szkoła krakowska!).

Oprócz *Reksia* ilustrował Kowalowski jeszcze kilka innych seriali: *Marceli szpak dziwi się światu*, *Karpyel kontra groszki*, *Przy młynie*. W roku 1984 stworzył, wspólnie z Tadeuszem Kocybą, muzykę do długometrażowego filmu *Porwanie w Tiuturlistanie* w reżyserii Franciszka Pytera i Zdzisława Kudły.

Filmy z muzyką Zenona Kowalowskiego były prezentowane na rozmaitych festiwalach i przeglądach branżowych, m.in. Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu (w 1981 roku kompozytor otrzymał tam nagrodę specjalną za muzykę filmową dla dzieci), Ogólnopolskim Festiwalu

dla Dzieci i Młodzieży w Poznaniu (1986), Festiwalu Sztuki Filmowej „Celuloid, Człowiek, Cyfra” we Wrocławiu (2007) i Katowicach (2008). Muzyka ta była również prezentowana na katowickich Śląskich Trybunach Kompozytorów i festiwalu Śląskie Dni Muzyki

Współczesnej, a także na imprezach międzynarodowych m.in. w Berlinie, Cannes, Moskwie, Karlovych Varach i Wenecji.

Równolegle z muzyką filmową powstawały w latach 70. i 80. XX wieku autonomiczne kompozycje kameralne i symfoniczne, w których kompozytor prezentował własną wersję muzycznej awangardy (m.in. *Sekwencje 7* na zespół instrumentalny, *Muzyka na flet i fortepian*, *Fonostruktury* na orkiestrę symfoniczną, *Gdy zmrok zapada* i *Humoreska sylabiczna* na chór). W latach 90. stworzył również oprawę kilku spektakli muzycznych, m.in. bajki muzycznej Michała Wrońskiego

Przygoda zegara z muzyką, którą wystawiła Operetka Śląska (reż. Tadeusz Wiśniewski, 1992) oraz skomponował cykle piosenek do słów Zdzisława Pyzika, Marii Filizanki i Igora Sikirzyckiego. W 1995 roku Zenon Kowalowski skomponował na zamówienie Tokyo International Music Company dwa koncerty fortepianowe dla dzieci. Zostały one prawykonane w Krakowie przez młodych japońskich pianistów i Capellę Cracoviensis pod dyktando Rolanda Badera. W ostatnich latach teka artysty powiększyła się o dalsze utwory adresowane do młodych wykonawców – cykle *Muzycznych wędrówek* opartych na kultowych melodiach z *Reksia* (opracowanych na różne składy: fortepian, skrzypce lub dwoje skrzypiec z fortepianem, trio smyczkowe z fortepianem), *3 impresje* i *2 bagatele* na fortepian oraz o kolejne pieśni choralne.

Tworząc niezwykle intensywnie na potrzeby teatru i filmu, znalazł Kowalowski czas na działalność pedagogiczną. W latach 1980-2000 był etatowym pracownikiem Instytutu Wychowania Muzycznego Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Prowadził tam zajęcia z kompozycji, aranżacji i instrumentacji. Od 1992 do 2007 roku współpracował także z prywatną Szkołą Muzyki Rozrywkowej Nice Noise w Katowicach.

W 1980 roku Zenon Kowalowski został uhonorowany Złotą Maską za twórczość dla teatru. W 1998 roku otrzymał Medal Komisji Edukacji Narodowej za szczególne zasługi dla oświaty i wychowania. Nie wygląda na swoją siedemdziesiątkę. Młody duchem i ciałem, towarzyski i bezpośredni, pogodny i uśmiechnięty, jak jego muzyka.

MAGDALENA DZIADEK

Z postacią zmarłego 25 lutego 2009 roku Zbigniewa Chmielewskiego łączą się najważniejsze polskie seriale lat 70.: *Dyrektorzy* i *Daleko od szosy*, a także – zrealizowane później – pierwsze seriale śląskie, w tym *Blisko, coraz bliżej*. Seriale śląskie zajęły mu ostatnią dekadę twórczości.

Jego ostatnim przedsięwzięciem była realizacja *Rodziny Kanderów* w 1988 roku. Było to 20 lat temu! Jednak jego seriali w nowej Polsce raczej nie wznawiano. Dlatego postać reżysera poszła w zapomnienie. Dopiero jego odejście przypomniało, że Chmielewski należał do niewielkiego grona najważniejszych polskich autorów serialowych.

Droga Zbigniewa Chmielewskiego prowadziła z kresów wschodnich Rzeczypospolitej, gdzie urodził się 1 grudnia 1926 roku w Słonimiu na Białorusi. Nigdy specjalnie nie afiszował się biografiami, w której nie zabrakło zesłania do Rosji podczas wojny światowej. Po wojnie udało mu się stamtąd wrócić. Na początku lat 50. zdał do łódzkiej Filmówki, którą ukończył w 1956 roku. Związał się wtedy z Łodzią na stałe, do końca życia. Jednak droga filmowca rzucała go w różne miejsca w Polsce, w tym do Katowic w ostatnich latach zawodowej aktywności.

Dziwnym zrządzeniem losu jego praca na planie rozpoczęła się kilkuletnią współpracą z Kazimierzem Kutzem w 1958 roku. Został wtedy drugim reżyserem przy jego debiutancie *Krzyżu Walecznych*. Jako drugi reżyser pracował z Kutzem przy jego kolejnych filmach: *Nikt nie woła*, *Ludzie z pociągu*, *Milczenie* i *Upał*.

„Był niesłyszalnie skromnym człowiekiem – wspominał Kutz niedawno Chmielewskiego po jego śmierci – pracowitym, lojalnym i niekonfliktowym, pozbawionym próżności. Nie nadawał się do zgiełku, nigdy nie pchał się na pierwszy plan. Starał się być właściwie niewidocznym zza kamery. To stanowiło o jego wartości i wdzięku. Bardzo go lubiłem”.

Jako samodzielny reżyser Chmielewski zadebiutował telewizyjnym filmem *Piękny był pogrzeb, ludzie płakali* (w 1967 roku) rozegranym w scenerii prowincjonalnej. Zrealizował następnie dwa filmy kinowe: *Tabliczkę marzenia* (1968) według młodzieżowej powieści Haliny Snopkiewicz i *Twarz anioła* (1970) powracającą do czasu okupacji. Jako reżyser Zespołu Filmowego „Silesia” nakręcił dla telewizji *Profesora na drodze* (1973) opartego na prozie Henryka Czarneckiego. Także w „Silesii” zrealizował *Daleko od szosy*.

Najważniejsze w karierze Chmielewskiego okazały się dwa seriale nakręcone w połowie tamtej dekady:



Najważniejsze w karierze Zbigniewa Chmielewskiego okazały się dwa seriale: „Dyrektorzy” z 1975 i „Daleko od szosy” z 1976 roku. Na zdjęciu: scena z pierwszego serialu.

Zręczny rzemieślnik kina

Dyrektorzy z 1975 i *Daleko od szosy* z 1976 roku. Pierwszy zwracał uwagę na menedżerów wielkiego przemysłu, a drugi opowiadał o migracji ze wsi do miasta. Oba zawierały dawkę politycznej dydaktyki, lecz cieszyły się zainteresowaniem masowej telewizyjnej widowni. Z pewnością były to największe jego reżyserskie osiągnięcia.

Nic dziwnego, że pomyślano o Chmielewskim w Radiokomitecie, gdy pojawił się projekt serialu o budowie huty „Katowice” – czołowym przedsięwzięciu gospodarczym ekipy Gierka. Telewizja zamówiła scenariusz u Albina Siekierskiego, lecz jego wersję ostateczną napisał specjalista od seriali Andrzej Szypulski. Trudno byłoby nazwać 7-odcinkowy *Ślad na ziemi* przedsięwzięciem udanym, raziły w nim schematy rodem z propagandy sukcesu.

Na marginesie warto zaznaczyć, że nie było to pierwsze spotkanie Chmielewskiego z Siekierskim. Jeszcze w 1962 roku Chmielewski pracował w roli drugiego reżysera przy filmie *Czerwone berety* Pawła Komorowskiego opartym na noweli Siekierskiego, będącym także – wraz z Jerzym Lutowskim – współautorem scenariusza. Zapewne spotkali się wtedy osobiście. Jeśli tak było, to z pewnością nie przypuszczali, że po latach złączą ich trzy śląskie seriale.

Po serialu o hucie „Katowice” Chmielewski został głównym reżyserem wytwórni filmowej Poltelu w Katowicach. Zrealizował film telewizyjny *Operacja Himmler* o prowokacji

gliwickiej w 1939 roku, a potem zabrał się do nowego serialu z Siekierskim.

19-odcinkowe *Blisko, coraz bliżej*, oparte na scenariuszu Siekierskiego, było przedsięwzięciem od strony produkcyjnej gigantycznym. Realizowano go w katowickim Poltelu przez niemal całe lata 80., a emitowano w telewizji od 1983 roku.

Zamierzeniem serialu Chmielewskiego i Siekierskiego było pokazanie drogi Górnolazaków do Polski poprzez losy rodziny Pasterników ze wschodniego zakątka regionu, począwszy od roku 1863, kiedy to syn śląskiego kowala opuszcza rodzinne strony, by walczyć w powstaniu styczniowym. Poprzez historię starego Franciszka Pasternika (niezapomniana kreacja Franciszka Pieczki), poprzez losy jego syna, wnuków i kolejnych pokoleń Pasterników serial prezentował ich trwanie przy polskości w XIX stuleciu, a następnie w zmaganiach w drodze do Polski już XX wieku aż do roku 1945. W sumie prawie sto lat górnośląskiej historii.

Jednak to wielkie przedsięwzięcie obciążone było perswazyjnym widzeniem historii Górnego Śląska z perspektywy polskiej racji stanu, raziło historycznymi uproszczeniami. Podejrzewam, że to, co wtedy było w serialu rażące, dzisiaj byłoby rażące tym bardziej. Nie było w nim zrozumienia dla pograniczności Górnego Śląska.

Niemniej serial był wtedy oglądany, bo była to pierwsza telewizyjna prezentacja górnośląskiej historii w tak znacznym rozmiarze. Szkoda, że tak silnie poddana presji swego czasu. W tamtym czasie pisałem o serialu krytycznie, a zwłaszcza o jego stronie historycznej, ale przyznaję, że byłbym ciekaw dzisiejszego odbioru. Co dzisiaj z niego zostało?

Kolejnym i ostatnim już serialem śląskim Chmielewskiego, powstałym także we współpracy z Siekierskim, była *Rodzina Kanderów* z 1988 roku. W 7 odcinkach autorzy opowiadali dzieje pewnej górnośląskiej rodziny od zakończenia II wojny światowej aż do połowy lat 70., skupiając się najwięcej na przemianach obyczajowych i społecznych. Jednak telewizyjna emisja serialu nastąpiła w Polsce już po obaleniu komunizmu, co tym bardziej obnażało jego ideologiczne sztuczności.

Niemniej z postacią Chmielewskiego związane są lata największego boomu Poltelu w Katowicach, gdzie wszystkie te seriale kręcono. Tej wytwórni nie ma od dawna, pozostały filmy i wspomnienia. No i trochę szkoda, że te najlepsze seriale Chmielewskiego, który był niewątpliwie zręcznym rzemieślnikiem kina, to nie były akurat seriale śląskie.

JAN F. LEWANDOWSKI

Artykułem profesora Adama Jarosza zamykamy cykl publikacji w „Śląsku” poświęconych powołaniu – ma to się stać już po raz czwarty – Instytutu Śląskiego w Katowicach, który po likwidacji ŚIN-u od 17 lat czeka na reaktywację. Chodzi także i o akt naprawienia historycznej krzywdy, bo nigdzie w Polsce żadna instytucja naukowa nie miała tak dramatycznej historii co Instytut Śląski. Serię wypowiedzi na ten temat zainicjował artykuł Tadeusza Kijonki pt. „Na politycznym stosie” zamieszczony w 150. numerze Śląska. Odtąd co numer ukazywały się artykuły pod hasłem „Instytut Śląski. Był i powstać musi”, które ułożyły się w zbiorową wizję takiej placówki odpowiadającej potrzebom XXI wieku. Ten nieustępliwy cykl publikacji doczekał się oczekiwanego zwieńczenia. Oto w Roku Korfanteo wyłoniły się realne możliwości utworzenia takiej placówki, co znalazło świadectwo w zobowiązującej uchwale podczas uroczystej sesji w Sali Sejmu Śląskiego 21 kwietnia br. Godzi się zaznaczyć, że w sprawę tę zaangażował się osobiście marszałek województwa Bogusław Śmigiel, który wcześniej 24 marca przewodniczył w spotkaniu w Sali Marmurowej poświęconemu powołaniu tej niezwykle ważnej instytucji, w 75. rocznicę utworzenia w 1934 roku Instytutu Śląskiego w Katowicach.

INSTYTUT ŚLĄSKI

Był i powstać musi! Głosy w dyskusji



Adam Jarosz – ur. 25 V 1928 r. w Tarnowie, historyk literatury polskiej, biografista, bibliograf i edytor; był długoletnim nauczycielem akademickim (UJ, WSP w Katowicach, UŚ) i organizatorem bibliotekoznawstwa uniwersyteckiego na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1973-1991.

Historyk literatury staropolskiej i piśmiennictwa regionalnego na Śląsku i w Zagłębiu. Wydał szereg rozpraw poświęconych Walentemu Roździeńskiemu, Olbrychtowi Karmanowskiemu, Danielowi Naborowskiemu, prasie staropolskiej itp. Był redaktorem „Nowych roździeńscianów. Studiów o Walentym Roździeńskim i jego dziele »Officina ferraria« z roku 1612” (Wrocław: Ossolineum 1985) oraz kilku tomów prac zbiorowych. Zapoczątkował „Studia bibliologiczne”, których zeszyt 16 ukazał się niedawno. Bibliografia osobowa liczy 250 pozycji.

Wydał w roku 2007 książkę dedykowaną śp. prof. Bronisławowi Zysce pt. „W trójkącie Przemyszy. Z Krakowa na Śląsk i do Zagłębia Dąbrowskiego”.

W przygotowaniu wybór szkiców i rozpraw staropolskich pt. „Tematy staropolskie”.

W roku 1996 przyznano Adamowi Jaroszowi Nagrodę Miasta Sosnowca za działalność naukową i kulturalną.

ADAM W.
JAROSZ

Przekorna pochwała reaktywacji Instytutu Śląskiego w Katowicach

Od pewnego czasu, głównie na łamach „Śląska”, za co chwala Redakcji, trwa dyskusja o powołaniu Instytutu Śląskiego do życia. Niektóre wypowiedzi przynoszą konstruktywne propozycje. Inne zaś są pełne hasel patriotycznej gorliwości etc. Przypomnijmy jednak fakty. Prawie nic nie mówi się o tym, kto jest odpowiedzialny za likwidację Instytutu Śląskiego. W sposób ogólnikowy wymienia się powody, dla których w owym czasie Instytut musiał być zlikwidowany. Nie jest to argumentacja przekonująca, raczej demagogiczna. Można było osoby, które nie odpowiadały nowym czasom usunąć, nawet sporą grupę. A co najciekawsze w tym wydarzeniu, bądź co bądź historycznym, to fakt, że społeczność uczonych śląskich, *resp.* górnośląskich, nie stanęła w obronie Instytutu Śląskiego. Nie dostrzegała historycznej krzywdy, jaka się dzieje kulturze śląskiej. Nie widziała potrzeby kontynuowania Śląskiego Słownika Biograficznego, realizacji pięknego planu encyklopedii śląskiej, bibliografii śląskiej i innych zamierzeń badawczych i edytorskich. W obronie wystąpiły siły bez większego znaczenia, tzn. przedstawiciele lewicowych i chadeckich związków zawodowych.

Proponuję, aby powołać instytucję pod tytułem „księga hańby śląskiej” i tam wpisać całe to wydarzenie likwidacji Instytutu Śląskiego oraz aktorów i reżyserów tej błędnej decyzji.

Jeśli ma powstać Instytut Śląski, to musi to być struktura znaczna, zatrudniająca wielu pracowników naukowych o najwyższych kwalifikacjach, ludzi, którzy w swym dorobku naukowym mają osiągnięcia w zakresie problematyki śląskiej, zarówno dawnej, jak i nowoczesnej. Skąd ich wziąć? Instytut powinien posiadać grupę samodzielnych pracowników naukowych, kierowników pracowni i zakładów, tematów badawczych. Nie mogą to być „latający Holendrzy” na drugim czy kilkumiesięcznym etacie, bo chętnych na tego typu rozwiązania mamy całe tabuny. Młodszy pracownicy, magistrzy, doktorzy, winni mieć wyraźną rekomendację badawczą, bibliograficzną, a nie tylko „wyznanie wiary śląskiej” lub dobrą metrykę.

Już z różnych stron w kraju, a także z najbogatszego państwa w Europie, otrzymuję od przyjaciół telefony z zapytaniem i z życzliwą akceptacją powołania Instytutu Śląskiego. Rozmówcy wszelako domagają się, by to była instytucja licząca się, dobrze

zaopatrzona i skupiająca ludzi o wysokich kryteriach etycznych i moralnych oraz o wybitnych umiejętnościach naukowo-badawczych. Podzielam ten punkt widzenia. Na temat kadry badawczej parę słów powiedziałem. Aby nie mnożyć i nie komplikować tego zagadnienia sformułuję podstawową dyrektywę. Uczonych w Instytucie Śląskim musi cechować prawość etyczna w życiu i w nauce oraz muszą oni posiadać sprawdzone wysokie kwalifikacje naukowe.

Gdzie powinien mieścić się Instytut Śląski? Gdzie go ulokować?

Padła propozycja, by w Bibliotece Śląskiej. Jest to pomysł niefortunny. Dążenie, by tanim kosztem załatwić problem i mieć święty spokój. Biblioteka Śląska ma swoje problemy (gruntowny remont dachu!). Należy pomyśleć o tym, by obecna Biblioteka Śląska nie skończyła tak jak mieszczący się obok niej budynek dawnego Instytutu Śląskiego, który projektowały może i budowały niektóre osoby wspólne dla obu budynków.

Proponuję natomiast, by Instytutowi Śląskiemu ofiarować dawną Bibliotekę Śląską przy ul. Francuskiej. Dokonać należy remontu i adaptacji do przyszłych celów. Są tam obszerne magazyny na książki i archiwalia. Instytut musi mieć własną bibliotekę silezjaków. Musi być zaopatrzony w najnowocześniejsze urządzenia reprograficzne, audiofilskie, urządzenia elektroniczne powielające, niewielką drukareńkę materiałów i komunikatów wychodzących z pracowni naukowych Instytutu.

Skąd wziąć pieniądze i jakim sposobem zaopatrzyć Instytut w meble i urządzenia oraz wielki księgozbiór?

Organizatorzy w imieniu społeczności polskiej, śląskiej, świata nauki powinni sformułować wielkie hasło „Cały naród odbudowuje Instytut Śląski, jego zbiory i zasoby archiwalne”. Niech przodują w tym dziele Ślązacy! Jestem przekonany, że także tysiące rodaków mieszkających w odległych krajach nie pozostanie bez odzewu. Napłyną pieniądze, napłyną też książki, silezjaka, czasopiśma, rękopisy, korespondencje, jeszcze tego wiele zalega po strychach, piwnicach, kufrach, walizach. Ludzie nie wiedzą, co z tym zrobić,

w końcu cenne rzeczy idą na makulaturę. Studentki odnalazły w kufrach korespondencję redakcyjną jednego z XIX-wiecznych czasopism. Nie wykazały dostatecznej aktywności, nie było zainteresowanych, a gdy ponownie się pojawiły to rzecz uległa już zniszczeniu. Odpowiednio zareklamowane hasła: „ratujmy ślady przeszłości, dowody kultury polskiej, śląskiej, niemieckiej, żydowskiej na Śląsku, dowody walki o język polski, o kulturę ludową, świadectwa rodzinne uczestnictwa w powstaniach śląskich etc.” będą miały na pewno doniosły wpływ społeczny. Proponowana przeze mnie wielka akcja musi mieć rangę patriotycznej i społecznej działalności. Świetnie zaaranżowałby to zadanie „Śląsk”. Sprawdzić się w niej mogą tylko ludzie, którzy nie patrzą na wysokie wynagrodzenia, na dziesięciotysięczne pensje, ale kierujący się przesłankami ideowymi, oczywiście godnie wynagrodzeni.

Skąd wziąć na to środki? O tym trzeba dyskutować, to jest sprawa kluczowa i najważniejsza: **kadry i pieniądze**. Mało było w dotychczasowej dyskusji na ten temat głosów konstruktywnych, dostrzegających realne możliwości, a wiele naiwności i przekonania, że jakoś to będzie. Tymczasem budowa i rekonstrukcja tej miary instytucji w czasie kryzysu jest problemem, który tylko na Śląsku może się udać – ziemi patriotycznej, zamożnej, gdzie wielokrotnie dokonywały się wielkie zamierzenia. Etapy wstępne powołania Instytutu widzę inaczej niż to mentalność urzędnicza przewiduje, tzn. powołanie dyrektora organizatora i ulokowanie gdzieś kątem Instytutu. Należy stworzyć szeroki zespół ludzi oddanych tej idei, profesjonalistów, zarówno spośród grona młodzieży akademickiej, młodych uczonych, doktorantów etc., jak i osób, które osiągnięcia życiowe mają poza sobą. Opracować program badawczy na miarę możliwości, tzn. kontynuację spraw najpilniejszych zaczętych przez dawny Instytut i realizację spraw bieżących, które nie mogą być wykonane przez jednostki uniwersyteckie lub placówki naukowe. Po dyskusji programowej, która powinna się toczyć także na łamach prasy śląskiej, zasłużonego w tej akcji „Śląska”, należy opracować strukturę organizacyjną przyszłej placówki. W czasie tych działań wstępnych wybitni decydenci spraw śląskich (marszałek, wojewoda) powinni dokonać przeniesienia użytkowników i obecnych dzierżawców dawnej Biblioteki Śląskiej do innych pomieszczeń. Należy to zrobić sprawnie i godnie tak, by nie pozostała niedobra aura, która ciążyłaby

na poczynaniach nowych użytkowników. Jeszcze raz powtarzam, że nie widzę innej możliwości pomieszczenia Instytutu Śląskiego niż w budynku dawnej Biblioteki Śląskiej. Przemawiają za tym **argumenty historyczne**: budynek powstał u początków państwowości polskiej na Śląsku, służył Sejmowi Śląskiemu, był prawniczą biblioteką sejmową. Mieści się on w **centrum miasta**, w świetnym punkcie, stosunkowo niedaleko od nowej Biblioteki Śląskiej, stąd łatwa komunikacja w różnych sprawach bibliotecznych i informacji naukowej. Jest to **piękny pod względem architektonicznym budynek**, robi wrażenie trwałej budowli, zapewne działania modernizacyjne podjąć by należało. Działacze polityczni Śląska winni uzyskać odpowiednie fundusze z budżetu centralnego, a władza terenowa natomiast musi podjąć starania o fundusze unijne.

Nie jest to zatem w moim przekonaniu sprawa najbliższych miesięcy, raczej wymaga to sumiennych długofalowych przygotowań. Odtworzenie kadry naukowej należy rozpocząć natychmiast poprzez konkursy, stypendia doktorskie, habilitacyjne, wyjazdy celem kształcenia się w innych uniwersytetach polskich i zagranicznych, w instytutach regionalnych o podobnej specyfice jak nasz Instytut. Niczemu by też nie przeszkadzało powołanie odpowiednich seminariów doktorskich, czy czegoś w rodzaju **Dozentenschule** z funduszy i w imieniu Instytutu Śląskiego na terenie uczelni katowickich, ewentualnie śląskich. Fakty te muszą być jednak skoordynowane z przyszłymi potrzebami i profilem działań Instytutu.

Czasopismo naukowe – potrzebne „od zaraz”

Wielkim niedostatkiem środowiska naukowego w Katowicach i w innych miastach śląskich i zagłębiowskich jest brak czasopism naukowych. Kto je ma powołać, czy środowiska uniwersyteckie szkół wyższych, Polskiej Akademii Nauk, oto jest pytanie? Tych zadań nie może wypełniać „Śląsk”, pismo o profilu społeczno-kulturalnym, nie wypełnia też i „Zaranie”, które działa gdzieś na peryferiach naszej rzeczywistości. Może Urząd Marszałkowski i jego komórki zajmujące się nauką potrafiłyby stworzyć tego typu czasopismo, tymczasem należy zacząć od humanistyki, ale równie ważne jest analogiczne pismo dla nauk przyrodniczych, które tak znakomicie się rozwijają na terenie naszego woje-

wództwa, zwłaszcza nauki o Ziemi, matematyka, fizyka, chemia, nauki techniczne. Proponuję, by najpierw powstało pismo „Studia Historyczno-Literackie”, które by objęło całość kształt problematyki humanistycznej. O nazwie można dyskutować, mogą to być też „Studia Humanistyczne”, ewentualnie jakaś inna nazwa.

Od lat czterdziestu nie było pisma naukowego, na łamach którego publikowano by na Śląsku recenzje krytyczne, naukowe, niezależne od ocen, jakie pojawiają się w trybie urzędowym przy promocjach doktorskich, habilitacyjnych, oraz innych publikacjach naukowych zazwyczaj recenzowanych przez odpowiednio dobranych recenzentów wydawniczych. Można zauważyć, że cały szereg publikacji wydawanych przez uczelnie, wydawnictwa o charakterze naukowym, przemija tu na Śląsku i nie tylko, bez jakichkolwiek wzmianek, ocen recenzyjnych, informacji o wartości etc. Przede wszystkim chodzi o to, by recenzje były krytyczne, by dawały możliwość ludziom myślącym i twórczym dokonywania ocen i selekcji niezależnie od pozycji autora w świecie naukowym, w hierarchii akademickiej. Na łamach tego pisma dokonałby się przegląd talentów naukowych, pisarskich ludzi posiadających koncepcje i odwagę naukową, umiejętność chwalenia rzeczy wartościowych i ganienia rzeczy słabych. Obie te umiejętności są warunkiem niezbywalnym normalnego rozwoju każdego środowiska naukowego. W przeciwnym wypadku pozostanie tylko produkcja papierowych wartości, druk książek przemijających, promocja formalnych stopni naukowych idących na ilość, a nie na jakość. Nie ma lepszej drogi rozwoju nauki, jak troska o stworzenie warunków do publicznej wymiany poglądów na temat twórczości naukowej.

Programy badawcze, pracownie naukowe, wydawnictwa

Obie idee, tzn. powołania Instytutu Śląskiego i zorganizowania redakcji periodyku naukowego (miesięcznika, kwartalnika) dla humanistyki i dla nauk przyrodniczych należy traktować rozłącznie. Jedna instytucja może istnieć bez drugiej, ale jest więź, która łączy oba te zamierzenia. Czasopismo przygotowywałoby grunt pod powstanie silnej placówki naukowo-badawczej, bo tylko taka wobec działania różnych uczelni wyższych w Katowicach i Uniwersytetu Śląskie-

go ma sens istnienia. Wyobrażam sobie też podjęcie przez przyszły Instytut Śląski działań dydaktycznych w formie kształcenia podyplomowego dla regionalnych badaczy, np. bibliografów, biografistów, historyków regionalnych, popularyzatorów wiedzy, organizatorów kultury w mniejszych miejscowościach, a także Instytut Śląski mógłby przygotowywać – jeśli będzie posiadać stosowną kadrę o wysokich kwalifikacjach naukowych – młodych naukowców do podjęcia badań samodzielnych i uzyskania w odpowiednim miejscu stopnia doktora habilitowanego.

Pilną potrzebą w Instytucie byłyby badania folklorystyczne, z tym wiąże się też studia nad językiem miast, mową ludu, gwarą warstw robotniczych, żargonem podmiejskim, jednym słowem nowocześnie pojmowane badania dialektologiczne. Należy powołać Pracownię Piśmiennictwa Śląskiego, która w perspektywie swych zamierzeń miałaby podręcznik akademicki literatur istniejących na Śląsku od średniowiecza po współczesność, w języku łacińskim, polski, czeski, niemiecki i ewentualnie jidisz. Inny dział to kontynuowanie biografistyki regionalnej, czego nie wykona za nas zespół skupiony wokół biografii narodowej. Tam stają się przedmiotem zainteresowania najwybitniejsze jednostki z poszczególnych regionów Polski. Należy też kontynuować zapoczątkowane przed laty prace nad Encyklopedią Śląską. Zestaw haseł już opracowany znajduje się w Archiwum Wojewódzkim i zapewne będzie wymagał pewnej rekonstrukcji, dostosowania do obecnych potrzeb społecznych.

* * *

Na tym etapie naszych rozważań można poprzestać na bardzo ogólnikowych ideach kształtujących program badawczy Instytutu Śląskiego. Jeśli nie będzie dostatecznego wsparcia władz państwowych i regionalnych, akceptacji ze strony środowiska akademickiego, środków materialnych na powołanie Instytutu w stosownym godnym tej instytucji pomieszczeniu, nie będzie też odpowiednich dotacji na koszty rzeczowe i osobowe tej instytucji, to należy sprawę powołania Instytutu odłożyć do czasów sposobniejszych. Koszt powołania nowego Instytutu musi być z wielu powodów wysoki, ponieważ nastąpiła wieloletnia przerwa w egzystencji poprzedniego Instytutu i ta przerwa pociąga za sobą odpowiednie nakłady.

O błogosławionym patronie w Tychach



27 marca przypadło „Święto Uczelni” zorganizowane przez Wyższą Szkołę Zarządzania i Nauk Społecznych im. ks. Emila Szramka w Tychach. Stało się to okazją do prezentacji gościom i studentom tego prężnie rozwijającego się ośrodka akademickiego biografii oraz dokonań jej błogosławionego patrona. Pozornie to pomysł trochę dziwny – opowiadać studentom o człowieku, którego imię ich szkoła nosi. Ale tylko pozornie. Nie tak dawno zdarzyło mi się z koleżanką zrobić na innej uczelni, której patronem jest inny wielki Ślązak, sondę potrzebną nam do audycji. Pytaliśmy młodych ludzi, którzy się tam uczą, kim był ten ich patron. I nikt z nich, dosłownie – nikt spośród wielu pytanych tego nie wiedział. A przecież ten człowiek był poprzez swoją działalność jakoś tam związany z kierunkami, które ci młodzi ludzie studiowali. Okazuje się więc, że właśnie taki temat jest jak najbardziej na miejscu, że ma sens, ponadto zaś zawiera w sobie ważną dla studentów część odpowiedzi na odwieczne pytanie ludzkości „skąd przychodzimy?” Dodać należy, że patron tyskiej Szkoły był przez pewien czas związany z tym właśnie miastem.

Konferencję *Ks. Emil Szramek i jego służba wartościom uniwersalnym* otworzył rektor, prof. Henryk Goik, który wygłosił słowo wstępne,

powitał przybyłych gości i... poinformował o zmianie programu. Zamiast przewidzianego wykładu o życiu i dziele patrona Szkoły pokazano mianowicie poświęcony ks. Szramkowi dokumentalny film Adama Kraśnickiego. Realizację tego przedsięwzięcia wspierał proboszcz z parafii Mariackiej w Katowicach, czyli następca ks. Szramka – proboszcza tego kościoła do roku 1940. Informacjom historycznym towarzyszył więc obraz; pokazano miejsca, z którymi błogosławiony kapłan był związany, jego listy, archiwalne zdjęcia itd. Przejmujące były zwłaszcza ujęcia nakręcone w obozie w Dachau. Tam właśnie ks. Szramek zginął śmiercią męczennika. Film Kraśnickiego ukazywał wielowymiarowość tej wybitnej postaci. Bez przesady można tego księdza nazwać człowiekiem renesansowym. Był wybitnym, świetnie wykształconym duszpasterzem, potrafiącym służyć z powodzeniem na trudnym przecież terenie Śląska zarówno katolikom polskim jak i niemieckim (choć angażował się wyraźnie po stronie polskiej np. w czasie plebiscytu). Uczonym interesującym się historią, socjologią, folklorem, sztuką, poezją. Bibliofilem i kolekcjonerem obrazów (niestety, prawie nic się nie zachowało). Działaczem społecznym (Towarzystwo Oświatowe im. św. Jacka, Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku), świetnym organizatorem (ta ostatnia cecha zdecydowała o tym, że został włączony w proces organizowania diecezji katowickiej, a później przygotowywanie budowy katedry). Kończę, bo wyliczenie wszystkich pól aktywności tego wybitnego kapłana i jego zasług wymagałoby osobnego, obszernego omówienia.

Śląsk był dla ks. Szramka ojczyzną, miłością, pasją. Pisał o tutejszych zabytkowych obiektach architektonicznych sakralnych, zajmował się poezją Bonczyka, Damrota, Juliusza Ligonia, zbierał ludowe pieśni. Opublikował drukiem około 200 prac, z czego większość dotyczyła naszego regionu. Najwybitniejsza jego publikacja to *Śląsk jako problem socjologiczny*. Właśnie

temu tekstowi poświęcił swój wykład podczas konferencji prof. Wojciech Świątkiewicz, który z jednej strony zwracał uwagę na prekursorski charakter dzieła, jego wartość historyczną, z drugiej zaś wskazywał na aktualne, czy wymagające kontynuacji aspekty wspomnianej pracy. Nie grozi nam już wprawdzie „wiekowa germanizacja”, wydaje się jednak, że Śląsk nadal jest dla reszty Polski krainą mało znaną, przez co i ciągle nierozumianą. A szkoda, bo np. Wiktor Ormicki z Krakowa, którego zresztą ks. Szramek cytuje, napisał, że Ślązak jest: „najdziwniejszym i najciekawszym z mieszkańców Polski”. A nasz słynny przedwojenny minister, budowniczy Gdyni i COP-u, Eugeniusz Kwiatkowski apelował: „Uczmy się od Śląska” – to także cytaty z tej samej pracy.

Konferencję zakończyło świetne wystąpienie ks. dr. Rafała Śpiwaka, który stwierdził na wstępie, że nie było – jakby mogły to sugerować rozmaite publikacje szczegółowe – kilku Szramków. Kapłan, uczony, patriota, folklorysta, animator kultury, więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych – to wszystko mieściło się w jednej osobie, w jednym człowieku i było konsekwencją określonego wychowania, przyjętego systemu wartości, wypracowanego światopoglądu, nabytej wiedzy. Prelegent wskazał przy tym, że właśnie ta „wielowymiarowość”, jednocześnie zaś jedność postaci błogosławionego jest dziedzictwem pozostawionym nam, współczesnym. (Stąd tytuł tego referatu: *Emil Szramek – przeszłość dla przyszłości*).

Uroczystą konferencję zakończyło wręczenie odznaczeń Wyższej Szkoły Zarządzania i Nauk Społecznych im. ks. Emila Szramka. Statuetki „Sapere audio” przyznano naukowcom związanym z tą młodą uczelnią, natomiast medale „Cernuntur in agendo virtutes” wręczone zostały osobom, które w różny sposób tyską Szkołę wspierają.

BOGDAN WIDERA

Z doktorem
ARKADIUSZEM
KUZIO-PODRUCKIM
rozmawia
RYSZARD BEDNARCZYK

Śląska szlachta mała i duża



– Pochodzi pan z Torunia, jak zatem doszło do zainteresowania się dziejami śląskich arystokratów?

– To decyzja rodziców spowodowała, że mieszkam na Śląsku. Tutaj skończyłem wszystkie szkoły i spędziłem całe moje świadome dzieciństwo. Można powiedzieć, że Tarnowskie Góry stały się moim drugim miastem rodzinnym. Interesuję się Górnym Śląskiem, bo tu mieszkam. Historia zaintrygowała mnie już w szkole średniej i to zdecydowało o wyborze kierunku studiów. Gdy kończyłem historię na Uniwersytecie Śląskim, musiałem wybrać jakąś specjalizację. Zdecydowałem się na genealogię i heraldykę, ale właśnie tę śląską. Wybrałem też arystokratów, bo zawsze mnie pasjonowały – jak wiele innych

osób – opowieści o królach. A wielkich ludzi, monarchów, czy książąt nie trzeba szukać w Paryżu czy Petersburgu, można ich znaleźć na sąsiednim, śląskim podwórku. Takimi postaciami okazali się ślascy arystokraci. Mieszkam w Tarnowskich Górach, dlatego pierwszym rodem, który mnie zainteresował, byli Donnersmarckowie. Oni przez ponad trzysta lat mieli wpływ na dzieje tego miasta, okolicznych ziem i ich mieszkańców. Śladów ich obecności na tej ziemi jest całkiem sporo i trudno ich nie zauważyć w wielu miejscach.

– Co jeszcze wpłynęło na to, że zaczął pan pisać pierwsze prace naukowe właśnie o Donnersmarckach?

– Donnersmarckowie byli najbliżej, z nimi wiązało się mnóstwo

pytań. A postrzegani w poprzedniej epoce byli jednoznacznie negatywnie. W czasie studiów nauczono mnie, że nie ma rzeczy jednoznacznych i należy zawsze zadawać pytania i szukać na nie rzetelnych odpowiedzi. Donnersmarckowie byli postrzegani jako wróg klasowy, posiadacz, wyzyskiwacz, kapitalista, feudał oraz uznawani za obcy narodowościo-wo. Byli postrzegani jako Niemcy walczący z Polakami. Mnie zawsze intrygowało, czy na pewno jest tak, jak się powszechnie uważa. Moja promotorka dr Urszula Zgorzelska uczyła mnie: Zapytaj czy na pewno jest tak jak mówią podręczniki. Zadawałem pytania, szukałem odpowiedzi i... nagle okazywało, że te jednoznaczne informacje nie są wcale tak pewne.

– Jak pan ocenia pozycję Donnersmarcków w Niemczech i na Śląsku? Czy oni są rzeczywiście rodem, który tu najwięcej dokonał?

– Donnersmarckowie byli jednym z najbogatszych rodów w Europie, ale wielka fortuna nie towarzyszyła im przez całe ich dzieje. Najstarsze wzmianki o rodzie mamy z XIV wieku, to ponad sześćset lat temu. Dwukrotnie w swej historii stali bardzo blisko władzy. Na przełomie XVI i XVII wieku, kiedy działalność Łazarza I i jego syna Łazarza II – dziś nazwalibyśmy ich menedżerami i biznesmenami w wielkim stylu – związanych z dworem w Wiedniu, wpływała na losy cesarstwa. Przykłady można znaleźć w podręcznikach, na przykład kiedy cesarz zebrał 5 milionów talarów na wojnę z Turkami, to milion talarów przekazał Łazarz. Te ogromne kwoty wpędziły w długi Habsburgów, którzy musieli zadośćuczynić Donnersmarckom. W zamian oddali w zastaw ziemie bytomską i bogumińską na Śląsku oraz wiele dóbr w Austrii i Niemczech.

Po raz wtóry Hencklowie byli blisko władzy w XIX wieku. Wtedy odnieśli sukces na dwóch płaszczyznach. Na polu gospodarki jako wielcy przemysłowcy zbudowali fortuny warte miliony ówczesnych marek. Ważną rolę odegrali hrabia Hugo z linii siemianowicko-bytomskiej, niesłusznie pomijany i niedoceniony, oraz książę Guido z linii świerkLANiec-

ko-tarnogórskiej, którego fortuna szacowana była przed I wojną światową na ponad ćwierć miliarda złotych marek cesarskich. Były to kwoty niebotyczne. Szacuje się, że dzisiaj byłoby to 12,5 miliarda euro. Obaj byli jednymi z naj-większych ówczesnych magnatów przemysłowych. Książę Guido von Donnersmarck płacił – po Gustawie Kruppie – drugi największy podatek od posiadanej fortuny.

Poprzez pieniądze mieli wpływ na politykę. Guido, który przyjaźnił się z Ottonem von Bismarckiem, nigdy formalnie nie pełnił znaczącej funkcji politycznej. Jedynym jego stanowiskiem państwowym, jakie pełnił, była prefektura francuskiego miasta Metz, po wojnie francusko-pruskiej. W rokowaniach, jakie wówczas się toczyły w 1871 roku, Bismarck chciał od pokonanych Francuzów tylko miliarda franków w złocie kontrybucji. Guido doskonale znał francuskie realia ekonomiczne. W Paryżu wiele lat mieszkał i tam poznał swoją słynną żonę markizę Blanę de Paiva. Według tradycji w ciągu jednej nocy napisał memoriał, w którym udowodnił, że Francja jest w stanie zapłacić znacznie więcej. Bismarck zaryzykował, zażądał 5 miliardów franków w złocie i... otrzymał je. Francuzi zapłacili, a nawet spłacili kontrybucję przed czasem. Te pieniądze przyczyniły się później do budowy potęgi Niemiec pod koniec XIX wieku.

W tym fakcie można dostrzec wpływ Donnersmarcków na politykę Niemiec i dzieje ówczesnej Europy. Nie oznacza to jednak, że przez całe kilkadziesiąt lat swych dziejów tak mocno oddziaływali na losy Europy i Niemiec.

– Wspominał pan o tym, że Donnersmarckowie uznawani byli za wrogów polskości. Jeden z nich nazwał nawet w 1939 roku język polski „mową morderców”. Co historycy sądzą dziś o tej wypowiedzi?

– Jest to wypowiedź negatywna i skandaliczna. Nie można tego inaczej ocenić. W sferze stosunków międzyludzkich takie słowa nie powinny być paść. Trzeba znać okoliczności, w jakich to było powiedziane. Hrabia Kraft – bo to były jego słowa – wypowiedział

je we wrześniu 1939 roku. Cóż mógł wtedy wiedzieć? Wiedział, że na 24 godziny przed wkroczeniem Niemców do Polski, grupa powstańców polskich zamordowała obsługę stacji radiowej w Gliwicach. Dla niego Polacy byli w tym momencie mordercami oskarżonymi o zabicie niemieckich pracowników radiostacji. Na dodatek pamiętajmy, że Niemcy byli wtedy legalnie działającym państwem, choć stosowali środki nielegalne, co orzekł dopiero w 1945 roku Trybunał Norymberski. Po II wojnie światowej dowiedzieliśmy się także, że wydarzenia w Gliwicach to była prowokacja hitlerowców. Dla Krafta wkraczająca armia niemiecka była armią jego narodu. Pamiętajmy, że na Śląsku w okresie międzywojennym Niemcom nie żyło się aż tak dobrze. Polityka wojewody Grażyńskiego odzyskiwania Śląska dla Polski skutecznie uprzykrzała życie Niemcom. Choć – jak mi opowiadał hrabia Andrzej – jego przodkowie w czasie wojny ostentacyjnie chodzili na polskojęzyczne nabożeństwa, tak jak przed wojną uczęszczali w niemieckich mszach po to, żeby wyrazić swój sprzeciw wobec takich poczynań władz. Przodek hrabiego Andrzeja korespondował także z Wojciechem Korfantym i do dziś te listy znajdują się w rodzinnym archiwum Donnersmarcków. Fakt wymiany tej korespondencji uznają za powód do dumy. Nie można jednoznacznie powiedzieć o Donnersmarckach, że byli zdecydowanie antypolscy lub tylko proniemieccy. Trzeba poznać okoliczności wydarzeń.

– A w sensie ekonomicznych Donnersmarckowie byli „wyzyskawcami” – jak ich kiedyś nazywano – czy nieśli postęp cywilizacyjny miejscowej ludności?

– To jest typowe postrzeganie arystokratów przez pryzmat tego, co nas uczono w PRL-u. Nawet polskim arystokracjom dostało się jako wyzyskiwaczom. Tym na Śląsku dostało się podwójnie, bo jeszcze narodowościovie postrzegani byli negatywnie. My pamiętamy tylko ostatnie dwa wieki, okres wielkiej rewolucji przemysłowej, w której Donnersmarckowie uczestniczyli, a jako posiadacze

ziemscy mieli ułatwiony start. Ich wkład w industrializację jest nie-mały, o czym świadczy choćby ilość kopalń, hut i innych zakładów, które zostały wybudowane z ich funduszy. Tam pracowali mieszkańcy tych ziem. Stan warunków pracy tych robotników był taki, jaki był. Nie byli w ogóle uznawani jako partnerzy społeczni. To była część maszyny pracującej na rzecz państwa. Dopiero ruchy socjalistyczne i komunistyczne doprowadziły do tego, że robotnicy stali się siłą polityczną. Ale do XIX wieku nie byli tak postrzegani. Byli poddanymi, którzy służyli na ziemi a potem w fabrykach. Warunki były jednakowe na Śląsku i w Łodzi – co opisane jest przez Władysława Reymonta w „Ziemi obiecanej” i pokazane w filmie przez Andrzeja Wajdę. Postrzeganie tego jako wyzysku, wynika z przyjęcia współczesnych standardów pracy wobec realiów innej epoki. Trudno wymagać od króla Władysława Łokietka, żeby miał klimatyzowane wnętrza w zamku na Wawelu. Owszem, trzeba przyznać, że Donnersmarckowie mają różne sprawy na swoim sumieniu. Jeden ze świerkłanieckich panów hrabia Erdman Gustaw chłopów, którzy uciekli z jego pola, za karę przykuwał po złapaniu do tacek. Takie wtedy było prawo, chłopu nie wolno było uciekać. Ale podobnie było także w Rzeczypospolitej. Donnersmarckowie nie byli wyjątkami i jakimiś specjalnie wyróżniającymi się wyzyskiwaczami. Faktem jest, że zyski przeznaczali na piękne siedziby, ale też i na cele społeczne np. budowali kościoły. Dawali ziemię, czasem drewno na budowę, innym razem fundowali wyposażenie. Niekiedy finansowali nawet 90 procent budowy a czy dzisiaj ktoś tyle da? Żaden z Donnersmarcków nie procesował się z proboszczami na swoich włościach, jak np. Hubert von Tiele-Winckler o to, ile ma przeznaczać pieniędzy na utrzymanie kościoła w Mysłowicach. Nie są oni ani lepsi, ani gorsi od innych rodów na Śląsku i w Europie. Ich wyjątkowość polega tylko na skali działań, byli jednym z największych rodów inwestujących na Śląsku.

– Spotykał pan się z potomkami Donnersmarcków, którzy ży-

ją w Austrii i w ogóle na całym świecie. Jak oni odbierają zainteresowanie ich dziejami we współczesnej Polsce?

– Donnersmarckowie nie są jedynym śląskim rodem, z którym się kontaktuję. Reakcje są różne. Z reguły jest to pozytywny odzew. Są zadowoleni z tego, że na Śląsku przywraca się pamięć o tym, że ich przodkowie tu byli. Niekiedy odbierają to z nieufnością, z dystansem, ale pamiętajmy, że po 1945 roku państwo polskie pozbawiło ich wielkich fortun. Wielokrotnie w rozmowach deklarowali, że ten fakt został przez nich uznany. Książę Guidotto von Donnersmarck, który w 2007 roku otrzymał tytuł honorowego obywatela Tarnowskich Gór za zasługi jego przodków dla miasta podkreślił, że nieobecność Donnersmarcków na Śląsku jest wynikiem złej polityki Niemiec. Tiele-Wincklerowie niegdyś byli panami Katowic, Miechowic, Mysłowic i wielu innych śląskich miast. Szef rodu hrabia Hubert przed kilkanaście laty odwiedził zamek w Mosznej, gdzie spędził pierwsze 11 lat swojego życia. Nie podważał faktu, że dziś ta rezydencja należy do Polski. Cieszył się, że ten obiekt istnieje, bo wiele zamków zostało zniszczonych, choćby ich dawny pałac w Miechowicach. Potomkinie Donnersmarcków z Brynka były bardzo zadowolone, że ich dawny dom, czyli pałac w Brynku nadal istnieje, funkcjonuje i służy młodzieży. Śląskich arystokratów cieszy, że są przedstawiani nie tylko negatywnie, jak dawniej, ale także od strony pozytywnej.

– Skąd wzięło się pańskie zainteresowanie rodem Schafgotschów, czy to za sprawą Karola Goduli i jego pasierbicy Grycikówny, która stała się hrabiną?

– Niekoniecznie miała na to wpływ postać Karola Goduli, która jest jedną z bardziej niezwykłych. Jego fortuna za sprawą śląskiego Kopciuszka Joanny Grycik przeszła na Schafgotschów. Trzecia z napisanych przez mnie monografii śląskich arystokratów dotyczyła rodu Schafgotschów, wcześniej jeszcze opisałem dzieje Tiele-Wincklerów i Henckel von Donnersmarcków. Te trzy wielkie rody miały wielki wpływ

na historię Bytomia, miasta które wspomogło wydanie tych trzech książek. Rodziny te należą do wielkich rodów śląskich. Do nich należy zaliczyć także Hochbergów z Pszczyny czy książąt Hohenlohe ze Sławięcic i Raciborza. Lista tych rodów nie jest zamknięta, kwestia wielkości i zasług jest otwarta. Czasami są to rody, które nie miały wielkiego wpływu na politykę, ale miały spore majątki. Choćby Strachwitzowie, którzy na Śląsku są mało znani. A jest to jeden z najbardziej śląskich rodów, o czym mówi samo ich nazwisko: Strachwitz to nazwa Strachowic pod Wrocławiem, skąd się wywodzą. Lista rodów, którymi się zajmuję nie jest ściśle określona. O wyborze tych pierwszych zdecydował fakt, że były związane z Bytomiem. Ta wielka trójka, pokazuje różnorodność dziejów śląskich arystokratów. Schafgotschowie znani są od średniowiecza. Tiele-Wincklerowie to rodzina związana ze Śląskiem od XIX wieku, czasu rozwoju przemysłu i im przede wszystkim zawdzięczamy powstanie pojęcia „węglowi baronowie”. Ród Donnersmarcków przybył na Śląsk w okresie wojny trzydziestoletniej, kiedy to nastąpiła wymiana elit Królestwa Czech (w którego granicach Śląsk był już wówczas od kilku stuleci). Donnersmarckowie przybyli z terenów dzisiejszej Słowacji, wówczas należącej do Królestwa Węgier. Te trzy rody wskazują na różnorodność pochodzenia mieszkańców Śląska, to nie są tylko autochtoni, ale także ludzie osiedlający się na przestrzeni wielu wieków. To pokazuje bogactwo tej ziemi. Różnorodność pogranicza kultur czeskiej, polskiej i niemieckiej to coś, co nas wzbogaca. Śląsk poprzez swoją szlachtę czerpał pełnymi garściami z tych kultur i był pomostem między nimi.

– Pana najbliższe i dalsze plany naukowe?

– Moim głównym celem będzie heraldyka i genealogia śląskich rodów arystokratycznych, co założyłem już kilkanaście lat temu. Genealogia to nie tylko ustalanie pokrewieństwa i konstruowanie drzew genealogicznych, choć to jest przyjemna i efektowna część

badania. Heraldyka to także moja pasja, bo każdy herb to kolorowy znak, który daje wiele informacji o rodach. Na pewno będę zajmował się tymi rodami, a jest ich tu sporo. Śląsk jest tak bogatą krainą, że wielu naukowców może mieć pole do badań. Zawsze przyjmuję z zadowoleniem, gdy jeszcze ktoś inny zajmuje się szlachtą związaną z jego terenem. To bardzo pozytywne. Czasami, gdy pytają mnie, dlaczego nie zajmę się historią jakiejś rodziny, zdarza się, że mogę wskazać kogoś, kto się tym zajmuje i niech on to robi. Ja to popieram, bo badacze ci wiedzą, że pałace to nie tylko kamienie lub cegły, ale także ludzie, którzy w nich dawniej żyli. Moje trzy monografie tworzą pewną całość, ale to nie jest cykl zamknięty. Interesuję się także nie aż tak sławnymi rodami. Przykładowo na terenie Tarnowskich Gór znani są Wrochemowie, związani także z Kopienicą (koło Zbrostawic), Załężem (dziś dzielnica Katowic) oraz Raciborzem. Pierwszymi starostami raciborskimi byli Wrochemowie, Jan Henryk i jego syn Gottlob. Wiktor von Wrochem z Czerwięcic uzyskał prawo do zasiadania w Izbie Panów (wyższa izba pruskiego parlamentu) i był to największy zaszczyt, jaki przypadł rodzinie. Było pośród nich kilku generałów. Ale nie odgrywali większej roli politycznej, za to w dziejach małych środowiskród miał swój udział i to czasami dość znaczny. Współcześni Wrochemowie to rodzina znanych muzyków. Bardzo mnie cieszyło, gdy w 2007 roku przyjechał do Czerwięcic jeden z przedstawicieli rodu, Ulryk von Wrochem. Zauważył, że pałac jest zaniedbany, ale za to groby jego przodków na cmentarzu są odnowione. Na ścianie miejscowej kaplicy cmentarnej wmurowano zrekonstruowany najstarszy zachowany nagrobek Wrochemów. Ich dawne włości to ziemie należące do państwa polskiego i wielu mieszkańców jest tam dopiero od 1945 roku, którzy mimo to dbają o zabytki przeszłości, co z kolei jest pozytywnie postrzegane przez dawnych właścicieli.

Wśród przywoływanych od samego początku tej rubryki pięknych archaizmów dialektu śląskiego nie może zabraknąć formy poleku, znaczącej tyle, co „wolno, pomału, powoli”, używanej do dziś bardzo często w konstrukcjach typu „poleku, poleku, niy poganiej mie”, „poleku ci idzie ta robota”, „poleku byda szoł do dóm”. Zapisalem ją w postaci jednego wyrazu, z jednym „k” – odpowiadającym gwarowej wymowie. W języku literackim, gdyby tylko w nim funkcjonowała, należałoby usankcjonować podwójne „k” – tak jak najprawdopodobniejszy graficznie byłby wariant „po leku” z rozdzielonymi przymikiem „po” i przymiotnikiem „leku”.

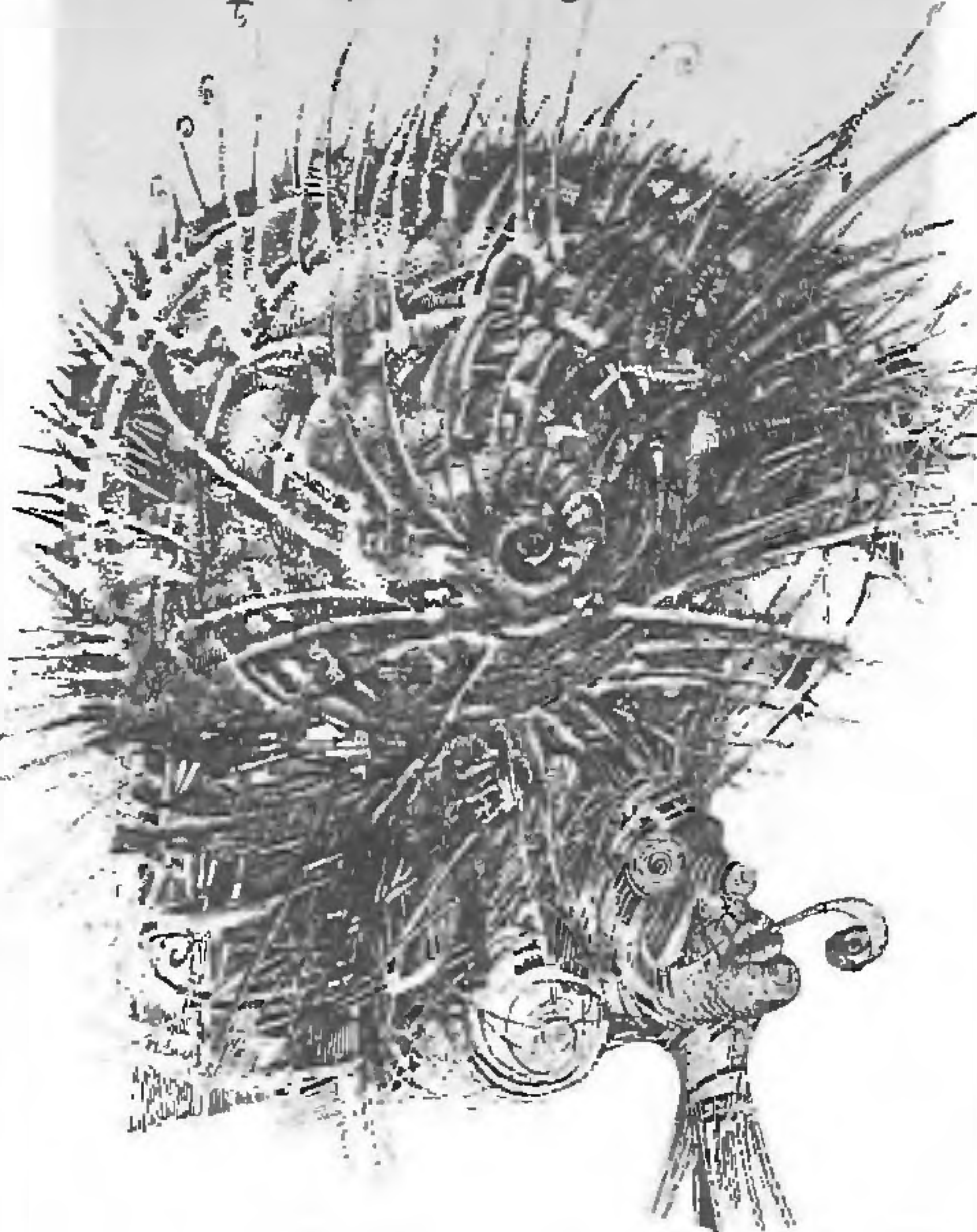
Znajdujemy go na str. 345 „Podręcznego słownika dawnej polszczyzny” Stefana Reczka z roku 1968: po leku – „powoli, z wolna” („Widząc Jezusa po leku konającego” – Sprawa chędoga o męce Pana Chrystusowej z r. 1544, „Po leku lepiej zrobisz” – Grzegorz Knapski 1564-1638).

Strukturalnie tożsame z naszym poleku (po leku) wyrażenia przymikowe pisane są dzisiaj rozdzielnie: po angielsku, po arabsku, po babsku, po bestialsku, po błazeńsku, po cesarsku, po chamsku, po chłopsku, po cichu, po królewsku, po ludzku, po męsku, po niemiecku, po ojcowsku, po polsku, po prostu. Tylko pomału piszemy łącznie, bo i niewielu już użytkowników języka wy czuwa etymologiczną dwuelementowość „po mału”.

Zobaczmy teraz, że obok przywołanego wyżej szeregu po angielsku, po polsku, po męsku, po cichu, po chamsku, po chłopsku, po królewsku, po ojcowsku funkcjonuje w polszczyźnie ciąg po matczynemu, po macoszemu, po książęcemu, po księżemu, po naszymu, po nowemu, po staremu, po sportowemu. Można by wręcz zapytać: skoro po ojcowsku, to czemu po matczynemu?; skoro po królewsku, to czemu po książęcemu?

Otóż wszystkie formy z końcówką -u, a więc i śląskie poleku, i ogólnopolskie pomału, i po cichu, po polsku, po ojcowsku, po królewsku, są pozostałością nieistniejącej od wielu wieków tzw. niezłożonej – rzeczownikowej – odmiany przymiotników. Rzeczownikowej, bo przymiotnik odmieniał się tak jak określany przez niego rzeczownik, np.: dobr brat – dobra brata – dobru bratu, dobra woda – dobry wody

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Poleku, poleku...

– dobrze wodzie, dobro wino – dobra wina – dobru winu itp. Odmiana ta nie utrzymała się w polszczyźnie, mamy jednak jej ślady w postaci wszystkich przytoczonych tu form typu po chamsku, po polsku, a że są one w powszechnym codziennym obiegu, w ogóle sobie nie uświadamiamy ich archaiczności.

Utrwaliła się natomiast i funkcjonuje jako dziś jedyna tzw. złożona – zaimkowa – odmiana przymiotników. Złożona, zaimkowa, bo składała się z połączenia odmiany rzeczownikowej przymiotnika i dawnego zaimka j, ja, je – „ten, ta, to”: dobr + j brat – dobra + jego brata – dobru + jemu bratu, dobra + ja woda – dobry + jeje wody – do-

brze + jeji wodzie, dobro + je wino – dobra + jego wina – dobru + jemu winu; po ściągnięciu tak jak obecnie: dobry brat – dobrego brata – dobremu bratu, dobra woda – dobrej wody – dobrej wodzie, dobre wino – dobrego wina – dobremu winu. Według tego wzorca – powtórzmy: dziś jedynego – urobiono ciąg po matczynemu, po macoszemu, po książęcemu, po księżemu, po naszymu, po nowemu, po staremu, po sportowemu.

Gdybyśmy musieli według niego zbudować wszystkie połączenia przymik „po” z przymiotnikami, mielibyśmy serię „po lekkiemu”, „po małym”, „po chłopskiem”, „po polskiemu”, „po chamskiem” itd.

Dla porządku dodajmy, że pozostałościami po owej archaicznej rzeczownikowej odmianie przymiotników są i takie formy, jak z cicha, z lekka, z głupia (frant), z wolna, z chłopska, z (dawien) dawna, z lewa, z prawa, zdrow, wesół, żyw, go dzien, pewien, winien, łaskaw, rad, wart, wreszcie – przymiotniki dzierżawcze typu Janków (talerz) czy (Psałterz) Dawidów. „Talerz Janków” był obecny każdego dnia w języku mojej babki, a „Psałterz Dawidów” to, oczywiście, tytuł wspaniałego dzieła translatorskiego Jana Kochanowskiego (1530-1584).

Pierwszy staropolski cytat dzisiejszego odcinka, zawierający nasze „po leku”, pochodził ze Sprawy chędogiej o męce Pana Chrystusowej z r. 1544. Wyjaśniam, że chędogi znaczył tyle, co „piękny, czysty, porządny” („Jak z ciernia chędoga róża powstaje” – czytamy np. w kazaniach z pocz. XVI w. Jana z Szamotuł Paterka). Chędoga sprawa zatem to „piękna sprawa (relacja, opis)”.

A że parę już razy pisałem o pochodzeniu dolnośląskiej Kudowy od dawnej chudoby – „liczego, marnego, biednego gospodarstwa”, dopowiem i to, że ostatnio w tomie „Na Skalnym Podhalu” Kazimierza Przerwy-Tetmajera, w opowieści o góralu Józefie Smasiu z Olczy, znalazłem zdanie: Kraść-ek krad, alejek wse chudobnym dał z rabunku”, co w tłumaczeniu z gwary podhalańskiej na język standardowy sprowadza się do słów: „Kraść kradłem, ale wszystko z rabunku dałem biednym, ubogim”. – Biednym, ubogim – kiedyś: chudobnym.



„Z energią chronimy klimat”. Z tym hasłem świętowano 22 kwietnia tegoroczny Dzień Ziemi. I nie chodzi tu bynajmniej o energię wytworzoną, lecz tę, która tkwi w świadomości i działaniach ludzi, odpowiedzialnych za niszczenie klimatu, a więc i jego ratowanie.

Dla Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach ostatnie Święto Ziemi było okazją, by osobom i zespołom najbardziej zasłużonym w budzeniu świadomości ekologicznej i pracy na rzecz poprawy stanu środowiska wręczyć nagrody i wyróżnienia.

W tym roku Zarząd WFOŚ i GW w Katowicach na wniosek Kapituły po raz czternasty przyznał „Zielone Czeki”. Ich laureatów wyłoniono spośród 23 zgłoszonych wniosków, w następujących kategoriach:

Programy i akcje proekologiczne:

W tej kategorii Zielony Czek zdobyła **Lidia Skórzak** z Żywieckiej Fabryki Sprzętu Szpitalnego FAMED S.A. za opracowanie i wdrożenie elementów programu systemu zarządzania środowiskowego, spełniającego wymagania ISO 14001 i EMAS oraz za udział w akcjach rozpowszechniających zarządzanie zgodne z wymaganiami ochrony środowiska w polskich zakładach produkcyjnych.

Nominowani do tej nagrody byli zespołowo: Beata Tarnawa, Paweł Grzybowski i Jarosław Kasprzyk ze Stowarzyszenia Ekologiczno-Kulturalnego Klub Gaja za stworzenie autorskiego programu „Zaadoptuj rzekę”.

Prace naukowo-badawcze:

Laureatem w tej kategorii za pracę monograficzną „Mchy Kotliny Żywieckiej” został **dr hab. Adam Stebła**, pracownik naukowy z Katedry i Zakładu Botaniki Farmaceutycznej i Zielarstwa Uniwersytetu Medycznego w Katowicach. Autor w swojej pracy zawodowej zawsze wiele uwagi poświęcał problemom związanym z ochroną przyrody w województwie śląskim.

Za ocenę emisji rtęci do atmosfery wraz ze wskazaniem metod ograniczenia tej emisji nominowany w tej kategorii był również dr hab. inż. Stanisław Hławiczka, pracownik naukowy Instytutu Ekologii terenów Uprzemysłowionych oraz Politechniki Częstochowskiej.

Edukacja ekologiczna:

Dr Marek Kaczmarzyk z Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Ślą-

Zielone czeki



Zielony Czek harcmistrz Ewie Cofale wręczyli: Bernard Błaszczak, wice-minister środowiska oraz Gabriela Lenartowicz, prezes WFOŚiGW w Katowicach

skiego otrzymał Zielony Czek za prowadzenie Młodzieżowego Programu Monitoringu Środowiska Naturalnego KASKADA, w którym w ub. roku uczestniczyło 16 szkół i około 100 uczniów. Laureat jest również współautorem programu społecznej kampanii edukacyjnej „Szkoły dla przyrody” oraz pomysłodawcą Warsztatów Świadomości Ekologicznej.

Nominację w tej kategorii zdobył też Krzysztof Jamroziewicz, dyrektor Szkolnego Schroniska Młodzieżowego i Ośrodka Edukacji Ekologicznej za organizację warsztatów „eko” dla uczniów z województwa śląskiego.

Profilaktyka Zdrowotna dzieci i młodzieży zagrożonych schorzeniami związanymi z zanieczyszczeniem środowiska:

Zielony Czek w tej kategorii zdobyła **harc mistrz Ewa Cofala**, koordynator profilaktyki zdrowotnej dzieci. Od lat organizuje wyjazdy dzieci w rejony czyste ekologicznie, gdzie mieszczą się Harcerskie Ośrodki Obozowe. W trakcie tych obozów dzieci uczą się profilaktyki zdrowotnej i pogłębiają swoją ekologiczną wiedzę. W latach 2004-2008 z tej formy wyjazdów zdrowotnych skorzystało ponad 80 tys. dzieci ze Śląska.

Do tej nagrody pretendowała również Władysława Smolorz z TPD – Koła Przyjaciół Dzieci na Diecie Bezglutenowej. Zyskała wdzięczność najmłodszych i ich rodziców za pomoc najmłodszym, poszkodowanym nie tylko zdrowotnie, ale często także przez los.

Inicjatywy i akcje proekologiczne:

Tym razem Zielony Czek przypadł **Stanisławowi Czyżowi**, z zawodu technikowi-ogrodnikowi, pracownikowi Straży Miejskiej w Częstochowie. Laureat od ponad 30 lat zajmuje się obserwacją ptaków i ich życia, jest współpracownikiem Tere nowej Stacji Ornitologicznej Muzeum Instytutu Zoologii PAN w Gdańsku, współzałożycielem Polskiej Grupy Badania Łabędzi. Ptakami zajmuje się społecznie i hobbystycznie. Efektem jego pasji jest wydany w ub. roku „Atlas ptaków lęgowych Częstochowy 2003-2007”.

Dr Ryszard Kulik z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Śląskiego, wielki pasjonat ochrony środowiska, był nominowany za powołanie do życia Festiwalu Kultury Ekologicznej „Zielono mi”. Festiwal ten, organizowany od trzech lat w Katowicach pogłębia świadomość, wrażliwość i wiedzę ekologiczną jego uczestników, jest okazją do głębokiej refleksji ekologicznej i spotkania z coraz głośniejszymi w świecie filmami z szeroko rozumianej ochrony środowiska.

Nagroda specjalna:

To szczególne wyróżnienie w postaci Zielonego Czeku otrzymał w tym roku **dr Leopold Kobierski**, emerytowany nauczyciel Liceum Ogólnokształcącego im. J. Smolenia w Bytomiu, od 1957 roku prezes najliczniejszego w kraju Oddziału Miejskiego Ligi Ochrony Przyrody. Dr Kobierski przez kilkadziesiąt lat posadził ze swoimi uczniami tysiące „drzew, pokoleń”, utworzył na terenie bytomskich szkół i przedszkoli oraz miast okolicznych 45 ogrodów dendrologicznych, w których odbywają się żywe lekcje ekologii.

W tej kategorii nominowany był również Erwin Grzegorzek za 50-letnią społeczną działalność w sferze zakładania i pielęgnowania zieleni na osiedlach, przy szkołach, domach dziecka i w miejscach pamięci narodowej.

Honorowe czeki przyznano laureatom X Edycji konkursu „Przyjaźni Środowisku” z woj. śląskiego. Są w ich gronie: Oczyszczalnia Ścieków Warta S. A., Stowarzyszenie SOPEL oraz Urząd Gminy Łękawica.

Nadleśnictwo Brynek wyróżniono statuetką za solidną i rzetelną współpracę przy realizacji zadań ze środków WFOŚ i GW w Katowicach.

Dyplomem honorowym nagrodzono dra Jerzego Parusela z Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska w Katowicach oraz mgr. inż. Tadeusza Normana – nadleśniczego, mgr. Bolesława Bobrzyka i mgr. Grzegorza Skurczaka z Nadleśnictwa Katowice. Tych ostatnich za stworzenie wyjątkowego ośrodka edukacji ekologicznej.

JOLANTA MATIAKOWSKA

Apetyt na energię rośnie na całym świecie. Zużywamy jej coraz więcej, chociaż paliw kopalnych mamy coraz mniej. Podgrzewamy Ziemię gazami cieplarnianymi bez umiaru z najgroźniejszymi dla klimatu konsekwencjami. To zagrożenie wymaga globalnej reakcji. Każdy kraj musi podjąć działania, ograniczające produkcję zanieczyszczeń z dwutlenkiem węgla na czele.

Jak w Polsce zamierzamy łagodzić najgorętszy problem współczesnego świata? Co można zmienić w kraju, gdzie głównym surowcem energetycznym jest surowy węgiel?

Niemal gotowy jest projekt „Polityki energetycznej Polski do 2030 roku”. Jej autorzy, związani z resortem gospodarki przekonują, że ten dokument uwzględnia poprawę efektywności energetycznej na poziomie krajów unijnych (niestety z 2005 roku!); wzrost bezpieczeństwa dostaw mediów energetycznych; rozwój konkurencyjnych rynków paliw i energii. Zakłada też wykorzystywanie czystej energetyki jądrowej, odnawialnych źródeł oraz łagodniejsze od dotychczasowego oddziaływanie energetyki na środowisko naturalne. W rządowym projekcie „Polityki energetycznej...” zapowiedziano również zmniejszenie w ciągu 20 najbliższych lat produkcji energii z węgla kamiennego i brunatnego o 30 procent.

Czy to wystarczy? Czy kolejna polska strategia energetyczna zgodna jest z zasadą zrównoważonego rozwoju?

Pozarządowy Instytut na rzecz Ekorozwoju w Warszawie mając na uwadze wagę tego problemu od początku ubiegłego roku przygotowywał pod kierunkiem prof. Krzysztofa Źmijewskiego z Politechniki Warszawskiej „Alternatywną Politykę Energetyczną Polski do 2030 roku”. Jej punktem wyjścia jest ograniczenie emisji dwutlenku węgla oraz zgodność z celami pakietu energetyczno-klimatycznego Unii Europejskiej.

Ostateczny kształt tego dokumentu będzie wynikiem zakończonych na początku kwietnia br. publicznych konsultacji siedmiu scenariuszy energetycznych, możliwych do zrealizowania w polskich warunkach.

Zgodnie z zamysłem autorów, reprezentujących ekspertów m.in. z Koalicji Klimatycznej, Państwowej Agencji Atomistyki i AGH, Politechniki Śląskiej, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Szkoły Głównej Handlowej, Instytutu Energetyki Odnawialnej czy Fundacji Efektywnego Wykorzystania Energii, ten projekt energetyki przyszłości ma być korzystny i społecznie i gospodar-

Energetyka od nowa!



czo. Ma też uwzględniać konkurencyjność rynkową, bezpieczeństwo energetyczne, a przede wszystkim harmonijny, przyjazny środowisku rozwój Polski i potrzeby przyszłych pokoleń, a nie wyłącznie, jak bywało dotąd, interesy wybranych grup.

Dobrze się stało, że taki niezależny dokument, z uwzględnieniem głosu opinii publicznej, mógł powstać. Zawdzięczamy to Programowi Aktywnej Edukacji na rzecz Zrównoważonego Rozwoju „Eko-Herkules”, który od lat z powodzeniem realizuje Instytut na rzecz Ekorozwoju.

Dr Andrzej Kassenberg, dyrektor tego Instytutu, nie ma wątpliwości, że demokratyczne społeczeństwo musi mieć wpływ na strategiczne decyzje swojego kraju, także te, dotyczące energetyki.

Potwierdziły to otwarte spotkania konsultacyjne projektu „Alternatywnej Polityki Energetycznej” w kontekście zmian klimatu, organizowane w kwietniu w największych miastach Polski, m.in. w Katowicach.

Ich uczestnicy zwracali uwagę m.in. na złe zarządzanie popytem na energię; przestarzały, niewydolny system wytwarzania i przesyłu energii generujący jej ogromne straty i trujący niepotrzebnie środowisko, za co płacimy wszyscy; brak skutecznych mechanizmów wymuszających oszczędzanie i poszanowanie energii, niedocenia- nie jej odnawialnych źródeł (energetyki wiatrowej i wodnej, biomasy i bio-

gazu) czy wreszcie podejmowanie decyzji o budowie elektrowni jądrowych bez społecznych konsultacji. Mówili też o potrzebie przeprowadzania kampanii medialnej na ten temat i konieczności ograniczenia rozbuchanej konsumpcji, której jedynym efektem są przepełnione śmietniki....

Problemów jest znacznie więcej.

Inna filozofia

Jaka ma być zatem kolejna polityka energetyczna Polski? Na pewno polityką inną niż dotychczasowa. Winna stymulować poszanowanie energii, jej oszczędzanie i mądre nią zarządzanie z wykorzystywaniem nowoczesnych rozwiązań i czystych technologii. By taka polityka była w praktyce wykonalna, trzeba w nią wpisać na pierwszym miejscu, jeszcze przed strategią zaspokajania potrzeb energetycznych – narastające ograniczenia!

W projekcie „Alternatywnej polityki energetycznej Polski” te ograniczenia są wyraźnie zdefiniowane. Zaspokajanie potrzeb energetycznych podporządkowano kurczącej się przestrzeni ekologicznej tj. dostępnym zasobom naturalnym i wydolności środowiska przyrodniczego. W myśl zasady, że najtańszą i najłatwiejszą do uzyskania energią jest ta zaoszczędzona, energią wciąż w Polsce niedocenianą natomiast jest ta naturalna, odnawialna.

W przypadku naszego kraju jest to szczególnie zasadne. Ludność Polski stanowi około 0,6 proc. populacji świata. Ale nasz udział w globalnej emisji dwutlenku węgla, głównego gazu cieplarnianego, jest aż jednoprocentowy! To skutek wytwarzania energii głównie z węgla. W poprawie energochłonności polskiej gospodarki tkwi tymczasem wielkie, niewykorzystane źródło zasobów energetycznych.

Zdaniem dra Andrzeja Kassenberga, dyrektora Instytutu na rzecz Ekorozwoju, mamy niepowtarzalną szansę, by dzięki unijnym środkom pomocowym (100 mld euro do wykorzystania w latach 2007-2013) unowocześnić również polską energetykę, uczynić ją przyjaźniejszą dla środowiska. Ale musimy robić to świadomie i wspólnie, by nasz głos nie był przez polityków ignorowany.

Najważniejsze jest jednak to, by rządowy program w możliwie największym stopniu uwzględniał oszczędność i poszanowanie energii. Nie tylko przez wytwarzających i przesyłających energię i ciepło, ale i ich odbiorców! Po to m.in. powstaje „Alternatywna polityka energetyczna...”

JOLANTA KARMAŃSKA



Kolumny dofinansowane ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Ostatnia wystawa prac Antoniego Kowalskiego (malarstwo, instalacje, grafika) zatytułowana „Amen”, którą zaprezentowała galeria Rondo Sztuki w swej niezwyklej przestrzeni, niewątpliwie nie była kolejną „prezentacją dorobku artysty”. To, co zaproponował Antoni Kowalski można określić dwoma słowami: traktat filozoficzny. Tę wystawę nie wystarczyło po prostu obejrzeć, zachwycić się formą, kolorem – który, jak to zawsze u Kowalskiego – fascynuje, a forma każdego dzieła zachwyca; dostrzec, że nie wystarcza mu malarstwo, chociaż zawsze jego twórczość absorbowała precyzyjne, warsztatowe techniki graficzne, które w efekcie (choć stanowią odrębne dzieła), stanowiły jednię. Tym razem w obszar swoich twórczych inspiracji wprowadził grafikę cyfrową, dającą inne możliwości, poszerzającą obszar artystycznych dociekań Kowalskiego.

Czym jest wystawa „Amen”? Ano, jest tym, co chciałoby się obejrzeć raz jeszcze i jeszcze... Za pierwszym razem oglądowi poszczególnych prac towarzyszy zachwyt nad każdą z nich, dopiero po przejściu całości nasuwa się sens tak skonstruowanego zestawu dzieł, logiki następstw. Zatem kolejny ogląd wygląda już zupełnie inaczej – wędrujemy myślami poza obraz, w różnorodne obszary duchowości, które z całą pewnością kierują malarską wyobraźnią Kowalskiego. Czytamy skrupulatnie podpisy pod każdą z prac – to wskazówki w tym labiryncie, nadają kierunek rozważaniom, które swe odbicie znalazły w kolejnych obrazach.

„Amen” – słowo wręcz magiczne, niezbędne, będące wyrażeniem woli, postanowienia, także nadziei, bądź rezygnacji, poddania ale i afirmacji. Jest zgodą, niemocą. Jest też swoistym obszarem uniwersum dla wielkich religii świata – judaizmu, chrześcijaństwa i religii Bliskiego Wschodu (słowo *Amen* jest potwierdzeniem, wypełnieniem rozkazu bądź nakazu). W Starym Testamencie jest odpowiedzią na słowo Boże, swoistym utożsamieniem z Bogiem. W judaizmie znajdujemy potwierdzenie: trzy litery, z których zbudowane jest amen (EMN) są pierwszymi literami El Melech Neeman, co znaczy tyle, co „Bóg, Król Prawdziwy”.

Jest jeden powód, dla którego Antoni Kowalski stworzył swój wielki traktat: to pamięć o obojgu Rodziców. Ich sylwetki – symbole okryte pośmiertnym całunem (tym, który w zwielokrotnionej postaci przejawia się w niemal całej dotychczasowej twórczości tego artysty) – ułożone jak przykazuje religia chrześcijańska – w grobie, spoczywają obok siebie („Amen VII, instalacja, Pamięci Ojca, Pamięci Matki”, inna wersja



Fragment wystawy „Amen” w Rondzie Sztuki

Bóg – Słowo: EMN-Om-Amen

– z koroną cierniową „Pamięci Rodziców” – tryptyk), ale ich dusze jakby wędrują w zaświatach. Jakich zaświatach? Jaka kryje się za tym tajemnica? Kowalski nie szuka odpowiedzi – raczej sam – poprzez obrazy – zastanawia się: szuka kontekstów układając obok siebie „czarno – białe, o niezwyklej finezji i delikatności grafiki – „Lament”, „Oświecenie”, dalej obrazy z kilku ostatnich lat w nowych konfiguracjach: „Medytacje”, „Modlitwy” – jesienna (2002) i rodzinna (2004), przenosi „namalowane” na „cyfrowe” – w nowy wymiar, w inny czas. Matka – ukazywana w kolorach zieleni, ojciec – to kolor brązowy, wreszcie – „Modlitwa dla wszystkich” – zielenie i brązy (2004). Zielenie i brąz – czasem zamienia postaci kolorystycznie: zielenie – nadzieja, budzenie się do życia, brąz – zanikanie, jesień, ziemia. Ale w innej „Modlitwie dla wszystkich” przy pomocy zawartych w obrazie symbolicznych detali – kamienie, całuny, łączące kulturowe światy – judaizmu i chrześcijaństwa. To macewy – bliskie ziemi, przyłożone kamieniem pamięci i smukłe kolumny gotyckich kościołów, wznoszące się ku niebu. Pomiędzy nimi inna sfera: to świat mistrzów jogi Prajnananady i Hariharanandy i jego maksymy: każdego dnia człowiek zmienia swoje przeznaczenie. Tak więc do rozważań nad życiem, śmiercią, zgodą lub niezgodą, dochodzi element przeznaczenia, ingerencji Boskiej. Kojarzone z religią Wschodu meczety i inne budowle przesiąknięte blaskiem i złotem, inskrypcje i symbole – oto co znaleźć można w obrazach poświęconych Mistrzom. A obok „Medytacje dla Jana Pawła II”...

I wreszcie kolejne wielkie odniesienie do religii i filozofii Wschodu – „Om Amen”. Czym jest Om? To vibracja kosmiczna. Jest pierwotnym dźwiękiem, z którego wszystko zostało stworzone.

Przenika cały wszechświat, wszystko i wszystkich. Wiąże osobę z boskim pierwiastkiem w całym stworzeniu, ale szczególnie z samym Bogiem. „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga a Słowo było Bogiem powiedział święty Jan. Słowo oznacza Boski Dźwięk. Każdy może go usłyszeć w sobie, gdy stworzy odpowiednie ku temu warunki tzn. całkowicie uspokoi i wyciszy swój umysł. Każdy wyrażony dźwięk świata pochodzi od dźwięku OM. Każda rozmowa i każdy dźwięk, które słyszysz są mową Boga, a ta mowa pochodzi od dźwięku OM. AUM – AMEN – OM. Jak napisano: Módl się po złączeniu z Bogiem przez OM. Napełń się Om czyli Duchem Świętym, „Wielkim Pocięzycielem”, a różne duchowe siły przejawiają się przez ciebie. W Chrystusowej Szczęśliwości OM znajdziesz siedzibę wszystkich uzdrawiających sił. Napełniony Bogiem idź pomagać innym w przewyżnianiu ich fizycznych, umysłowych i duchowych trosk. Nigdy nie poznasz Boga, jeśli nie będziesz służył Mu w świątyni ciężko dotkniętych ciał i strapiionych dusz. Pomagaj codziennie innym tak wesoło i tak gorliwie, jakbyś to zrobił dla siebie. Cały świat jest twą Większą Jaźnią”.

Dźwięk to muzyka. I wiadomo już, dlaczego Antoni Kowalski umieścił również w tym niezwyklej zestawie „Medytacje dla Czesława Niemena” (2004), „Medytacje północne dla Stephena Reya” (2003) i „Medytacje dla Jana Sebastiana Bacha” (1998) – zapewne są to muzyczne fascynacje – fascynacje dźwiękami przez nich stworzonymi. A wszystko to zamknięte – jak klamrą, tworzącą swoistą bramę, „arabeskami” – przypominającymi olbrzymie powiększenia liści, na których widoczna jest każda żyłka, którą niegdyś płynęło życie.

Rozmyślenia nad naturą śmierci i pamięci – to znaki zapytania stawiane przez Antoniego Kowalskiego. Kiedy tracimy tak bliskie osoby chcemy myśleć, że tak naprawdę nie odeszli, że są, tu, teraz, albo są gdzieś tam – czy szczęśliwi?

Każdy pojedynczy obraz Kowalskiego jest jak pojedyncze Słowo, jak pojedynczy Dźwięk, jak pojedyncza Myśl. Ustawione w określonym porządku tworzą całe zdania, sekwencje muzyczne, klarowny szkic filozoficzny.

Bo kiedy naszą podróż po krainie transcendencji rozpoczynamy od „Lamentu” – obrazu „Wejścia”, to kończymy ją „Oświeceniem”, obrazem „Wyjścia” – przeszliśmy jak gdyby po stronicach najważniejszych Świętych Ksiąg Życia i Śmierci – wiele tu wątków, namysłu nad naturą śmierci i odrodzenia, śmierci i zmartwychwstania, zamkniętych w jednym Słowie – Dźwięku: Amen.

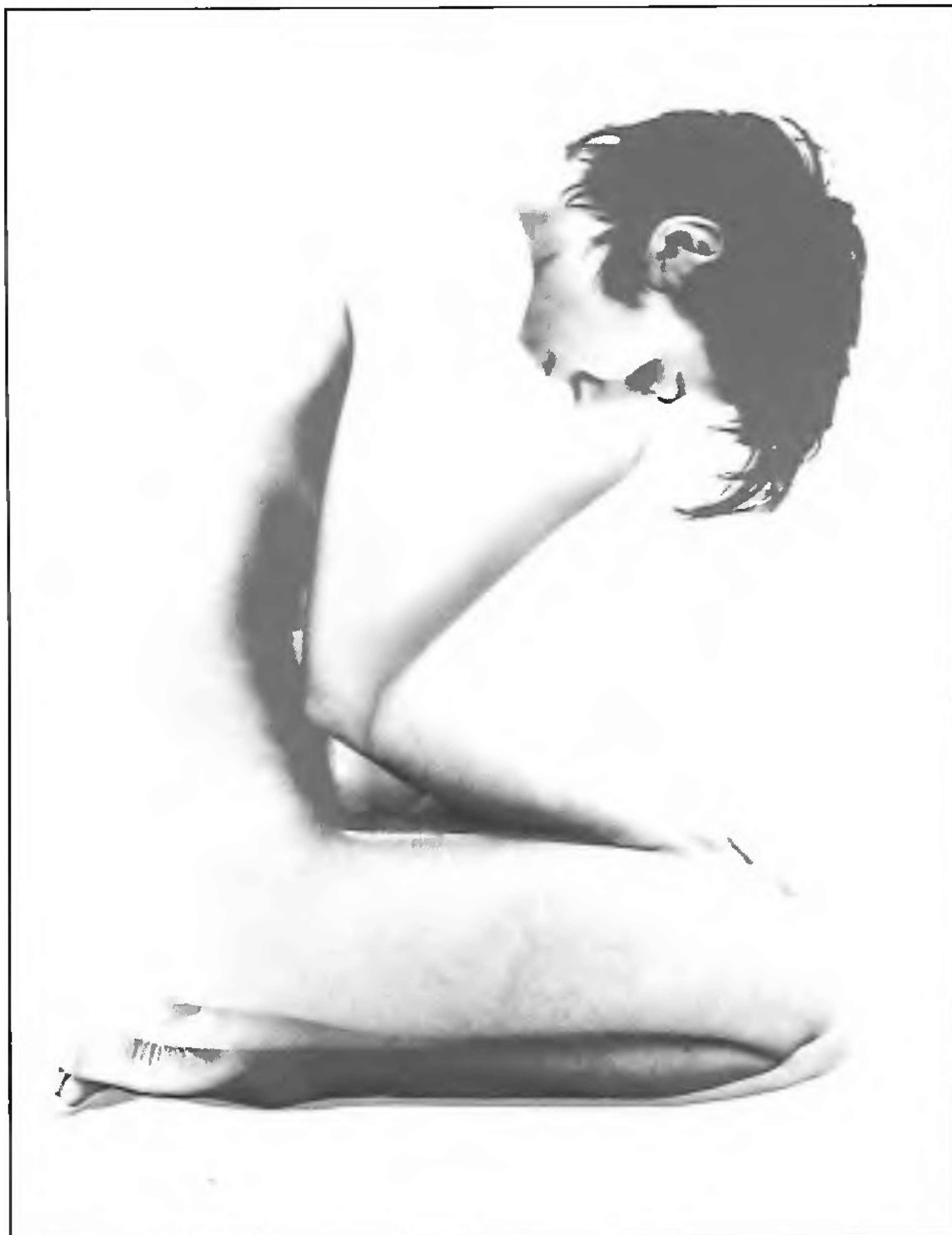
WIESŁAWA KONOPELSKA



Antoni Kowalski „Amen”

Rondo Sztuki, Katowice





JUDYTA BERNAŚ
grafika



Prace Judyty Bernas oglądane w płaszczyźnie dwuwymiarowej wydają się być tradycyjnymi aktami lub fotografiami ludzkiego ciała. Jednak dopiero umieszczone w przestrzeni zyskują na znaczeniu i walorach estetycznych. Nadanie im charakteru instalacji odsłania prawdziwą intencję autorki i odczytując je w tym kontekście docieramy do ich właściwego przekazu.

Grafiki Judyty Bernas są tworzone na podstawie zdjęć przerobionych cyfrowo. Efekt pracy na komputerze jest następnie drukowany na specjalnej, sztucznej kalce. Dzięki temu fotografie stają się prześwitujące. Każda postać jest drukowana na jednym arkuszu. Po ich złożeniu autorka uzyskuje efekt „nakładania się” na siebie obrazów. Judyta Bernas łączy w pary fotografie kobiety i mężczyzny. Po jednej stronie znajduje się obraz kobiety, pod drugiej mężczyzny. Dzięki zawieszeniu ich w przestrzeni można prace oglądać z obu stron, dzięki czemu zawsze jedna fotografia występuje w kontekście drugiej. Kobieta jest oglądana poprzez obraz mężczyzny lub odwrotnie: to mężczyzna „przebija” przez obraz kobiety. Od decyzji oglądającego zależy, którą stronę wybierze. Pomimo tego, że są one równoważne, to dzięki temu że są wykonane na kalce, zawsze druga strona jest mniej wyrazista a przebijające światło wzmacnia ten efekt. To rozwiązanie formalne pozwoliło autorce na zwrócenie uwagi widza na fakt, że obydwa obrazy wzajemnie się dopełniają tworząc całość.

Judyta Bernas nie sugeruje, z której strony należy kontemlować dzieło, co oznaczałoby podkreślenie większej wartości jednej ze stron. Nie wskazuje nawet w tytule nazywając swoje prace po prostu jako *Obiekt*. Jak twierdzi: „Każda z prac to jeden obiekt, który składa się z dwóch warstw – męskiej i żeńskiej, które razem tworzą całość”. Ich nierozzerwalność podkreśla również pozycja modeli. Na fotografiach zarówno mężczyźni jak i kobiety siedzą skuleni, co w zestawieniu daje wrażenie jakby jedno ciało w drugie „wchodziło”, jakby stanowili dwie pasujące do siebie części układanki.

Embrionalna pozycja modeli często tłumaczona jest jako wyrażająca chęć odcięcia się od świata zewnętrznego i problemów, które są związane z funkcjonowaniem w nim. Oznacza podświadomą chęć powrotu do łona matki, do miejsca bezpiecznego. Takim miejscem, które daje schronienie, jest ciało partnera. W ramionach ukochanej osoby można znaleźć ukojenie i zapomnieć o troskach. Skulona pozycja postaci, których obrazy wzajemnie się dopełniają przywołują również wyobrażenie kuli złożonej z dwóch połówek. Ich połączenie jest obrazowym przedstawieniem pełni i doskonałości.

W późniejszych pracach można zauważyć stopniowe otwieranie kompozycji. Odnosi się wrażenie, że osoby



Judyta Bernas

Ciała w przestrzeni – przestrzeń ciała

na fotografiach mogą funkcjonować osobno, ale posiadają wspólną część, która je spaja. Można zauważyć, że postaci nabierając dynamiki sugerują, że ich samodzielna egzystencja dąży do tego, żeby się połączyć. Wirują wokół środka, który jest pomiędzy nimi. Ten ruch można porównać do tańca, w którym partnerzy oddalają się od siebie, żeby po jakimś czasie móc się ponownie do siebie zbliżyć.

Niedawno autorka zaprezentowała kolejny cykl prac. Wykonane są również na kalce umieszczonej w przestrzeni, dzięki czemu zyskują na lekkości i pewnego rodzaju wrażeniu odrealnienia, metafizyczności. W ten sposób autorka wykonała kolejne stacje drogi krzyżowej. Nie byłoby w tej tematyce nic zaskakującego, gdyby nie fakt, że w rolę mężczyzny wciela się kobieta. Tylko na jednej grafice występuje element męski – stanowi go pomagająca dłoń Szymona Cyrenejczyka. W symbolice chrześcijańskiej dłonie oznaczają „moc, która tworzy, pomaga prowadzi, ochrania, ocala” (D. Forster). W takim kontekście występuje tutaj mężczyzna wspierający kobietę.

W tym cyklu autorka, jak sama przyznaje, nawiązuje do legendy o świętej Wilgefortis. Według podania Wilgefortis była młodą dziewczyną, którą ojciec postanowił wydać za mąż wbrew jej woli. Żeby skruszyć jej upór więził ją, aby zmusić do małżeństwa. Wilgefortis tak żarliwie modliła się do Boga z prośbą o pomoc, że wyrosła jej długa broda. Przyszły mąż oczywiście nie chciał takiej żony, dlatego zrezygnował ze związku. Ojciec dziewczyny

w gniewie kazał ją ukrzyżować, dlatego Wilgefortis zmarła na krzyżu. Źródłem powstania tej legendy są prawdopodobnie ludowe obrzędy, a historyczność postaci jest powszechnie kwestionowana. Pomimo tego jeden z najbardziej znanych wizerunków brodatej świętej w Polsce znajduje się w 57. kaplicy drogi krzyżowej w Wambierzycach na Dolnym Śląsku. Historię Wilgefortis przytacza Olga Tokarczuk w jednym ze swoich opowiadań, a teatr Wierszalin na jego podstawie zrobił jakiś czas temu przedstawienie.

Kobieta występująca w roli ukrzyżowanej występuje w kulturze europejskiej od dawna, czego przykładem może być wyżej przytoczona legenda. Kobieta w kontekście krzyża występuje w pracach Moniki Zielińskiej czy Katarzyny Kozyry. We współczesnej kulturze popularnej obraz ukrzyżowanej kobiety kojarzy się również z występowaniem Madonny, która na koncercie w Rzymie zaśpiewała jedną z piosenek wisząc na krzyżu. O ile niektóre tego typu działania wydają się być nastawione na wywołanie u odbiorcy szoku, to prace Judyty Bernas, bardzo delikatne i subtelne w swojej warstwie formalnej, skłaniają raczej do zadumy i refleksji.

Tytuł jednego z filmów Marka Koterskiego brzmi *Wszyscy jesteście Chrystusami*. Wszyscy, czyli również kobiety niosą „swoją krzyż”. Wydaje się, że autorka chciała zwrócić uwagę na ludzki wymiar symbolu, nie tylko związany z jego kultem w osobie mężczyzny. Gdyby role zostały zamienione, przesłanie pozostałoby takie samo, bo w symbolu chodzi o człowieka jako Człowieka. To, czy jest on kobietą czy mężczyzną, to kwestia ciała, w jakim się narodził. Materialna postać symbolu jest jedynie przewodnikiem, drogowskazem do tego, co niewyrażalne. Jak wskazują prace Judyty Bernas, znakiem staje się ciało ludzkie jako takie, podczas gdy cechy płciowe stają się mniej istotne, co podkreśla człowieczeństwo symbolu.

Patrząc na dorobek artystki nie można się oprzeć wrażeniu, że materia, z którą pracuje, z którą eksperymentuje i którą bada, jest ciało ludzkie. Interesuje ją nie tylko wymiar przestrzenny jego bryły, jego estetyka, ale również rozpatruje ciało jako kulturowy tekst uwikłany w różne konteksty. Takim kontekstem jest związek dwojga ludzi, który może przyjmować różny charakter i może być różnie postrzegany. Mogą być nim również pewne przyjęte powszechnie skojarzenia związane z rolą kobiety i mężczyzny oraz ich znaczenie w kształtowaniu istotnych w naszej kulturze symboli. Ciało w pracach Judyty Bernas jest czymś więcej niż materialną formą. Staje się znakiem, który nawiązuje, wchodzi w relacje oraz tworzy nowy sens.

BARBARA FIRLA

Nie jest najlepiej (z powieścią)

WITOLD
TURANT

Dzień 29 czerwca 1596 budził się dla mieszkańców Kadyksu w promieniach wschodzącego po zwykłej stronie świata słońca. Morze, jak zwykle o tej porze miało kolor jasnoblękitny, a kilka żagli widocznych na horyzoncie nie zaniepokoiło żadnego z będących już na nogach porannych ptaszków – wozowodów, pomocników piekarza czy nielicznych jeszcze robotników portowych. Zajęci swoimi sprawami nie zauważali, jak szybko rosły te żagle, a także i tego, że nawy które niosły w stronę hiszpańskiego wybrzeża raczej nie przypominały kupieckich żaglowców. Nagle huk wystrzału rozdarł na wpół uśpione w porannej mgle powietrze. W ten właśnie sposób brytyjska eskadra pod komendą sir Francis Drake’a postanowiła upomnieć się o prymat na morzu i położyć kres hiszpańskiej dominacji. 2 lipca Anglicy mogli już odtrąbić zwycięstwo. Ale najgorsze miało dopiero nadejść – klęska „niezwyciężonej armady”, przechwytywanie ładunków srebra, złota i szlachetnych kamieni wydartych z indiańskich skarbców Ameryki Południowej, nieudolni monarchowie, osłabienie państwa i monarchii aż do napoleońskiej katastrofy. Zazwyczaj tak bywa, że historia, jeśli rozgrywa się na naszych oczach, jest bolesnym splotem wydarzeń, a dopiero potem staje się zajmującą opowieścią, jeśli los obdarzy nas (kimkolwiek jesteśmy) utalentowanym rapsodem.

Paradoksalnie, schyłek hiszpańskiej potęgi imperialnej okazał się kolebką

złotego okresu jej literatury. Począwszy od Miguela de Cervantesa, poprzez Lope de Vegę, Tirso de Molinę, i Miguela Quevedo, aż do Pedra Calderona de la Barcy, wszyscy ci pisarze, poeci i dramaturdzy tworzyli dzieła stawiające ich w czołówce twórców ówczesnej Europy.

Hiszpańskojęzyczne kraje Ameryki, jeden po drugim, „wybijały się” na niepodległość, czasem dzięki i sprzeczną z zasadami jakiegokolwiek humanizmu, lekceważąc demokrację czy nawet jej elementarne pozory, dokładając okrucieństwo odziedziczone po zmaganiach z Maurami, jakie prowadziły *hermandades* w rodzaju rycerskich zakonów Osorya czy Calatrava, z innowiercami, których tępieniem zajmowała się Inkwizycja, do prekolumbijskiego, indiańskiego. Hiszpania patrzyła (i patrzy) na to w osłupieniu. Tauromachia to jedynie namiastka zmagania z czasów króla Rekkareda, Karola Młota czy Fredynanda i Izabeli. No tak, była jeszcze śmierć zadawana przez państwo za pomocą tradycyjnej garroty, ale i tę prawodawstwo europejskie usunęło w mroki przeszłości wraz ze spuścizną caudilla Franco. Matamoros (maurobójca) to tradycyjny przydomek św. Jakuba (Santiago), ale dziś Hiszpanię należy postrzegać raczej jako możliwy pomost pomiędzy kulturą arabską i europejską, a arabiści tego kraju oraz zbiory i zabytki, których pilnują, to światowa *creme de la creme* w tej branży.

Na tym tle literatura hiszpańska jawi się niczym delfin igrający na fa-

lach u wybrzeży Gibraltaru (wciąż brytyjskiego). Raz pochłania ją szaleńcze tempo, w jakim rozgrywają się światowe wydarzenia, innym razem błysnie noblem lub scenariuszem np. „Dziewiątych wrót” Romana Polańskiego (Arturo Perez Reverte). No bo sytuacja nie jest prosta – nie da się ukryć, że Paryż i Londyn konkurują skutecznie, Berlin ma środki, a Rzym do niedawna miał charyzmatycznego papieża. I błysnij tu czymś znakomitym, Madrycie czy Barcelono, zwłaszcza gdy macie do czynienia z bramkostrzelnymi Manchesterem czy Chelsea.

Tak więc tym większe było moje zaciekawienie, gdy na bibliotecznych i księgarskich półkach przyciągnęły mój wzrok podtytuły – powieść historyczna. A któż to, do stu par niewyczyszczonych rajtarskich butów, ośmiela się sięgnąć po tak zardzewiałą, zakurzony i pokryty pajęczyną arseniał? Literacki samobójca? Szaleńiec pozbawiony instynktu samozachowawczego? Był wprawdzie Eco ze swym „Imieniem róży”, ale była jednak tylko lub aż (jak kto woli) rozprawka o urokach średniowiecznej filozofii przybrana w szatę i maskę powieści historycznej. Tymczasem kapitan Alatryste tak wymachuje rapierem, jakby począł go sam imię Dumas.

Lubię większość literackich produkcji Reverte, ale wyznać muszę, że samozwańczy kapitan Alatryste, nawet w cieniu Inkwizycji, przemawia do mnie najbardziej. Szlachetny obwieś, zręczny szermierz, czuły najemnik, inteligentny prostaczek – to zawsze chwyta, pod jednym wszakże warunkiem – musi być dobrze napisane. Jeśli jednak ukrytym bohaterem uczynić jednego z największych poetów, pamflecistów, a także paszkwilantów swoich czasów, seniora Miguela Quevedo, którego rapier, mimo stale obecnych na jego nosie okularów, rzadko chybiał celu – szansa na sukces u tzw. wyrobionego czytelnika znacznie wzrasta. Perez Reverte jest tego absolutnie świadom i bez skrupułów pakuje swych bohaterów w jeszcze większe tarapaty – mówiąc krótko w szpony Inkwizycji (niech mi Jego Eminencja ks. kard Ratzinger wybaczy), pointując każde starcie walczących o dusze protagonistów sił soczystym, a czasem dość rubasznym, ale zawsze celnym wierszem Quevedo.

Quevedo postrzegał Hiszpanię i panujące w niej stosunki, tak jak kapitan Alatryste ją odczuwał swoim ciałem, które nieraz zbierało cięgi czy to w Brabancji, czy w zakamarkach starożytnego Madrytu. Swoisty kodeks hono-

rowy co prawda nie zabraniał mu stać za innych w pojedynkach (za godziwą opłatą), ale razem z Aniołem Dziwnych Przypadków nie zezwolił mu stać się płatnym zabójcą (i to nie byle kogo, bo księcia Walii Karola Stuarta, późniejszego Karola I, króla Anglii). Gdy dwójka, a właściwie trójka naszych bohaterów znajdzie się w cieniu Inkwizycji, dopiero okaże się, jak bardzo skończyły się żarty. A Inkwizycja uczyniła właśnie, po próbie zamachu na księcia Walii, krok w kierunku likwidacji moryskow i maranów oraz innych „judyzujących” osób. Król Filip IV przygląda się z boku, wykształcony, wrażliwy lecz bezwolny monarcha, patrzący z pozycji kibica na powolny acz nieuchronny upadek swego kraju, przeczuwany i przewidywany przez Quevedo.

W ten stan długotrwałego sukcesu i następujących po sobie kataklizmów i wstrząsów, niczym zapis w kodzie genetycznym żywego organizmu, były wpisane narodziny dyktatury caudillo Franco. Carlo Ruiz Zafon w swej powieści „Cień wiatru” zabiera nas do Hiszpanii frankistowskiej, w lata czterdzieste i pięćdziesiąte, kiedy frankizm stracił już swój impet, ale nie osiągnął jeszcze tego stadium, gdy Hiszpanie przestali go traktować poważnie. Znamy taki stan z czasów schyłku gierkowszczyzny. Nic przyjemnego, albowiem biada temu, kto w takich czasach wyskoczy przed orkiestrę, która fałszywie, ale przecież jeszcze rzępoli. Obicie szanownego oblicza czy połamanie jednego czy dwóch żeber to zaprawdę umiarkowana cena. Bywały doświadczenia o wiele boleśniejsze.

W takim tle pojawia się książka, czy raczej Księga. Nie wiadomo, co w niej jest, ale samo jej objawienie jest na tyle ważne, by zapoczątkować cały ciąg wydarzeń mających wpływ na koleje życia bohatera – ona kształtuje jego stosunki z ojcem, znajduje mu partnerki i przyjaciół, wpędza w kłopoty i z nich wyciąga.

„Cień wiatru” nie jest powieścią historyczną par excellence. Ale jest napisany, tak jakby nią był. Akcja pędzi, gdy trzeba i zwalnia, gdy bohaterowie odgrywają scenę liryczną. Rozważania filozoficzne są tu dobrze ukryte, bo nie wyobrażam sobie powieści spod znaku „płaszcz i szpada” o Kartezjuszu czy Spinozie, chociaż... why not, jak powiadają Anglicy. Historia jedynie od czasu do czasu, dyskretnie, choć nieprzyjemnie, wychynie, jak „dupa z pokrzyw” (copyright – J. Przybora) w tym czy innym miejscu.

Nie wdając się w uczone rozważania na temat czasu powieściowego, którego meandry są u Zafona tak zawiłe, iż wydaje się on pędzić niemal jednocześnie w różnych kierunkach (zdaniem fizyków, to niemożliwe, ale czy aby na pewno?) Rozpoczynając w połowie lat czterdziestych lądujemy raz dwadzieścia lat wcześniej w Paryżu, to znów jakieś dziesięć lat później w Barcelonie, wśród innych ludzi i innych spraw, którzy po jakimś czasie okazują się zaledwie cienką warstwą werniksu nałożoną przez czas na dawnych ludzi i stare sprawy. Światy wydają się istnieć równolegle, połączone jedynie pojedynczymi punktami, noszącymi miano zbiegów okoliczności, czasem bolesnych, czasem przerażających, jednakże zawsze skutecznie i efektownie posuwających akcję do przodu i budujących napięcie. Tak oto spod maski powieści, anty-powieści, czy para-powieści wyziera Powieść; porządna, mająca logiczną konstrukcję, napisana dobrą, soczystą prozą. Oznacza to, że autor zna się na rzeczy i może wymagać tego samego od czytelnika. W dzisiejszych czasach to rzadkość, że od czytelnika wymaga się czegośkolwiek, albowiem uprzejmość literackiej komercji wobec odbiorcy posunęła się już tak daleko, że jedynym wymaganiem jest umiejętność czytania drukowanych liter, a i to być może nie jest konieczne, bo zawsze możemy poprosić kogoś dysponującego nadmiarem wolnego czasu, by nam przeczytał, co napisano.

Tak więc Zafon wymaga i choć wiem, że nie przysporzę mu w ten sposób entuzjastów, nie ustąpię. Wymaga, by choćby pobieżnie podobać się wcześniej przy lekturze choćby jednej jedynej powieści gotyckiej. Są bowiem domy, w których przenikają się rzeczywistości. Owe domy wydają się z zewnątrz średnio obszerne, ale spróbujmy wejść do środka. Już na parterze co pokój, to dramat – a gdzie piwnice i poddasza ze swymi strasznymi tajemnicami? Osobna sprawa to widma i upiory – może bardziej w przenośni, ale jednak. Każdy naród ma jakiegoś wilkołaka i Hiszpanie nie są pod tym względem gorsi. Może to być np. psychopatyczny policjant; wymarzony przez literaturę filar reżimu Franco – taki hiszpański Piotrowski – specjalista od znikania politycznych, a przy okazji wszelkich innych oponentów. Jakże przydatny tani drań, który się rozplywa w świetle bożego dnia – jak to wilkołak.

Lata pięćdziesiąte to także okres prosperity amerykańskich autorów „czarnego kryminału” – Ray-

monda Chandlera czy Rossa McDonalda. Tak więc młodociany bohater Zafona, jeśli miałby się w kogoś wcielić czy też poszukać sobie wzorca, spojrzałby przede wszystkim w stronę Lew Archera i Philipa Marlowe’a, co właśnie czyni. Długo trwały dyskusje czy ów „czarny kryminał” to literatura, czy też nie, ale jako że w tych sprawach najbardziej bezstronnym i pozbawionym uprzedzeń arbitrem jest czas, dziś wątpliwości można odłożyć do kosza. Zafon wybiera pewną szacowną już konwencję. I tyle. A właściwie niezupełnie, albowiem jest jeszcze problem telenoweli, która niegdyś była radionowelą, a jeszcze dawniejszymi czasy gazetownelą. W ciągu całej tej epoki przeobrażeń w mediach nierozzerwalnie związana z kulturą latynoamerykańską, z której przywędrowała, niczym ciekawa świata wnuczka, do swej hiszpańskiej babki. Widać także gołym okiem, że zabrnęła nawet na ekrany telewizorów krajów Europy północnej, gdzie wszystko, a zwłaszcza życie, traktowane jest z przykrą i trudną do zniesienia dosłownością, spod kurateli której kraje basenu Morza Śródziemnego wyzwoliły się jeszcze za czasów Homera, albo jakoś tak.

Istotne jest to, że wszystkie te elementy to konwencje, które człowiek o geniuszu Zafona traktuje niczym zręczny żongler płonące obręcze. Mówię wyraźnie: geniuszu, albowiem nie jest on pierwszym, który próbował w ten sposób powieść przywrócić do życia. Zapewne też nie jedynym, któremu się to udało. Jednakże należy do tej bardzo nielicznej grupy tych, którzy nie nadużyli zaufania czytelnika. Albowiem czytelnik tęskni za dobrą opowieścią. Za pierwszorzędną narracją, która dziś jest towarem deficytowym nawet na półkach z napisem „proza brytyjska”. Jeśli mówię, że niemal nie czytam już powieści, to z grubsza rzecz biorąc jest to ponura prawda. Nigdy jednak nie twierdziłem, że nie tęsknię za pierwszorzędną narracją. Owszem, tęsknię i to jak... Tak jak tęskniłem za dobrą poezją, która jakimś cudem zadomowiła się ostatnio nad Wisłą. Może proza kiedyś także? Może by tak gawędę szlachecką przywrócić do łask? Ale to pytania gorsze niż akademickie, bo wiemy, iż to się musi wydarzyć samo. Z potrzeby serca, z pewnego zmęczenia wrodzoną przemądrzałością eseju, i z geniuszu jakiegoś autora. Co najmniej tak sprawnego jak Zafon czy Perez-Reverte. Bo z powieścią naprawdę nie jest najlepiej.

Zatrudnienie w charakterze dyrektora artystycznego Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum” Karela Brożka okazało się pomysłem nader szczęśliwym. Wiadomo, że to artysta wyborny – do dziś turyści odwiedzający Pragę zachwycają się jego inscenizacją opery W.A. Mozarta *Don Giovanni* w teatrze marionetek, choć od premiery minęło już sporo lat. Wiadomo, że Czesi mają świetne tradycje jeśli chodzi o teatr lalek. Jednak podziwu godne jest to, że Brożek – emeryt przecież, ciągle zaskakuje widzów pomysłowością, świeżością teatralnego odczytywania literatury, poszukiwaniem nowych dla siebie „sztuk” – używam tego słowa w cudzysłowie, bo wystawił już w tym sezonie opowiadanie Kafki *Jama* (dla dorosłych), teraz zaś on – Czech – zaproponował starszym dzieciom *Ballady i romanse* naszego Wieszczu Narodowego, pisane przecież nie dla sceny. Wybrałem się na tę premierę (28 marca) z pewnym niepokojem, pamiętałem bowiem co najmniej kilka konkursów recytatorskich, podczas których te teksty Mickiewicza „podzielono na role” ze skutkiem opłakanym. Szkolni „aktorzy” – przygotowani przez „panie od polskiego” (które miały na pewno jak najlepsze intencje) – potrafili widzów niemal przekonać, że autor tych poezji był na przemian patetycznym albo sentymentalnym nudziarzem. Spektakl w „Ateneum” pokazuje, że tak na szczęście nie jest.

Pomysł Brożka na inscenizację *Ballad i romansów* był bardzo prosty. Kobiety z wioski rybackiej nad Świtezią opowiadają sobie podczas całkiem zwyczajnych prac i zajęć codziennych mickiewiczowskie historie niesamowite (przeważnie też makabryczne). Narratorki angażują się w swoje opowieści do tego stopnia, że wcielają się w swoje bohaterki, zaczynają odgrywać ich przygody, przedstawiać niezwykle zdarzenia. Wiadomo, że w rzeczywistości musiały być przy nich dzieci. Na scenie wprawdzie ich nie ma, ale są przecież... na widowni. I to dzieci właśnie są „straszone” tymi wszystkimi duchami, zjawami, niesamowitościami, przy okazji zaś wychowywane, bo przecież winę, zbrodnię, grzech musi spotkać kara.



Foto: Tomasz Zakrzewski

Mickiewicz mistrza Karela

TEATR

Same opowiadające mają w tym przedstawieniu do swoich historii dystans, kiedy więc dochodzi do tragicznego finału, te kobiety doświadczone przez życie i twarde potrafią wybuchnąć śmiechem, rozładować w ten sposób grozę, dać sygnał, że to była tylko baśń. Ale dzieciom zostaje w pamięci fabuła jak z horroru, niesamowitość, ingerencja w ludzkie życie sił nadprzyrodzonych. Wiem, bo po spektaklu rozmawiałem z widzami młodszymi od gimnazjalistów, do których to przedstawienie jest adresowane. Przyznawali, że były momenty, kiedy się naprawdę bali. Tak intensywnie musiał też odbierać te opowieści mały Adaś Mickiewicz, skoro po latach wrócił do nich w swojej poezji.

Brożek sam dokonał adaptacji tekstów. I tu znów fakt, że jest on Czechem, był okolicznością szczęśliwą. Gdyby był Polakiem – mogłaby mu zadrzeć ręką przy opracowywaniu tekstu, bo jak to można wykreślać coś Wieszczowi Narodowemu? Czeski reżyser takich oporów nie miał, dzięki czemu przedstawienie jest dynamiczne (zwłaszcza część druga), nie dłuży się, a – co ważne – nie ucierpiał na tym sam Mickiewicz, bo cel poety – przekazanie w poetyckiej formie ludowych opowieści z etycznym przesłaniem – został osiągnięty.

Spektakl jest bardzo piękny plastycznie. Brożek ma słabość do tkanin na scenie. Nie chodzi tu o jakieś kotary, draperie, czy inne „elementy

ozdobne”. Tkaniny u niego są niezwykle użytecznym, bo dającym wiele możliwości, przedmiotem animacji. W *Balladach...* są m.in. falującym jeziorem, polem bitwy, czerwony skrawek staje się krwią. Oprócz nich pojawiają się lalki (precyzyjniej – figurki, czy rzeźby, klasyczne lalki to dziś w teatrach lalkowych rzadkość), maski, przedmioty „codziennego użytku” na wsi. W każdym razie są na scenie rzeczy, które aktorzy animują, co też jest dla mnie zaletą, bo od lat widzę, jak teatr lalek coraz bardziej upodabnia się do dramatycznego.

W przedstawieniu bierze udział sześć kobiet i jeden mężczyzna – Bartosz Socha, grający Poetę (dorosłego Mickiewicza, ale poprowadzonego

go tak, że to on wydaje się „dzieckiem” świadomych swoich przewag „rybaczek”). Trudno mi kogoś z żeńskiego teamu wyróżnić. Osobiście bardzo mi się podobała Ewa Reyman jako Pani z *Lilii*, świetna była Marta Popławska – Panna z *Ucieczki*, a że ze mnie mól książkowy, zwróciłem też uwagę na Młodą – Krystynę Nowińską, która w przedstawieniu co jakiś czas z nabożeństwem zagląda do książki. Ale jeśli ktoś uzna, że to Karusia (Katarzyna Prudło) była gwiazdą spektaklu, że wspaniała była Katarzyna Kudebowska – Krysia z *Rybki*, zaś kreacja Beaty Zawiślak (*Świtezianka*) zasługuje na wielkie słowa uznania – nie będę się kłócił. Wszystkie panie tworzyły bowiem w tym przedstawieniu wunderteam. Autorem scenografii był Andrzej Łabiniec, bardzo dobrą muzykę skomponował Piotr Salaber, a choreografię przygotował Henryk Konwiński.

Po premierze, kiedy rozmawiałem ze „ścisłym kierownictwem” katowickiego teatru, powiedziałem: „No to w czasach kryzysu macie teraz wspaniały »produkt eksportowy«. Myślę, że *Ballady...* zagrane nad jeziorem Świteż, dziś na Białorusi, zgromadziłyby tłumy tamtejszych Polaków. To przedstawienie byłoby też wielką atrakcją dla Polonii w USA, Kanadzie, Anglii...” I takiej podróży artystycznej „Ateneum” życzę.

BOGDAN WIDERA

Trudno nie dostrzec podobieństw pomiędzy bohaterkami tych spektakli: obie były na szczycie i obie dotknęły dna. Teatr Rozrywki przybliża widzom postacie Billie Holiday i Judy Garland. Siłą rzeczy wyszedł też pojedynek pomiędzy Anną Sroką a Marią Meyer. Wynik dla widza jest jasny: doświadczenie góruje nad młodością, talent dojrzały nad talentem szlifowanym.

Zapewne ciekawa byłaby odpowiedź dyrektora Dariusza Miłkowskiego, na pytanie o powody, dla jakich dwa w gruncie rzeczy podobne widowiska muzyczne pojawiły się na tej samej, kameralnej scenie Teatru Rozrywki niemal jednocześnie. Anna Sroka wciela się w rolę Billie Holiday, jest to właściwie monodram muzyczny. Kwestie wypowiedziane przez akompaniującego artystę Włodzimierza Nahornego trudno uznać za rolę, to raczej – z całym szacunkiem dla Nahornego, który przecież ambicji aktorskich nie ma – przerywniki, mające raczej dać Sroce czas na przebranie się w inny strój niż skontrapunktować akcję. Mimo to, z oczywistych przyczyn, występ Nahornego w quasiaktorskich epizodach, sam w sobie stanowi rarytas. Marii Meyer towarzyszą Jarosław Czarnecki i Tadeusz Zięba, tworząc ciekawy duet antagonistów, lecz mimo to jej rola to w jakimś sensie również muzyczny niemal monodram.

Anna Sroka zabłysnęła w Teatrze Rozrywki rolą lesbijki Maureen w musicalu *Rent*, za którą otrzymała Złotą Maskę. W *West Side Story* kreuje Anitę. Jednak scena kameralna w jakimś sensie „rozbieira”, artysta zostaje pozbawiony wszelkiego rodzaju podpórek, z jakich może korzystać na dużej scenie. Zostaje podany widzowi nie jak motyl fruwający nad piękną łąką, ale niczym ten sam owad pod szkłem, ze skrzydłami przyszpilonymi do białej tekturki. Nie da się ukryć – Sroka w takim charakterze to smakowity kąsek (w znaczeniu aktorskim). A jednak ten spektakl może chwilami nużyć – bynajmniej nie dlatego, że Sroka gra nieprzekonująco, śpiewa zbyt mało ekspresywnie. Owszem, śpiewa z ekspresją, gra przekonująco – niestety jakby wciąż na jednym, tym samym, tonie. Podpita, brzydka, ocierająca się o wulgarność kobieta, która przemienia się tylko wówczas, gdy staje przed mikrofonem – bo śpiewać wciąż potrafi charyzmatycznie. Ale od wzniosło-



Anna Sroka wciela się w rolę Billie Holiday, jest to właściwie monodram muzyczny.

Billie i Judy

TEATR

ści do śmieszności, do upadku jest jeden tylko krok – te słowa dotyczą bohaterek obu przedstawień. Bo kiedy potykają się na scenie, zapominają tekstu, stają bezradnie, patrząc na widownię, bluzgają w jej stronę – są już tylko żałosnym cieniem dawnej świetności. A jednak, jak wspominałem, wydaje się, że Sroka gra na jednym tonie – kiedy opowiada o swoim dzieciństwie nie wydobywa tonów małej zakompleksionej, skrzywdzonej dziewczynki. Jej bezradność nie staje się bardziej dziecinna, nie zmienia się ton, kiedy wspomina matkę. Na małej scenie, w przybliżeniu, w naj-



Maria Meyer jako Judy Garland.

trudniejszym wyzwaniu monodramu można dostrzec, że diament talentu Anny Sroki wciąż jeszcze wymaga uszlachetniającego szlifu w szczegółach.

Taki szlif posiada Maria Meyer (to konstatacja nader mało odkrywczą). Kreowana przez nią postać Judy Garland jest wulgarna, bo alkohol rozkłada, ale w niektórych scenach wzruszająca, bezradna, poruszająca – tych rysów jakby nieco brakowało Billie granej przez Srokę. I co najważniejsze – wydaje się, że na scenie widzimy prawdziwą Judy, a nie Marię Meyer, co przy tak bogatym aktorskim dossier jest wielkim sukcesem. Meyer podchodzi wciąż do roli, chcąc pokazać bohaterkę, choć publiczność pewnie zaakceptowałaby sytuację, kiedy widziałaby w musicalu nie Judy Garland, ale Marię Meyer, albo miks Sally Bowles, Evity i Marii Magdaleny. Uczciwie przyznajmy też, że Meyer od autora sztuki dostała lepsze możliwości dramatycznego konstruowania roli niż Anna Sroka. Zwłaszcza obudowanie postaci Judy dwoma rolami męskim – narzeczonego i przyszłego męża Mickey'a Deansa oraz pianisty-akompaniatora Anthony'ego dodaje spektaklowi kolejne wymiary. Postacie zbudowane zostały na zasadzie kontrastów: Mickey to półgangster wyjęty z nocnego klubu, w którym rozprawdzał prochy, Anthony – delikatny homoseksualista o nienagannych manierach. Zaczyna się od śpięć, potem dochodzi do jakiejś formy współdziałania (podyktowanego troską o Judy), a może nawet sympatii, żeby w poincie stanęła przed widzami gorzka prawda, że ludzi tych dzieli wszystko. Przy okazji jest też cierpka przypowieść o miłości, a raczej o jej (miłości) niemożności.

Na małej scenie Teatru Rozrywki mamy dwa, podobne w gruncie rzeczy, spektakle zagrane przez dwie utalentowane aktorki, które dzieli raczej różnica scenicznego doświadczenia niż indywidualnego talentu. Oba warte zobaczenia, jednak gdybym ktoś miał do dyspozycji jeden tylko wieczór – bez wahania polecę mu *Na końcu tęczy*.

MARCIN HAŁAŚ

L. Robertson: *Lady Day*, reż. Natalia Babińska, premiera 20 IX 2008. P. Quilter: *Na końcu tęczy*, reż. Dariusz Miłkowski, premiera 30 XI 2008. Teatr Rozrywki w Chorzowie.

Choć tarnogórskie kabarety Te-Ge i Tarnina powstały w różnych czasach i odmiennych ustrójach politycznych ich założycieli połączyło podobne poczucie humoru i wspólne miejsce zamieszkania

W Tarnowskich Górach zawsze istniała ciągłość tradycji. Nawet po 1945 roku mieszkańcy kontynuowali międzywojenne tradycje kulturalne. Najnowszym przykładem kulturalnej ciągłości może być działalność dwóch tarnogórskich kabaretów.

Kabaret Te-Ge powstał w 1962 roku. Założyli go tarnogórscy studenci i nauczyciele. Miejszem prób i występów był Klub Młodzieżowy „Czarny Pstrąg” istniejący w Tarnowskich Górach pod egidą Związku Młodzieży Socjalistycznej od 1961 roku. Klub znajdował się w pomieszczeniach wcześniejszego Inte-Klubu w budynku przy ulicy Krakowskiej.

Grupę młodych ludzi do założenia kabaretu, którego nazwa nawiązywała do pierwszych liter nazwy miasta, zainspirowały wizyty w klubie znanych satyryków m.in. Jana Sztaudyngera i Zbigniewa Załuckiego. – Wtedy w środowiskach studenckich panowała moda na tworzenie kabaretów. Jako studenci ulegliśmy jej – wspomina po latach Józef Dzieliński, jeden z członków kabaretu, a dziś profesor medycyny.

Po raz pierwszy przed szerszą publicznością kabaret Te-Ge zaprezentował się podczas Dni Gwarków, corocznej trzydniowej imprezy kulturalnej odbywającej się w Tarnowskich Górach od 1957 roku. Potem były występy w macierzystym klubie oraz w sąsiednich miastach. Kabaret dawał przedstawienia także w lokalach gastronomicznych. – Często wyjeżdżaliśmy nawet do okolicznych wsi – mówi Dzieliński.

Duszą kabaretu był Stanisław Ciekliński, sporo starszy od pozostałych członków grupy nauczyciel języka angielskiego w tarnogórskich liceach. Pisał skecze i piosenki. Akompaniátorem na pianinie był Tadeusz Kozioł. Na pięciolecie istnienia klubu „Czarny Pstrąg” Ciekliński wraz ze studentami przygotował okolicznościowe przedstawienie, z którego zachował się wierszyk smagający ostrzem satyry tarnogórskich chuliganów.

*Cóż lata płyną w sennym koszmarze
Te same stroje, te same twarze
Te same flaszki z czerwoną kartką
Tak życie mija ćwiartka za ćwiartką*

– śpiewali członkowie kabaretu Te-Ge przed ponad czterdziestu laty. Młodzi przesmiewcy kpili ze sceny także ze słabego zaopatrzenia sklepów. Drwili z zepsutych neonów w mieście. Krytykowali przewlekły remont miejskiego kina. Recytowali fraszki o klubowych działaczach. Mimo krytyki słabości systemu socjalistycznego kabaret nigdy nie miał kłopotów z cenzurą a lokalne władze nie zakazały mu występów.

Kabaret Te-Ge rozpadł się po czterech latach działalności. Jego młodszy członek:



Zainteresowanie sprawami małej ojczyzny przejawia się w programach Tarniny licznymi krytycznymi uwagami dotyczącymi działalności lokalnego samorządu.

Dwa kabarety w Te-Ge

KABARET

Jerzy Baranowski, Józef Dzieliński, Zygmunt Jaworski, Henryk Kierat, Andrzej Wróbel, Urszula Szczygieł, Krystyna Krosny, Jan Rusinek, Andrzej Łapeta po ukończeniu studiów zajęli się pracą zawodową. Po kabaretowych programach pozostały jedynie wspomnienia i notatki w prasie.

Idea kabaretowej twórczości odżyła w mieście dość niespodziewanie po czterdziestu latach. W 2006 roku grupę ludzi, chcących zabawić siebie i innych satyrycznym spojrzeniem na rzeczywistość, skrzyknął Jan Drechsler. Z zawodu weterynarz ujawnił już swój literacki talent, publikując opowieści o utopcach i tarnogórskie legendy. – Chciałem założyć kabaret już na studiach, ale wtedy się nie udało. Pozostało mi parę tekstów i po latach trafiłem na grunt dobrze rozbudowany literacko – mówi Jan Drechsler.

Początkowo kabaret Tarnina tworzył z Mirosławem Ogińskim, plastykiem z Radzionkowa. Potem dołączyli inni: dziennikarze, poeci, muzycy, nauczyciele, studenci. Większość tekstów piosenek i skeczy piszą Jan Drechsler oraz Andrzej Kanclerz, tarnogórski poeta i nauczyciel, który także układa melodie i śpiewa. Drugim kompozytorem jest Błażej Kanclerz. Instrumentarium kabaretu to: skrzypce, gitary, akordeon, instrumenty klawiszowe. Program kabaretu współtworzą także pozostali członkowie Tarniny. – To ma być kabaret literacki ze świeżo napisanymi przez ludzi tekstami, którzy je czytają. To nie są profesjonaliści – opowiada Jan Drechsler.

Miejscami prób i występów Tarniny początkowo była restauracja Wiśniowy Sad, później Kurna Chata. Swoje przedstawienia kabaret prezentował także w plenerze na lokalnych festynach. Występował już w sąsiednich miastach m.in. w Bytomiu i Piekarach Śląskich.

czy krupniok, które zorganizował dziennikarz Jacek Tarski. Śląski repertuar Tarniny tak spodobał się Annie Jurzycki, dziennikarce Radia Piekary, że po zrealizowaniu audycji o kabarecie sama została uczestniczką występów. Dzięki tym kontaktom na antenie piekarskiego radia często goszczą piosenki Tarniny.

Zainteresowanie sprawami małej ojczyzny przejawia się w programach Tarniny również licznymi krytycznymi uwagami dotyczącymi działalności lokalnego samorządu. Częste zabawne przytyki wobec radnych, burmistrza czy starosty nie wpłynęły jednak na pogorszenie stosunków kabaretu z lokalnymi władzami. Na występach kabaretu często bywają samorządowcy zapewne w myśl hasła, że prawdziwa cnota krytyki się nie boi.

Ale twórców Tarniny interesuje i sfera obyczajowa. Sporo miejsca w piosenkach poświęcają sprawom damsko-męskim oraz sercowym. W tekście Jana Drechslera:

*Kobieta ma coś ze sroki
Na widok niebieskookich
A gdy jest ładny po gębie
Kobieta staje się jastrzębiem.*

Andrzej Kanclerz śpiewa o niemożności niemeńskiej a Alicja Czura wtóruje mu, zadowolając o odpiętym rozporku nachalnego tancerza tanga. Humor tarnogórskich kabareciarzy czasami staje się nazbyt trywialny, ale właśnie taki bawi publiczność najbardziej.

Choć w programach kabaretu nie brakuje najczystszej poezji. W przedstawieniu z okazji Zaduszek swoje wiersze o odejściu z doczesnego świata czytali Krystian Krzemiński i Andrzej Kanclerz. Jak widać, nie zawsze podczas przedstawień Tarnogórskiego Kabaretu Literackiego Tarnina jest widzom do śmiechu, co jest dodatkową zaletą repertuaru.

RYSZARD BEDNARCZYK

Foto: Ryszard Bednarczyk

Od 27 do 29 marca odbywał się w Katowicach, na przemian w Sali im. G. Fitelberga GCK i Sali Koncertowej Akademii Muzycznej, trzeci Festiwal Prawykonania, którego pomysłodawcą i organizatorem jest Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia. Najlepsze katowickie zespoły: NOSPR, Orkiestra Kameralna „AUKSO”, Kwartet Śląski, Zespół Śpiewaków „Camerata Silesia” oraz soliści z całego kraju zespolili siły, by w ciągu trzech dni zaprezentować kilkadziesiąt nowych (napisanych po 2002 roku) utworów kompozytorów polskich reprezentujących wszystkie pokolenia i wszystkie ośrodki krajowe. Jeszcze kilka lat temu „demokratyczne” założenie festiwalu kompozytorskich było gorąco oprotestowywane przez koło zwolenników „elitarnej” „Warszawskiej Jesieni”. Dziś, gdy „Jesień” stała się zdecydowanie festiwalem utworów starych, impreza Nosprowska stanowczo z nią wygrywa, jako forum zdarzeń świeżych, różnorodnych, nie do końca zaplanowanych.

Inspirującym zaskoczeniem był już pierwszy koncert, wykonany przez „Cameratę Silesię” pod dyktando Anny Szostak. Joanna Wnuk-Nazarowa wystąpiła z chóralnym cyklem *Psalmy przyszłości?* do „ojczyźnianych” tekstów Zygmunta Krasińskiego. Takiej muzyki chóralnej jeszcześmy nie słyszeli: „sprawa polska” i „smak polski” ujęte w genialnym poważnie-prześmiewczym skrócie, z prześmiewkami humoru iście krakowskiego, takiego rodem z *Wesela* Wyspiańskiego. I do tego wspaniale napisane na chór. Potem słuchaliśmy kantaty Ryszarda Gabryśa *Gloria reformata* (w wykonaniu wzięli udział soliści: Józef Broda, Tomasz Orłow, Roman Gawlik i Aleksander Gabryś) – obszernego, wielowątkowego traktatu muzycznego osnutego wokół pewnej koncepcji retorycznej – opozycji entuzjastycznej wymowy *Gloria* i błagalnej – *Kyrie*. Liczne cytaty (m. in. z chorału protestanckiego), nawiązania do beskidzkiego folkloru (rewelacyjny biały śpiew i multiinstrumentalistyka Józefa Brody) uczyniły z utworu rodzaj kompozytorskiej autobiografii.

Z utworów wykonanych na koncercie wieczornym 27 marca (wykonawcą była NOSPR pod dyktando Michała Kluzy), jako soliści wystąpili: Magdalena Jakubska-Szymiec, Daniel Kerdelewicz i Tomasz Strahl). Najlepiej zapamiętałam świetnie napisany na smyczki *the Flight Light* Bronisława Kazimierza Przybylskiego. Muzyka bardzo „czysta”, choć nie stroniąca od wymownych retorycznie chwytów, broniąca się mądrze zakomponowaną fakturą. Piotr Moss wystąpił z kolejnym efektownym freskiem orkiestrowym inspirowanym malarstwem (*Cinq Tableau de Caspar Friedrich*), młodzi: Wojciech Blecharz i Weronika Ratusińska (oboje z Warszawy) poinformowali o bliskiej im es-

MIEDZY NUTAMI



III Festiwal Prawykonania NOSPR

tetyce, z tym że Ratusińska wypadła bardziej jednoznacznie, prezentując grzecznie-postmodernistyczny *Koncert wiolonczelowy*, natomiast Blecharz jedynie zasygnalizował swe związki z postmoderną w wersji parodystycznej, gubiąc się następnie w drobnych instrumentalnych „gierkach” (*Nox* na saksofon altowy, róg i orkiestrę).

W programie koncertu przygotowanego przez Kwartet Śląski figurował utwór nestora szkoły „warszawskojesiennej” Włodzimierza Kotońskiego, smyczkowo-elektroniczny kwartet Stanisława Krupowicza oraz dzieła kolejnych młodych: Aleksandra Nowaka z Katowic i Marcina Markowicza z Wrocławia – to ostatnie było cennym owocem dobrej znajomości faktury kwartetowej i jej możliwości brzmieniowych.

Popołudnie 28 marca wypełniły utwory kameralne na różne składy. Stanisław Bromboszcz – absolwent klasy Eugeniusza Knapika w uczelni katowickiej zaproponował ogromną, właściwie przerastającą możliwości percepcyjne słuchacza porcję monotonej muzyki „medytacyjnej” na fortepian i komputer (*Muzyka lustrzana*), łodzianie: Sławomir Wojciechowski i Marcin Stańczyk nie umawiając się, stworzyli niemal bliźniacze kompozycje kameralne wyzyskujące rozmaite efekty sonorystyczne dla snucia nastro-

jowych muzycznych opowieści (utwór Wojciechowskiego *Riesenfalter* grali: Maria Grochowska, Aleksander Tesarczyk, Kinga Tomaszewska i Zdzisław Łapiński, a *Laterna* Stańczyka wykonali: Robert Stefański, Małgorzata Smyczyńska, Ewa Kaczmarek, Łukasz Warenica i Jakub Jeziorowski). Andrzej Dziadek wystąpił z cyklem trzech utworów fortepianowych o charakterze nokturnowym (grali Gabriela Szendzielorz i Andrzej Jungiewicz).

W kontekście urozmaiconej i w sumie apetycznej porcji muzyki danej po południu koncert wieczorny, wykonany przez NOSPR pod dyktando Jacka Rogali, z udziałem solistów: Iwony Mironiuk i Bartosza Koziaka, stanowił dla słuchacza próbę cierpliwości, a to z powodu obecności w programie hermetycznej, niełaskawej dla ucha *IX Symfonii* Bogusława Schaeffera. „Łagodną” przeciwwagę programu stworzyły utwory Zygmunta Krauzego (*Hymn do tolerancji*), Tadeusza Wieleckiego (*Koncert fortepianowy*) i Anny Zawadzkiej-Gołosz (*Koncert wiolonczelowy*).

Niedzielny poranek wypełniła muzyka jazzowa autorstwa Krzysztofa Herdzina, Leszka Kułakowskiego i Jarka Śmietany. Z towarzyszeniem NOSPR grały autorskie zespoły: Leszek Kułakowski Ensemble Piccolo i Jarek Śmietana Kwintet. Całością dyrygował Szymon Bywalec, solistą był Jerzy Głowczewski.

Wydarzeniem koncertu finałowego (29 marca, Orkiestra kameralna AUKSO, Marek Moś – dyrygent, Jadwiga Kotnowska – flet, Rafał Kwiatkowski – wiolonczela) było wykonanie *Musique scintillante* dla 14 wykonawców Krzysztofa Meyera. „Rasowy”, świetnie napisany utwór, emanował naturalnie-muzyczną i ogromnie pozytywną energią. Potem słuchaliśmy kompozycji Wojciecha Widłaka (subtelne, również zgrabnie napisane *Shortly on Line*), Justyny Kowalskiej (*Te frazy... te pieśni... te arie* rozplywające się w prowadzących donikąd glissandach smyczków) i Jana Krenza (*Elegia katyńska*, której koncertująca faktura wiolonczelowo-orkiestrowa nie udźwignęła retorycznego wyzwania). Ostatni utwór zapowiadany w programie – *Hommage a Josquin* Dariusza Przybylskiego nie został wykonany ze względu na chorobę wykonawczyni.

W przedmowie do książki programowej festiwalu Joanna Wnuk-Nazarowa wyraziła adresowane do najmłodszych uczestników życzenie, by „utrzymali w przyszłości tę wysoką światową pozycję, którą zajmują nasi Najwięksi”. Może i nie utrzymają, bo czasy są inne, nie sprzyjające oficjalnemu międzynarodowego gwiazdorstwu, ale życzę im, by mogli przyjechać na następne Festiwale Prawykonania i tu, na miejscu przekonywać nas do swojej muzyki.

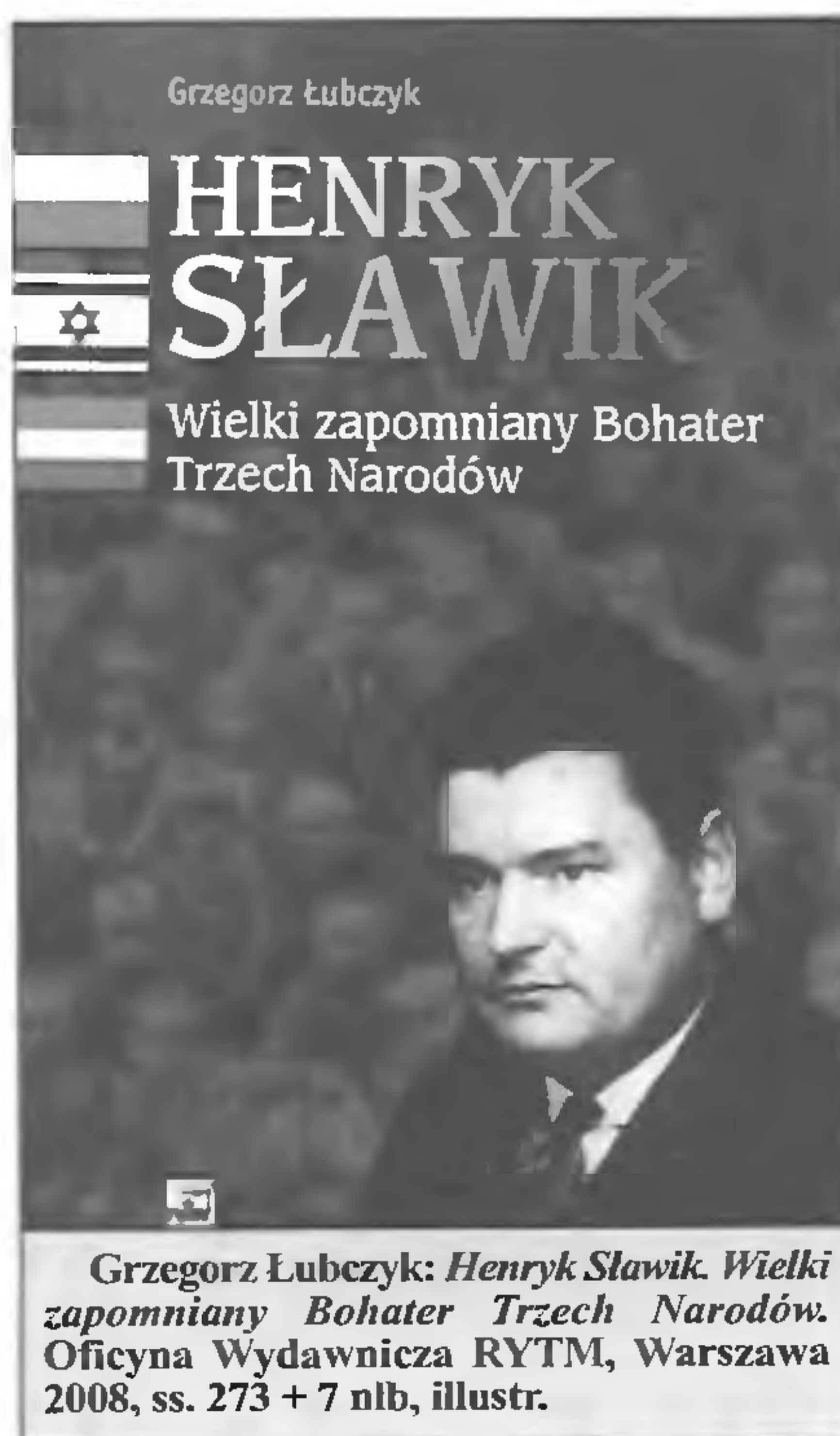
MAGDALENA DZIADEK

W minionym roku doczekaliśmy się nowej książki dotyczącej Henryka Sławika, której autorem jest Grzegorz Łubczyk. Wydanie *Henryka Sławika. Wielkiego zapomnianego Bohatera Trzech Narodów* to wydarzenie nietuzinkowe, a jednak przeszło praktycznie niezauważone. Wpisuje się to niestety w sposób promocji historii i kultury Górnego Śląska. Ważniejsze niż upamiętnienie sylwetek wybitnych Ślązaków wciąż są spory o tzw. narodowość i tzw. język. Nie napawa również optymizmem fakt, że mimo, iż książka została wydana w zeszłym roku i można ją łatwo znaleźć na półkach salonów Empik, wciąż nie znalazła się w zasobie Biblioteki Śląskiej, gdzie jako silesiak powinna trafić zaraz po wydaniu (w katalogu elektronicznym nie figuruje nawet jako pozycja w opracowaniu).

Po sukcesie *Polskiego Wallenberga. Rzeczy o Henryku Sławiku* (2003 polskie wydanie, 2004 węgierskie) Łubczyk postanowił uzupełnić i spopularyzować wiedzę o polskim bohaterze. Pomocną dłoń do autora wyciągnęła po raz kolejny Oficyna Wydawnicza „Rytm”, która przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta Katowice, Tadeusza Kaczora (Konsula Honorowego Republiki Węgierskiej w Łodzi) oraz innych, podjęła się wydania pozycji. Długa lista sponsorów wskazuje, że nie było to proste zadanie. Smuci fakt, że poza urzędami miejskimi w Katowicach i Jastrzębiu Zdroju brakło wsparcia właśnie ze strony osób ze Śląska.

Zapewne dla znakomitej większości czytelników „Śląska” postać Henryka Sławika jest mniej lub bardziej znana. Przyjrzyjmy się jej jednak bliżej. Henryk Sławik urodził się 16 lipca 1894 w miejscowości Szeroka, która obecnie jest dzielnicą Jastrzębia Zdroju. Swoją postawą wpisał się w losy najpiękniejszych śląskich rodzin. Brał udział w trzech powstaniach śląskich, następnie zaangażował się w życie kulturalne i polityczne. Był między innymi redaktorem naczelnym „Gazety Robotniczej” (od 1928), prezesem Syndykatu Dziennikarzy Polskich Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, reprezentantem Śląska w Lidze Narodów w Genewie. Ponadto organizował Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych i Robotniczych Klubów Sportowych, a także prezesował śląskiemu Stowarzyszeniu Kulturalno-Oświatowemu Młodzieży Robotniczej „Siła”. Politycznie sympatyzował z Korfantym, choć sam był jednym z liderów śląskiego PPS-u, był też posłem na Sejm Śląski.

Ze względu na tak bogatą działalność znalazł się na „czarnej liście” osób do aresztowania przez hitlerowców już we wrześniu 1939 roku. Uciekając przed aresztowaniem we wrześniu opuścił Śląsk. Jak się okazało decyzja była słuszną, gdyż „Jedna z pierwszych niemieckich bomb, jakie



Śląski Schindler

spadły na Katowice, zniszczyła mieszkanie Jadwigi i Henryka Sławików” (s. 28). Pragnąc dostać się do tworzonej przez gen. Władysława Sikorskiego Armii Polskiej we Francji udał się na uchodźstwo. Szlak prowadził przez Węgry, gdzie spotkał Józsefa Antalla seniora organizującego na polecenie władz węgierskich agendę rządową mającą się zająć uchodźcami wojennymi. Rozmowa zaowocowała propozycją współpracy. Niedługo później dzięki wsparciu Antalla został wybrany prezesem Komitetu Obywatelskiego do spraw Opieki nad Uchodźcami Polakimi na Węgrzech. Pracując na tym stanowisku mógł otoczyć opieką nie tylko Polaków, ale i także Żydów polskiego pochodzenia, dla których naziści już od pierwszych dni wojny przygotowywali okrutny los. Pomoc Sławika polegała na załatwianiu nowych dokumentów dla osób pochodzenia żydowskiego; dostawały one nowe nazwiska, historie życia, a także zaświadczenia o byciu wyznawcą wiary rzymskokatolickiej. Operacja ta nie była legalna, ale Sławik nie myślał o możliwych konsekwencjach; Do współpracy udało mu się nakłonić wspomnianego już Józsefa Antalla i węgierskich księży.

W marcu 1944 Węgry zostały zajęte przez Niemców, Sławik znów mógł zostać aresztowany i tak też się stało. Pod-

czas przesłuchań skonfrontowano go z Józsefem Antallem, na zarzuty stawiane Węgrowi odpowiedział: „Sprzeciwiam się – w imieniu prawa międzynarodowego, moralności i sprawiedliwości. Nie oskarżajcie Go!” (s. 63), a podczas ostatniej rozmowy z Antallem swoją postawę skwitował słowami: „TAK PŁACI POLSKA”. Jakże wymowne to słowa i ważne, a cena była taka wysoka! Sławik został rozstrzelany w Mauthausen 25 lub 26 sierpnia 1944. Łubczyk pisze powołując się na nieżyjących już świadków, że zginął ze słowami: „Jeszcze Polska...” na ustach (s. 64).

Książka na pewno zainteresuje czytelnika, a wiedzę tego, który czytał *Polskiego Wallenberga* wzbogaci i uzupełni. Warto ją przeczytać.

Niestety redakcja *Wielkiego zapomnianego Bohatera* jest podobna do *Waldenberga*: chaotyczna, bez chronologii i łączności pomiędzy poszczególnymi działami. Rozdziały są poukładane w większe części. Pierwsza z nich zatytułowana: *Posłaniec Pana Boga*, jest zbiorem scen z życia najlepiej charakteryzujących działalność bohatera. Łubczyk wplótł w nie fragmenty wspomnień córki, Antalla i ocalałych osób przez Sławika. Brak jednak w poszczególnych podrozdziałach pewnego porządku, który nadawałby przejrzystość układowi. Druga część nazwana: *Życie po życiu* jest zbiorem krótkich szkiców dotyczących spotkań okolicznościowych, wspomnień o Sławiku, relacji z odsłonięcia tablic pamiątkowych etc. Jest to bardziej obraz wydarzeń upamiętniających wybitnego Ślązaka niż faktów, które wnoszą coś nowego w życie, a raczej w tzw. dłuższe trwanie.

Dopełnieniem tej formuły jest dział „Z publikacji prasowych”, w którym zamieszczono wybór wycinków prasowych poświęconych Sławikowi. Czytając je czytelnik zastanawia się czy dotyczą one samego Sławika czy jest to recepcja poprzedniej książki Łubczyka.

Jest jeszcze jedna bardzo irytująca rzecz w edycji. Obok wielu fotografii znalazły się bardzo cenne fragmenty listów, kartek z pamiętnika, które umieszczono w formie bardzo dobrej jakości reprodukcji. Można czytać je z przyjemnością. Mimo to każda z nich poniżej jest przepisana komputerowo, dublując w ten sposób treść i sprawiając nieodparte wrażenie, że Autor nie miał już czym zapełnić karty książki. Zdarzają się również reprints z „Polskiego Wallenberga” – np. fragment dedykacji wpisanej córce do pamiętnika.

Szkoda, że nie doczekaliśmy się wciąż naukowej biografii Henryka Sławika. Miejmy nadzieję, że omówione pozycje staną się wystarczającą inspiracją do napisania rzetelnego opracowania przez śląskich naukowców.

JAN KWAŚNIEWICZ

Kazimierz Kutz w latach 1990-1997 wydrukował kilkadziesiąt felietonów filmowych na łamach katowickiej „Premiery” i warszawskiego „Kina”. Teraz, po z górą dziesięciu latach, ich wybór, opracowany przez Jana F. Lewandowskiego, ukazał się w formie książkowej. Wprawdzie Kutz, we wstępie zatytułowanym *Przesolone matyjasy*, z humorem zastrzega, że z felietonów tych prawdopodobnie „wyparowało osocze naszego uroczego Peerelu”, więc „dla wielu czytelników będą to już książkowe opowieści”, to jednak warto sięgnąć po tę książkę, bo bynajmniej nic z tego, co w niej najistotniejsze, „nie wyparowało”. Te teksty nie wyschły, nie zwietrzały. Niektóre są wręcz po mistrzowsku napisane, więc to czysta przyjemność móc z nimi znowu się spotkać. Znowu? Przecież – podejrzewam – większość czytelników tej książki felietonów filmowych Kutza albo nigdy nie czytała, albo – w najlepszym przypadku – już ich nie pamięta. Tym bardziej więc zachęcam do lektury, bo rzeczywiście jest tak, jak reżyser wyznał po latach, gdy wydawnictwo Znak poprosiło go o zaakceptowanie wyboru i wprowadzenie do tych felietonów jakichś ewentualnych drobnych korekt: „Zdaje się, że bezwiednie stałem się swoistym kronikarzem środowiska filmowego dwóch historycznych przełomów: tego popaździernikowego w 1956 roku i historycznego w roku 1989”.

Lecz z Kutza kronikarz niezwykajny. Pisał tylko o sprawach, które bardzo dobrze poznał. Dotknął i przeżył. Tylko o ludziach, z którymi się stykał i którzy mogli mieć wpływ na jego twórczość, myślenie o świecie i sztuce filmowej. Których lubił albo z jakichś powodów nie znosił. Których cenił, szanował, podziwiał. Dlatego konstruując swe felietony uznał, że nie może być – jak filmolog czy właśnie klasyczny kronikarz – neutralny i emocjonalnie letni, powściągliwy w opiniach i ocenach. Uznał, że musi być jednoznaczny. Aż do bólu. Ale po latach, po ponownym zaglądnięciu do swych tekstów, jakby sam siebie nieco się przestraszył, stąd takie oto kolejne wyznanie: „Podczas (...) lektury nieraz cierpła mi skóra”. No, tak, bo autor *Soli ziemi czarnej* w paru miejscach mocno przyłożył. Żyjącym i nieżyjącym. Nie tylko Aleksandrowi Fordowi, owemu najważniejszemu w latach 40. i 50. „bobaskowi ustrojowemu”. Nie tylko Bohdanowi Porębie, „arcydzielnemu dyndzłowi gwardii moczarsko-stalinowskiej”. Także – rzecz jasna, z innych powodów – Krzysztofowi Zanussiemu, Jerzemu Skolimowskiemu, Izabelli Cywińskiej i najmocniej Juliuszowi Machulskiemu. Tudzież jeszcze kilku innym reżyserom i mniej lub bardziej prominentnym postaciom z tzw. środowiska.



Kazimierz Kutz: „Z mojego młyna. Felietony filmowe”. Wybór, opracowanie i posłowie Jan F. Lewandowski. Wydawnictwo Znak, Kraków 2009, s. 167.

W Kutzowym młynie

Czy w tych swoich krytycznych uwagach i ostrych sformułowaniach Kutz trochę nie przesadzał? Czy zawsze był sprawiedliwy? Zapewne nie. Ale był i pozostał odważny, zdeterminowany, pewny tego, co kiedyś powiedział, skoro także teraz nie wycofał najostrzejszych tekstów z druku. Tym samym nie wycofał się z wielu kontrowersyjnych, ale przecież nieodmiennie własnych, czasem skrajnie subiektywnych ocen. Artystycznych, moralnych, politycznych. Bo – napisał we wstępie – „osobisty, często zjadliwy ton tekstów jest przywilejem felietonisty: przesolenie i przepieprzenie funkcjonuje w nich jak kwaśnica w kiszzonej kapuście. Ale kwaśnica – obok piwa – jest najlepszym lekarstwem na kaca”.

Skąd ta metafora „kaca”? To tylko stylistyczny popis i jeszcze jeden celny przykład dosadności języka Kutza felietonisty? Bynajmniej. „Kaca”, i to ciężkiego, powinni odczuwać ci wszyscy, którzy – zdaniem reżysera – doprowadzili do uwiadu naszego rodzimego przemysłu filmowego, zamienionego w bezduszną maszynę służącą tylko do zarabiania pieniędzy. Zaginął – mimo zmiany ustrojowej! – niegdysiejszy „duch” polskiego kina, które chciało coś istotnego o świecie powiedzieć.

Wygrała nieudolność polityków i urzędników od kultury, ale także głupota trawiąca środowiska filmowe i opiniotwórcze, łatwo poddające się komercji, mamonie i nowym, wykoślawionym hierarchiom wartości. Kutz, po obejrzeniu *Listy Schindlera*, zjadliwe więc zakpił, przypominając, że film ten otrzymał „152 Oskary” a „rzesze cymbałów” uznały „to przedsięwzięcie za największy sukces polskiego kina od początków jego istnienia, bo pośród nagrodzonych znalazły się i dwie osoby z Polski”, które „zaczęto (...) traktować jak świętych, bo nabożność do wszystkiego co amerykańskie przybrała wymiar religijny”.

Felieton, z którego wyjąłem te frazy, napisany został w roku 1996. A przecież wtedy amerykanizacja polskiej kultury dopiero nabierała rozpędu, telewizja publiczna inwestowała nie tylko w tasiemcowe seriale pozbawione wartości artystycznych i – mimo wszystko – za procesem „dochodzenia do Zachodu” krył się zrozumiały powab, wszak ledwie co wyszliśmy z bloku sowieckiego, cenzury prewencyjnej i socpropagandy. Tęskniliśmy do „wielkiego świata”, do „Europy”, do „normalności”. Ale Kutz – już wtedy – nie miał wątpliwości, że wyznaczane są w kulturze, mediach i – niestety – także w głowach kinomanów czy czytelników nowe „normy”. Powoli wszyscy głupiejemy, nie potrafiąc już oddzielić ziarna od plew, sztuki od taniej rozrywki. Dzieła filmowe od nieczułej na wartości humanistyczne taśmy filmowej, na której ledwie utrwalono ruch ludzi i spacyfikowanych idei. Nie umiemy już i nie chcemy rozróżnić artystów kina od „macherów od kiczów dla przedszkolaków”. Do tej drugiej grupy należy – na przykład – Steven Spielberg, „który czuje kasę jak mało kto”. A „*Lista Schindlera* jest tego arcydzielny przykładem” – grzmiał Kutz. „(...) ciekaw byłem tego połączenia Oświeceni i magika od dobrego interesu. I nie zawiodłem się – powstał gigantyczny gniot, ponura i martwa ośmiornica, rozlaża jak stare flaki na jeszcze starszym oleju, tępą kaligrafią w książkowej poświęcie i sterylnej nuda”.

Oto próbka stylu reżysera, który wchodząc do swego filmowo-felietonowego „młyna”, narodził się jako pisarz. A przecież o najlepszych tekstach z tej książki nawet nie zdążyłem wspomnieć (traktują o przyjacielach i współpracownikach: operatorze Kurcie Weberze, producentach Ludwiku Hagerze i Józefie Fijałkowskim czy aktorze Olgierdzie Łukasze-wiczu). Są równie wybitne jak te, które złożyły się parę lat temu na Kutzowe *Portrety godziwe*, notabene też wydane w Znaku.

KRZYSZTOF KARWAT

Krystian Hadasz

RZECZPOSPOLITA

OD
RZECZYKrystian Hadasz: *Rzeczpospolita od rzeczy*, Wydawnictwo KOS, Katowice 2008.

Dla dobra obywateli...

Rzeczpospolita od rzeczy to czwarty zbiór wierszy poety z Siemianowic Śląskich – tom, który umacnia moją wiarę w to, że można uprawiać i dziś sensowną, wiarygodną, mądrą poezję obywatelską.

Co kryje się teraz pod terminem „poezja obywatelska”? Według mnie – liryka poważna, rzetelna, prawdziwa, mówiąca o trosce, o Wspólnym Kłopotcie, o Trudnej Ojczyźnie. Nie znaczy to jednak wcale, że mamy do czynienia z patetyczną liryką apelu, bogoojczyźnianym okrzykiem, innym rodzajem, płynącej „z prawa”, nowomowy.

Poezja Hadasza jest ironiczna, dowcipna, uważna, czuła jak skalpel dobrego specjalisty, jest sztuką „towarzyszenia” ludziom, sobie poważnemu i swym najbliższemu, synowi, Mistrzom, filozofom, dziełom, które mogą i na kimś zrobić wrażenie, jeśli tylko ktoś zechce je zauważyć i sobie przyswoić.

To, co znajdziemy w tych, a i dawniejszych wierszach Hadasza (zresztą i tu jest kilka sprzed lat co najmniej kilkunastu), to prawdziwie przeżyta i dobrze przyswojona lekcja Nowej Fali, choć „mówienie wprost” młodego Kornhausera czy Barańczaka zastąpione zostaje rodzajem ironicznej, aluzyjnej relacji z własnego życia, obserwacji, rzeczywistości krajowej, wydarzeń historycznych czy przemian obyczajowych. Autor posługuje się często prze-

sadnią, paradoksem, aby jeszcze lepiej uwypuklić to, co zdaje się obecnie wynaturzone, pozbawione wartości, odarte z dawnego piękna czy sensu –

*jeden mąż stanu nagrał
drugiego męża stanu jak
ten zapragnął łapówki
zgodnie z przewidywaniami
nagranie to uplasowało się na
pierwszych miejscach list*

*przebojów
obydwaj mężowie zostali
nominowani do nagrody
teraz polska ludowa*

(gratulacje)

Troska poety koncentruje się – jak widać z tego i wielu innych wierszy – wokół polskiej sceny politycznej, naszych przywar-
-kłótności, niechęci do racjonalnego myślenia, do autorefleksji czy ważenia różnych racji; znajdziemy tu również aluzje do zmian w naszej mentalności, także w zachowaniach czy rytuałach „około literackich”.

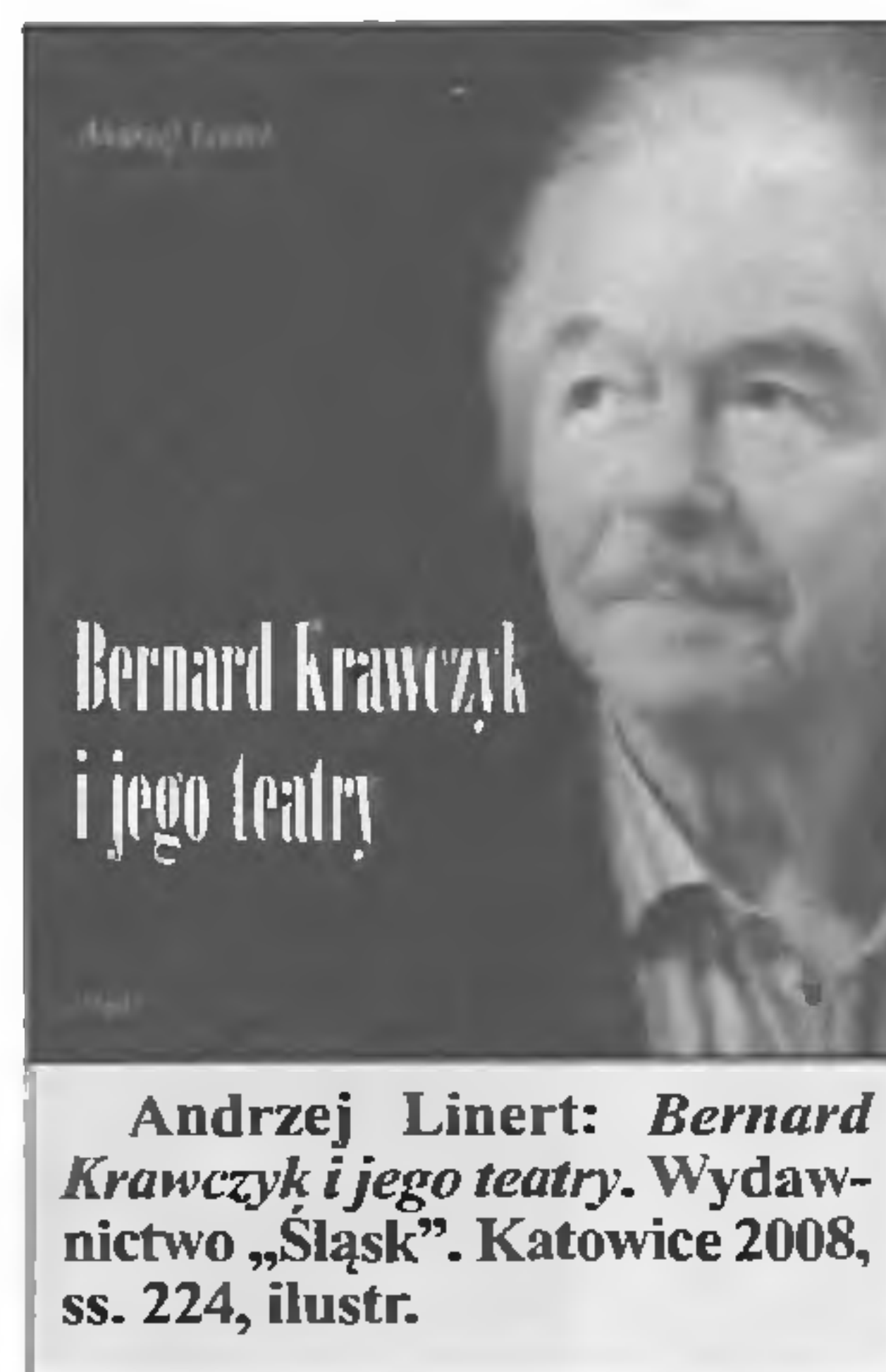
Co zatem jest głównym przesłaniem wierszy Krystiana Hadasza? Przeważa troska obywatela, artysty, ojca (kapitałne wydają się wiersze, w których zestawiona jest „racja dziecka” z konstatacją kogoś takiego, jak Leszek Kołakowski) o stan naszych „serc i umysłów”. Hadasz poszukuje wartości autentycznych, przypomina o tych, które tak łatwo pomijamy. Z powagą odkrywa na nowo wartość tradycji społecznych, rodzinnych, literackich, celnie wskazując, że różne pseudowalory powodują przerwanie ciągłości – choćby naszego myślenia historycznego.

Wreszcie, jest liryka Hadasza tęsknotą za wspólnym obszarem kultury (stąd przywołanie wielu obcych zacnych, uprawomocnionych właśnie dobrą tradycją, Osób i Głosów – lektur klasyków filozofii i literatury). Najmocniejszy akcent tomu to próba dyskusji-rozpoznania stanu i kształtu naszego obecnego katolicyzmu, próba odsiania ziarna od plewy, mitu, zaciętrzewienia, pustych form i wzniesłego pozoru od tego, co prawe, niezniszczalne i prawdziwie dobre.

W tym świetnym tomie, pełnym świeżych konceptów, twórczego podejścia do języka (nie tylko poprzez przywołanie Białoszewskiego i nurtu lingwistycznego w naszej poezji dwudziestowiecznej, ale choćby z powodu funkcjonalnych neologizmów w rodzaju „Jerychło”) zauważam także lament z powodu postępującej, tragicznej w swej wieloaspektowości, demuzykalizacji świata.

Ale – w końcu – to wiersze dobrego poety, z wykształcenia i zamiłowania: muzykologa.

KRZYSZTOF LISOWSKI



Andrzej Linert: *Bernard Krawczyk i jego teatry*. Wydawnictwo „Śląsk”. Katowice 2008, ss. 224, ilustr.

O Bernardzie Krawczyku i jego teatrach

Lektura książki Andrzeja Linerta o Bernardzie Krawczyku jest dla czytelnika miła i pożyteczna. Miła, bo ten popularny aktor śląski, znany z filmu, teatru i telewizji, zawsze pełen humoru i tryskający optymizmem, ale gdy trzeba umiejętnie, nawet ostro, kreujący nastrój dramatyczny, należy niewątpliwie do ulubieńców śląskiej i zagłębiowskiej publiczności. Sprawdza się zarówno w polskich realizacjach scenicznych (A. Bogusławski, A. Feliński, S. Wyspiański A. Fredro, a ze współczesnych W. Gombrowicz, S. Grochowiak, S. Mrozek, T. Różewicz) i obcych (A. Czechow, Molier, W. Szekspir a także J. Anouilh czy S. Beckett). A pożyteczna, bo pisząc o Krawczyku teatrolog kreśli zarazem obszerny szkic z dziejów polskiej sceny, wpisuje postać swego bohatera w wielorakie konteksty kulturowe: teatralne filmowe i telewizyjne.

Pisze barwnie, ciepło, nie kryjąc sympatii dla postaci tytułowej, ukazuje przede wszystkim człowieka teatru, który jednak znakomicie odnajduje się w filmie i telewizji. Jednak każdy sąd dokumentuje rzetelnie i przeko-

nywająco. Książka A. Linerta *Bernard Krawczyk i jego teatry* oprócz rozdziałów problemowych zawiera też bardzo rzetelne kalendarium ról teatralnych aktora i ważny przyczynek teatrologiczny zatytułowany: *Historia Studia Dramatycznego, 1950-1953*; placówki, która wykształciła wielu świetnych aktorów, a w której kształcił się także Krawczyk. Bardzo trafna jest opinia, iż Bernard Krawczyk „na przekór losowi zachowuje żywotność umysłu i znakomitą kondycję fizyczną. Jest pełen życia, a na scenie bywa w równym stopniu tkliwy, co groźny. Potrafi ze swobodą tworzyć postaci pełne ogłady, co i kawalerskiej fantazji” (s. 133), czemu z pewnością sprzyja filuterny wąsik. Katowicki aktor jest bowiem taką postacią, która warta jest obszernej opowieści biograficznej, bo jego losy, barwne, ale i nieproste, jakby zostały wyjęte z *Czarnego ogrodu* Małgorzaty Szejnert. Zapewne to niebanalne bogactwo wewnętrzne złożyło się na głębię i sugestywność odtwarzanych postaci.

„Jest bez wątpienia współcześnie najpopularniejszym i najbardziej szanowanym aktorem śląskich i zagłębiowskich scen zarówno dramatycznych i muzycznych” (s. 132) pisze Linert i jest to trafna i uzasadniona konstatacja.

Książka Linerta jest bogato ilustrowana. Widzimy całe życie Bernarda Krawczyka, od fotografii z lat dziecińczych, poprzez teatralne, będące istotnym wzbogaceniem waleńców dokumentacyjnych opracowania, po bardzo osobiste, jak ta z córką, Justyną, w Szczyrku na tle zamglonych gór. Tworzą one drugi ciąg narracyjny pięknie komponujący się z relacją słowną. Szkoda tylko, że są tam mało wyraźne i jakby niedopracowane. Ratuje sprawę znakomita okładka: trwała, lakierowana, z której uśmiecha się do nas przekornie i refleksyjnie aktor „niepodobny do nikogo” – Bernard Krawczyk.

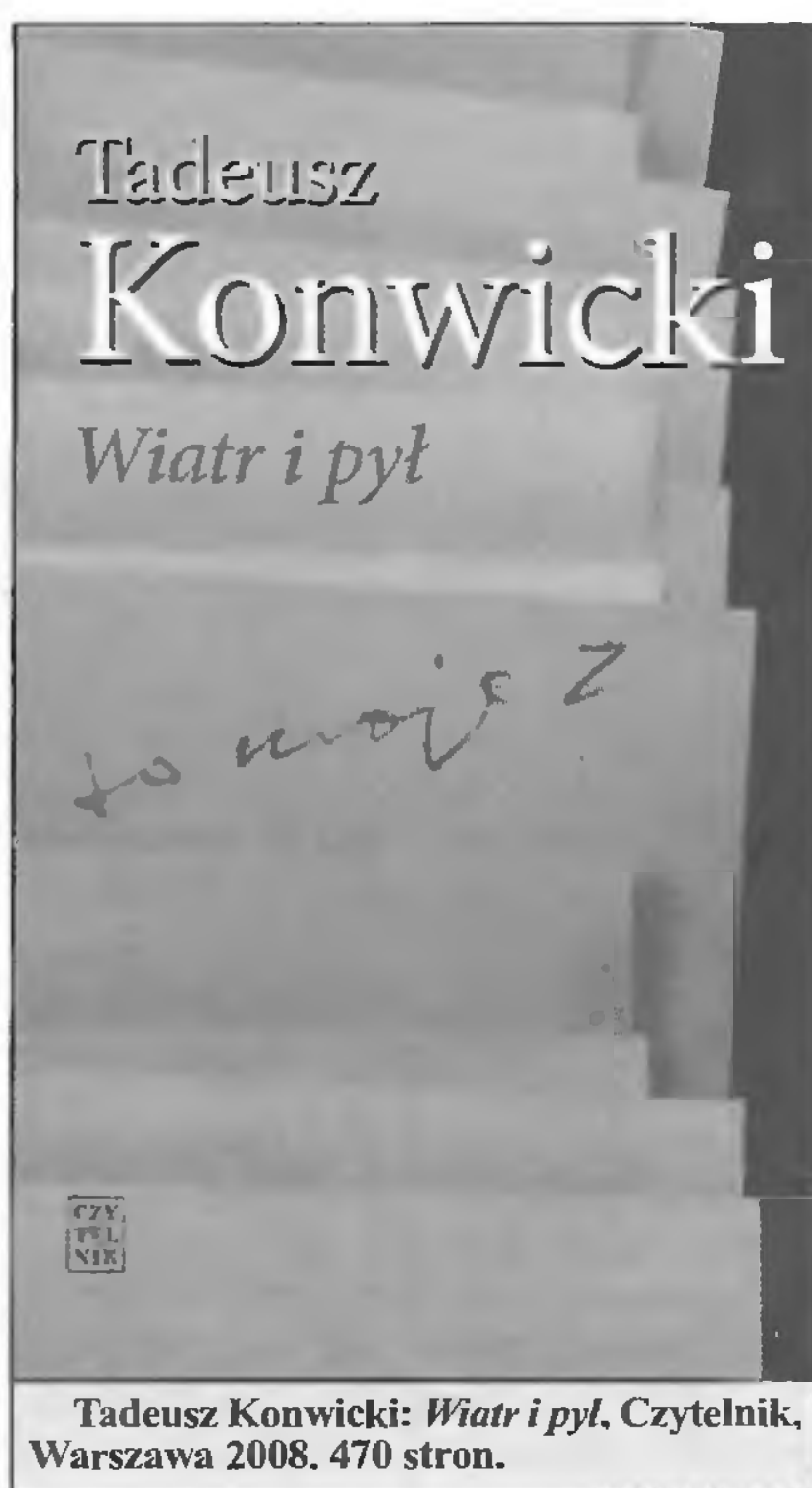
KRYSZYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ

Wiatr. Powiew czasu. Pył – ulotność uwieczniona na papierze. Nowa książka Tadeusza Konwickiego? To, co rozproszone, trwającym ponad pół wieku podmuchem, zebrane w jednym miejscu. „Wiatr i pył”.

Przemysław Kaniecki i Tadeusz Lubelski pokusili się o zebranie (dotąd niepublikowanych w formie książkowej) tekstów Tadeusza Konwickiego. Ułożyli je chronologicznie (sugestia samego pisarza), pokazując tym samym ewolucję twórczą (ideową) autora „Wniebowstąpienia” i przywołując na jego usta (pod jego pióro?) przekorne pytanie: „To moje?”

Pierwszy zawarty w zbiorze utwór – pochodzący z 1947 roku „Kapral Koziołek i ja”, to tekst, który Konwicki, „zaopatrzwszy się uprzednio w papier i ołówek, w ciągu niedzieli i poniedziałku, nie wychodząc niemal z numeru”, napisał na zamówienie Romana Bratnego. Porusza on kwestie moralnych wyborów, przed którymi staje człowiek w obliczu wojny. Tytułowy kapral to dowódca małego oddziału partyzantów – z pozoru odważny, doświadczony i nieposiadający skrupułów mężczyzna. Szeregowy Cwiok to jego całkowite przeciwieństwo – w hierarchii oddziału stoi najniżej, nawet tak „proste” zadanie jak przeprowadzenie patrolu żywnościowego jest ponad jego siły, „bo przykro jakoś zabierać ostatnią kurę”. Konwicki buduje swe opowiadanie na antynomii: bohater – łajza; butny wojownik – inteligent, w pewnym momencie sprowadzając obydwie postawy do wspólnego mianownika. Biorąc pod uwagę późniejsze teksty („Nieśmiała adoracja inteligenta”, „Charaktery” 1999), zawarty w tytule opowiadania zaimbek („ja”!) i pierwszoosobową narrację, Cwiok to alter ego samego pisarza: „W czasie wojny, w toku partyzanckich perypetii, okazało się, że i ja jestem rozmamłanym inteligentem. Bardzo zręcznie wykręcałem się od wykonywania wyroków i dowódcy byli zmuszeni tępić we mnie rozkładowe kompleksy inteligentkie” – pisze u schyłku wieku XX.

Również dobór tematu i unikanie brutalności obrazowania (dramaturgię buduje raczej nastrój oczekiwania, niepewność co do losu Niemców i postaci ich przyszłego mordercy, niż sam opis sceny zabójstwa), tłumaczy (pochodząca z połowy lat czterdziestych) recenzja książki Zygmunta Jurkowskiego „Niezdany egzamin”. Konwicki pisze w niej: „Tematy wojenne wydają się na pozór wdzięcznym polem popisu dla piszących. Wyrazistość przeżyć kusi do wyrażenia ich w słowie literackim (...) Po przeżyciu sześciu lat koszmaru – otepieliśmy. Długie opisy wyszukanych bestialstw, jeśli powtarzają się – męczą tylko, zamiast wzruszać.” Te-



To moje?

go typu zestawienie: osobista twórczość – opinie o „cudzych” książkach, pozwala na bardziej wnikliwe przyjrzenie się poglądom pisarza i stanowi niewątpliwie cenne źródło informacji dla sympatyków talentu Konwickiego.

Konstrukcję dychotomiczną ma również drugi z zawartych w tomie utworów – „Ogródek z nasturcją. Opowiadanie brata z prowincji”. Ten o rok młodszy od „Kaprala Koziołka...” tekst (minimalna wyrwa w chronologii) cechuje już wyraźna tendencyjność – czytelnik intuicyjnie staje po stronie ludu pracującego, popiera postawę majstra Miszczyka czy pocziwego Wacka, pozostając nieufnym w stosunku do wykształconego, tajemniczego i „bruźdzącego” Drejera. Tytułowy „ogródek z nasturcją” to symbol odbudowy kraju; dbałość o rośliny, „babranina” w ziemi stanowią natomiast panaceum na ból istnienia i inteligentkie fantasmagorie.

Innym tekstem prozatorskim, powstałym już na styku dwóch fachów – literata i filmowca, jest „opowieść filmowa”, zatytułowana „Trochę apogeum”. Klimatem bliska jest ona „Wniebowstąpieniu” – narodziła się zresztą w tym samym okresie. Szybki, filmowy montaż, nagłe przeskoki między scenami, tajemnicza fabuła i Pałac Kultury w tle (lub, może lepiej: w pierwszym planie), to niewątpliwie cechy reprezentatywne (nie tylko tego) utworu.

Spośród zebranych w tomie tekstów można doskonale wyłuskać zainteresowania pisarza – od literatury, przez film, po sport. Z relacji Konwickiego możemy się sporo dowiedzieć na przykład o kondycji piłki nożnej z lat sześćdziesiątych. Dyscyplina ta – jak się okazuje – od zawsze była źródłem utyskiwań kibiców. „Wydaje mi się, że ani szkolenie u nas nie jest gorsze niż gdzie indziej, ani technika specjalnie słabsza, ani nie brakuje zdolnych trenerów. Jestem przekonany, że przyczyna naszych niepowodzeń leży w warstwie psychologicznej” – ponadczasowo zauważa na łamach „Sztandaru Młodych” prozaik.

Rewelacyjny jest autoironiczny tekst „Jak zostałem filmowcem”. Pada tam wiele osobistych wynurzeń Konwickiego – między innymi na temat jego nałogów („Ja również narkotyzowałem się kinem”), podejścia do fachu krytyka filmowego („Znalazłem się raptem między ludźmi bez duszy i sumienia”) i konfrontacji doświadczeń zoila z działaniami na niwie sztuki filmowej („Srogo mnie los za te praktyki ukarał”; „Zostałem zagryziony przez moich współplemieńców”). Książka eksponuje „wielobranowość” pisarza, jego związki z innymi dziedzinami aktywności społecznej (kulturalnej), akcentując jednocześnie niebywały dystans twórcy – do życia, swej spuścizny, samego siebie. Umieszczone w publikacji recenzje i felietony czyta się równie dobrze, co próby literackie autora „Sennika współczesnego”. Cechuje je cięty humor; Konwicki jawi się w tych tekstach jako zjadliwy ironista. Na szczególną uwagę zasługuje cykl felietonów drukowanych w „Nowej Kulturze” w latach pięćdziesiątych – „Z miejsc stojących”. Są to krótkie, barwne obrazki, oddające atmosferę zarówno ringów bokserskich, jak i okresu okołoodwilżowego. W bardzo zręczny sposób łączą one refleksję sportową z obserwacjami o szerszym spektrum.

Im dalej w las (gąszcz intelektualny), tym bardziej refleksyjnie podchodzi czytelnik do konstatacji pisarza. Żartobliwa relacja z Ameryki, liczne wspomnienia (ludzi, miejsc, wydarzeń), gorzkie słowa na temat współczesnej popkultury („Świat wydaje się chory i wszyscy chcą mu przywrócić zdrowie”), wreszcie – wzruszające traktaty o samotności, sprawiają, że lektura „Wiatru i pyłu” nie tylko bawi i uczy (jest to przecież niekonwencjonalny podręcznik historii najnowszej!), ale nade wszystko skłania do przemyśleń.

SABINA KWAK



Jan F. Lewandowski: *Siemianowice filmowe*. Miejski Ośrodek Kultury, Siemianowice Śląskie 2008, s. 32

Kino na peryferiach

Jan F. Lewandowski, niegdyś redaktor miesięcznika „Śląsk” i nadal jego aktywny współpracownik, od wielu lat wyławia z historii kina elementy, które odnieść można do dziejów Górnego Śląska. Bywa, że z niebytu i zapomnienia przywołuje fakty zaskakujące. Tak było przed laty, gdy wraz z Andrzejem Gwoździem odkrywał niezwykły epizod związany z wytwórną filmową Espe Film. Któż z nas wtedy wiedział, że w roku 1927 w Siemianowicach Śląskich otwarto największą w kraju halę zdjęciową, gdzie zrealizowano fabularny film *Niewolnicy życia*, rozegrany w scenerii górnośląskiej (niestety, po wojnie nie odnaleziono ani jednej kopii). Espe Film założył w Katowicach fotograf i filmowiec Stefan Pierzchalski, ale szybko splajtował, jak się wydaje – głównie z powodu machlojek finansowych swego syna.

Przypominam tę ciekawostkę, bo więcej na ten temat przeczytać można w skromnej książeczce Lewandowskiego *Siemianowice filmowe*. To jedna z tych pozycji budujących i poszerzających lokalną przeszłość miast i miasteczek Górnego Śląska, pozwalającą widzieć ją w nie-

co innych i rozleglejszych kontekstach kulturowych. Tak, to peryferia, ale interesujące i bynajmniej nie zapóźnione cywilizacyjnie. Przekonuje o tym choćby pierwszy rozdział z serią zdjęć dawnych siemianowickich kin. Okazuje się, że w Laurahucie (to pierwotna nazwa miasta) już w pierwszej dekadzie XX wieku funkcjonowały co najmniej dwa kinematografy, cieszące się dużym zainteresowaniem mieszkańców. Lewandowski przywołuje nazwiska niemieckich i polskich kiniarzy z tamtych i nieco późniejszych lat (np. Alojzego Szczyrby, polskiego działacza narodowego, po wojnie prześladowanego przez UB, mimo wcześniejszego pobytu w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie).

Inny z rozdziałów poświęcony jest Antoniemu Halorowi, przed laty realizującemu interesujące filmy dokumentalne z obszaru Górnego Śląska i rodzinnych Siemianowic, które bardzo wiele mu zawdzięczają także jako autorowi esejów i szkiców historycznych. Halor – godzi się przypomnieć – jest niemal stałym gościem na łamach „Śląska”, i to od jego początków.

Największą karierę w kinie światowym zrobił urodzony w roku 1906 w Laurahucie Michael Jary (do połowy lat 30. używał swego prawdziwego nazwiska Jarczyk), który zaczął jako muzyk i kompozytor awangardowy, ale uznanie przyniosła mu muzyka rozrywkowa i filmowa (jego piosenkę *Wiem, że zdarzy się cud* śpiewała Zarah Leander w filmie *Wielka miłość*). Jary po wojnie znalazł się w Polsce, ale dość szybko wyjechał. Potem bodaj tylko jeszcze raz odwiedził rodzinne miasto. Zmarł w roku 1988 w Szwajcarii.

W publikacji Lewandowskiego natkniemy się również na kilka innych nazwisk związanych z Siemianowicami. Choćby muzyka i kompozytor Józef Skrzeka, a także aktorów-naturczyków – Martę Strasznią i Rutę Kubac.

KRZYSZTOF KARWAT



Samosądy

Autorem zbioru wierszy pt. „Obol” nie jest poeta noszący podane na okładce imię i nazwisko, ale i trudno uznać je za literacki pseudonim, bo – jeśli się orientuję – nie posługuje się nim jako poeta i krytyk stale, rozpoznawalny przez krąg osób, z którymi pozostaje w bliższych kontaktach. Wiem kim jest rzeczywisty Adam Waga, którego cenię i szanuję a znam od lat, nie czuję się jednak upoważniony by ujawnić jego personalia skoro postanowił posłużyć się pseudonimem wykorzystując symboliczne znaczenie wagi i biblijnego imienia pierwszego człowieka. Jeśli nawet na tę literacką decyzję wpłynęły związki rodowodowe, nie mają w tym przypadku zasadniczego wpływu. Decydujące znaczenie ma bowiem to, co autor stwierdza w jednym z programowych wierszy tego zbioru, który nosi wymowny tytuł „Samosąd” a rozpoczyna się od wyznania: *Nazywam się Adam Waga / Miałem wielu bogów cudzych przed Jednym. / Brałem Imię Jego nadaremno...* by po wyliczeniu wszystkich złamanych przykazań z dekalogu stwierdzić: *Nie mam nic na usprawiedliwienie.*

To ważny nurt tego zbioru wyznaczający jego tonację moralną i filozoficzną. W kolejnych wierszach został przez poetę wpisany w religijne nakazy i teksty modlitewne, które autor raz po raz poddaje literackim zabiegom trawestując je i parafrazując dla wyrażenia antynomii i dialektyki sprzeczności ludzkiej natury uwikłanej w odwieczne dysharmonie, na które człowiek jest skazany. Szamocąc się między rozpaczą a trwogą aby utrzymać się w *chwicznej równowadze*, która jest istotą tragizmu życia i świata, człowiek szuka wyjaśnienia tajemnicy bytu i egzystencji zadając Bogu pytania.

Lecz *Nie do pytań* został powołany, ale do odpowiedzi, choć sam jest odpowiedzią na wszystko, także na pytania o śmierć.

I w tym miejscu staje się jasny wybór imienia i nazwiska autora tomu pt. „Obol”; bo co w tym kontekście oznacza biblijne imię pierwszego człowieka, który stał się ofiarą grzechu pierworodnego. Jaki symboliczny sens ma waga, pojęcie w którym zawiera się istota równowagi, wyrażona także w znaku zodiaku oraz w idei równości nocy i dnia. Sygnalizuje to już na okładce antyczna rzeźba przedstawiająca mężczyznę trzymającego w prawicy przyrząd, na którym zawieszono były szale – atrybut sprawiedliwości i równowagi. Ale pełnej wymowy postać ta nabiera przez rewers i awers obola, drobnej monety wkładanej w usta lub w dłoń zmarłego jako opłatę dla Charona za przewóz przez rzeki Hadesu – Styks i Acheron. Dopelniają tę ikonografię dwie ilustracje ukazujące postać mitologicznego przewoźnika zmarłych – ponurego starca zmagającego się z nurtem podziemnej rzeki. Jednakże w wierszach Adama Wagi obol ma jeszcze inne znaczenie, które dopowiada ten czterowiersz:

– *Bez tchu pracuję.*

Charon czeka,

*abym zakończył me starania
i rzucił mu do łodzi mały
obol, mój żywot obolały.*

Ból jako doświadczenie trwałe egzystencji, ale i podstawowe doświadczenie antynomii życia i sztuki. Poeta posłużył się tu odwołaniem do Szekspira w słynnym wierszu pt. „Odpowiedź łosiowi” (w nawiązaniu do słynnego zdania z „Hamleta” *Niech ryczy z bólu ranny łось...*) by wyrazić przekonanie – tu, ale i w innych wierszach temu, że:

*Wszystko ze wszystkim
jest złęczone
nierozzerwalnie jak nic
z niczym.*

Ale i w tym wyraża się fenomen życia oraz jego zachłanności, który jest z istoty swej żywiołem a –

*Pusta beczka świata
toczy się z pustym hałasem
w pustym kierunku.*

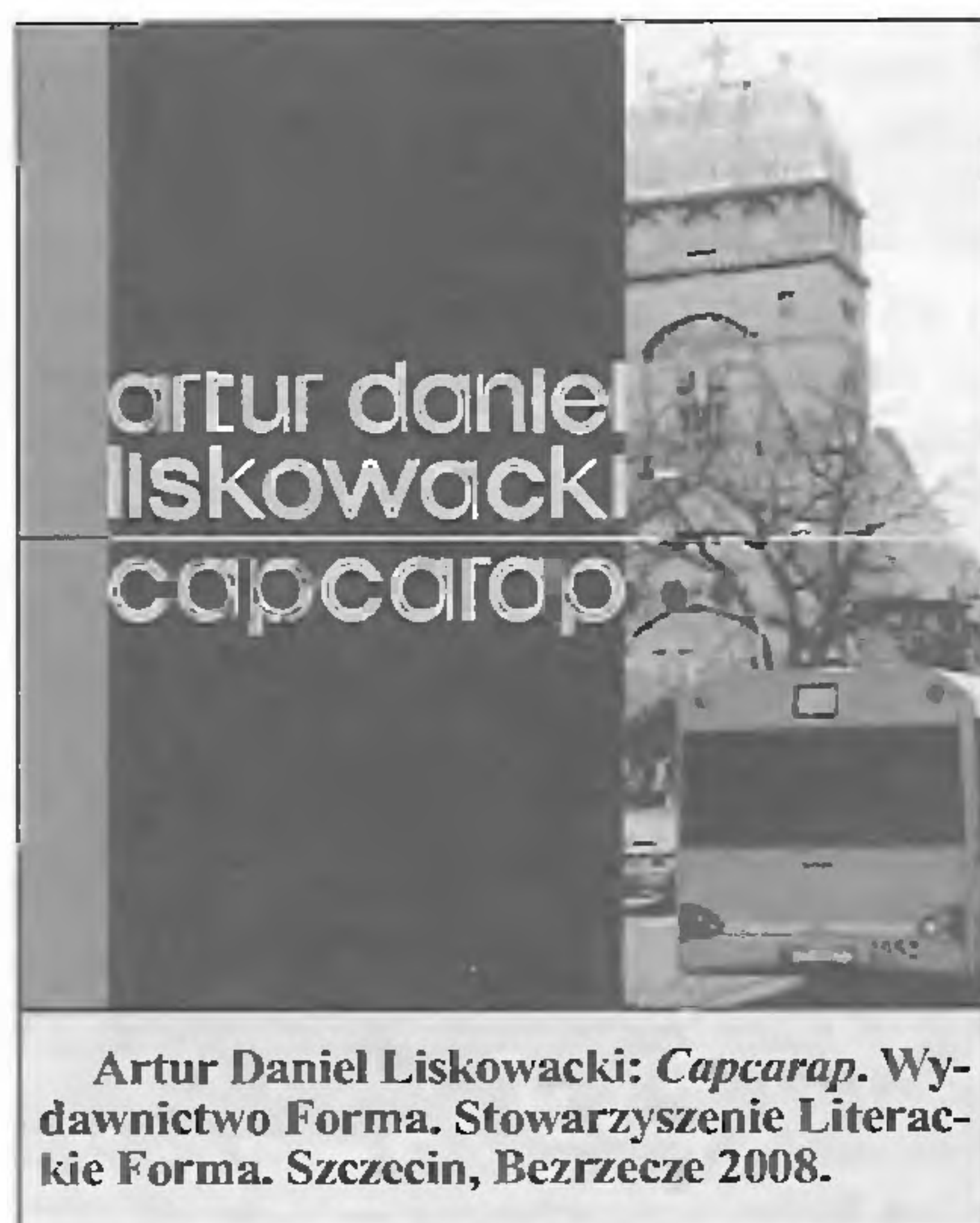
Szereg wierszy tego zbioru tworzy pewien dopełniający się nurt wyznań i aktów poetyckiej spowiedzi, który określić można jako ciąg samosądów. Autor jest przekonany, że nastąpił wielki kryzys literatury, której wielki czas przeminął a jej *gatunki wymarły niby zwierzęta przedtopowe*, a przecież *wokół tętni nieposkromione życie*. I pozostał człowiek ze swoimi dylematami. Adam Waga nadaje im wyraz w swoich wierszach-samosądach często o zawartości aforyzmów, skoro *sensu jest tyle ile bezsensu*.

TADEUSZ KIJONKA

Tytuł trzeba wyjaśnić na początku: capcarap – słowo to zostało zapomniane i wychodzi z użycia, ale trafnie nazywa nieprzemyślaną czy szybką kradzież. Cały późniejszy zestaw opowiadań – napisany literacko niezwykle sprawnie, a czasem nawet błyskotliwie – obrazuje naszą rzeczywistość w ostatnich kilkudziesięciu latach. Sądzę, że autor stworzył kilka cykli z podpatrywania drobnych zdarzeń podczas swoich przejazdów miejskimi środkami lokomocji, pobytu w szpitalu, czy wczasowania w ośrodku pracy twórczej czy sanatorium. Relacje z czasem zwykłych (ale nie banalnych) zdarzeń, a czasem z zagłębiania się w psychikę bohaterów, są parabolami czy może symbolami. Autor jest czasem uczestnikiem, a częściej narratorem.

Przeczytałem książkę ciekawą i intrygującą. Ciekawą, bo czyta się zachłannie. Intrygującą, bo język, obrazowanie – czyni opowiadania zaskakujące, a myślowe skróty – dla czytelnika wtapiające się logicznie w czytany tekst – są próbą uniknięcia nadmiaru słów, zredukowaniem do niezbędnych. Pisarz konstruuje tekst klarownie, semantycznie nie komplikuje, bo przeznaczony jest dla szerokiego odbioru, a nie dla grona wyrobionych literacko odbiorców. I co ciekawe, czytanie staje się bardziej klarowne i frapujące. Książka zamknięta jest w pięć cykli tematycznych: „Uzdrowisko”, „Epitalamium”, „Opowiadania autobusowe”, „Notatki do nekrologów”, „Szpitalnicy”. Gradacja tematyczna jest rozległa i świadczy o wszechstronnym zainteresowaniu pisarza wszystkim, co wokół się dzieje. Liskowacki chodzi, jeździ, patrzy... i widzi co trzeba. Już w krótkich refleksjach z „Uzdrowiska” autor pozostawia nam margines dla własnych refleksji czy interpretacji: „Suka”, „Błoto” czy „Pogoda”. Nie stara się nic sugerować, czy nami kierować i jest to ciekawe i pouczające dla czytelnika. Te uzdrowskie spostrzeżenia są prawdziwe i żywe, nic tu naciąganego, fakty i mądre ich oświetlenie, bez moralizowania.

W wielu opowiadaniach jest jakaś „podskórność”, którą czuje się czytając, przebija się do naszej podświadomości, poszukując – tak sądzą – drugiego dna. Druga część miała być weselna a ma raczej zabarwienie eschatologiczne. Liskowacki nazwał ją panegirycznie, chcąc osiągnąć lepszy efekt symboliczny. Bardzo podoba mi się „Motyw miłości w literaturze współczesnej” – to jedno z lepszych opowiadań w tym zbiorze. Pulsuje w nim ciekawość świata młodego pisarza wchodzącego



Ciekawa książka

w literaturę i pobrzmiewa jednocześnie idealistyczny ogląd świata. Dużo można snuć domysłów. „Opowiadania autobusowe” – drobiazgi z codzienności, publiczne środki lokomocji, są kopalnią takich zdarzeń i sytuacji. Jest w tych krótkich opowiadaniach zawsze jakaś logika czy wyczuwana podskórność, zwracająca naszą uwagę na przepływ czasu, piękno czy na doczesność naszego losu czy życia.

Zaskoczyły mnie swoim dynamizmem w tym cyklu „Wypisy z Talmudu”. Cały ten cykl aż się gotuje od symboliki. A ostatnie tu opowiadanie „Capcarap” jest w pewnym momencie jak smagnięcie biczem dla opamiętania. Rozmowa ze starszym pasażerem kończy się tak – *Wszystko nam zabierają – powiedział starszy człowiek. Spojrzał na mnie – Wszystko.* Ta konstatacja zostaje w Liskowackim na dłużej, chyba na bardzo długo, odważę się przypuścić, że na zawsze, bo kilka minut później mówi: – *Cap-Carap – powiedziałem do siebie – Cap-carap. Zabieramy wszystko. Każdemu. My wszyscy, zawsze.* Wyniknęło to ze zdawkowej i przypadkowej rozmowy, a jakże jest ważne. Myślę – autor jako inteligentny obserwator i pisarz przede wszystkim – mówi nam o ciągłej rywalizacji i bezwzględności w życiu. Biologia już taka jest ze swej natury – wygrywają, lepsi, sprawniejsi, mądrzejsi – nadając rytm, wartość i kierunek roz-

wojowi. A człowiek, już od urodzenia zdeterminowany nieuchronną śmiercią, jest często tak uwikłany, że właściwie bezradny. Artura D. Liskowackiego cenię (bo kilka jego książek już przeczytałem), za ciepły stosunek do człowieka. To jego pisarski kręgosłup, na który owijają się pisarskie wątki. Wszystkie wywody ześrodkowują się – bez względu na to czy jest narratorem czy uczestnikiem – na losie człowieka i jego życiowych perypetiach. Od tego miejsca – właśnie od „Notatek z nekrologów” – książkę czytam już jakby inaczej, podbudowany faktem, iż ta konstatacja jest również spostrzeżeniem moim, identyfikuję się z nią, choć może nie potrafiłem tego tak krótko i trafnie sformułować. Autor wspomina w tym cyklu ludzi z różnych okresów swojego życia; zapamiętanych, którzy mocno osadzili się w jego życiu przez swoją nietypowość czy zasługi w jakiejś dziedzinie, („Ajerkonik”), są żywi jak „Pan Miętówka” czy „Jerzyk”, albo zapominani z imienia. Miejscami daje tu popis, że „język jest w stanie oddać to, co pomyśli głowa”. Ostatni cykl „Szpitalnicy” – wielka różnorodność – chyba autor specjalnie umieścił na końcu książki, bo szpital to dla każdego: cierpienia, niepewność, konkretny ból. Jędrny język powoduje, że nawet szpitalna cisza staje się ciekawa, uzyskuje brzemienisty wyraz. Każdy czytelnik może odnaleźć spostrzeżenia z własnych szpitalnych pobytów, tutaj przefiltrowane przez pisarza znajdują, trafny i precyzyjny wyraz, zyskują niejako na wyrazistości i randze. Jestem właściwie pewny, że opowiadaniem: „Piosenki z końca korytarza” Liskowacki z pełnym już rozmysłem książkę zamknął. Sam przecież przeżywał wówczas traumę operacji, życiowy niebezpieczny zakręt. Cytat z „Odysei” jakby zamykający krąg życia, zamierzony i trafny. Uzewnętrznił się może tutaj Liskowacki poeta, dociekliwy i poszukujący, dążący do sedna, zawsze po stronie cierpiących, umierających, przegranych. Zamykam książkę z żalem. Może, dlatego, iż za bardzo w nią się wczuwałem. Skończył się czas pouczającej rozrywki.

W tytule napisałem, że książka jest ciekawa. Teraz mogę dodać, że rozległość tematyczna opowiadań, często wynikający z nich morał (który czytelnik musi sam odkryć i sprecyzować) czynią z niej książkę tyleż ciekawą, co mądrą.

JERZY LUCJAN WOŹNIAK

David Gilmour: *Ostatni Lampart. Życie Giuseppe Tomasi di Lampedusy*. Tłum. Anna Wójcicka. Wyd. „Sic!”, Warszawa 2009, s. 278.

Ostatnich kilkanaście stron tej książki zajmują archiwalne zdjęcia, 4,5 wypełnia bibliografia, 2 – drzewo genealogiczne rodu Lampedusów, uwzględniające zresztą głównie osoby pojawiające się w tekście. Autor, brytyjski dziennikarz i pisarz zjeździł opisywane miejsca, zbadał rodzinne archiwa (przy okazji uratował dokumenty, które udało mu się przypadkowo odnaleźć), odbył szereg rozmów związanych z tematem. Piszę o tym, żeby pokazać jak ogromnej pracy wymagało stworzenie tej biografii. I, mimo całej rzetelności oraz wysiłku włożonego w zbieranie materiałów, Gilmour w kilku miejscach książki przyznaje, że prezentowany fragment życiorysu ma w sobie niemożliwe do wyjaśnienia tajemnice (np. przebieg służby wojskowej ostatniego księcia Lampedusy). A przecież ten człowiek zmarł zaledwie 52 lata temu! Giuseppe di Lampedusa jest dziś postacią niemal zapomnianą. Szkoda, bo jego powieść *Lampart* ukazująca upadek włoskiej arystokracji należy do dzieł wybitnych.

Katarzyna Bereta: *Człowiekowo*. Wyd. „Astra”, Łódź 2009, s. 56.

W liście do redakcji autorka informuje, że ten debiutancki tomik opowiadań (i drugi – poezji, także debiut) wydała „własnym sumptem”. To nie grzech, ale też nie najlepsza rekomendacja, bo wiadomo, że dziś za swoje pieniądze wydrukować można najpotworniejszą grafomanię. Z pewną nieufnością przystąpiłem więc do lektury opowiadań 32-letniej „chorzowianki z urodzenia, pedagoga z wykształcenia, miłośnika słowa z przekonania”. I miłe zaskoczenie. Ta młoda osoba umie sprawnie opowiadać historie, jest dobrym obserwatorem, w dodatku „lustro” ustawione przez nią „przy gościńcu” bywa czasem krzywe, co cenię. Pierwsza część – *Mitologia gminna* – trochę w poetyce pastiszu magicznego realizmu. *Obrazki miejskie* też nieco „udziwnione” (to nie zarzut, ale próba opisu). Opowiadanie *Czarny* jest praktycznie gotową nowelką filmową. *Wózkowe damy* są jak reportaż przepuszczony przez filtr groteski. Gratuluję debiutu, czekam na kolejną książkę, w której do sprawności pisania dojdzie tzw. doświadczenie życiowe. O poezji Berety napiszę innym razem.

Wojciech Pestka: *Do zobaczenia w piekle. Kresowa apokalipsa: Ukraina, Polska, Białoruś, Łotwa*. Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2009, s. 200.

Autor – poeta, prozaik, tłumacz – tym razem proponuje czytelnikom zbiór reportaży. Podtytuł wyjaśnia od razu ich przedmiot. To przejmujące historie ludzi różnych narodowości z terenów dotkniętych „kresową apokalipsą” – wywózkami, gułagami, represjami (jeśli tak mało obrazowym słowem można nazwać tortury, oglądanie śmierci najbliższych, walkę o przeżycie na „niehumanitarnej ziemi”). Są to opowieści porażające, porównywalne z epizodami *Archipelagu Gułag*, opowiadaniem Borowskiego, czy *Medalionami* Nałkowskiej. Nie ma jednak w tytule Rosjan ani Niemców (może – dla poprawności politycznej należałoby napisać: sowietów i hitlerowców), choć to właśnie oni byli „jeźdźcami apokalipsy”, którzy nie tylko przynieśli zagładę, ale jeszcze przemienili „sąsiadów” w wyniszczających się bezwzględnie wrogów. Niektóre reportaże pokazują, że tragedia na tych terenach nie zakończyła się w 1945, czy 1953 (śmierć Stalina) roku. Przejmujące świadectwa. Tylko co z tego?

Victor Segalen: *Stele*. Tłum. Krzysztof Andrzej Jeżewski. Wyd. Wyd. Centrum Polsko-Francuskie Cotes d’Armor-Warmia i Mazury, Olsztyn 2009, s. 112.

Tłumaczenie, co oznaczały w kulturze chińskiej „stele” zajęłoby zbyt wiele miejsca. W każdym razie kontekst tego pojęcia tworzą – najkrócej mówiąc – śmierć, słońce, ofiara i słowo. Victor Segalen (1878-1919) był archeologiem, lekarzem wojskowym i sinologiem, który zjeździł Azję, przy czym sporo czasu spędził w Chinach. Ponadto (a może przede wszystkim) był poetą. Zafascynowanym, jak wielu dziś ludzi Zachodu, poezją chińską, która stała się głównym źródłem inspiracji dla jego własnej twórczości. Cieszę się, że do czytelnika polskiego trafia teraz pierwszy pełny przekład *Stel*. Jak są piękne, niech świadczy krótki cytat: *Moja kochanka ma zalety wody: jasny uśmiech, płynne ruchy, głos czysty i śpiewny kropla po kropli. // I kiedy czasem – mimo woli – ogień pojawia się w moim spojrzeniu, ona drząc cała, wie jak go podsycać: woda rzucona na czerwone węgle*. Myślę, że ten fragment zachęci do lektury wszystkich miłośników dobrej poezji.

Eduardo Mendoza: *Mauricio, czyli wybory*. Tłum. Marzena Chrobak. Wyd. „Znak”, Kraków 2008, s. 370.

Mendoza znany był dotychczas jako autor poczytnych „kryminałów”. Tym razem napisał... No właśnie – co? Najkrócej próbując tę powieść scharakteryzować trzeba powiedzieć, że jest to melodramat, ale z happy endem (czy rzeczywiście?), osadzony w realiach politycznych po frankistowskiej Hiszpanii (konkretnie: w Barcelonie, która czeka na decyzję o przyznaniu jej organizacji Olimpiady). Niezwykli są bohaterowie romansu: stomatolog i prawniczka. Widać, że autor bardziej zna się na prawie (jeden z tematów to „przekręty”), mniej na dentystach (nie wychodzi poza banalne wiadomości). Jest jeszcze „obowiązkowy” w literaturze niedawnych lat AIDS. Niektóre fragmenty dotyczące kształtowania się „młodej demokracji” hiszpańskiej można by bez trudu osadzić w realiach któregoś z polskich miast (może tylko bez postaci księdza-robotnika). Nie wiem, dlaczego podtytuł „czyli wybory”, ponieważ bohater jest raczej bezwolny i we wszystkie perypetie wplątuje go właściwie przypadek. W sumie – takie sobie.

Zbigniew Jankowski: *Przypływ. Jednanie*. Wyd. „Oskar”, Gdańsk 2009, s. 88.

W dedykacji Zbigniew Jankowski napisał mi o swoim tomiku, że w jego odczuciu stanowi on „próbę cichego zamknięcia za sobą drzwi...” Mam nadzieję, że ta próba się nie powiedzie, ponieważ jego książka pełna jest świetnej poezji (ogromne wrażenie robi zwłaszcza *Jednanie*), chciałoby się więc, żeby był jeszcze „dalszy ciąg”. To wiersze o starości, śmierci, przemijaniu, ale też o chrześcijańskiej nadziei i o poezji, którą pisze Ktoś przez nas. Jak bowiem zauważa Jankowski w „Kłótwie ręki śmiertelnej”: (...) *poeta / odchodzi od wiersza. / Wie: poezja się rodzi / pod nieobecność autora*. Przemawia prostota tej liryki, ascetyczność wypowiedzi, pozbawionej jakby zupełnie emocji. Dla ilustracji wiersz „Chwila”: *Dzisiaj przez chwilę / byłem taką miłością, / że mógłbym / stworzyć świat. // Ale zabrakło mi / słowa w ustach*. To nie psychologiczne studium stanu uczuciowego (miłość) ani opis mistycznej ekstazy, tylko sucha, „telegraficzna” wręcz relacja, a tyle budząca skojarzeń, tyle własnych odczuć prowokująca...

ANECDOTY

HENRYK BZDOK



Staszka Mitisa poznałem w wieku kiedy to mężczyzna już na pewno przestaje się zapowiadać.

Jeśli chodzi o szczegóły to niewiele o nim wiem, był związany z Pałacem Młodzieży, później szanowaną osobą w CPN, był duszą towarzystwa, zawsze pogodny i uśmiechnięty.

Miał wszakże jedną namiętność – grę w karty.

Kiedy spotykał się z tymi, co na tą samą przypadłość chorowali, czas przestawał się liczyć.

Któregoś roku w lecie, małżonka miała pojechać do sanatorium, trochę się bała zostawić go samego obawiając się, że pochłonie go jego samozgubne hobby.

Mitis jednakże przyrzekł zachowywać się poprawnie i małżonka mogła udać się na kurację.

Przyjaciele jakby tylko na to czekali, ledwo opuściła mieszkanie już zjawili się w komplecie.

No a potem to już leciało...

... aż przyszedł ten dzień a raczej późna noc kiedy Staszek przypomniał sobie o powrocie żony, już wcześniej rano miał ją odebrać z Dworca PKP.

Szybko ukończono ostatnią partyjkę i trzeba było usunąć wszelkie ślady wielodniowych batalii. Wywietrzone mieszkanie i nakryty stół przed śniadaniem czekały na Panią.

Kiedy już wymieniono pierwsze uwagi o minionych dniach, Staszek złożył kolejne zapewnienie o absencji karcianej w dniach minionych i siadł do śniadania.

– Kochanie – odezwała się małżonka – wspaniale przygotowałeś śniadanie, ale zapomniałeś podać chleb.

Staszek pobiegł do kuchni, złapał talerzyk z pokrojonym chlebem i podając go żonie rzekł:

– Przełoż...



PODKOPKI

LIMERYKI

PIOTR PODMAJERZ

Raz z Chebzia pletwonurek
przepięknych miał pięć córek.
Wszystkie – pletwonurkinie.
Z wyjątkiem tej jedynie,
która śpiewała chórem.

Dominująca z Zawady
dręczyła nawet owady.
Gdy jednak rozstała się z kasą
natychmiast została maso,
tłumacząc, że obrzydl jej sadyzm.

Raz wędkarz z miasta Chorzów,
miał żonę nadzwyczaj hożą.
Była dlań, bez ochyby,
równie ponętna jak ryby.
Więc stanął na życia rozdrożu.

Pewna panienka z Załęża
po wszystkim chciała „orenżady”.
(Tak wymawiała,
bo w szkole, zakuta pała,
nie zwykła się była wytężyć.)

Wyborca z Łazisk Górnych
za skarby nie chciał do urny.
– Pójdę – mawiał – bez żalu,
dopiero jak mnie spalą.
Nie wcześniej. Czy ja dumny?



PODKOPKI

Seria limeryków na urodziny Wojtka Łuki, która powstała w wyniku ejakulacji talentu rymotwórczego jego lewego sąsiada przy kolegiальnym stole - Bogdana Widery

1.
Abraham Wojtka znad Bałtyku
(teraz obywatela Tychów)
dobrą okazją do frasunku,
jak autor tak świńskich rysunków
sławę i kasę ma nielichą?

2.
Wojtek, artysta tyski,
ciągle zadziwia wszystkich,
bo całkiem bez cenzury
z poetów poniektórych
zdziera figowe listki.

3.
Wojtek, kolega ze „Śląska”,
piękny jak wiśni gałązka,
czynnie uprawia tenisa,
potem rysuje penisa –
specjalizacja dość wąska.

4.
Wojtek, bywalec „Czwórki”,
rysuje dziwne figurki:
babiarzy, alkoholików,
dwupłciowy erotikon.
A w „Czwórce” zamawia żurki

Pięć lat temu ukazała się pierwsza edycja niezwykle cennego wydawnictwa: „Sztuka Górnego Śląska”. Pieczę nad tą publikacją sprawowała prof. Ewa Chojecka wraz z zespołem historyków sztuki z Uniwersytetu Śląskiego: prof. Barbarą Szypka-Gwiazdą, dr hab. Irmą Koziną, dr. Jerzym Gorzeliem oraz Muzeum Śląskie – wydawca. Ogromne zainteresowanie tym kompendium wiedzy na temat sztuki Górnego Śląska było tak duże, że postanowiono wznowić tę – jak się okazało – niezbędną księgę, ale w rozszerzonej o nowe zjawiska w sztuce i architekturze wersji.

Czy pięć lat to dużo dla historii sztuki, czy nawet eksperci są w stanie obiektywnie ocenić to wszystko, co wydarzyło się w tej dziedzinie na obszarze Górnego Śląska? Oczywiście, że pięć lat to zaledwie chwila, ale jeśli spojrzeć z perspektywy przeciętnego odbiorcy sztuki, osoby zainteresowanej tym co dzieje się w różnych dziedzinach sztuki i w architekturze na Śląsku łatwo zauważyć, że upłynęło sporo czasu. Wiele się wydarzyło, chociażby w architekturze – powstało kilka znakomitych obiektów, które już są słynne na całą Europę, które uznano za prawdziwe dzieła sztuki architektonicznej – wystarczy wymienić nadzwyczajny obiekt „nowej” Akademii Muzycznej ze słynną salą koncertową „Symfonia”. To właśnie ten obiekt zdobi okładkę wznowionej „Sztuki Górnego Śląska”. Warto przy tej okazji zauważyć, że i Muzeum Śląskie – jako wydawca – przeszło wielkie przeobrażenia. Nowa koncepcja funkcjonowania tej sztandarowej instytucji kultury województwa śląskiego miała zapewne niebagatelny wpływ na to, jakie obszary wiedzy o sztuce Górnego Śląska zostały poszerzone, uzupełnione. Poprzednie wydanie potraktowano bowiem jako materiał wyjściowy, pierwszą próbę ogarnięcia wielowątkowej i wieloaspektowej historii sztuki tego regionu.

Jeśli w stosunku do historii uzupełnienia, weryfikacji i zmiany mogły zostać oparte o najnowsze dociekania naukowe, dokumenty, zapiski, tak tocząca się dyskusja o wartościowanie chociażby tego, co powstało w okresie PRL-u, a jest dzisiaj dla wielu dość kontrowersyjnym dziedzictwem historii, już nie jest taka łatwa. Przytoczyć można chociażby trwający ciągle spór o katowicki dworzec, o powstałe w latach 60. obiekty handlowe „Zenit” i „Skarbek” zajmujące uprzywilejowaną pozycję i dominujące w architekturze katowickiego rynku, to Dom Prasy czy mieszkaniowe giganty jak superjednostka czy inne budowle z tamtych lat. A to tylko Katowice – wiele takich pamiątek pozostało



„Sztuka Górnego Śląska” – po pięciu latach

i w innych miastach województwa śląskiego. Opinia historyków sztuki jest dość jednoznaczna, a radykalne opinie mają zwykle podłoże emocjonalne a także odbijają się w nich doświadczenia dnia codziennego – zaniebane i zdewastowane popeerelowskie obiekty nie są w stanie pokazać swej wartości i niepowtarzalności, a argumenty znawców sztuki często trafiają w próżnię. Tuż obok nich – na przestrzeni kilkudziesięciu lat – wyrosło wiele intrygujących i wartościowych obiektów – chociażby architektury sakralnej.

Prof. Ewa Chojecka „Sztukę Górnego Śląska” nazywa podręcznikiem, w którym szczególny nacisk został położony na obejmujące zagadnienia sztuki nowoczesnej. Opisanie dziejów historii sztuki Górnego Śląska, powiązanych z historią tego regionu na przestrzeni wieków – jak wykazują autorzy – to niezwykle skomplikowana, lecz inspirująca i ciągle stawiająca badacza w pozycji odkrywcy – praca.

Oczywiście, kiedy bierze się do ręki tę księgę, najbardziej intrygującym pytaniem pozostaje, jakie nowości udało się zawrzeć autorom w tym podręczniku, zjawiska opisano na nowo. Dlatego ciekawość każe zajrzeć najpierw do ostatnich rozdziałów. Okazuje się, że prace doprowadzono do 2000 roku. Wiele uwagi poświęca się Nowym Tychom – jako niezwykle

i ważnemu przedsięwzięciu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, opisane zostały nowe przestrzenie jak chociażby katowicki plac Rady Europy ze swoją nowoczesną architekturą, zwłaszcza obiektem Biblioteki Śląskiej i okolicznych instytucji finansowych. Rozdział traktujący o najnowszym śląskim malarstwie ukazuje poszczególne sylwetki takich twórców jak Leon Dołżycki, Jan Dudkiewicz, Rafał Pomorski, Jerzy Duda Gracz, Jacek Rykała, Maciej Bieniasz, a także zjawiska – legendarna już śląska szkoła grafiki czy grupa Oneiron z Henrykiem Wańkiem, Andrzejem Urbanowiczem i Ursulą Broll. Swoje miejsce znalazł tu także Piotr Schmidtke i jego teoria metaweryzmu. Wspomniano też artystów prezentujących – jak ich określono – zachowawcze postawy twórcze, nawiązujące do tradycji postimpresjonistycznego koloryzmu – Haliny Lerman, Stanisława Mazusia, Olgierda Bierwiazonka. Wiele uwagi poświęcono znakomitym grafikom – od Aleksandra Raka, Stefana Superlaka po Romana Staraka, Jana Nowaka, Adama Romaniuka, Tomasza Struka, Ewy Zawadzkiej. Przypomniano dokonania w dziedzinie rzeźby, a wśród nich dokonania Zygmunta Brachmańskiego, Bronisława Chromego, Stanisław Chochół, Bronisława Krzysztofa.

W zakończeniu podręcznika prof. Ewa Chojecka reasumując przypomina, że opracowanie to pomyślane jest jako synteza dziejów, w których przeplatały się okresy zdominowane przez twórczość przeciętną z rozdziałami naczynymi osiągnięciami wybitnymi. Te wcześniejsze przewartościował czas – tak na nowo został odkryty i doceniony śląski modernizm – to kompleks zabudowań w południowym kwartale Katowic, najbardziej reprezentatywnych dla tego okresu w całym kraju. Każda taka synteza prowokuje do dyskusji, do interpretacji wybranych faktów, do stawiania pytań o inne, pominięte fakty i wydarzenia. Każde kolejne wydanie „Sztuki Górnego Śląska” będzie wypełnianiem „białych pól”, których – zdaniem autorów – jest ciągle wiele w historii sztuki Górnego Śląska.

Po latach zapewne ciekawa będzie lektura rozdziałów poświęconych za- bytkom – poindustrialnym, których nie brakuje na Górnym Śląsku – co zostanie uratowane, a co ulegnie dewastacji i likwidacji. Czy wiele z nich będzie można oglądać tylko na archiwalnych fotografiach? Ta część historii Śląska wymaga szybkiego opracowania – to część tożsamości, tradycji i w wielu przypadkach sztuki architektonicznej najwyższych lotów.

WIESŁAWA KONOPELSKA



Madonna Piekarska, koniec XV w., kościół Świętego Krzyża, Opole



Cieszyn, rotunda św. Mikołaja i św. Wacława, ok. poł. XI w.



Katowice, plac Rady Europy, Biblioteka Śląska, J. Jarecki, S. Kwaśniewicz i M. Gierlotka, 1990-1997

Sztuka Górnego Śląska



Jerzy Duda Gracz, *Wielka emigracja*, olej, 1983, Muzeum Śląskie w Katowicach



Jan Nowak, *Miasto V*, litografia, 1966, Muzeum Śląskie w Katowicach



ZNAKI I TWARZE MIASTA



Most na Mlecznej z 1808 r., na jeszcze starszej ulicy Zaopusta – nazwa pochodzi od opustów przy stojącym tam niegdyś młynie. W roku 1803 zmierzał tędy do Pszczyny orszak weselny Marii Doroty Holstein-Beck i Fryderyka Ferdynanda Anhalt. Tędy prowadził również „szlak solny”.

Podlesie – zachowane w pamięci

To jedna z najstarszych dzielnic Katowic – jej rodowód sięga XII wieku, kiedy na obszarze dzisiejszych Piotrowic i Zarzeczka istniała duża wieś – Uniczowy. W zapiskach z 1468 roku Podlesie wymieniane jest jako samodzielna wieś. Tędy przebiegał jeden z najważniejszych prastarych traktów handlowych Gliwice- Mikołów-Dzieńkowice-Kraków, nazywany „furmańskim”. W 1536 r. gospodarowało w Podlesiu ośmiu siodłaków, ale w 1764 r. już mieszkało tu 150 osób. W 1806 r. Podlesie strawił wielki pożar. Po odbudowie Podlesie było pierwszą i jedyną w powiecie pszczyńskim murowaną wsią. W 1903 r. uruchomiona została tu kopalnia „Böer” („Boże Dary”), a wokół niej powstała kolonia robotnicza.

W latach 1919-1921 mieszkańcy Podlesia aktywnie uczestniczyli w powstaniach śląskich. Wzniesiony kościół był podziękowaniem za powrót Podlesia do Polski.

Stare Podlesie pokazane na pocztówkach i starych zdjęciach można było oglądać w Miejskim Domu Kultury „Katowice – Podlesie” podczas wystawy przygotowanej przez Sonię Botor-Pryszcz. W tekście w katalogu towarzyszącym wystawie napisała: „Doceniamy to, co jest u innych, na plan dalszy zsyłając to, co sami posiadamy. Niedocenie nie tego idzie w parze z brakiem dbałości o elementy własnej tożsamości. W pogoni za wygodą zapominamy, że kultura nie przetrwa w przestrzeni wirtualnej, lecz musi posiadać swoje materialne dowody. Pod pozorem nowoczesności znikają błyskawicznie zdobienia ceglanych domów, niekiedy półkoliście sklepione, bogato zdobione, drewniane okna, czy śląskie drzwi. Na palcach jednej ręki policzyć można pozostałe w całej okolicy drewniane lauby, niegdyśjsze świątynie spotkań towarzyskich. W latach 80. XX w. zagrożony był wyburzeniem kamienny most na Mlecznej, na dawnym trakcie do Pszczyny, który dzisiaj jest ozdobą miejsca i elementem jego tożsamości”.

(wk)



Nieistniejąca kapliczka na Dąbrowie z 1800 r.



„Kościół w Podlesiu
zbud. 1920—1921 r.”

Kościół p. w. Matki Boskiej Częstochowskiej
zbudowany w latach 1920-1921.



Dziewczyny z kozą – częsty widok z tamtych lat.

19. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej

CZĘSTOCHOWA
Gaude Mater

Irańskie pieśni sakralne, muzyka włoskiego baroku, chorał gregoriański, monodia rosyjskich staroobrzędowców, wielogłosowa muzyka cerkiewna, utwory polskich kompozytorów i wielkie europejskie dzieła to tylko wybrane propozycje 19. edycji Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej *Gaude Mater*, który odbędzie się w Częstochowie od 1 do 6 maja. Festiwal nawiąże swymi



Monika Starowicz

koncertami do wielkich rocznic kompozytorskich: z okazji 200-lecia śmierci **Józefa Haydna** zabrzmie Oratorium „Stworzenie Świata”, które otworzy tegoroczny program. W koncercie finałowym usłyszymy Oratorium „Paulus” **Feliksa Mendelssohna Bartholdiego** w 200 rocznicę urodzin kompozytora. Stałe miejsce w programie Festiwalu mają **prawykonania** dzieł znakomitych polskich kompozytorów. W tym roku usłyszymy premiery **K. Dębskiego**, **P. Łukaszeńskiego**, **S. Moryto** oraz współczesne prawykonania **J. Elsnera**, **przechowywane** w zbiorach jasnogórskich. Jak co roku, do udziału w Festiwalu



Jan Garbarek i Hilliard Ensemble

zostali zaproszeni najlepsi artyści z 17 krajów: **Morphing Vienna Chamber Orchestra**, rosyjski Chór Staroobrzędowców Syberii, czy Narodowy Chór Dumka z Ukrainy. Nie zabraknie również znakomitych polskich zespołów – ponownie usłyszymy **Polski Chór Kameralny Schola Cantorum Gedanensis**, Chór Polskiego Radia, Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej i wiele innych. Niewątpliwym wydarzeniem tegorocznej edycji będzie koncert znakomitego norweskiego saksofonisty **Jana Garbarka**, uznawanego za jednego z najważniejszych współczesnych muzyków jazzowych. W częstochowskiej Katedrze wystąpi on razem z brytyjskim zespołem **Hilliard Ensemble**. Poza głównym nurtem imprezy po raz pierwszy odbędzie się **ETNO*C** – projekt skierowany do młodych ludzi zainteresowanych sztuką całego świata. Kultury: afrykańska, indiańska, andyjska i bałkańsko-słowiańska zostaną zaprezentowane podczas koncertów, pokazów filmów i warsztatów. **1.5.-6.5.**

szczegółowy program
www.gaudemater.pl

XX Gliwickie Spotkania Teatralne

GLIWICE
Jubileuszowa edycja

To już XX Gliwickie Spotkania Teatralne! Nowością, przygotowaną z tej okazji, będzie przede wszystkim przekazanie nurtu Inspiracje, w ramach którego przez ostatnie dwa lata organizatorzy oddawali do dyspozycji młodym artystom przestrzeń Ruin Teatru Miejskiego, w ręce inscenizatorów, którzy w historii festiwalu w najbardziej twórczy sposób wykorzystywali magiczne, wypalone wnętrza przedwojennej gliwickiej sceny. W Ruinach swoje spektakle pokażą więc **Jacek**

Glomb, dyrektor Teatru im. H. Modrzejewskiej z Legnicy, **Piotr Tomaszuk** z Teatru Wierszalin z Supraśla oraz **Andrzej Dziuk**, szef zakopiańskiego „Witkacego”. W nurcie głównym **Wizje/Kreacje**, widzowie będą mogli obejrzeć m.in. spektakle Teatru Polonia (*Grube ryby* M. Bałuckiego) i Teatru Powszechnego z Warszawy (*Słoneczni chłopcy* N. Simona), Teatru Nowego z Łodzi (*Brygada szlifierza* Karhana V. Kanii) oraz Narodowego Starego Teatru z Krakowa (*Król umiera* E. Ionesko). **Wielkie monologi** polskiego dramatu wygłosi ze sceny **Jerzy Trela**. Spotkaniowy weekend będzie również obfitował w inne muzyczno-teatralne atrakcje.



W piątek wystartuje **Nocna Scena Muzyczna GST**, w ramach której wystąpi m.in. **Maria Peszek**. W teatralnym namiocie Szapito zagrają teatry **Décalages** z Pragi, warszawska **Montownia** oraz **Kompania Domsday** z Białogostku. Teatralne zamieszanie nie ominie gliwickich ulic i placów, na których zagości Teatr Polonia z Warszawy, Teatr Ósmego Dnia z Poznania oraz duński **Rakkerpag** z Kopenhagi. Jubileuszowa edycja GST będzie wydarzeniem wielonurtowym, łączącym teatr w tradycyjnym rozumieniu z projektami nowatorskimi, wykraczającymi poza doświadczenia i metaforyczną przestrzeń sceny. Festiwalowy weekend po-



17 maja wystąpi zespół Mikromusic

myślany został jako teatralne święto, w czasie którego widzowie będą mogli przemieszczać się między wydarzeniami, smakując różnorodność współczesnego teatru. Czy taka będzie przyszłość gliwickiego festiwalu? Czas pokaże, a póki co – organizatorzy, jak co roku, zapraszają serdecznie! **11.5.-18.5.** szczegółowy program s. 86-87

Muzeum Śląskie

KATOWICE
Malarstwo polskie po 1945 roku

Muzeum Śląskie zaprasza do zwiedzania nowej wystawy stałej. **Galeria Malarstwa Polskiego po 1945 roku** jest pierwszą stałą ekspozycją malarstwa współczesnego w powojennej historii Muzeum Śląskiego w Katowicach. Prezentowane dzieła stanowią niewielką część bogatej kolekcji muzealnej powstałej w Polsce po II wojnie światowej, składającej się z 585 prac twór-

ców różnych pokoleń, działających w najważniejszych środowiskach artystycznych. Początki jej powstawania są związane z restytucją Muzeum w 1984 roku. Najliczniej i najszerzej są



Jerzy Duda-Gracz.
Motyw Polski Wielka Emigracja. 1983
wł. Muzeum Śląskie

udokumentowane lata 80. oraz początek lat 90. ubiegłego stulecia. Wystawa została zaprojektowana z myślą o kontynuacji i uzupełnieniu istniejącej Galerii Malarstwa Polskiego 1800-1945 (wywodzącej się z kolekcji utworzonej w latach trzydziestych) oraz z zamiarem zobrazowania i zasygnalizowania wybranych istotnych zjawisk w dziejach sztuki po 1945 roku. Obejmuje malarstwo materii, abstrakcję geometryczną oraz emocjonalną (informel), tasyzm,



Zdzisław Beksiński AY, 1985
wł. Muzeum Śląskie

malarstwo metaforyczne, neoekspresjonizm oraz neofigurację, dzieła twórców dobrze znanych, jak również tych mniej rozpoznawalnych, którzy z pewnością zasługują na uwagę i zainteresowanie odbiorców. Nie mogło zabraknąć artystów najwybitniejszych, mają-

cych znaczący wpływ na kształt i rozwój sztuki tego okresu (m.in. Andrzej Wróblewski, Tadeusz Kantor, Jerzy Nowosielski, Władysław Hasiór, Edward Dwurnik, Jerzy Duda-Gracz).

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
PAŁAC MIEROSZEWSKICH
ZAMEK
 ul. Świerczewskiego 15
 tel. 267-77-07
www.zamek.bedzin.pl

TEATR
DZIECI ZAGŁĘBIA
 ul. Teatralna 4
 tel. 267-36-25
www.teatr.bedzin.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA
 ul. 3 Maja 11a,
 tel. 033 812-58-61
www.galeriabielska.pl

MUZEUM
ZAMEK SUŁKOWSKICH
 ul. Wzgórze 16
 tel. 033 822-06-56
www.muzeum.bielsko.pl

TEATR POLSKI
 ul. 1 Maja
 tel. 033 822-84-53
www.teatr.bielsko.biala.pl

TEATR LALEK
BANIALUKA
 ul. A. Mickiewicza 20
 tel. 033 815-09-15
www.banialuka.pl

BYTOM

GALERIA KRONIKA
 Rynek 26
 tel. 281-81-33
www.kronika.org.pl

MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
 pl. Jana III Sobieskiego 2
 tel. 281-82-94; 282-36-12
www.muzeum.bytom.pl

OPERA ŚLĄSKA
 ul. S. Moniuszki 21/23
 tel. 281-84-39
www.opera-slaska.art.pl

ŚLĄSKI
TEATR TANCA
 ul. S. Żeromskiego 27
 tel. 281-82-53
www.stt.art.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA
 14.5. czwartek, godz. 18.00
 obie sale
 Marek Kijewski
Drzę więc cały,
gdy mogę was ozłocić
 retrospektywna wystawa poświęco-
 na twórczości przedwcześnie zmar-
 łego artysty, wybitnego rzeźbiarza,
 którego dzieła przyczyniły się do uno-
 woczenia języka polskiej rzeźby
 współczesnej /Ewa Gorządek/
 czynna do 20 czerwca

18.5. poniedziałek, godz. 18.00
 XI Międzynarodowy Festiwal
 Sztuki „Interakcje 2009”

klub AQUARIUM
 Lekcja druga
 Małgorzata Łuczyna,
 Jacek Złoczowski
 fotografia, wideoinstalacja
 Stopniowanie
 Bartosz Lubicz-Gembalski
 fotografia
 prace trojga młodych bielskich arty-
 stów ukazują ich indywidualne spoj-
 rzenie na taniec
 czynna do 10 maja

Zwiadowca
 – projekt Poza Postmodernizm
 udział biorą: A. Dudek-Dürer,
 M. Brzeziński, C. Feliu,
 A. Michowska, L. Golec
 i T. Czekalska, M. Rogulski,
 P. Anaszkiewicz, M. Zygmunt,
 A. Miastkowski
 i Wspólnota Leezeć



Andrzej Miastkowski i Wspólnota Leezeć.
 Sala Spotkań Międzyplanetarnych
 fot. Archiwum Galerii Bielskiej BWA

czynna do 10 maja
 22.5. piątek, godz. 18.00
 Dzień Matki w Galerii
 m.in.: wykład dr M. Tkacz-Janik
 nt. ewolucji pojęcia macierzyństwa
 w ciągu ostatnich 20 lat i projekcja
 filmu *Rodzić z rozkoszą*

39. Biennale Malarstwa
 „Bielska Jesień 2009”
 Otwarcie wystawy i ogłoszenie wyni-
 ków 39. Biennale pod patronatem Mi-
 nistra Kultury i Dziedzictwa Narodo-
 wego odbędzie się 6 listopada br.
 Zgłoszenia do konkursu i prace
 w wersji elektronicznej przyjmowa-
 ne są do 31 maja 2009 r.

BYTOM
GALERIA KRONIKA
 9.5. sobota, godz. 18.00
 spotkanie
 z Bożeną Keff
 Utwór o Matce i Ojczyźnie

Alternatif Turistik
 czyli uśmiech z destrukcją w tle
 książka, wycieczki, wystawa,
 pikniki, rowery, koncerty...
 w programie m.in.:
 2.5. sobota, godz. 13.00
 Piknik industrialny
 na hałdach w Brzezinach Śl.

5.5. wtorek, godz. 10.00
 wycieczka Zagłębie

7.5. czwartek, godz. 12.00
 wycieczka:
 Szyb Krystyna w Bytomiu

8.5. piątek, godz. 11.00
 wycieczka:
 Elektrociepłownia Szombierki
 w Bytomiu

12.5. wtorek, godz. 11.00
 wycieczka tramwajowa
 Huta Kościusko – Bar Tempo
 w Chorzowie – WPKiW

14.5.–16.5.
 realizacja projektu
 Marcina „Emitera” Dymitera
 „możemorze”

CIESZYN
GALERIA
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
SZARA
 12.5. wtorek, godz. 17 wernisaż
 Sprawy Prywatne
 prace prezentują:
 Lorenzo Brusci
 Katarzyna Sobczuk
 Beata Stankiewicz

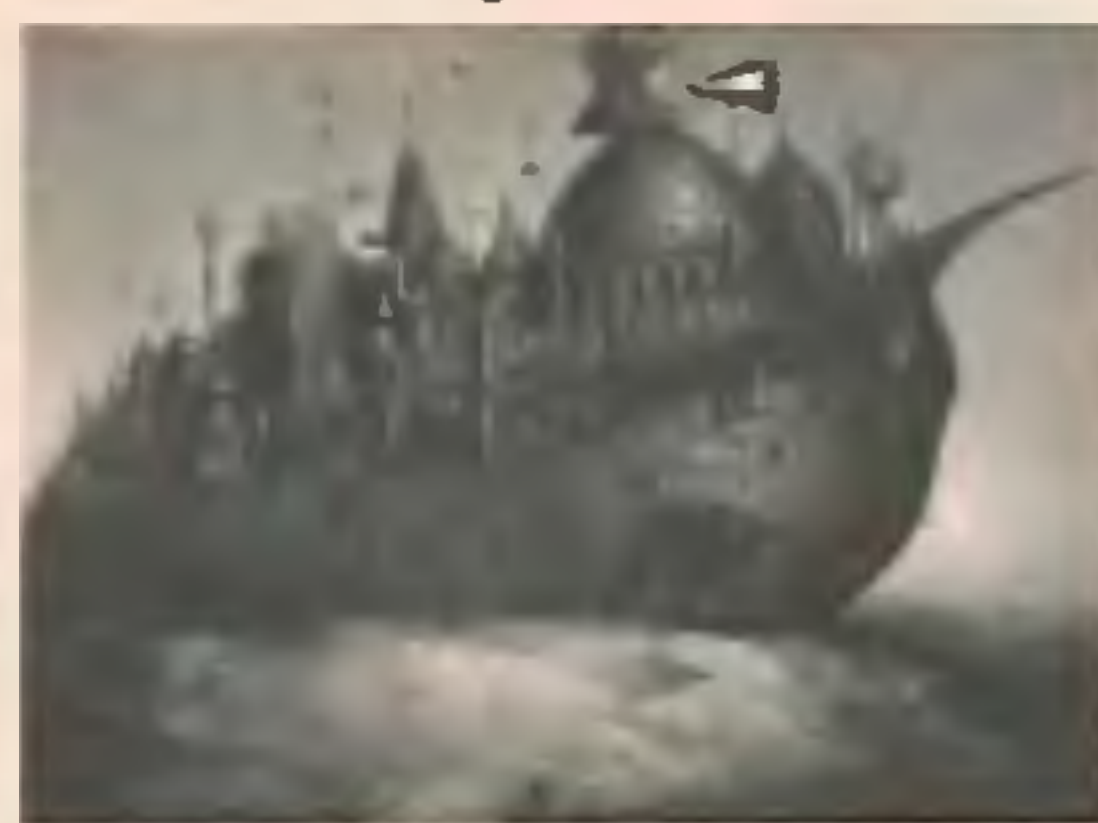
13.5. środa, godz. 17.00
 EMITER
 Marcin Dymiter
 koncert

CHORZÓW
GALERIA MM
 4.5. poniedziałek, godz. 17.00
 wernisaż
 Ciche życie
 Maciej Bieniasz
 malarstwo

CZELADŹ
GALERIA
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
 „ELEKTROWNIA”
 Studenci 2009
 Pracownia malarstwa
 prof. Jacka Rykały
 prace 29 młodych twórców
 – studentów katowickiej ASP
 czynna do 15 maja

16.5. sobota
 Studium dwóch kobiet
 Ireneusz Botor – malarstwo
 czynna do 15 czerwca

CZĘSTOCHOWA
MIEJSKA GALERIA SZTUKI
SALA GOBELINOWA
 Tomek Sętowski
 Fabryka snów



Statek argonauty, olej na płótnie
 czynna do 17 maja

GALERIA PROMOCJI
MŁODYCH ANTRESOLA
 Magdalena Siejko
 Oblicza cielesności – Początek
 malarstwo
 artystka zaprezentuje wyakcentowa-
 ny w tytule początek – trzy wielko-
 formatowe obrazy będące począt-
 kiem cyklu malarskiego z wiodącym

tematem ciała, cielesności, które ar-
 tystka analizuje na różne sposoby



Brama
 czynna do 17 maja

SALA ŚLĄSKA
 Widziane, wyobrażone
 Marian Kępiński
 malarstwo
 czynna do 17 maja

Elżbieta Chodorowska
 Zapis czasu
 rzeźby „patchworkowe”,
 tkanina artystyczna i instalacje...
 czynna do 17 maja

JASTRZĘBI ZDRÓJ
GALERIA E/ENTRUM
 Miniatura tkacka
 z kolekcji
 Centralnego Muzeum
 Włókiennictwa w Łodzi



Agnieszka Parkitna, Aztek czarny
 czynna do 28 maja

19.5. wtorek, godz. 19.00
 Noc w galerii
 Materia nie materia
 w programie m.in.:
 recital Tomka Pali,
 warsztaty malowania
 na jedwabiu
 i wyplatania wikliny

KATOWICE
GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA
 Polska – Niemcy 4:6
 artystyczny dialog,
 za pośrednictwem którego
 opowiedziano historię
 i teraźniejszość
 stosunków polsko-niemieckich...
 czynna do końca maja

2. NOC MUZEÓW w Galerii
 godz. 21.00
 koncert grupy RGBoy

GCK
GALERIA SEKTOR I
 Jan Berdyszak
 Reszta reszt
 czynna do 17 maja

GALERIA ENGRAM
 Andrzej Szarek
 Ślady obcokrajowca
 ... to cykl rysunków, które wykona-
 łem w Stanach Zjednoczonych. Nie-
 zliczone odmiany ludzkich śla-
 dów i zachowań egzystujące w wiel-
 kim tyglu i tak wymieszane, że od-
 krywanie OBCEGO właśnie tu – nie
 ma sensu...

GALERIE

GALERIA 5

Tomasz Błaszczyk
Historia kibiców historią miasta
wystawa młodego fotografa
sportowego, a zarazem kibica
GKS-u Katowice
czynna do 15 maja

GALERIA PUSTA
Miriam Petránová
My Celebrities
fotografie



Franz Kafka

czynna do 24 maja

GALERIA RONDO SZTUKI
Santiago Sierra „111”
czynna do 3 maja

GALERIA ATENEUM
8.5. piątek, godz. 18.00 wernisaż
Kaja Renkas
Plakaty
cykl najnowszych plakatów
tematycznie związanych z cyrkiem

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
5.5. wtorek
Galeria Holu Głównego
Gdzie przeszłość
spotyka się z przyszłością
wystawa prac Fay Grajower

22.5. piątek, sala Parnassos
wernisaż
Zwierzęta a klimat

MIKOŁÓW

GALERIA MDK
8.5. piątek, godz. 18.00 wernisaż
Krystyna Jasińska
malarstwo
czynna do 22 maja

26.5. wtorek, godz. 18.00
GALERIA 33
Kamila Laksa
Wystawa jednego zdjęcia
– czyli 100 % nas samych
fotografia

Ewy Banaś, Edyty Knieżyk
czynna do 5 maja

RYBNIK

GALERIA OBLICZE
Malarstwo Krystyny Skupień

SOSNOWIEC

SOSNOWIECKIE CENTRUM SZTUKI
ZAMEK SIELECKI
Jan Berdyszak i Ewa Zawadzka
obiekty instalacja malarstwo grafika
czynna do 7 czerwca

TYCHY

GALERIA OBOK
9.5. sobota, godz. 18.00 otwarcie
malarstwo i rzeźba
Marka Grabowskiego

7.5. czwartek, godz. 18.00
otwarcie
dolny hol Teatru Małego
wystawa fotograficzna
Radosława Kaźmierczaka
czynna do końca maja

MUZEA

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
ZAMEK
Początki Będzina
wystawa historyczna

PAŁAC
20.5. środa
Sztuka Bliskiego Wschodu
ze zbiorów Muzeum
Etnograficznego w Krakowie

Każdy ma swego diabła
wystawa rzeźby demonologicznej
ze zbiorów Muzeum w Łęczycy
czynna do 13 maja

BIELSKO-BIAŁA
MUZEUM
Galeria sztuki w jaskini



czynna do czerwca

GALERIA ZAMKOWA
BASZTA
9.5. sobota
Iza Cieszk. Statystyka.
Projekt Moje miasto.
Bielsko-Biała
czynna do końca maja

GALERIA ZAMKOWA
STRZELNICA
9.5. sobota
Lech Helwig
Zabytkowe pojazdy
w rysunkach

Lidia Sztwiertnia
Kreator – Kreacja
– Autokreacja
czynna do końca maja

BYTOM

MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE
18.5. poniedziałek, godz. 12.00
otwarcie
Dzika Polska
wystawa fotografii
wystawie towarzyszyć będzie sesja popularnonaukowa na temat przyrody

22.5. piątek, godz. 17.00 wernisaż
Krzysztof M. Bednarski.
Portret totalny
Karola Marksa 1977-2009

Świetlica muzealna
25.5. poniedziałek, godz. 15.00
otwarcie
Portret matki
wystawa nagrodzonych rysunków

FILIA MGB
Dom życia
fotografie
Tomasza Szemalikowskiego

Andrzej Szewczyk.
Prace z kolekcji współczesnej
polskiej Muzeum Górnośląskiego

Ohszar Warowny „Śląsk”
1933-1939

CHORZÓW

MUZEUM W CHORZOWIE
Ludziom nauki i sztuki – pełną swobodę twórczych poszukiwań...



Sztuki plastyczne
w czasach PRL

16.5. sobota, godz. 18.00
NOC MUZEÓW
w programie m.in.:
„nocne” zwiedzanie wystaw
z przewodnikiem, liczne atrakcje
dla dzieci, koncert,
wiele innych niespodzianek

28.5. czwartek
wystawa z okazji Jubileuszu
Akademickiego Zespołu Szkół
Ogólnokształcących
w Chorzowie
oraz Roku Juliusza Słowackiego

CIESZYN

MUZEUM
ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO
6.5. środa
Mionszi
fotografie
Vladimira Bichlera
i **Romana Burdy**
czynna do 6 czerwca

PIWNICA MUZEALNA
16.5. sobota
Lapidarium
rzeźby
Maksymiliana Kapalskiego
czynna do końca czerwca

15.5. piątek
NOC MUZEÓW
godz. 19.00-1.00
miejsca wydarzeń:
Muzeum Śląska Cieszyńskiego, Cieszyński Ośrodek Kultury „Dom Narodowy”, Książnica Cieszyńska, Muzeum 4. Pułku Strzelców Podhalańskich, Muzeum Drukarstwa, Muzeum Protestantyzmu, Ochotnicza Straż Pożarna – Bobrek, Ratusz, Śląski Zamek Sztuki i Przedsiębiorczości, Teatr im. A. Mickiewicza

CZĘSTOCHOWA

MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE
RATUSZ
Częstochowa pofabryczna
w obiektywie
Piotra Majchrzaka
czynna do 13 maja

Ratusz Miejski
GALERIA PODDASZE
wystaw fotograficzna
Cztery pory roku

MUZEUM
PIELGRZYMOWANIA
Inna przestrzeń
wystawa w ramach
międzynarodowego sympozjum
z cyklu
Natura-Zapis-Dzieło
Hucisko 2008

Pawilon Wystawowy
w Parku im. S. Staszica
Ogólnopolska Wystawa
Pokonkursowa
Wariacje na temat
Artura Grottera

CHORZÓW

MIEJSKA
GALERIA SZTUKI „MM”
ul. H. Sienkiewicza 3
tel. 249-17-19
www.galeriamm.chorzow.pl

MUZEUM
ul. Powstańców 25, tel. 241-31-04
www.muzeum.chorzow.pl

TEATR ROZRYWKI
ul. M. Konopnickiej 1
tel. 346-19-30
www.teatr-rozrywki.pl

CIESZYN

GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ SZARA
ul. Srebrna 1
tel. 602-64-54-89
www.galeriaszara.pl

MUZEUM
ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO
ul. Regera 6
tel. 033 851-29-32
www.muzeum-cieszyn.ox.pl

TEATR
IM. ADAMA MICKIEWICZA
plac Teatralny 1
tel. 033 858-16-52
www.teatr.cieszyn.art.pl

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI
aleja NMP 64
tel. 034 324-60-57
www.net-galeria.art.pl

MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE
aleja NMP 45 A
tel. 034 360-56-31
www.muzeumczestochowa.pl

TEATR
IM. A. MICKIEWICZA
ul. J. Kilińskiego 15
tel. 034 360-56-50
www.teatr-czestochowa.pl

FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA
ul. Wilsona 16
tel. 034 324-42-30
www.filharmonia.com.pl

DĄBROWA GÓRNICZA

**MUZEUM MIEJSKIE
„SZTYGARKA”**
ul. Legionów Polskich 69
tel. 262-36-95
www.muzeum-dabrowa.pl

PAŁAC KULTURY ZAGŁĘBIA
Pl. Wolności 1, tel. 262-20-63
www.palac.art.pl

GLIWICE

**MUZEUM W GLIWICACH
WILLA CARO**
ul. Dolnych Wałów 8a
tel. 231-08-54
www.muzeum.gliwice.pl

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
ul. Nowy Świat 55/57
tel. 232-13-39
www.teatr.gliwice.pl

JASTRZĘBIE ZDRÓJ

**MIEJSKI
OŚRODEK KULTURY
GALERIA E/CENTRUM**
tel. 473-10-12
www.mokjastrzebie.pl

KATOWICE

**GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA**
al. Korfantego 6
tel. 259-90-40
www.bwa.katowice.pl

GALERIA RONDO SZTUKI
Rondo im. gen. J. Ziętki

GALERIA SZYB WILSON
ul. Oswobodzenia 1
tel. 730-32-20
www.szybwilson.org.pl

**GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY**
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 255-38-06
www.gck.org.pl

**MUZEUM
ARCHIDIECEZJALNE**
Galeria Sztuki Współczesnej
FRA ANGELICO
ul. Wita Stwosza 16
tel. 519-546-023
www.kuria.katowice.pl

DĄBROWA GÓRNICZA

MUZEUM MIEJSKIE

„SZTYGARKA”

„...co jest duszą
i istotą naszych siedlisk”
wystawa prac
Wacława Pileckiego
ze zbiorów rodziny artysty
czynna do 18 grudnia

Zagłębiaka portret własny
wystawa fotograficzna
ze zbiorów Dariusza Kmiołka
czynna do 30 maja

W poszukiwaniu przeszłości...
Po pierwsze strój ludowy
pokonkursowa
wystawa etnograficzna
czynna do końca maja

GLIWICE

MUZEUM WILLA CARO

16.5. sobota
Muzealne skarby po konserwacji
oraz
najnowsze nabytki w zbiorach
Muzeum
czynna do końca maja

NOC MUZEÓW
Magazyn muzealny
Willa Caro, Zamek Piastowski,
Oddział Odlewnictwa Artystycznego
zapraszają 16 maja
od 17.00 do 24.00
w programie m.in.:
wystawa
Od tabakierki do cygarniczki

Wirtualne Muzeum
skanowanie obiektów przestrzen-
nych z wykorzystaniem skanerów 3D

Muzealne zawody:
konserwator zabytków
będzie można z bliska zobaczyć pra-
ce konserwatorskie inkrustowanej
komody a także przywracanie pier-
wotnego wyglądu starym obrazom,
na przykładzie XVII-wiecznych por-
tretów rodziny van Krufft

ZAMEK PIASTOWSKI

Prezentacja multimedialna
Badania archeologiczne
w Gliwicach

Film Grażyny Herich
Górnośląskiej rodziny
portret własny

Kod Zamku Piastowskiego
edukacyjna gra dla młodzieży
i dorosłych

**ODDZIAŁ ODLEWNICTWA
ARTYSTYCZNEGO**
Film
Fer de Berlin
obrazujący proces powstawania
żeliwnych odlewów artystycznych

specjalne prezentacje
– figurki szachowe
unikatowe, żeliwne figurki
szachowe z końca XIX wieku

Multimedialna prezentacja
zdigitalizowanych zabytków
z kolekcji
odlewów artystycznych

KATOWICE

MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE

Vir Dolorum
grafika i rysunek
Szymona Prandziocha
czynna do końca maja

MUZEUM ŚLĄSKIE

„...w holdzie i dani należnej...”
Wojciech Korfanty
(1873-1939)
biografia polityczna
czynna 12 lipca

z cyklu
Mistrzowie śląskiej fotografii
Śląska ballada
fotografie Zbigniewa Sawicza
artysta traktuje fotografię jako spo-
sób wyrażania własnych uczuć i emo-
cji oraz jako ujawnienie tych, które
zawiera fotografowana rzeczywistość.
Przedstawia świat mijający,
ulegający degradacji lub transforma-
cji, a jego fotografie skłaniają do re-
fleksji na temat przyszłości śląskie-
go dziedzictwa



czynna do 12 lipca

Na szkłe malowane.
Marek Idziaszek
25 lat od debiutu
czynna do 3 maja

Śląskie inspiracje krajobrazowe.
Michał Cała i Edward Poloczek
fotografie
czynna do 17 maja

CENTRUM SCENOGRAPHII POLSKIEJ

Leszka Mądzika
Wyobrażone
czynna do 14 czerwca

GALERIA W OKNIE
Kazimierz Mikulski
Teatr lalek po przedstawieniu



1980. wł. Muzeum Śląskie

**NOC MUZEÓW
METROPOLIS**
16 maja
Muzeum Śląskie zaprasza
do trzech lokalizacji:

I. Muzeum Śląskie
godz. 18.00-24.00

w programie m.in.:
Modernizm miast
Górnego Śląska
projekcja filmu Jadwigi Kocur
„Dwugłowy smok”
spotkanie z autorką
i zaproszonymi gośćmi

Moje miasto, moje życie
przegląd filmów amatorskich
z portalu YOUTUBE
poświęconych Górnemu Śląskowi

Koncert
zespołu Wałasi z Istebnej
z Lasoniami z Mikołowa

ponadto...

Przed bioskopem
był fotoplastykon...,
zwiedzanie Pracowni
Konserwacji Zabytków,
prezentacja Działu Archeologii,
zwiedzanie Biblioteki Naukowej
Muzeum Śląskiego,
oraz wszystkich wystaw, w tym
przygotowanych specjalnie:
Miasto
malarstwa nieprofesjonalnego

Górny Śląsk w dawnej fotografii
ze zbiorów Muzeum Śląskiego
w Görlitz oraz Muzeum
w Gliwicach

Na obrzeżach miast
prezentacja fotograficzna obrzeży
miast z ich charakterystyczną
historią, kulturą, tradycją
i obyczajowością

II. Tereny dawnej kopalni
„Katowice”
godz. 15.00-21.30
zwiedzanie terenu dawnej kopalni

Metropolis
koncert zespołu Motion Trio
rezerwacja miejsc – informacje
na www.muzeumslaskie.pl

III. Centrum
Scenografii Polskiej
godz. 18.00-24.00
wystawa
Leszek Mądzik. Wyobrażone
oraz warsztaty ze studentami
i publicznością, w oparciu
o wystawę Leszka Mądzika

MUZEUM HISTORII KATOWIC
Portrecista elit
międzywojennych Katowic
Józef Kidoń (1890-1968)
czynna do 16 maja

NOC MUZEUM
godz. 18.30-1.00
w programie m.in.:
godz. 18.30-20.00
Katowice w centrum przemian
spotkanie z prezydentem Katowice
Piotrem Ushokiem

ROK KORFANTEGO
Wojciech Korfanty w anegdocie
Wokół plebiscytu
quiz historyczny
wystawy:
Pamiętny rok 1919
Karykatury
z okresu międzywojennego

**LATA DWUDZIESTE,
LATA TRZYDZIESTE**
Józef Kidoń – portrecista elit
międzywojennych Katowic
Moda lat 20. i 30.
XX wieku
pokaz strojów i akcesoriów
Fotografia z modelką
zdjęcie z modelką na wnętrzach
mieszczańskich
Charleston – najmodniejszy
taniec okresu międzywojennego
nauka tańca
Józef Kidoń – portrety, pejzaże,
martwe natury

**MAJ MIESIĄC EUROPEJSKICH
NOCY MUZEÓW**
Koncert Voice Band
piosenki
z polskich przedwojennych
kabaretów

MUZEA

MYSŁOWICE

**MUZEUM MIASTA
MYSŁOWICE**
Modelarstwo
miniaturowa historia
efekty 30 lat działalności najznakomitszych polskich modelarzy, obecnych w Mysłowicach

RACIBÓRZ

MUZEUM
8.5. piątek, godz. 11.00
X Jubileuszowa Sesja
Muzealno – Konserwatorska

8.5. piątek, godz. 17.00
Jan Matejko
malarstwo monumentalne
ze zbiorów
Muzeum Narodowego w Krakowie
otwarcie wystawy poprzedzi
wykład
Marty Klak-Ambrożkiewicz

RUDA ŚLĄSKA

MUZEUM MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA
Posągi z Wyspy Wielkanocnej
w fotografii
Jacka Herman-Iżyckiego
ze zbiorów
Państwowego Muzeum
Etnograficznego
w Warszawie

14.5. czwartek, godz. 17.00
Elżbieta i Eugenia
– żony Korfiantych
odczyt Barbary Szmatoch

16.5.-17.5.
NOC W MUZEUM
50 lat Rudy Śląskiej

27.5. środa, godz. 17.00
„Gdyby św. Franciszek był
współczesnym poetą”,
czyli rozmowa o poezji
ks. Jana Twardowskiego
odczyt dr Aleksandry Pethe

RYBNIK

MUZEUM
22.5. piątek, wernisaż
Japonia. Piękno na co dzień

NOC MUZEÓW
22.5. piątek
w programie m.in.:
nauka j. japońskiego
wykład o mieczu japońskim
niespodzianki związane z Japonią
występ kabaretowy

SOSNOWIEC

MUZEUM
5.5. wtorek
Zabytki historyczne
kraju Żilinskiego
ze zbiorów Muzeum w Żilinie
(Republika Słowacka)
do najważniejszych należą zamek
Orawski, architektura ludowa w miejscowości Vlkolinec wpisana na listę UNESCO, liczne ruiny zamków usytuowane malowniczo na wzgórzach, drewniane kościoły jak na przykład w Świętym Krzyżu
czynna do końca maja

8.5. piątek
Tatry na dawnej fotografii
z polskich zbiorów (m.in. Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem, Muzeum Fotografii w Krakowie, Muzeum Etnograficzne w Krakowie, Okręg Śląski ZPAF w Katowicach, zbiory prywatne)
czynna do końca maja

9.5. sobota
Droga do wolności.
Od Legionów Dąbrowskiego
do Legionów Piłsudskiego
malarstwo, grafika i rysunek wzbo-
gacony o militaria, biżuterię, meda-
le i dokumenty
czynna do końca czerwca

15.5. piątek
Droga Słowacji do euro
organizatorem wystawy są: Instytut
Słowacki w Warszawie, Narodowy
Bank Słowacki oraz Mennica
w Kremnicy, działająca nieprzerwa-
nie od 1328 r.
czynna do 25 maja

Dzielnice Sosnowca – Ostrowy
Górnice, Kazimierz Górniczy,
Porąbka, Maczki
czynna do 30 czerwca

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM
Rowerem przez Afrykę.
Śladami Kazimierza Nowaka
fotografie Kazimierza Nowaka
ze zbiorów Arkadego Fiedlera
w Puszczykowie,
Muzeum Miejskiego w Żorach
Muzeum Przyrodniczego PAN
w Krakowie

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE
3.5. niedziela, godz. 15.30
rynek w Starych Tychach,
otwarcie wystawy plenerowej
Tychy w latach
międzywojennych.
W 75. rocznicę nadania Tychom
praw gminy miejskiej
1934-2009

11.5. poniedziałek
Sceny z życia tyszan
w latach międzywojennych
wystawa przygotowywana
w związku z 75. rocznicą nadania
Tychom praw gminy miejskiej
na ekspozycji znajdują się fotografie,
dokumenty oraz eksponaty pokazu-
jące rozwój gminy w latach między-
wojennych oraz obyczaje i życie
codzienne mieszkańców
czynna do 5 września

ZABRZE

MUZEUM GÓRNICWA
WĘGLOWEGO
„4 x Azyl”
wystawa przygotowana przez
członków grupy fotograficznej
Rudzkiego Stowarzyszenia
Inicjatyw Niebanalnych „In-ni”

Ptoki i krzoki
przyroda widziana oczami
śląskich fotografów

MUZEUM MIEJSKIE
Roman Starak.
Mistrz czerni i białych
60-lecie pracy twórczej
i 80 urodziny Artysty
czynna do 10 maja

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE
AmerIndia 2009
rekonstrukcja kultur
prekolumbijskich
projekt realizowany
do końca roku

Klub Spinoza
Inspirujące twarze
wystawa
Anny Bodzek-Sikory

TEATRY

BEDZIN

TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA
9.5. sobota, godz. 16.00
O krasnoludkach
i sierotce Marysi

16.5. sobota, godz. 16.00
Chłopiec z gwiazd

23.5. sobota, godz. 16.00
Zwierzęta doktora Dolittle

30.5. sobota, godz. 16.00
O dziewczynce Katarzynie...

BIELSKO-BIAŁA

TEATR POLSKI

Duża scena
1.5. piątek, godz. 19.00
Szalone nożyczki
5.5. wtorek, godz. 17.00 i 19.00
Mayday

6.5. środa, godz. 17.00 i 19.00
7.5. czwartek, godz. 19.00
Mayday 2

8.5. czwartek, godz. 19.00
Mayday 2 i lista przebojów

10.5. niedziela,
godz. 16.30 i 19.30
Wędrowiec
gościnnie Teatr Narodowy
/Warszawa/

16.5. sobota, godz. 19.00 **premiera!**
17.5. niedziela, godz. 19.00
21.5. czwartek, godz. 19.00
Zemsta
reżyseria
Kazimierz Tarnas

23.5. sobota, godz. 19.00
24.5. niedziela, godz. 19.00
Rewizor

25.5. poniedziałek, godz. 19.00
Róża Małego Księcia
dla Przemka
koncert charytatywny

27.5. środa, godz. 19.00
Testosteron

30.5. sobota, godz. 19.00
Napis

Mała Scena
3.5. niedziela, godz. 19.00
Frida K.

9.5. sobota, godz. 18.00 **premiera!**
10.5. niedziela, godz. 18.00
Oskar i Róża
reżyseria Kuba Abrahamowicz

12.5. wtorek, godz. 19.00
Fabryka sensacji
Proszyk i Spółka

15.5. piątek, godz. 19.00
16.5. sobota, godz. 19.00
Utarczki

28.5. piątek, godz. 19.00
30.5. sobota, godz. 19.00
Kształt rzeczy

31.5. niedziela, godz. 19.00
Żyd

TEATR LALEK BANIALUKA
3.5. niedziela, godz. 11.00
Zielony Wędrowiec

10.5. niedziela, godz. 11.00
Ferdynand Wspaniały

MUZEUM ŚLĄSKIE

al. Korfantego 3
tel. 258-56-61 do 63
www.muzeumslaskie.art.pl

MUZEUM

HISTORII KATOWIC
ul. Ks. J. Szafranka 9
tel. 256-18-10
www.mhk.katowice.pl

TEATR ŚLĄSKI

Rynek 2, tel. 258-72-51
www.teatrslaski.art.pl

TEATR KOREZ

GCK, plac Sejmu Śl. 2
tel. 209-00-88
www.korez.art.pl

ŚLĄSKI TEATR

LALKI I AKTORA
„ATENEUM”
ul. św. Jana 10
tel. 253-82-21
www.ateneum.art.pl

IPIUM „SILESIA”

ul. 3 Maja 31a
tel. 259-84-83
www.silesia.art.pl

FILHARMONIA ŚLĄSKA

ul. Sokolska 2
tel. 258-62-61
www.filharmoniaslaska.art.pl

ESTRADA ŚLĄSKA

ul. T. Kościuszki 88/90
tel. 032 251-93-38
www.estradaslaska.pl

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

pl. Rady Europy 1
tel. 208-37-00
www.bs.katowice.pl

MIEJSKA BIBLIOTEKA

PUBLICZNA
ul. Kossutha 11
tel. 254-60-98
www.mbp.katowice.pl

KINOTEATR RIALTO

ul. św. Jana 24
tel. 251-04-31
www.rialto.katowice.pl

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA
„ŚLĄSK” im. S. HADYNY
ul. Zamkowa 3
tel. 034 310-64-15
www.zespolslask.pl

MIKOŁÓW

**MIEJSKI DOM KULTURY
GALERIA MDK**
Rynek 19, tel. 226-21-47
www.mdkmikolow.eu

MYSŁOWICE

**MUZEUM MIASTA
MYSŁOWICE**
ul. Stadionowa 7a
tel. 222-36-12 w. 51
www.muzeummyslowic.pl

RACIBÓRZ

MUZEUM W RACIBORZU
ul. Rzeźnicza 15, tel. 415-49-01
www.muzeum.raciborz.pl

RUDA ŚLĄSKA

**MUZEUM MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA**
ul. Wolności 26, tel. 248-44-57

RYBNIK

**RYBNICKIE
CENTRUM KULTURY**
ul. Saint Vallier 1, tel. 42-22-132
www.kultura.rybnik.pl

MUZEUM W RYBNIKU
Rynek 18, tel. 422-14-23
www.muzeum.rybnik.pl

SOSNOWIEC

**SOSNOWIECKIE
CENTRUM SZTUKI
ZAMEK SIELECKI**
ul. Zamkowa 2
tel. 266-38-42
www.zameksielecki.pl

MUZEUM
ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70
www.muzeum.org.pl

TEATR ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4, tel. 266-04-94
www.teatrzaglebja.pl

**MIEJSKI KLUB
IM. JANA KIEPURY**
ul. Będzińska 6, tel. 291-39-48
www.kiepura.pl

17.5. niedziela, godz. 11.00
Sklep z zabawkami

24.5. niedziela, godz. 11.00
31.5. niedziela, godz. 11.00
Czerwony Kapturek

BYTOM

OPERA ŚLĄSKA

9.5. sobota, godz. 18.00
Faust

10.5. niedziela, godz. 18.00
Wielka sława – nie żart
...Aleksander Teliga – gwiazda
mediolańskiej La Scali
Koncert Jubileuszowy
25-lecia pracy artystycznej

16.5. sobota, godz. 18.00
Aida

17.5. niedziela, godz. 11.00
Sala im. A. Didura
Salon Poezji i Muzyki
Anny Dymnej

17.5. niedziela, godz. 18.00
Carmen

23.5. sobota, godz. 18.00
24.5. niedziela, godz. 18.00
koncert
Twoim jest serce me

30.5. sobota, godz. 18.00 **premiera!**
31.5. niedziela, godz. 18.00
premiera!
Manru

Ignacego Jana Paderewskiego
kier. muzyczne Tadeusz Serafin
reżyseria Laco Adamik
scenografia Milan David
kostiumy Jana Hauskrechtova
choreog. K. Aleksander-Kmieć
kier. chóru A. Tarnowska

ŚLĄSKI TEATR TAŃCA
8.5. piątek, godz. 19.00
22.5. piątek, godz. 19.00
Kroniki Sąsiedzkie

22.5.-24.5.
Ogólnopolskie warsztaty
tańca współczesnego

CHORZÓW

TEATR ROZRYWKI

5.5. wtorek, godz. 19.00
6.5. środa, godz. 16.00 i 19.00
7.5. czwartek, godz. 16.00 i 19.00
Jesus Christ superstar

9.5. sobota, godz. 19.00
10.5. niedziela, godz. 19.00
Terapia Jonasza

11.5. poniedziałek, godz. 19.00
Szczęśliwy dzień
Teatr Capitol /Warszawa/

14.5. czwartek, godz. 18.30
15.5. piątek, godz. 18.30
16.5. sobota, godz. 18.30
Skrzypek na dachu

17.5. niedziela, godz. 17.00 i 19.30
Napis
Teatr Współczesny /Warszawa/

19.5. wtorek, godz. 19.00
20.5. środa, godz. 19.00
21.5. czwartek, godz. 19.00
22.5. piątek, godz. 19.00
West side story

24.5. niedziela, godz. 19.00
Tango Piazzolla
Teatr im. J. Słowackiego
/Kraków/

25.5. poniedziałek, godz. 19.00
Dzisiaj wielki „Ruch”
w „Rozrywce”

gośćmi Krzysztofa Karwata będą m.in.:
prof. Jerzy Buzek, Gerard Cieślak,
Antoni Piechniczek, prof. Tadeusz
Sławek oraz Katarzyna Sobstyl –
prezes Spółki Akcyjnej Ruch Chorzów,
Miroslaw Mosór, Mariusz Klimek,
wystąpią m.in.: wirtuozi akordeonu
M. Andrysek i D. Lis oraz śląska
grupa bluesowa Koala Band

26.5. wtorek, godz. 19.00
Zobacz Alicjo

28.5. czwartek, godz. 19.00
Gala Internationaler Balletstars
Grupa Baletowa
M & Company

30.5. sobota, godz. 17.00
31.5. niedziela, godz. 17.00
Oliver!

Mała Scena
7.5. czwartek, godz. 19.30
Maszynopis
Grupa Teatralna „Bez Paniki”

8.5. piątek, godz. 19.30
9.5. sobota, godz. 16.00
10.5. niedziela, godz. 16.00
Pomalu, a jeszcze raz!

16.5. sobota, godz. 20.00
17.5. niedziela, godz. 19.00
Artur Gotz
Uspokojenie przyjemne
piosenki aktorskie i kabaretowe

20.5. środa, godz. 19.30
21.5. czwartek, godz. 19.30
Głodnie
Grupa Rozczyny

29.5. piątek, godz. 19.30
Akcja literacka
Gość: Tadeusz Sławek

CIESZYN

TEATR IM. A. MICKIEWICZA

13.5. środa, godz. 18.00
Viva Verdi
Scena Polska
Teatru w Czeskim Cieszynie

CZĘSTOCHOWA

TEATR IM. A. MICKIEWICZA

Duża scena
2.5. sobota, godz. 19.00
Mayday

3.5. niedziela, godz. 19.00
Mayday 2
Teatr Polski /Bielsko-Biała/

9.5. sobota, godz. 19.00
10.5. niedziela, godz. 19.00
12.5. wtorek, godz. 19.00
Jeszcze jeden do pnli?!

13.5. środa, godz. 18.00
14.5. czwartek, godz. 19.00
Patrz, słońce zachodzi

16.5. sobota, godz. 19.00
Kaczo, byczo, indyczo
Teatr im. L. Solskiego
/Tarnów/

17.5. niedziela, godz. 19.00
20.5. środa, godz. 18.00
Pierwszy raz

Scena kameralna
8.5. piątek, godz. 17.00 i 19.00
24.5. niedziela, godz. 19.00
Alibi

22.5. piątek, godz. 19.00
23.5. sobota, godz. 19.00
Nocną porą

GLIWICE

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY

2.5. sobota, godz. 18.30
Księżniczka czardasza

3.5. niedziela, godz. 17.00
Wiosenna serenada
koncert
Gliwickiej Orkiestry Kameralnej

8.5. piątek, godz. 18.30
9.5. sobota, godz. 18.30
10.5. niedziela, godz. 18.00
Orfeusz w piekle

XX GLIWICKIE SPOTKANIA TEATRALNE

11.5. poniedziałek, godz. 19.00
wernisaż
foyer GTM
Niech szczepną artyści...
wystawa twórczości Tadeusza Kantora

Nurt
INSPIRACJE – POKAZY
MISTRZOWSKIE
Ruiny Teatru Miejskiego
Wieczór I – Jacek Głomb
12.5. wtorek, godz. 19.00
Operacja „Dunaj”
Teatr im. H. Modrzejewskiej
/Legnica/

Wieczór II – Piotr Tomaszuk
13.5. środa, godz. 19.00
Marat-Sade
Teatr Wierszalin /Supraśl/

Wieczór III – Andrzej Dziuk
14.5. czwartek, godz. 19.00
Barabas (próba zapisu)
Teatr im. St. I. Witkiewicza
/Zakopane/

Nurt WIZJE/ KREACJE
15.5. piątek, godz. 19.00
GTM
Amatorki
Teatr Polski /Poznań/

16.5. sobota, godz. 17.00 i 19.30
GTM
Słoneczni chłopcy
Teatr Powszechny /Warszawa/

17.5. niedziela, godz. 16.30
Ruiny Teatru Miejskiego
Brygada szlifierza Karhana

godz. 19.00
GTM
Król umiera, czyli ceremonie
Narodowy Stary Teatr /Kraków/

18.5. poniedziałek, godz. 17.00
Ruiny Teatru Miejskiego
Wielkie monologi
Jerzy Trela
spotkanie z aktorem

godz. 19.00, **GTM**
Grube ryby
Teatr Polonia /Warszawa/

NOCNA SCENA MUZYCZNA
XX GST
15.5. piątek, godz. 22.00
Ruiny Teatru Miejskiego
Maria-Awaria
koncert Marii Peszek

godz. 24.00
Dawna Fabryka Drutu
Miasto
koncert zespołu „Kormorany”

TEATRY

Dawna Fabryka Druku
16.5. sobota, godz. 22.00
Koncert zespołu **Pustaki**

17.5. niedziela, godz. 22.00
Koncert zespołu
Mikromusic

Scena Szapito
Park Chopina w Gliwicach
15.5. piątek, godz. 21.00
Obsession (Posedlost)
Teatr Décalages /Praga, Czechy/

16.5. sobota, godz. 20.00
To nie jest kraj dla wielkich ludzi
Teatr Montownia /Warszawa/

17.5. niedziela, godz. 22.00
Baldanders
Teatr Kompania Doomsday /Białystok/

SPEKTAKLE ULICZNE:

15.5. piątek, godz. 16.00
Al. Przyjaźni w Gliwicach
16.5. sobota, godz. 12.00
pod Zamkiem Piastowskim
Lament na placu Konstytucji
Teatr Polonia /Warszawa/

16.5. sobota, godz. 22.00
plac Krakowski
Czas matek
Teatr Ośmego Dnia /Poznań/

16.5. sobota, godz. 18.00
Rynek
17.5. niedziela, godz. 12.00
przy Ruinach Teatru Miejskiego
Bokser i Balerina
Dansk Rakkerpak
/Kopenhaga, Dania/

16.5. sobota, godz. 17.00
Chodnik 05

22.5. piątek, godz. 18.30
23.5. sobota, godz. 18.30
24.5. niedziela, godz. 18.00
Hello, Dolly!

24.5. niedziela, godz. 12.00
XLI Krakowski Salon Poezji
Poezja Ignacego Krasickiego

29.5. piątek, godz. 18.00
Gliwiczanie – Gliwiczanom
koncert

30.5. sobota, godz. 18.30
31.5. niedziela, godz. 18.00
Wiedeńska krew

KATOWICE

TEATR ŚLĄSKI

Duża Scena
2.5. sobota, godz. 19.00
3.5. niedziela, godz. 19.00
Mayday 2

10.5. niedziela, godz. 18.00
Dwaj panowie B
gościnnie Teatr Ludowy /Lwów/

11.5. poniedziałek, godz. 18.00
Wesoła wdówka
gościnnie Opera Śląska /Bytom/

14.5. czwartek, godz. 19.00
15.5. piątek, godz. 19.00
Wieczór kawalerski

16.5. sobota, godz. 19.00
Polterabend

17.5. niedziela, godz. 19.00
Malavita
gościnnie
Teatr im. J. Słowackiego /Kraków/

21.5. czwartek, godz. 19.00
22.5. piątek, godz. 19.00
23.5. sobota, godz. 19.00
24.5. niedziela, godz. 19.00
Poskromienie złoŃnicy

18.5. poniedziałek, godz. 18.00
Aida
gościnnie Opera Śląska /Bytom/

29.5. piątek, godz. 19.00 **premiera!**
30.5. sobota, godz. 19.00
31.5. niedziela, godz. 19.00
Zbrodnia i kara
adaptacja, reżyseria
Krzysztof Babicki
scenografia Marek Braun
kostiumy Barbara Wołoskiuk
muzyka Marek Kuczewski

Scena kameralna
1.5. piątek, godz. 18.30
6.5. środa, godz. 18.30
7.5. czwartek, godz. 18.30
29.5. piątek, godz. 18.30
31.5. niedziela, godz. 12.00
Barbara Radziwiłłówna
z Jaworzna-Szczakowej

12.5. wtorek, godz. 18.30
13.5. środa, godz. 18.30
14.5. czwartek, godz. 18.30
Dyplom Studium Aktorskiego

15.5. piątek, godz. 18.30
16.5. sobota, godz. 18.30
17.5. niedziela, godz. 18.30
Sinobrody – nadzieja kobiet

22.5. piątek, godz. 18.30
recital
Barbary Lubos-Święs

Scena w Malarni
8.5. piątek, godz. 19.00
9.5. sobota, godz. 19.00
10.5. niedziela, godz. 19.00
Mleczarnia

12.5. wtorek, godz. 19.00
13.5. środa, godz. 19.00
14.5. czwartek, godz. 19.00
Mateczka

TEATR KOREZ

4.5. poniedziałek, godz. 19.00
18.5. poniedziałek, godz. 19.00
31.5. niedziela, godz. 12.00
Cholonek wg Janoscha

9.5. sobota, godz. 19.00
17.5. niedziela, godz. 20.00
29.5. piątek, godz. 19.00
Kolega Mela Gibsona

10.5. niedziela, godz. 20.00
Kwartet dla 4 aktorów

11.5. poniedziałek, godz. 19.00
Dietrich i Leander

14.5. czwartek, godz. 19.00
Scenariusz dla 3 aktorów

15.5. piątek, godz. 19.00
Koncert
kwartetu smyczkowego
Altra Volta
wraz z Katarzyną Plutą
oraz przyjaciółmi

16.-29.5. godz. 14.00
Festiwal Filmów Kultowych

23.5. sobota, godz. 18.00
W każdym wieku
na wieczór teatralny
zaprasza Grzegorz Noras,
opiekun Teatru Bezscenni

godz. 20.00
Babcia
Teatr Bezscenni

24.5. niedziela, godz. 20.00
Świat w obłokach
recital Barbary Lubos-Święs

27.5. środa, godz. 18.00
Kabaret Hrabci (goście)
Kabaret Długi (gospodarze)

30.5. sobota, godz. 19.00
Sztuka

ŚLĄSKI TEATR LALKI
I AKTORA ATENEUM
Scena Ateneum
2.5. sobota, godz. 16.00
O smoku Grubeloku

3.5. niedziela, godz. 16.00
Klonowi bracia

9.5. sobota, godz. 16.00
Piękna i bestia

16.5. sobota, godz. 16.00
30.5. sobota, godz. 16.00
O Czerwonym Kapturku...

17.5. niedziela, godz. 16.00
Wesołe historie

23.5. sobota, godz. 16.00 **premiera!**
25.4. sobota, godz. 16.00
31.5. niedziela, godz. 16.00
Jak pingwiny Arką popłynęły
reżyseria Petr Nosálek
scenografia Pavel Hubička
muzyka Krzysztof Dzienna

Galeria Ateneum
19.5. wtorek, godz. 16.00 i 20.00
Mocodrámy
Bábkové divadlo na Rázcestí
Bańska Bystrzyca /Słowacja/

30.5. sobota, godz. 11.30
Pchla Szachrajka

RYBNIK

TEATR ZIEMI RYBNICKIEJ

25.5. poniedziałek,
godz. 17.00 i 20.15
Sceny dla dorosłych...
Teatr Bajka /Warszawa/

27.5. środa, godz. 18.30
Twoim jest serce me
koncert z okazji Dnia Matki

SOSNOWIEC

TEATR ZAGŁĘBIA

1.5. piątek, godz. 19.00
Wiedeńskie przechadzki
gościnnie Gliwicki Teatr Muzyczny

2.5. sobota, godz. 18.00
Żyd
gościnnie Teatr Polski /Bielsko-Biała/

3.5. niedziela, godz. 18.00
Sztuka
gościnnie Teatr Korez /Katowice/

10.5. niedziela, godz. 18.00
premiera!
23.5. sobota, godz. 18.00
Wesołe kumoszki z Windsoru
reżyseria Katarzyna Deszcz
scenografia Andrzej Sadowski
kostiumy Anna Sekuła

17.5. niedziela, godz. 18.00
Czyż nie dobija się koni?

21.5. czwartek, godz. 19.00
28.5. czwartek, godz. 19.00
Stosunki na szczycie

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM

Rynek 1, tel. 285-26-07
www.muzeumtg.art.pl

TARNOGÓRSKIE
CENTRUM KULTURY
TEATR ZŁ

ul. Sobieskiego 7
tel. 285-27-34
www.tck.net.pl

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE

ul. Katowicka 9
tel. 327-18-20

TEATR MAŁY
GALERIA OBOK

ul. kard. A. Hłonda 1
tel. 227-20-67
www.teatrmały.tychy.art.pl

ZABRZE

TEATR NOWY

pl. Teatralny 1
tel. 271-32-56
www.teatrnowywwzabrzu.art.pl

FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA

ul. Wolności 325
tel./fax 271-47-17
www.filharmonia.zabrze.pl

DOM
MUZYKI I TAŃCA
ul. Gen. de Gaulle'a 17
tel. 271-56-41 w. 47
www.dmit.com.pl

MUZEUM GÓRNICTWA
WĘGLOWEGO

ul. 3 Maja 19
tel. 271-88-31
www.muzeumgornictwa.pl

MUZEUM MIEJSKIE

ul. 3 Maja 91
tel. 271-56-89
www.muzeum-miejskie-zabrze.pl

ZORY

MUZEUM MIEJSKIE
ul. Dolne Przedmieście 1
tel. 434-48-82
www.muzeum.zory.pl

22.5. piątek, godz. 19.00
Sztuka kochania...

24.5. niedziela, godz. 18.00
Niech żyje bal

29.5. piątek, godz. 19.00
Biznes

30.5. sobota, godz. 18.00
Miłość – to takie proste

TYCHY

TEATR MAŁY

5.5. wtorek, godz. 18.30
Najpiękniejsze
arie operetkowe
koncert Tria Polonia

8.5. piątek, godz. 18.00
Psychodancing
projekt koncertowy
Macieja Maleńczuka

10.5. niedziela, godz. 19.00
Szwajk
w roli tytułowej Grzegorz Halama
Teatr Polski /Bielsko-Biała/

14.5. czwartek, godz. 19.00
Kabaret Młodych Panów

20.5. środa, godz. 19.00
Kopciuszek i krasnoludki
przedstawienie charytatywne

22.5. piątek, godz. 16.30
Nadanie im. Rodziny Kossaków
MDK nr 1

25.5. poniedziałek, godz. 18.00
Dzieci mamom
koncert z okazji Dnia Matki

28.5. czwartek, godz. 19.00
Stare Dobre Małżeństwo
koncert

ZABRZE

TEATR NOWY

2.5. sobota, godz. 18.00
8.5. piątek, godz. 19.00
Wszystko o kobietach...

3.5. niedziela, godz. 18.00
Podwójna rezerwacja

9.5. sobota, godz. 19.00
10.5. niedziela, godz. 18.00
21.5. czwartek, godz. 19.00
Modliszka

15.5. piątek, godz. 19.00
Mój boski rozwód

16.5. sobota, godz. 18.00
Niech żyje bal
gościnnie Teatr Zagłębia /Sosnowiec/

17.5. niedziela, godz. 18.00
Bardzo zwyczajna historia

22.5. piątek, godz. 19.00
23.5. sobota, godz. 18.00
30.5. sobota, godz. 18.00
Brzydal

24.5. niedziela, godz. 18.00
Tutam

29.5. piątek, godz. 19.00 premiera!
Oskar i Róża
reżyseria Marek Pasieczny
scenografia Łukasz Pokrywka

31.5. niedziela, godz. 14.00
Bajkowa niedziela
godz. 16.00
Krucytryk czyli przedziwne
śląskie powiarki

BIELSKO-BIAŁA

Muzyka na Zamku

11.5. poniedziałek, godz. 18.00
Salon Muzyczny
Bielskiego Zamku
Koncert
wystąpi: Francuski duet
fortepianowy (na 4 ręce)
Mark-Fred
Frédéric Chauvel
i Mark Solé-Léris
w programie: F. Mendelssohn,
E. Grieg, F. Liszt

CZĘSTOCHOWA

FILHARMONIA

CZĘSTOCHOWSKA

6.5. środa, godz. 19.00
Koncert na zakończenie
19. Międzynarodowego
Festiwalu Muzyki Sakralnej
„Gaude Mater”
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Częstochowskiej,
Chór Opery i Filharmonii
Podlaskiej, Chłopięcy Chór
Katedralny Pueri Cantores
Tarnovienses,
Tomasz Bugaj – dyrygent
wystąpią: B. Harasimowicz,
E. Marciniak, R. Minkiewicz,
R. Gierlach
w programie:
F. Mendelssohn-Bartholdy
-Paulus

22.5. piątek

Koncert

Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Częstochowskiej
M. Nałęcz-Niesiołowski
– dyrygent

26.5. wtorek, godz. 19.00
Koncert dla mamy
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Częstochowskiej
Jerzy Kosek – dyrygent
Andrzej Sikorowski
i Maja Sikorowska

28.5. czwartek, godz. 18.00
Jubileusz 30-lecia Zespołu
Tancecznego „Splot”

KATOWICE

NOSPR

29.5. piątek, godz. 17.00
kościół św. Piotra i Pawła
Koncert z okazji 250. rocznicy
śmierci G.F. Händla
Helmuth Rilling – dyrygent
solisci: Carolina Ullrich,
Anja Schlosser,
Maximilian Schmitt,
Gächinger Kantorei
Zespół Śpiewaków Miasta
Katowice Camerata Silesia
w programie:
G.F. Händel – Mesjasz

30.5. sobota

Koncert

Helmuth Rilling – dyrygent
solisci: Carolina Ullrich,
Anja Schlosser,
Maximilian Schmitt,
Gächinger Kantorei
Zespół Śpiewaków Miasta
Katowice Camerata Silesia
w programie: utwory J. S. Bacha

FILHARMONIA ŚLĄSKA

2.5. sobota, godz. 20.00

Biblioteka Śląska

Nadzwyczajny koncert
okolicznościowy z okazji
5. rocznicy wstąpienia
do Unii Europejskiej

Koncert jest jednocześnie
inauguracją

Dni Województwa Śląskiego
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Śląskiej
Chór Filharmonii Śląskiej
Massimiliano Caldi – dyrygent
Ewa Dřizgová – sopran
Jolanta Nicolai – alt
Adam Sobierajski – tenor
Martin Gurbal – bas

8.5. piątek, godz. 19.00
Maestro z Waszyngtonu
Orkiestra Symfoniczna FŚl.
Piotr Gajewski – dyrygent
dyrektor artystyczny

Washington National Philharmonic
Anna Górecka – fortepian

15.5. piątek, godz. 19.00
Arcydziela w mistrzowskich
interpretacjach
Orkiestra Symfoniczna FŚl.
M.J. Błaszczuk – dyrygent
Piotr Pławner – skrzypce

18.5. poniedziałek, godz. 19.00
Sosnowiec, Klub im. J. Kiepury
Śląska Orkiestra Kameralna
Massimiliano Caldi – dyrygent
J. Gwizdon – wiolonczela
S. Rysanov – wiolonczela

19.5. wtorek, godz. 19.00
Giszowiec
Dom Kultury
Filharmonia Śląska
dla Giszowca
Śląska Orkiestra Kameralna
Massimiliano Caldi – dyrygent

22.5. piątek, godz. 19.00
Wielkie dzieła,
wielcy wykonawcy
Orkiestra Symfoniczna i Chór FŚl.
Marek Pijarowski – dyrygent
Łukasz Długosz – flet

26.5. wtorek, godz. 19.00
Koncert dla mamy
Duct fortepianowy
A. Zieliński & S. Deja
K. Głoszkowska – wiolonczela

28.5. czwartek,
godz. 11.00 i 17.00
29.5. piątek, godz. 10.00 i 12.00
Międzynarodowy Dzień Dziecka
w Filharmonii Śląskiej
Orkiestra Symfoniczna FŚl.
Stanisław Winiarczyk – dyrygent
Wojciech Gwiszcz – dyrygent

30.5. sobota, godz. 18.00
Zakończenie sezonu
artystycznego
Śląskiej Orkiestry Kameralnej
Śląska Orkiestra Kameralna
Massimiliano Caldi – dyrygent
Stanisław Daniel Kotliński
– baryton

IPiUM SILESIA
Festiwal Moniuszkowski
– w 190. rocznicę urodzin
Kompozytora

4.5. poniedziałek, godz. 17.00
Świętochłowice,
Muzeum Miejskie
Po nocnej rosie
płyn dźwięczny głosie
wystąpią:

K. Haras, S. Haras, R. Marat

5.5. wtorek, godz. 17.00
Ligota, MBP Filia nr 32
Leć pieśni
wystąpią:
M. Growiec, S. Haras, R. Marat

6.5. środa, godz. 18.00

Studio Koncertowe PR
Szkice do opery
S. Moniuszko Straszny Dwór
wystąpią:
A. Noworzyn, A. Borucka,
M. Komandera,
M. Bartczak, B. Maliszewski,
B. Araszkiewicz

12.5. wtorek, godz. 17.00
Biblioteka Śląska
Szkice do opery
S. Moniuszko Halka
wystąpią: M. Zientek,
M. Komandera, M. Bartczak

13.5. środa, godz. 18.00
Giszowiec, MDK Filia nr 2
Znasz li ten kraj
wystąpią: M. Zientek,
M. Komandera

17.5. niedziela, godz. 17.00
MDK Koszutka
Ballady i romanse
wystąpią:
J. Bachowska, M. Bartczak

18.5. poniedziałek, godz. 18.00
Galeria Ateneum
Polska pieśń artystyczna
wystąpią:
A. Noworzyn, A. Borucka

18.5. poniedziałek, godz. 18.00
Siemianowickie Centrum Kultury
Ze śpiewników domowych
wystąpią:
K. Haras, S. Haras

21.5. czwartek, godz. 18.00
Załęże, Gimnazjum nr 7
Dziad i baba
wystąpią: K. Haras, S. Haras

godz. 18.00
Muzeum Archidiecezjalne
Pieśń sakralna
wystąpią:
E. Grodzka-Łopuszyńska,
P. Rachocki, B. Maliszewski

26.5. wtorek, godz. 17.00
Biblioteka Śląska
Z przymrużeniem oka
wystąpią: Justyna Bachowska,
E. Grodzka-Łopuszyńska,
A. Kobierska, P. Rachocki,
B. Maliszewski

Blżej Chopina
Koncert w ramach przygotowań
do Roku Chopinowskiego 2010
14.5. czwartek, godz. 15.00
Chorzów, PSM
19.5. wtorek, godz. 17.00
Wodzisław Śląski, PSM
Oryginal i transkrypcja
wystąpią:
A. Światała, M. Bartczak

20.5. środa, godz. 19.00
Sala Koncertowa AM
Chopin z operą w tle
wystąpią:
E. Stefańska, J. Ławrynowicz,
A. Lizer-Molitoris,
A. Krzeszowiec

Pozostałe koncerty
7.5. czwartek, godz. 18.00
Sala Koncertowa AM
„alla polacca”
wystąpią:
Zespół Muzyki Dawnej (Kolonja),
I. Leśniowska,
P. Kilarska, S. Gojny,
R. Vanryne, H. Faust-Peters

MUZYKA

12.5. wtorek, godz. 17.00
MDK Koszutka
Silesia prezentuje
wystąpią:
M. Szymicka, W. Sablik

17.5. niedziela, godz. 17.30
Panewniki, Bazylika
Muzyka w Bazylice
Orkiestra Barokowa Akademii
Muzycznej

KOSZĘCIN
ZESPÓŁ PIĘŚNI I TANCA
„ŚLĄSK”
3.5. niedziela, godz. 10.30
Katowice, Katedra
Koncert okolicznościowy

28.5. czwartek, godz. 19.30
Podlesice, Ostaniec
30.5. sobota, godz. 18.00
Koszęcin
31.5. niedziela, godz. 18.00
Koszęcin
A to Polska właśnie

31.5. niedziela, godz. 12.00
Piekary Śląskie, Parafia NMP
Bogurodzica

ZABRZE
FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA
8.5. piątek, godz. 18.00
Wielkie przeboje
wielkiego ekranu
Koncert muzyki filmowej
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Zabrzeńskiej
S. Chrzanowski – dyrygent
Stanisław Janicki – słowo

15.5. piątek, godz. 17.00
Musica humana
koncert absolwentów
zabrzańskich szkół muzycznych
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Zabrzeńskiej
S. Chrzanowski – dyrygent

22.5. piątek, godz. 18.00
Koncert symfoniczny
Con fuoco!
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Zabrzeńskiej
J. Wawrowski – skrzypce
M. J. Błaszczak – dyrygent

DOM MUZYKI I TAŃCA
15.5. piątek, godz. 18.00
XX Lat Polskiej Demokracji
koncert
z okazji 20-lecia transformacji
naszego ustroju,
z udziałem Lecha Wałęsy,
a także Krystyny Jandy
i Bogusława Sobczuka
i Soyka Sextet

16.5. sobota, godz. 16.00
17.5. niedziela,
godz. 15.00 i 18.30
Dzień Matki z TVP Katowice

25.5. poniedziałek, godz. 19.00
Koncert grupy Pod Budą

28.5. czwartek, godz. 19.00
Festiwal Muzyki Improvizowanej
Salif Keita
i Kapela ze Wsi Warszawa

ZAPROSZENIA

BIELSKO-BIAŁA
Zamek
Stare kino w starym zamku
12.5. wtorek, godz. 17.00
Wielkie sceny w wielkich filmach
spotkanie z S. Janickim

CZĘSTOCHOWA
GALERIA
TEATR FROM POLAND
1.5. piątek
ETNO*C
Wieczór bałkańsko-słowiański

8.5. piątek, godz. 20.00
Natural Traszysz

9.5. sobota, godz. 19.00
koncert zespołu NELL

15.5. piątek, godz. 19.00
KAT & Roman Kostrzewski
koncert

27.5.-5.6.
Free Art Fest from Poland'09
Festiwal Sztuki Niezależnej

DĄBROWA GÓRNICZA
PALAC KULTURY ZAGŁĘBIA
9.5. sobota, godz. 17.00, 20.00
Kabaret Moralnego Niepokoju
Trasasasa

24.5. niedziela, godz. 18.00
Broadway, Broadway
utwory ze znanych filmów i musicali

KATOWICE
ESTRADA ŚLĄSKA
3.5. niedziela
KATOWICKA MAJÓWKA
Park im. Tadeusza Kościuszki

godz. 15.00
Mirosław Jędrowski z zespołem

godz. 16.30
Kapela góralska „Baciarka”

godz. 17.30
Kabaret OT.TO

31.5. niedziela
WIELKI PIKNIK DZIECI
MIASTA KATOWICE
Muchowiec

godz. 15.00
Barwy Europy
koncert zespołu Tysiąclatki

godz. 16.15
Na straganie Pana Brzechwy

godz. 18.00
Przeróżne piosenki dla dzieci
małych i większych,
wszystkie a cappella
zespół wokalny Avocado

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
6.5. środa, godz. 17.00
Kawiarenka Kulturalno-Literacka
Hymny narodowe krajów
niemieckojęzycznych jako
przykład więzi kulturowej
między narodami
dr Magdalena Żyłko-Groele

20.5. środa, Benedyktynka,
godz. 17.00
Salon Literacki Michała Jagielly
spotkanie z J. Pomianowskim

MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
Mistrz słowa
prowadzenie Marta Fox
25.5. poniedziałek, godz. 18.00
Filia nr 14, Tysiąclecie
Henryk Kaźmierczak
poeta, muzyk, globtroter

KINOTEATR RIALTO
Cyfrowy Planete
Doc Review
8.5. piątek, godz. 18.00
Zaróbmy jeszcze więcej
reż. E. Wagenfoher, 2008 r.

godz. 20.00
Kultura remixu
reż. B. Gaylor, 2008 r.

9.5. sobota, godz. 14.00
Big John
– **Zapaśnik po norwesku**
reż. H. Bustnes, 2008 r.

godz. 16.00
7915 km
reż. N. Geyrhalter, 2008 r.

godz. 18.00
Wiek głupoty
reż. F. Armstrong, 2009 r.

10.5. niedziela, godz. 14.00
Królik po berlińsku + aktorzy
reż. B. Konopka/T. Wolski, 2009 r.

godz. 18.00
Yes-meni naprawiają świat
reż. A. Bichlbaum 2008 r.

godz. 20.00
Słupy Los
reż. L. Walker, 2006 r.

MIKOŁÓW
MIEJSKI DOM KULTURY
2.5. sobota, godz. 19.00
Harmonia i jej goście
koncert

12.5. wtorek, godz. 18.00
Galeria 33
Leszek Szczasny
Podróżuję autostopem
cz. I: Turcja

19.5. wtorek, godz. 19.00
Kabaret Grupa MoCarta

30.5.-31.5.
Dzień Dziecka 2009

SOSNOWIEC
MIEJSKI KLUB IM. J. KIEPURY
4.5. poniedziałek, godz. 19.00
koncert
Anny Serafińskiej

13.5.-16.5.
I Europejski Konkurs Tenorów
im. Jana Kiepury

ART CAFE MUZA
9.5. sobota, godz. 19.00
Marcin Daniec

I Miesiąc Kultury Słowackiej
Muzeum w Sosnowcu
i Art Cafe Muza
4.5. poniedziałek, godz. 14.00
Muzeum

Słowackie mity
w literaturze i sztuce
dr Lucyna Spyryka

godz. 18.00
Art Cafe Muza
Słowackie góry w obiektywie
prezentacja multimedialna
Stanisław Czekalski

godz. 18.00
Muzeum
wykład
Tatrzańska flora i fauna
Krzysztof Czesak

12.5. wtorek, godz. 19.00
Art Cafe Muza
Wieczór poezji słowackiej
z udziałem Mariana Milcaka
i Valerija Kupki
prowadzenie:
F. Nastulczyk – poeta, tłumacz
poezji słowackiej

14.5. czwartek, godz. 16.00
Muzeum
wernisaż wystawy
Droga Słowacji do euro
wykład
Słowacja w strefie euro
Ivan Horsky, Konsul Generalny
Republiki Słowackiej w Krakowie

godz. 17.30, Art Cafe Muza
Słowacka grupa jazzowa
AMC TRIO

wernisaż wystawy
Karykatury Ivana Bajy
degustacja kuchni słowackiej

21.5. czwartek, godz. 15.00
Muzeum
Zapomniane rzemiosło
pokaz wyrobu przedmiotów
i ozdób z drutu
Zofia Iwanuszkova
/Czeski Cieszyń/

27.5. środa, godz. 19.00
Art Cafe Muza
wykład
Opowieść o Andy Warholu
Aneta Ozorek

28.5. czwartek, godz. 16.00
Muzeum
wykład
Tatry Słowackie na dawnej
fotografii
Kazimierz Gajewski

ZABRZE
DOM MUZYKI I TAŃCA
5.5. wtorek, godz. 18.00
kabarety
Paranienormalni i Neo-Nówka

9.5.-10.5. godz. 10.00-20.00
Eliminacje do programu
Mam Talent

30.5. sobota, godz. 18.00
Magiczny Świat Iluzji
wystąpią światowej sławy
iluzjoniści:
Maciej Pol, Don Carlos,
Arex Show

31.5. niedziela, godz. 17.00
Kabaret Ani Mru Mru

Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „ŚLĄSK” – Wojewódzki Informator kulturalny

Wydawca: Górnosławskie Towarzystwo Literackie w Katowicach • Informacje wraz ze zdjęciami (do 2 fotografii) prosimy przysyłać do 15. każdego miesiąca • Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i nie ponosi odpowiedzialności za zmiany w repertuarach. Tel./fax 206-82-71 (wtorki, godz. 11.00-14.00) • e-mail: slask@neostrada.pl, wikslask@poczta.onet.pl

Grają od ... 110 lat!

Zagłębie Dąbrowskie właściwie nie ma dziś – jak Śląsk – swoich dawnych, górniczych orkiestr dętych. Nie ma kopalni – nie ma orkiestr. Bodaj jedyna zachowała się w Czeladzi – niegdyś była orkiestrą kopalni „Saturn”. Mimo to muzycy pozostali wierni górniczemu mundurom galowym, czerwonym pióropuszą i tradycji górniczej – zawsze w Barbórkę koncertują od wczesnego rana w dzielnicach miasta.

Najstarszy muzyk tej orkiestry ma 88 lat – to pan Edward Koczerba. Od kilku lat nie chodzi na próby, bo już wiek podeszły, a po drugie jak mówi, już nie ma takich orkiestr jak kiedyś. Zaczynał mając 13 lat w strażackiej orkiestrze dętej w Czeladzi. Był na tyle dobry, że szybko awansował do liczącej się wtedy orkiestry kopalni „Saturn”, która powstała wraz z Towarzystwem Górniczo-Przemysłowym „Saturn”. Jakaż to była orkiestra! Jak wspomina pan Koczerba dyrygowali nią najlepsi, jak Jan Dutkiewicz – absolwent Konserwatorium w Petersburgu. Za jego czasów w repertuarze orkiestry była tylko muzyka poważna, grana nawet podczas niedzielnych koncertów w kopalnianym parku ... dla urzędników. Od marszów, pochodów i innych uroczystości był drugi dyrygent. A potem był Jan Kazimierz Bończa-Tomaszewski – dyrygent w Teatrze Polskim w Katowicach w sezonie 1937/38 i 1938/39 a także kierownik muzyczny tego teatru. Był autorem wielu ilustracji muzycznych do przedstawień teatru katowickiego, m.in. do „Dziadów” (1935), „Nie-Boskiej komedii” (1937), „Powrotu Odysa” (1939). Zajmował się organizacją zespołów muzycznych na terenie Śląska. Po wybuchu II wojny światowej mieszkał we Lwowie i Przemyślu. W czerwcu 1940 wrócił do Katowic, pracował jako robotnik w przedsiębiorstwie kanalizacyjnym, potem był pomocnikiem biurowym w kopalni „Saturn” w Czeladzi. W 1945 objął kierownictwo muzyczne amatorskiego Teatru Związku Walki Młodych w Katowicach, a następnie przeszedł do Opery Śląskiej w Bytomiu na stanowisko chórmistrza. Przez ponad 20 lat związany był z Operą we Wrocławiu.

Do dzisiaj członkowie orkiestry przechowują instrumenty, którą pamiętają rok jej założenia.

Jest ich około 30., a kapelmistrzem orkiestry jest pan Edward Stasiak, który z tym zespołem związany jest od kilkudziesięciu lat.

Ile lat jeszcze przetrwa orkiestra? Brakuje młodych ludzi, bo granie w orkiestrze dętej jest przede wszystkim zajęciem wyłącznie dla hobbystów. Spotykają się na próbach, ćwiczą nie tylko melodie górnicze i patriotyczne, ale także standardy jazzowe i inne popularne melodie. Muzykowanie w orkiestrze daje im ciągle sporo satysfakcji – pokochali to zajęcie, mogą się spotykać w swoim gronie i liczyć na to, że ... jakoś to będzie.

Czeladzka górnicza orkiestra dęta wpisuje się w obraz miasta, chociaż kopalnia „Saturn” nie istnieje od kilkunastu lat, a w jednym z jej obiektów powstała galeria „Elektrownia”. Grają od 110 lat – pokonywali różne kłopoty i zawieruchy, stali się nawet „dziedzictwem kulturowym”. Na razie jednak wolą cieszyć się tym, że ciągle mają dla kogo grać!

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Clemensy AD'2008

19 marca w w Bieruniu odbyła się uroczystość wręczenia Nagrody Starosty Bieruńsko-Lędzińskiego w Dziedzinie Kultury za rok 2008. Laureatami nagrody Clemens Pro Arte Anno Domini 2008 zostało rodzeństwo Kalina Dulko (malerka, poetka, twórczyni artystycznego „Tajemniczego Ogrodu”) i Remigiusz Dulko (rzeźbiarz). Nagrodę Clemens Pro Cultura otrzymał Józef Wadas – muzyk, folklorysta, gawędziarz, publicysta, malarz nieprofesjonalny. Uhonorowani oprócz statuetek odebrali gratulacje i życzenia od władz powiatu, miast i gmin, przyjaciół i znajomych. W uroczystości wzięli udział laureaci Clemensów z poprzednich lat, nominowani do nagrody, dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach ks. Henryk Pyka oraz goście z Towarzystwa Sportowego z niemieckiego Gundelfingen. Namiastka dorobku laureatów została przedstawiona na okolicznościowej wystawie.



W imieniu nagrodzonych podziękował Remigiusz Dulko.

Premiera w „Ateneum”

Premierę *Ballad i romansów* Adama Mickiewicza w adaptacji i reżyserii Karela Brožka, ze scenografią Andrzeja Łabińca, muzyką Piotra Salabera i choreografią Henryka Konwińskiego przygotował Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”.

Inscenizacja, na którą złożyły się m.in. *Roman-tycność*, *Świtezianka*, *Rybka*, *Lilije* i *Ucieczka* zrealizowana została w żywym planie; aktorzy posługują się przedmiotami codziennego użytku, które w przedstawianych balladach zmieniają wielokrotnie swe funkcje. Adresatami spektaklu są starsze dzieci i młodzież.

Anioły Teatralne wręczone

Już po raz szósty Teatr Dzieci Zagłębia im. Jana Dormana w Będzinie wręczył nagrody Anioł

Teatralny. Uhonorowano osoby szczególnie przy-jazne teatrowi, wspierające regionalną kulturę i dbające o jej rozwój. Tegorocznymi laureatami zostali m. in.: szefowa redakcji kultury Radia Katowice Ewa Niewiadomska, wicemarszałek województwa śląskiego Zbyszek Zaborowski, dyrektorka będzinskiego LO im. Wyspiańskiego Agnieszka Hetman. Uroczystość wręczenia statuetek Aniołów zaplanowano tradycyjnie 27 marca, w Międzynarodowy Dzień Teatru. W ten wyjątkowy wieczór będzinska scena wystawiła premierę barwnych i muzycznych „Przygód Robinsona Rumcajsa”.

Międzynarodowy Dzień Teatru to była także okazja, aby po raz pierwszy zaprezentować teatromantom kostium Biba legendarnego mima Marcela Marceau. Kostium zakupił niedawno Adam Szydłowski, będzinianin, miłośnik lokalnej historii, ponieważ właśnie w Będzinie urodził się i mieszkał Charles (Chaim) Mangel, ojciec francuskiego mima.

Joostberens i jego „Siła grawitacji”

W katowickiej Galerii „Ateneum” odbył się wernisaż prac Jacka Joostberensa „Siły grawitacji” – powstałego w ubiegłym roku cyklu grafik łączących druk cyfrowy z technikami reliefu i gipsorytu.



Jacek Joostberens. (rocznik 1972), jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach i Poznaniu, doktorem sztuki, adiunktem w Zakładzie Sztuk Pięknych na Wydziale Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Zajmuje się grafiką, malarstwem, scenografią, projektowaniem, wzornictwem przemysłowym. Ma za sobą wystawy indywidualne i zbiorowe w kraju i za granicą. Jest laureatem wyróżnienia Praca Roku 2008.

Plastyczne przygody fotografii Kreisa

W przygotowywanym co miesiąc przez Muzeum Śląskie cyklu „Spotkanie z fotografią”, w ostatnich dniach marca odbył się wernisaż, podczas którego swoją twórczość prezentował Antoni Kreis. Jest artystą fotografikiem, wiceprezesem Zarządu Okręgu Śląskiego Związku Polskich Artystów Fotografików w Katowicach. Autor kilkudziesięciu indywidualnych wystaw autorskich oraz uczestnik blisko dwustu zbiorowych. Laureat dziesiątek nagród na konkursach fotograficznych oraz filmowych. W latach 1978-88 aktywny realizator filmów nieprofesjonalnych głównie w technikach animowanych. Wieloletni członek Zarządu Federacji Amatorskich Klubów Filmowych w Polsce, również wielokrotny juror konkursów filmowych w kraju i za granicą. W latach 1982-1993 był instruktorem filmu i fotografii w Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Katowici-

Jednym zdaniem

■ Rondo Sztuki zapraszało w ramach cyklu „Poza Kadrem” na Slideshow fotograficzny czyli spotkanie ze znakomitym fotografikiem Wojciechem Prażmowskim.

■ Od 30 marca przez ponad dwa tygodnie można było uczestniczyć w „Świątecznej jeździe z Muzeum Śląskim” w zabytkowym tramwaju krążącym po miastach województwa śląskiego, w którym prezentowana była wystawa przypominająca zwyczaj związane ze Świętami Wielkiej Nocy.

■ W Galeria Architektury SARP „Archibar” odbyło się spotkanie zatytułowane „COMMONSPACE. Demokratyczne Katowice”, czyli debata z udziałem zaproszonych gości: Aleksandry Wasilkowskiej – architekt, Krzysztofa Nawratka – urbanisty, teoretyka miasta oraz Krzysztofa Kaski – urbanisty i planisty, podczas której starano się określić indywidualność miasta Katowice, a także spojrzeć na niedoskonałość miasta i określić ją jako cechę pozytywną.

■ Galeria Sektor I GCK w Katowicach zaprasza na wystawę pt. „Szukając porządku w chaosie” – jest to pokaz najnowszych prac wrocławskiego Tomasza Bajera – artysty wizualnego, rzeźbiarza, autora instalacji i akcji w przestrzeni publicznej.

■ W GCK można również zobaczyć wystawę indywidualną Jana Berdysaka „Reszta reszt”, prezentującą najnowszy cykl prac wybitnego artysty.

■ Natomiast Galeria Pusta zapraszana na spotkanie z fotografią Miriam Petráňováé pt. „My celebrities” – słowackiej fotografiki, reżyserki i artystki multimedialnej.

■ W Rondzie Sztuki odbył się wernisaż prac Santiaga Sierra „111 konstrukcji z 10 modułów i 10 pracowników” – artysty, który dał się poznać jako jeden z najbardziej interesujących artystów ostatnich lat za sprawą swoich prac, które są mieszkanką minimalistycznych rzeźb, fotografii konceptualnej, performance, w których stale



Antoni Kreis, fotografia

cach. W latach osiemdziesiątych wykładowca technik audiowizualnych. Zawodowo związany z fotografią od 25 lat. Obecnie związany jest – jako fotograf z Górnśląskim Parkiem Etnograficznym w Chorzowie. Jest autorem publikacji metodycznych i dwóch albumów autorskich: „Górnśląski Park Etnograficzny w Chorzowie” i „Z drewna ciosane”, a także autor fotografii do książki G. Stachaka „Jak chopiony na Lipiny wrócił” i zdjęć do przewodników i podręczników dla szkół. Założyciel, autor tekstów, kompozytor i lider zespołu muzycznego „Whiskey River”.

44 młodych architektów świata

Galeria Architektury SARP/ARCHIBAR prezentowała wystawę pt. „44 młodych architektów świata (44 Young International Architects)”. Była pierwszą edycją wystawy przygotowanej przez hiszpańskie pismo SCALAE i stanowiła prezentację 44 najciekawszych młodych z biur architektonicznych z Europy, Ameryki Północnej i Południowej. Wśród 44 młodych architektów odnaleźć można, jako jedyne z Europy Środkowowschodniej, Roberta Koniecznego KWK PROMES, który wykładem „(nie) materia architektoniczna” zainaugurował wystawę w Galerii Architektury SARP w Katowicach.

Również katowicki Oddział SARP był organizatorem kolejnego wykładu z cyklu Mistrzowie Architektury. Tym razem można było poznać twórczość Wojciecha Leśnikowskiego, Ralpa Johnsona i pracowni PERKINS&WILL. Perkins&Will jedno z wiodących amerykańskich biur założone w 1935 roku w Chicago. Obecnie zatrudnia ok. 1600 osób (22 biura w USA, Chinach, Indiach, Dubaju, Paryżu i Londynie). Specjalizuje się w dziedzinach takich jak: lotnictwo, transport, nauka, edukacja, kultura, technologia, służba zdrowia, budownictwo mieszkaniowe i biurowe. Realizuje zarówno projekty dla funkcji komercyjnych, jak również projekty z zakresu architektury ekologicznej i zielonej.

Ralph Johnson jest wychowankiem Uniwersytetu Illinois, zajmuje stanowisko głównego architekta działającego w Chicago. Z kolei Wojciech Leśnikowski to absolwent Politechniki Krakowskiej zajmujący stanowisko Don Hatch Distinguished Professor na Uniwersytecie Kansas i odpowiedzialny w biurze Perkins&Will za działania w Europie. Wcześniej profesor uniwersytetów: Yale, Cornell, Pennsylvania, Wisconsin, Illinois, Oxford i Delft. Pracował w pracowniach Le Corbusiera, Vago, Renaudie w Paryżu, jak również

Harrison&Abramovitz w Nowym York oraz na stanowisku głównego projektanta w biurach Graham, Anderson, Probst&White, Loeb, Schlosman&Hackl (Chicago), HNTB Corporation w Kansas City, HOK Corporation w St. Louis i Londynie. Projektant drapaczy chmur, lotnisk, obiektów biurowych i szpitali. Autor pięciu książek i wielu artykułów w prasie międzynarodowej. Odniesiony medalami państwowymi i nagrodami za działalność zawodową we Francji i Stanach Zjednoczonych.

Malarstwo Błotko-Kiszki

Miejski Dom Kultury „Południe” w Katowicach-Podlesiu zaprasza na wystawę malarstwa Marii Błotko-Kiszki. Artystka ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie w 1959 roku. Studiowała między innymi u prof. Tadeusza Łakomskiego na Wydziale Malarstwa i u prof. Franciszka Walczowskiego na Wydziale Tkaniny Artystycznej. Ma w dorobku kilkadziesiąt wystaw indywidualnych i wiele nagród, ostatnio w 3 Ogólnopolskim Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej – Gdańsk '05. W 2008 roku otrzymała *Clementina Anno Domini 2007* – Nagrodę Starosty Biełuńsko-Lędzińskiego w Dziedzinie Kultury.

Od 1991 roku autorka wystawia również ze śląską grupą tkacką „Przekaz”, (ostatnie wystawy: „Sztuka włókna na Śląsku. Przestrzenie wewnętrzne”, wystawa towarzysząca 12 Międzynarodowemu Triennale Tkaniny Łódź '07. Galeria Szyb Wilson, Katowice 2007, „Kunst Stoffe”, Oberschlesischen Landesmuseum Ratingen, 2008). Monumentalne tkaniny stanowią pewien kontrast dla malarstwa Marii Błotko-Kiszki, subtelne i wyciszone. Daje w nim o sobie znać tradycja krakowskiej szkoły koloru.

W tym roku Maria Błotko-Kiszka obchodzi 50-lecie pracy twórczej.

Malarstwo polskie po 1945 roku w Muzeum Śląskim

Muzeum Śląskie otworzyło galerię malarstwa polskiego po 1945 roku. Można tu znaleźć dzieła najbardziej znanych twórców tego okresu, takich jak Zdzisław Beksiński, Tadeusz Kantor, Jerzy Nowosielski, Władysław Hasior czy Jerzy Duda-Gracz.

Galeria Malarstwa Polskiego po 1945 roku jest pierwszą stałą ekspozycją malarstwa współczesnego w powojennej historii Muzeum Śląskiego w Katowicach. Prezentowane dzieła stanowią niewielką część tej bogatej kolekcji muzealnej powstałej w Polsce po II wojnie światowej, składającej się z 585 prac twórców różnych pokoleń, działających w najważniejszych środowiskach artystycznych. Wystawa została zaprojektowana z myślą o kontynuacji i uzupełnieniu istniejącej Galerii Malarstwa Polskiego 1800-1945 (wywodzącej się z kolekcji utworzonej w latach trzydziestych) oraz z zamiarem zobrazowania i zasygnalizowania wybranych istotnych zjawisk w dziejach sztuki po 1945 roku. Obejmuje malarstwo materii, abstrakcję geometryczną oraz emocjonalną (informel), tacyzm, malarstwo metaforyczne, neoekspresjonizm oraz neofigurację, dzieła twórców dobrze znanych, jak również tych mniej roz-

poznawalnych, którzy z pewnością zasługują na uwagę i zainteresowanie odbiorców. Nie mogło zabraknąć artystów najwybitniejszych, mających znaczący wpływ na kształt i rozwój sztuki tego okresu (m. in. Andrzej Wróblewski, Tadeusz Kantor, Jerzy Nowosielski, Władysław Hasior, Edward Dwurnik, Jerzy Duda-Gracz). Wybór prac został również podyktowany możliwościami przestrzeni ekspozycyjnej, jaką dysponuje obecnie Muzeum oraz charakterem posiadanych zbiorów. Wystawa, chociaż ujęta w pewną umowną kłamerę czasową, została potraktowana z dużą swobodą chronologiczną, służącą bardziej wyrazistemu wyakcentowaniu pewnych stylów i trendów w sztuce powojennej, które niekoniecznie konsekwentnie następowały po sobie na zasadzie dokonujących się w czasie przemian oraz istotnych dla całości wartości estetycznych.



Foto: Wł. Muzeum Śląskie w Katowicach

Kazimierz Mikulski, Teatr lalek po przedstawieniu

Prezentowana ekspozycja pełni również funkcję zwiastuna przyszłej, znacznie obszerniejszej Galerii Polskiego Malarstwa po 1945 roku, która w nieodległej przyszłości znajdzie swoje stałe miejsce w okazałych przestrzeniach wystawieniowych nowego gmachu Muzeum Śląskiego w Katowicach.

Kuratorem wystawy jest Joanna Szeligowska-Farquhar.

Studenci ASP w „Elektrowni”

Studenci z Pracowni malarstwa prof. Jacka Rykały katowickiej Akademii Sztuk Pięknych prezentują swoje prace w Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeladzi. W tym poprzemysłowym wnętrzu zaaranżowana została wystawa kilkudziesięciu prac autorstwa 29 studentów.

Jak powiedział podczas wernisażu prof. Jacek Rykała, dziś liczy się nie tyle warsztat co oryginalność spojrzenia i ujęcia tematu. Prace studentów odznaczają się niezwykle różnorodnością – co jest potwierdzeniem słów ich Profesora.

To już druga prezentacja pracowni katowickiej ASP. Rok temu pokazano prace Pracowni Rysunku prof. Antoniego Kowalskiego.



Miłosz Wnukowski

pyta o granice narzucone przez współczesne społeczeństwo.

■ W katowickim BWA prezentowane były wystawy „przypadkowe przyjemności” oraz „Polska-Niemcy 4:6” z udziałem twórców polskich (Marcin Berdyszak, Jacek Jagielski, Kamil Kuskowski i Leszek Lewandowski) oraz niemieckich (Wiebke Bartach, Jupp Ernst, Carsten Gliese, Anja Jansen, Diethmar Schuke i Sabine Swoboda).

■ Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich prezentowało wystawę fotografii Richarda Hammera (Niemcy) pt. „Migawki ze świata”.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyła się kolejna edycja „Zderzeń poetyckich” z udziałem m.in. Dawida Junga – redaktora naczelnego „Zeszytów poetyckich” oraz poetów: Marka Przybyły, Patryka Filipowicza, Dawida Markiewicza, Adama Wiedemanna, Małgorzaty Lebdy, Jakuba Mikiaszńskiego i Jolanty Stefko.

■ Również sosnowiecka MBP była organizatorem wystawy pt. „Aniol w literaturze i sztuce”.

■ Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru tyska galeria „Obok” zapraszała na wystawę „Konrad Swinarski” ze zbiorów Muzeum Historii Katowic i Muzeum Starego Teatru w Krakowie.

■ W Teatrze Małym w Tychach prezentowana była wystawa „Człowiek w interpretacji rysunkowej” – wystawa prac studentów i absolwentów Uniwersytetu Śląskiego – Wydziału Artystycznego Instytutu Sztuki w Cieszynie, Pracowni prof. Anny Kowalczyk – Klus i Marka Głowackiego.

■ W galerii Teatru Śląskiego w Katowicach można było oglądać wystawę prac malarskich Jana Bógdola – nestora scen śląskich.

■ Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach oraz Telewizja Polska Oddział w Katowicach zaprezentowali w pomieszczeniach „Aresztu” pierwszy odcinek cyklu „Sowiecki zaciąg” oraz „Państwo w Państwie”.

■ Centrum Sztuki Filmowej przygotowało prezentację filmów Leszka Buzderewicza – operatora i filmowca, fotografa, absolwenta Akademii Filmu i Te-

lewizji w Warszawie oraz Beskidzkiej Szkoły Sztuki Użytkowej w Bielsku-Białej, autora kilkudziesięciu klipów, filmów paradokumentalnych oraz etud fabularnych.

■ Polskie Radio Katowice zapraszało do galerii „Na żywo” na wystawę malarstwa Piotra Jakubczaka.

■ W Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej odbyło się spotkanie z autorem publikacji „Ruda Śląska – zarys dziejów” część II oraz na spotkanie poetyckie z dr Aleksandrą Pethe pt. „Miłość w poezji sióstr zakonnych”.

■ W Teatrze Rozrywki w Chorzowie odbyła się kolejna edycja „Górnego Śląska – świata najmniejszego”, w ramach której odbyło się spotkanie z Magdaleną Piekorz – autorką filmów krótkometrażowych („Dziewczyny z Szymanowa”), filmów fabularnych („Pręgi”, „Senność”), a także spektakli teatralnych („Doktor Faust”) i – ostatnio – musicalu „Olivier!”.

■ W galerii ZPAP w Katowicach można było zobaczyć malarstwo Andrzeja Kuczoka.

■ Muzeum Śląskie zapraszało na kolejne spotkanie z cyklu „Znasz tę ziemię...” poświęcone ziemi cieszyńskiej.

Pociąg do sztuki

Helena Dobranowicz znów wymyśliła znakomitą imprezę. Jest nią Festiwal Sztuki „Bakcyle czyli młodzież i artyści”, który odbył się od 15 do 24 kwietnia w Bielsku-Białej. W tym celu zaktywizowała nie tylko animatorów kultury z tak prężnej instytucji jak Galeria Bielska BWA, lecz również z Teatru Polskiego, Gminy Żydowskiej, Poczty Polskiej, aptek i galerii prywatnych. Dzięki temu jeżdżący po bielskich ulicach „pociąg do sztuki”, mógł zatrzymywać się nawet na przystankach, do których na co dzień sztuka nie dociera. W wielu galeriach i innych „świątyniach” sztuki, które nie pełnią zazwyczaj takiej roli, wystawiali swe dzieła znani bielscy artyści – Alfred Biedrawa, Halina Gocyła-Kocyba, Teresa Gołda-Sowicka, Janusz Karbowniczek, Aleksander Andrzej Łabiniec, Lidia Sztwiertnia, Czesław Wieczorek, a także Michał Kłis z córką i wnusią.

Podczas tworzenia festiwalu z kuratorką Heleną Dobranowicz, animatorami z BWA oraz bielskimi artystami średniego i starszego pokolenia współpracowali młodzi ludzie z Zespołu Szkół Plastycznych. Młodzież pożyła „bakcyle sztuki” podczas spotkań w pracowniach i rozmów z bielskimi twórcami. Plonem współpracy są więc nie tylko wystawy twórczości wybitnych bielszczan, lecz także wielobarwny katalog z wywiadami z ośmiorgiem artystów, bogato ilustrowany zdjęciami prac i portretami rozmówców.

„Skatalogowane” rozmowy świadczą – chcąc nie chcąc – o pedagogicznych zdolnościach artystów. Zwana Sisałową Wróżką Halina Gocyła-Kocyba wyznała, że starsi twórcy wiele zawdzięczają młodzieży! Dopiero praca w bielskim „plastyku” zakorzeniła w niej miłość do tworzenia. Autorka gobelinów stwierdziła, że na zajęciach uczyła się od uczniów, a uczniowie od niej. Wychowankiem Haliny Gocyły-Kocyby jest m.in. Igor Mitoraj.

Lidia Sztwiertnia uczyła natomiast młodzież wytrwałości. W szkole średniej lubiła balować w nocy, a rano nie wstawiała na zajęcia, jeśli nie musiała. Za młodu była zdecydowanie mniej słowna i punktualna, a teraz wręcz przeciwnie – docenia czas doczesny, bo jest nam dany jednorazowo. Wyznała, że pracuje dużo więcej niż osiem godzin dziennie. Czasem ma tak pilną robotę, że nie może spać i tworzy bez końca. Ciekawe, czy każdy z młodych ludzi połknie „bakcyła” i dojrzeje do tego rodzaju artystycznego transu?

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Ból... utopii

W kwietniu w Muzeum Śląska Cieszyńskiego można było oglądać wystawę malarstwa Georga Johanna Tribowskiego (1935 – 2002), urodzonego w Gdyni syna Kaszuby, który uważał się za Niemca. G. J. Tribowski zaczął uczyć się polskiego dopiero jako dziecięciolatek. Pierwsze słowa, które zapamiętał, Ala ma Asa, pochodziły z elementarza Falskiego. Po niemal 30-letnim pobycie i studiach artystycznych w Polsce G. J. Tribowski wyjechał na stałe do Hamburga. Źródłem jego inspiracji pozostali jednak m.in. polscy malarze na czele z Władysławem Strzebińskim i Henrykiem Stażewskim.

W 1977 r. hamburski malarz ożenił się z rozmiłowaną w podróżach cieszyńską nauczycielką geografii – Gertrudą Bujok, która w wiejskiej szkole w Bażanowicach uczyła matematyki. Odtąd artysta wystawiał swe prace na wszystkich kontynentach. Dzięki wdowie jego malarstwo mógł oglądać również Cieszyn, który twórca polubił i – jak twierdzi Gertruda Tribowski – na swój sposób podziwiał. Cieszyńska wystawa nosiła tytuł „Ból i niejednoznaczność utopii”. Obecny podczas otwarcia ekspozycji hamburski krytyk sztuki Friedrich Gross stwierdził, że malarstwo G. J. Tribowskiego jest ironiczne i utopijnie niejednoznaczne, ale wyraziste, mocne kompozycyjnie i tematycznie różnorodne. Łączy także eksperymenty formalne z refleksją.



Wernisaż w Muzeum Śląska Cieszyńskiego. Od lewej: Gertruda Tribowski z d. Bujok, krytyk sztuki Friedrich Gross, bp Jan Szarek i dyrektor muzeum Marian Dembiniok.

Jednym zdaniem

■ 21 marca w bielskim Teatrze Polskim odbyła się premiera „Rewizora” M. Gogola w reż. Łukasza Czuja.

■ W kwietniu odbył się X Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej na Podbeskidziu „Sacrum in Musica”.

■ 3 kwietnia w Teatrze Lalek Białaluka odbył się premierowy spektakl „Król umiera” E. Ionesco w reż. Francoisa Lazaro do scenografii Joanny Braun.

■ Do 13 kwietnia w Galerii Bielskiej wystawiała swe prace malarskie Elżbieta Kuraj.

Wojewódzka dominacja

W marcu i kwietniu w Galerii Bielskiej BWA można było oglądać dokonania wstępującego pokolenia artystów polskich. Zaprezentowano plon IX Ogólnopolskiego Biennale Rysunku i Malarstwa Uczniów Średnich Szkół Plastycznych. Organizatorem konkursu jest Zespół Szkół Plastycznych w Bielsku-Białej. Młodzi twórcy z 33 szkół nadesłali 633 prace, a na wystawie zaprezentowano ponad sto najciekawszych dzieł.

Najwięcej laurów (cztery na sześć) otrzymali reprezentanci województwa śląskiego. Pierwszą nagrodę w dziedzinie malarstwa zdobyła Karolina Wilk z OSSP w Zespole Szkół nr 18 w Zabrze (nauczyciel prowadzący – Adam Andryszczak). Drugą nagrodę otrzymał Marcin Bahrij z PZSP w Bydgoszczy (nauczyciel – Bogusław Kuraś), a trzecią – Julia Piekiełko z ZSP w Bielsku-Białej (nauczyciel – Jagoda Adamus). Pierwsza nagroda w dziedzinie rysunku przypadła Dominice Faryno z ZPSP w Warszawie (nauczyciel – Piotr Kraminer-Kaliciński), druga Natalii Chwałik z OSSP w Zabrzu (nauczyciel – Ewa Zajler-Platek), a trzecia – Soni Świeżawskiej z ZSP w Dąbrowie Górniczej (nauczyciel – Sylwia Pałuchowska).

Literaci do piór!

Można już nadsyłać prace na XIII Ogólnopolski i XXVII Wojewódzki Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa 2009” pod patronatem prezydenta Bielska-Białej. W przeglądzie mogą brać udział uczniowie szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich, którzy nadesłają nigdzie dotąd niepublikowane utwory własne w trzech egzemplarzach. Tematyka i rodzaj literacki dzieł są dowolne, a ilość prac ograniczona do sześciu tekstów poetyckich lub sześciu stron maszynopisu (około 10800 znaków).

Utwory należy opatrzyć słownym godłem i godło wpisać do karty zgłoszenia, którą można ściągnąć ze strony www.sckbest.pl. Termin nadsyłania prac wraz z kartami uczestnika upływa 30 czerwca 2009 r. Prace należy przesłać pod adresem: Spółdzielcze Centrum Kultury „Best” przy SM Złote Łany 43-300 Bielsko-Biała, ul. Jutrzenki 22 z dopiskiem „Lipa 2009”. O szczegóły można pytać organizatorów pod nr. 033/499-08-33 lub 13.

Foto: Krystian Firle

Na wiosnę tylko jazz

Częstochowa to miasto wyjątkowo lubiące jazz w jego różnorodnych muzycznych odcieniach. O sukcesach działających tu klubów i pubów muzycznych, w których goszczą jazzmani, zawsze skrupulatnie informowałam. Zresztą warto dodać, iż swoisty rozkwit „życia klubowego” w Częstochowie jest jednym z najbardziej charakterystycznych – i pozytywnych – zjawisk życia kulturalnego w ostatnim dziesięcioleciu. Nic więc dziwnego, iż pojawił się także festiwal jazzowy. Od 2002 roku organizowano „Hot Jazz Spring Częstochowa” Festiwal Jazzu Tradycyjnego, którego pomysłodawcą byli muzycy zespołu „Five O’Clock Orchestra” z jej liderem, Tadeuszem Ehrhardtem-Orgielewskim na czele. W trakcie czterech kolejnych edycji festiwalu wystąpiły prawdziwe muzyczne znakomitości, m.in. Ewa Uryga, Jan Ptaszyn Wróblewski, Henryk Miśkiewicz, Wojciech Kamiński, Daniel Pomorski, Andrzej Jagodziński. W 2008 roku gospodarz imprezy – Filharmonia Częstochowska – postanowiła, wzbudzając sporą dyskusję i wątpliwości, zmienić formułę festiwalu, poszerzając go o inne rodzaje jazzu. „Jazz Spring Częstochowa”, bo taką nazwę przyjął „stary – nowy” festiwal, okazał się strzałem w dziesiątkę. A kto wciąż posiadał wątpliwości dotyczące kształtu jazzowej imprezy, to z pewnością zostały one rozwiane po tegorocznej edycji „Jazz Spring Częstochowa”. Festiwal odbywał się od 26 do 29 marca i wszystkie koncerty cieszyły się niezwykle powodzeniem wśród częstochowian. Pierwszy festiwalowy dzień, inaugurujący w Filharmonii Częstochowskiej, poświęcony został jazzowi tradycyjnemu, w którym przecież nie mogło zabraknąć zespołu „Five O’Clock Orchestra”. Tym razem muzycy wystąpili w towarzystwie znanego wokalisty Janusza Szromy. Zaprezentowało się także, niezwykle lubiane w Częstochowie, Siergiej Wowkotrub Trio. Jednak największą niespodziankę sprawił publiczności Big Band Zespołu Szkół Muzycznych im. M. J. Żebrowskiego w Częstochowie, pod kierownictwem Włodzimierza Gołębiowskiego. Wielu słuchaczy po raz pierwszy miało okazję słyszeć młodych częstochowskich muzyków. Był to dopiero trzeci publiczny występ zespołu – powstał on we wrześniu 2008 roku – i podbił serca melomanów. Kolejne jazzowe dni pełne były muzycznych rarytasów.

Z filharmonikami częstochowskimi – pod batutą Bohdana Jarmolowicza – w koncercie „Uniesienie” wystąpili m. in.: Henryk Miśkiewicz, Dorota Miśkiewicz (vocal) oraz Trio Jazzowe w składzie: Sławomir Kurkiewicz (kontrabas), Andrzej Jagodziński (fortepian) Michał Miśkiewicz (perkusja); swoją interpretację utworów Komedy zaprezentowała Maria Sadowska. Całkowicie zelektryzował publiczność występ znakomitej wokalistki amerykańskiej Siggy Davis. Po każdym festiwalowym koncercie w klubie muzycznym „Paradoks” odbywał się Jam sessions; i, tu także, mimo późnej pory, zawsze dopisywała publiczność. Dobrze się stało, że Częstochowa wita wiosnę w doskonałych rytmach, które pozwolą łagodnie obudzić się z „zimowego snu”.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Teatralne różności

W przeciągu zaledwie miesiąca w Teatrze im. Adama Mickiewicza odbyły się dwie kolejne premiery. Pierwszy spektakl to „Stachura”, w którym piosenki poety śpiewa Piotr Machalica. Przedstawienie wyreżyserowane zostało przez Roberta Dorosławskiego, który jest także autorem scenariusza. Muzykę do spektaklu skomponował Jerzy Satański, a twórcą aranżacji jest Dariusz Befeltowski. Impulsem sięgnięcia po twórczość jednego z najbardziej niepokornych „kaskaderów polskiej literatury” stała się przypadająca w bieżącym roku 30. rocznica śmierci Stachury, który w lipcu 1979 popełnił samobójstwo. Spektakl to koncert z największymi muzycznymi przebojami autora „Siekierzady”, m.in. piosenkami „Życie to nie teatr” czy „Nie brookliński most”. Ten „dyrektorski” spektakl – przypomnijmy, iż Dorosławski to dyrektor naczelny sceny częstochowskiej, a Piotr Machalica pełni funkcję dyrektora artystycznego – ma duże szanse stać się prawdziwym teatralnym hitem, i to nie tylko aktualnego sezonu. I nie tylko w Częstochowie!

Druga marcowa premiera to zupełnie odmienny artystyczny i literacki klimat. W poszukiwaniu interesującego współczesnego dramatu sięgnięto po twórczość młodej angielskiej pisarki R. Lenkiewicz. „Nocną porą” został po swojej londyńskiej premierze wybrany głosem dziennikarzy wydarzeniem teatralnym 2004 roku. Sztuka przez krytykę często była porównywana z dramatem Czechowa „Trzy siostry”. W Polsce „Nocną porą” wystawiane było jedynie przez Teatr Telewizji (luty 2008).

W Częstochowie spektakl wyreżyserował Marek Pasieczny, autorem scenografii jest Jagna Janicka. W niezwykle skomplikowane postaci wcielili się: Michał Kula, Adam Hutyra, Małgorzata Ochota-Hutyra i Adam Cudzik.

Fotografie miasta

W marcu rozstrzygnięto II Konkurs Fotografii Osobistej „Moja Częstochowa”, którego organizatorem jest Agora S. A. Warszawa Oddział Częstochowa wydaw-

ca „Gazety Wyborczej”. Zgodnie z regulaminem w konkursie mógł wziąć udział każdy, kto notuje swoje życie i życie swoich bliskich za pomocą aparatu fotograficznego. Mimo iż organizatorzy zaproponowali kilka poważnie i oficjalnie brzmiących kategorii: Wydarzenie, Kultura, Sport, Ludzie i Środowisko, to, zgodnie z sugestią zawartą w tytule konkursu, pomysłodawcy zależało na ukazaniu „prywatnego i intymnego” oblicza miasta.

Na propozycję, aby za pomocą „prywatnych” fotografii spojrzeć również na swoje miasto, częstochowianie odpowiedzieli niezwykle chętnie. Na konkurs nadesłano prawie 800 fotografii. Wiele z nich można było zobaczyć na pokonkursowej wystawie prezentowanej w jednej z sal Muzeum Częstochowskiego, niektóre fotografie zaskakują oraz intrygują. W gronie laureatów – zwycięzców w pięciu kategoriach – znaleźli się: Kamil Pawlik (Środowisko), Sebastian Adamus (Wydarzenie), Marcin Szpąderski (Kultura), Piotr Bednarek (Sport) i (Ludzie).

Pierwszy raz

Filharmonia Częstochowska po raz pierwszy zorganizowała Konkurs Wokalny im. Jana, Edwarda i Józefiny Reszków. Jednym z podstawowych celów imprezy jest uczczenie pamięci wybitnych śpiewaków związanych z ziemią częstochowską. Do konkursu zostało zakwalifikowanych 19 artystów spośród 41 chętnych. Jury obradowało w składzie: przewodnicząca prof. Delfina Ambroziak, dr Katarzyna Suska, prof. Tomasz Bugaj, prof. Jerzy Salwarowski, Romuald Tesarowicz. Dodać należy, iż organizatorzy nie stawiali zgłaszającym się do konkursu artystom żadnych warunków dotyczących wieku, ale i tak dominowali młodzi studenci jeszcze śpiewacy.

I etap konkursu miał formę przesłuchań z akompaniamentem. Do II etapu – przesłuchania w formie koncertu z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej przeszło już tylko 8 uczestników. I nagrodę w wysokości 8.000 zł. zdobyła studentka I roku Studiów dyplomowych Akademii Muzycznej w Katowicach Anna Noworzyn (sopran). II nagroda powędrowała w ręce Ingridy Gapowej (sopran) studentki IV roku Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. Marcin Hutek (baryton) – student III roku Wydziału Wokalnego Akademii Muzycznej w Poznaniu otrzymał III nagrodę. Organizatorzy mają nadzieję, iż z czasem konkurs zdobędzie prestiż i uznanie całego środowiska muzycznego nie tylko w Polsce.

Jednym zdaniem

- W Miejskiej Galerii Sztuki gościła wystawa „Magia Grafiki Japońskiej”, która została przygotowana przez Międzynarodowe Triennale Grafiki.
- W Stajni Biały Borek z autorskim recitalem wystąpił Marian Opania.
- W klubie Ask wystąpił jeden z najbardziej znanych obecnie gitarzystów jazzowych Melvin Taylor.
- W Konduktorowni odbyła się wystawa prac malarskich – grafiki oraz akryli na płótnie

Agnieszki Parkitnej – zatytułowana „Civilization debts”.

■ W Galerii Art. Foto w Miejskim Ośrodku Kultury odbyła się wystawa fotograficzna Edyty Pilichowskiej, nosząca tytuł „Kobięce sekrety”.

■ W Miejskiej Galerii Sztuki – Galeria Promocji Młodych „Antresola” – prezentowano prace Bartosza Wiluna.

■ W klubie Rura wystąpił zespół Happsad uprawiający alternatywny rocka.

Opowieść Hiobowa

XXXIV Opolskie Konfrontacje Teatralne „Klasyka Polska – 2009”, rozpoczęły się od plenerowego przedstawienia „Hioba” Karola Wojtyły, wystawionego przez Lwowski Teatr Woskresinnia. Jednak tym razem, na ten szczególny wieczór, inaugurujący spotkania z klasyką, zazwyczaj długo oczekiwany i radosny, kładły się cienie tragedii – tej odległej biblijnej Hioba i tej najnowszej z Kamienia Pomorskiego, okrytej żałobą narodową. Życie dopisało wstrząsający epilog do inscenizacji młodzieńczego dramatu Karola Wojtyły. Telewizyjne relacje z pożogi przypominały, że tragizm ludzkiego losu nie jest archaicznym zapisem, spotykającym w zakamarkach bibliotek, ale jest doświadczeniem realnym i współczesnym, spadającym jak grom z jasnego nieba. Buchające jezory ognia, którymi posłużyli się twórcy spektaklu, przywołały wspomnienie płonącego domu, wspomnienie biblijnej opowieści przenikającej się z traumą II wojny światowej, gdzie tytułowy Hiob stał się symbolem cierpiącej Polski, oczekującej na zmartwychwstanie.

Sztuka napisana pod wpływem przeżyć wieszania 1939 roku, zapomniana albo niedoceniana przez polskie teatry, stała się inspiracją dla artystów ze Lwowa, ukazujących z plastyczną ekspresją żywe obrazy, zatopione w muzyce i pieśniach starocerkiewnych przy ascetycznym cytowaniu tekstu dramatu. Publiczność zgromadzona na opolskim rynku w scenerii światła i ciemności, obcowała z magiczną przestrzenią teatru, w przenośni i dosłownie, bowiem „Hioba” grano przed dawną siedzibą słynnego Teatru 13 Rzędów, a przed spektaklem podczas otwarcia Konfrontacji, przywołano ducha jego twórcy – Jerzego Grotowskiego, maga, szarlatana i wizjonera teatru, który właśnie tu w latach 1959-1964, rozpoczął drogę do wielkich sukcesów artystycznych.

Teatr im. Jana Kochanowskiego przypominał ten rozdział biografii artysty projektem „Grotowski spotyka Kordiana, Fausta i Hamleta” oraz wystawą „Grotowski w Opolu”. Kiedy po spektaklu artystów ze Lwowa umilkły oklaski i zgasły reflektory, można było odpowiedzieć na pytanie – czy po 70 latach od powstania „Hioba” przesłanie utworu nadal jest aktualne? Niewątpliwie tak, bowiem jak powiadają organizatorzy Konfrontacji – „klasyka jest młoda”, szczególnie wówczas, kiedy potrafi ukazać jednocześnie to, co jest uniwersalne i zarazem indywidualne. Każdy człowiek, niezależnie od czasu i miejsca, doświadczając cierpienia staje się Hiobem, zmagając się ze swoim losem, poszukuje uzasadnienia i przyczyny, poświęca cierpienie dla wybranych idei oraz intencji. Niewątpliwie wymiar biblijny i patriotyczny dramatu dla polskiego widza jest oczywisty, natomiast uniwersalny wymiar mistyczny nadaje głębszy sens cierpieniu świata, który według Karola Wojtyły, pomimo ogromu cierpienia zostanie ocalony i zbawiony. Profetyczne przesłanie młodego dramaturga w scenie końcowej z wizją krzyża i Chrystusa Zmartwychwstałego, spełniło się po latach podczas pontyfikatu Jana Pawła II, kiedy Polska odzyskała niepodległość, prowadząc ku wolności tak wiele narodów Europy.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Nie traćmy pamięci

Koncertem „Hołd Pamięci w 69. rocznicę Zbrodni Katyńskiej” pod patronatem marszałka województwa Józefa Sebesty mieszkańcy Śląska Opolskiego uczcili pamięć ofiar Golgoty Wschodu. Do sali koncertowej Filharmonii Opolskiej przybyli przedstawiciele Opolskiej Rodziny Katyńskiej, Rodziny Policyjnej 1939 roku, Związku Sybiraków, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, organizacji kombatanckich, przedstawiciele władz samorządowych i państwowych.

W pierwszej części koncertu Harry Duda przeczytał cykl elegijnych wierszy, inspirowanych podróżami do miejsc męczeństwa Polaków – Katynia, Tweru, Ostaszkowa, Starobielska, Miednoje. Wcześniej relacje z tych podróży autor opublikował w dwóch tomach reportażu zatytułowanych „Szlakiem Zbrodni”. W drugiej części z recitalem pieśni polskich wystąpiła Bożena Harasimowicz (sopran), której towarzyszyła na fortepianie Krystyna Pyszkowska. Wpisując się w przestrzeń pamięci historycznej Centralne Muzeum Jeńców Wojennych zorganizowało w siedzibie w Łambinowicach XVII Konkurs Recytatorski Poezji Jenieckiej „Nie traćmy pamięci” z udziałem 70. uczniów opolskich szkół.

Jarmark Wielkanocny

W Niedzielę Palmową pogoda dopisała i ponad 10 tysięcy osób odwiedziło Muzeum Wsi Opolskiej podczas Jarmarku Wielkanocnego. Bogaty program imprez rozpoczął się od uroczystości wręczenia nagród laureatom konkursu „Kroszonki Opolskie 2009”, połączonej z otwarciem wystaw o pisankach opolskich, lubelskich i podlaskich. Następnie zwiedzający oglądali pokaz obrzędu

topienia marzanny oraz występy zespołów folklorystycznych: „Komorno”, „Dialog”, „Grodziec”, „Osowiec” i „Silesia”.

W kościółku drewnianym odbyło się nabożeństwo poświęcenia palm wielkanocnych, a po nim koncert pieśni wielkopostnych w wykonaniu Zespołu Międzynarodowej Szkoły Muzyki Tradycyjnej przy fundacji Muzyka Kresów z Lublina. W zagrodach skansenu twórcy ludowi prezentowali na żywo swój warsztat, różne techniki zdobienia jaj i porcelany. Na licznych straganach można było nabyć kroszonki, serwetki, palmy i inne ozdoby wielkanocne.

Tryptyk Grodkowski

W Grodkowie urodził się Józef Elsner, nauczyciel Fryderyka Chopina, postać o wielkich zasługach dla polskiej kultury muzycznej. Niegdyś w miasteczku funkcjonowało nawet lokalne muzeum jego imienia. Jednak okazuje się, że Elsner nie jest jedyną znakomitą postacią związaną z Grodkowem bowiem wcześniej w 1687 roku urodził się tutaj – Sylvius Leopold Weiss, wirtuoz lutni, kompozytor ponad 600 dzieł na ten instrument solo. Koncertował i był podziwiany na wielu europejskich dworach. Uchodził za muzyczną gwiazdę swojej epoki, jako nadworny muzyk króla Polski Augusta Mocnego był najlepiej opłacanym muzykiem z pensją roczną 1400 talarów.

Jednak przez wiele lat jego twórczość była zapomniana, dopiero w ubiegłym wieku spopularyzowano utwory Weissa. Podążając tym tropem muzykolog Zbigniew Pawlicki wspólnie z Ośrodkiem Kultury i Urzędem Miasta w Grodkowie zorganizował I Festiwal imienia Sylwiusa Leopolda Weissa, czyli Tryptyk Grodkowski 2009. Koncerty w Domu Kultury i kościele św. Michała nawiązywały do biografii artystycznej lutnisty – „W kawiarni Zimmermanna”, „W gościnnym domu Bachów”, „W kościele św. Tomasza”. Utwory Bacha i Weissa wykonali kameraliści z „Kleine Cammer Musique”, Jacek Żak (lutnia barokowa), Grzegorz Lalek (skrzypce barokowe), Andrzej Chorośński (organy) i Agnieszka Rutkiewicz (gitara).

Jednym zdaniem

■ Koncert Krzysztofa „Pumy” Piaseckiego, opolskiego gitarzysty jazzowego z okazji 30-lecia pracy artystycznej i z udziałem wielu gwiazd (m. in. K. Prońko, G. Łobaszewskiej, Z. Namysłowskiego) zainaugurował w Filharmonii Opolskiej Dni Opola.

■ Na zaproszenie organizatorów festiwalu filmowego „Opolskie Lamy” z opolską publicznością w Teatrze Lalki i Aktora spotkała się wybitna aktorka polskiego filmu i teatru Maja Komorowska, związana niegdyś z Opolem poprzez Teatr 13 Rzędów Jerzego Grotowskiego.

■ W Muzeum Śląska Opolskiego zaprezentowano wystawę fotograficzno-dokumentalną „Aleksander Puszkina w kulturze europejskiej” udostępnioną przez Rosyjski Ośrodek Nauki i Kultury w Warszawie.

■ Na malej scenie Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu odbyło się spotkanie z poetą Tomaszem Różyckim, podczas którego autor czytał

nowe wiersze i wspólnie z prowadzącym spotkanie Janem Feusettem poszukiwał odpowiedzi na pytanie, czy miastu potrzebny jest poeta.

■ XX Finał Konkursu Recytatorskiego Wojska Polskiego w Zamku Piastów Śląskich w Brzegu, w którym wzięło udział kilkudziesięciu recytatorów z różnych stron Polski, uświetnił koncertem krakowski bard Grzegorza Turnau.

■ Orkiestra kameralna Filharmonii Opolskiej pod dyktando Bogusława Dawidowa koncertowała w Ameryce Południowej, podczas trzytygodniowej trasy koncertowej muzycy wystąpili w największych miastach Brazylii i Argentyny.

■ Wystawę grafiki cyfrowej Krzysztofa Marka Bąka prezentowało Muzeum w Nysie, artysta laureat nagród i pracownik naukowy Instytutu Sztuki UŚ jest autorem 37 wystaw indywidualnych w kraju i zagranicą.

Prezesem TNP ponownie Barbara David

Praktycznie staro-nowy, ośmioosobowy zarząd oraz trzyosobową komisję kontrolną wybrali w czwartek 23 kwietnia na swoim VII Zjeździe członkowie Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC. Na swoim pierwszym posiedzeniu zarząd zdecydował, że prezesem TNP będzie w następnej kadencji ponownie Barbara David. Podział kolejnych funkcji będzie tematem zebrania, które odbędzie się 11 maja.

Na Zjeździe, który odbył się tradycyjnie w sali restauracji Na Brandysie w Czeskim Cieszynie, nauczyciele ocenili też pracę TNP w ubiegłej 4-letniej kadencji oraz wprowadzili drobne zmiany do statutu swojej organizacji.

Ale nie tylko. Delegaci wysłuchali krótkiego występu kapeli Zorómbek, a przede wszystkim po raz pierwszy przyznali członkostwo honorowe TNP dwóm zasłużonym dla polskiego szkolnictwa na Zaolziu osobom: konsulowi generalnemu RP w Ostrawie, Jerzemu Kronholdowi, oraz Andrzejowi Królowi – animatorowi Europejskiej Rodziny Szkół im. Juliusza Słowackiego.

– Konsul Kronhold wspiera nasze szkolnictwo i przychodzi z inicjatywami, które w sposób znaczący podnoszą poziom nauczania w naszych szkołach. Jest inicjatorem zakupu tablic interaktywnych i innych pomocy dydaktycznych, skutecznie wspiera pomysły kącików czytelniczych oraz należy do pomysłodawców Zielonej Szkoły nad Bałtykiem. Wszystkie jego działania mają na celu dobro naszego szkolnictwa oraz podnoszenie jego poziomu – uzasadniła decyzję prezes Barbara David. O Andrzej Królu, którego zabrakło na Zjeździe, powiedziała m.in., że „wciągnął karwińskie klasy Gimnazjum Polskiego do Rodziny Szkół Słowackiego i tym samym pomógł w nawiązaniu współpracy naszej placówki ze szkołami w Polsce i na Ukrainie. Dzięki temu nasze gimnazjum istnieje w świadomości młodzieży w Polsce, a nasza młodzież wyjeżdża regularnie do Polski”.

Konsul Kronhold przyznał, że jest wzruszony wyróżnieniem. – Nigdy nie zabiegałem o zaszczytne odznaczenia. Robię tylko to, co do mnie należy – jako urzędnika państwowego Rzeczypospolitej Polskiej – powiedział. Dodał, że bycie nauczycielem jest misją, posłannictwem. – Chciałbym, też zadeklarować pewną misję, która być może zintensyfikuje i wspomaga państwa działania na rzecz polskiego szkolnictwa na Zaolziu. Otóż chciałbym tu, na waszym Zjeździe, ogłosić Rok Języka Polskiego na Zaolziu. Zrealizujemy takie wyzwanie i stwórzmy możliwości pogłębienia w tym regionie znajomości języka polskiego – zaapelował konsul Kronhold.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Spinki dla Danuty Chwajol

Laureatką dorocznej nagrody konsula generalnego RP w Ostrawie, Srebrnych Spinek, została w tym roku Danuta Chwajol. Wiceprezes Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i szefowa Rady Oświaty ZG PZKO, a przede wszystkim dyrektorka Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego, odebrała nagrodę z rąk konsula generalnego Jerzego Kronholda w ostrawskiej placówce 22 kwietnia.

Jak powiedział podczas uroczystości w Konsulacie konsul Kronhold, Danuta Chwajol została wyróżniona nagrodą za – twórcze i nowatorskie spojrzenie dotyczące upowszechniania ważnych zagadnień społecznych i kulturalnych, wprowadzających Polaków żyjących na Śląsku Cieszyńskim za Olzą w wiek XXI. Przypomniawszy, że przyznanie nagrody uzgodnił z członkami Kapituły Srebrnych Spinek, w której zasiadają: Władysław Biłko, Jan Hławiczka, Zbigniew Kubeczka, Rudolf Moliński oraz Jacek Sikora.

Danuta Chwajol nie ukrywała zaskoczenia. – Chciałabym muszę przyznać, że w ostatnich dniach ponieważ domyślałam się, że może w tym roku nagrodę otrzymam właśnie ja, bo wielu ludzi z różnych kręgów intensywnie mnie zapraszało na tę uroczystość. Ale wiadomo – w wypadku Srebrnych Spinek nic nie jest pewne aż do chwili ogłoszenia werdyktu – powiedziała laureatka zaolziańskiego „Głosowi Ludu”. W oficjalnym wystąpieniu zaś dziękowała konsulowi i kapitule za to, że dostrzegli jej działania. – To upewniło mnie, że warto je kontynuować. Ta nagroda mnie zresztą do tego zobowiązuje. Obiecuję, że w naszym uniwersytecie będziemy dalej rozwijać myśli i idee przyświecające mu od początku: edukację, dialog międzypokoleniowy, a także dialog ponad wszelkimi podziałami – jednoczący – zapewniła Danuta Chwajol.

Dodajmy, że uroczystość urozmaiciła grą na harfie Ewa Jaślar-Walicka.

Większość marzy o Krakowie

Roman Lasota, bardzo popularny ostatnio w Polsce piosenkarz pochodzący z Zaolzia, zawitał w 10 kwietnia do siedziby Kongresu Polaków w Czeskim Cieszynie. Nie był sam – zasiadł w sali posiedzeń wspólnie z 26 młodymi ludźmi, tegorocznymi maturzystami.

Wszyscy przyszli na rozmowy, bo chcą dostać się na studia w Polsce. – Studiowałem na prywatnej uczelni – na Uniwersytecie Metropolitalnym w Pradze – stosunki międzynarodowe i europeistykę. Studia jednak przerwałem. Teraz chciałbym zacząć naukę na Uniwersytecie Warszawskim. Ten sam kierunek, czyli europeistykę. O przenosinach do Warszawy pomyślałem m.in. dlatego, że dostałem propozycję na wydanie płyt. Mam więc nadzieję, że się uda – powiedział Roman Lasota.

Z kandydatami na studia w Polsce rozmawiali: wicekonsul ds. Polonii i kultury Agnieszka Fedorów-Skupień, wiceprezes Kongresu Tadeusz Wantuła,

oraz szef Kancelarii KP Roman Kaszper. – Chodziło przede wszystkim o sprawdzenie wszystkich złożonych przez kandydatów dokumentów – czy spełniają wszelkie wymagania. Chcemy poza tym dowiedzieć się, na jaki kierunek i na jakie uczelnie się wybierają, dlaczego akurat do Polski i czy zamierzają po studiach powrócić na Zaolzie – stwierdził Kaszper. Najpopularniejszymi wśród kandydatów kierunkami są psychologia, prawo oraz turystyka i rekreacja, miastami uniwersyteckimi zaś Kraków, Katowice i Cieszyń. Egzaminami dla kandydatów odbyły się 28 i 29 kwietnia w auli Gimnazjum Polskiego w Czeskim Cieszynie.

Premiera z córką pisarza

Atessa Zegadłowicz-Rudel – córka poety i prozaika Emila Zegadłowicza – była w sobotę 4 kwietnia gościem najnowszej premiery Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Zespół wystawił bowiem dramat „Głaz graniczny”, który ojciec pani Atessy napisał w 1925 roku. Córka autora przyznała, że była bardzo wzruszona zarówno zaproszeniem, jak i samym przedstawieniem. – Widziałam je po raz pierwszy tu, nad Olzą – przyznała, dziękując reżyserowi i aktorom, 89-letnia pani Atessa. – „Głaz graniczny” był po raz ostatni wystawiany w 1928 roku. Byłam wtedy za małą i ojciec nie zabierał mnie jeszcze do teatru.

„Głaz graniczny” miał prapremierę 11 września 1925 roku Teatrze Nowym w Poznaniu. Później odbyły się premiery w Teatrze Reduta w Wilnie (12 marca 1926 roku) i w Teatrze Pomorskim w Toruniu (15 września 1928 roku). Od tego czasu żaden polski teatr po sztukę Zegadłowicza nie sięgnął. Dopiero Scena Polska. Chodzi zatem dopiero o czwarte wystawienie sztuki, no i jej prapremierę poza granicami Polski.

Przypomnijmy, że „Głaz graniczny” to sztuka napisana gwarą małopolską, opowiadająca o człowieku, który nie może się odnaleźć w świecie uregulowanym dekalogiem i tradycją. O człowieku, którego cele i pragnienia nie znajdują zrozumienia w otaczającym go świecie. Lecz również – a może przede wszystkim – o człowieku, który za swoje wybory i skutki własnych czynów musi ponieść odpowiedzialność.

Dodajmy, że reżyserem sztuki jest kierownik artystyczny Sceny Polskiej, Bogdan Kokotek, autorem muzyki zaś Zbigniew Siwek. W przedstawieniu gra cały zespół Sceny Polskiej.

Grand Prix dla „Alaudae”

Wielkim sukcesem może się pochwalić działający w ramach Polskiego Towarzystwa Artystycznego „Ars Musica” Kameralny Zespół Wokalny „Alaudae”. W sobotę 4 kwietnia we Wsecinie, gdzie odbyła się szesnasta edycja konkursu „Chráma a tvrz”, 30-osobowy zaolziański chór wyśpiewał nie tylko pierwszą nagrodę w kategorii chórów młodzieżowych (przed chórami czeskich gimnazjów z Orłowej i Przerowa), ale jury przyznało mu też – ponad kategoriami – Grand Prix.

Wseciński konkurs to impreza poświęcona głównie językowi czeskiemu. Pierwszy dzień, piątek, to zawsze konkurs recytatorski, sobota zaś to przegląd chórów dziecięcych i młodzieżowych. Do Wsecina przyjeżdżają zespoły działające nie tylko przy szkołach, ale także przy domach kultury i innych ośrodkach.

Dodajmy, że w „Alaudae” śpiewają obecnie nie tylko uczennice karwińskich klas Gimnazjum Polskiego, gdzie zespół powstał, ale także z klas cieszyńskich gimnazjum oraz Akademii Handlowej w Czeskim Cieszynie.

Jednym zdaniem

■ Poeta Piotr Horzyk z Czeskiego Cieszyna, długoletni prezes trzynieckiej Grupy Literackiej 63 wydał polsko-czeski tomik „Powroty na rozdroża – Návraty na rozcestí”.

■ Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru zaolziański „Głos Ludu” wydał 28 marca obszerny dodatek poświęcony Teatrowi Cieszyńskiemu.

■ W ramach obchodów rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja dwa potężne platany rosnące w ogrodach Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie zostały nazwane imieniem Lecha Wałęsy i Václava Havla.

■ Tytuł Czeskiego Menedżera Roku 2008 otrzymał dyrektor generalny Huty Trzynieckiej, Jerzy Cienciala, prezes Czesko-Polskiej Izby Handlowej.

■ W Karwinie zmarł 20 kwietnia w wieku 74 lat Karol Michalski, popularny biznesmen i mecenas kultury, w latach 80. ub. wieku poseł do Zgromadzenia Federalnego Czechosłowacji.

■ Także przedstawiciele polskich organizacji w RC oraz chór Gorol z Jabłonkowa pożegnali 15 kwietnia w Warszawie prof. Andrzeja Stelmachowskiego, prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, który zmarł 6 kwietnia w wieku 84 lat.

■ Zespół teatralny Koła PZKO w Milikowie-Centrum wystawi w Święta Wielkanocne dwie gwarowe komedie: „Pofiderny dziuń” Wandy Mrózek i „Siedzi sobie zając” Henryka Jasiczka.

■ Pochodzący z Zaolzia aktor Zbigniew Kalina, dziś pracujący w teatrze w czeskim Przybramiu, został podczas tegorocznej ceremonii przyznawania czeskich nagród teatralnych „Thalia 2008” wyróżniony nagrodą dla młodego aktora do lat 33.

■ Wykład o Konstytucji 3 Maja i charakterze narodowym Polaków wygłosił 2 kwietnia na spotkaniu Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego dr Bogdan Kowala.

Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”

8. MIĘDZYKRAJOWY FESTIWAL TEATRÓW LALEK
„KATOWICE – DZIECIOM” 2009

pod honorowym patronatem
Prezydenta Miasta Katowice Piotra Uszoka

PROGRAM

1 czerwca (poniedziałek)

godz. 9.15 OTWARCIE FESTIWALU
(Scena Ateneum)

godz. 9.30 *(spektakl poza konkursem)*
Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”, Katowice
Ulrich Hub: **JAK PINGWINY ARKĄ POPLYNĘŁY**
(Scena Ateneum)

godz. 9.30 i 11.30
Teatr K3, Białystok
AOEUIY, scenariusz: Dorota Grabek, Ewa Mojsak,
Marta Rau
(Galeria Ateneum)

godz. 15.00 i 17.00
Miskolci Csodamalom Bábszínház, Miskolc (Węgry)
Ilona Szász wg Katalina Vargi:
PRALNIA SZOP-PRACZKI
(Scena Ateneum)

godz. 19.00 *(spektakl poza konkursem)*
János Pályi, Budapeszt (Węgry)
Ildikó Kovács, András Veres, János Pályi:
ÓRAJÁTÉK, CZYLI TEATR ULICZNY.
(Galeria Ateneum)

2 czerwca (wtorek)

godz. 9.30 i 11.30
Białostocki Teatr Lalek, Białystok
ŻOŁNIERZYK na motywach baśni
Hansa Christiana Andersena
(Scena Ateneum)

godz. 15.00 *(spektakl poza konkursem)*
Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”, Katowice
Adam Mickiewicz: **BALLADY I ROMANSE**
(Scena Ateneum)

godz. 18.00 *(impreza towarzysząca)*
Kaja Renkas: **PLAKATY**, finisaż wystawy
(Galeria Ateneum)

3 czerwca (środa)

godz. 9.00 *(spektakl poza konkursem)*
János Pályi, Budapeszt (Węgry)

Ildikó Kovács, András Veres, János Pályi
ÓRAJÁTÉK, CZYLI TEATR ULICZNY
(Scena Ateneum)

godz. 14.30 i 16.30
Tintaló Társulás, Kecskemét (Węgry)
Angéla Badacsonyi:
NIE CHCĘ BYĆ DŁUŻEJ CZAROWNICĄ!
(Scena Ateneum)

4 czerwca (czwartek)

godz. 9.30 i 11.30
Olsztyński Teatr Lalek, Olsztyn
Paul Maar: **KUKURYKU NA PATYKU,**
CZYLI O DWÓCH TAKICH
(Scena Ateneum)

godz. 15.00 i 16.30
Bobita Bábszínház, Pécs, Węgry
Viktória Éva Nagy, Jankó Schneider:
TRZY ŚWINKI I WILK
(Scena Ateneum)

godz. 15.30 i 17.30
Tintaló Társulás, Kecskemét (Węgry)
Angéla Badacsonyi wg Ervina Lázára:
MALARZ ZSIGA MALUJE
(Galeria Ateneum)

5 czerwca (piątek)

godz. 9.00 i 11.00
Teatr Animacji, Poznań
JEŻ wg Katarzyny Kotowskiej
(Scena Ateneum)

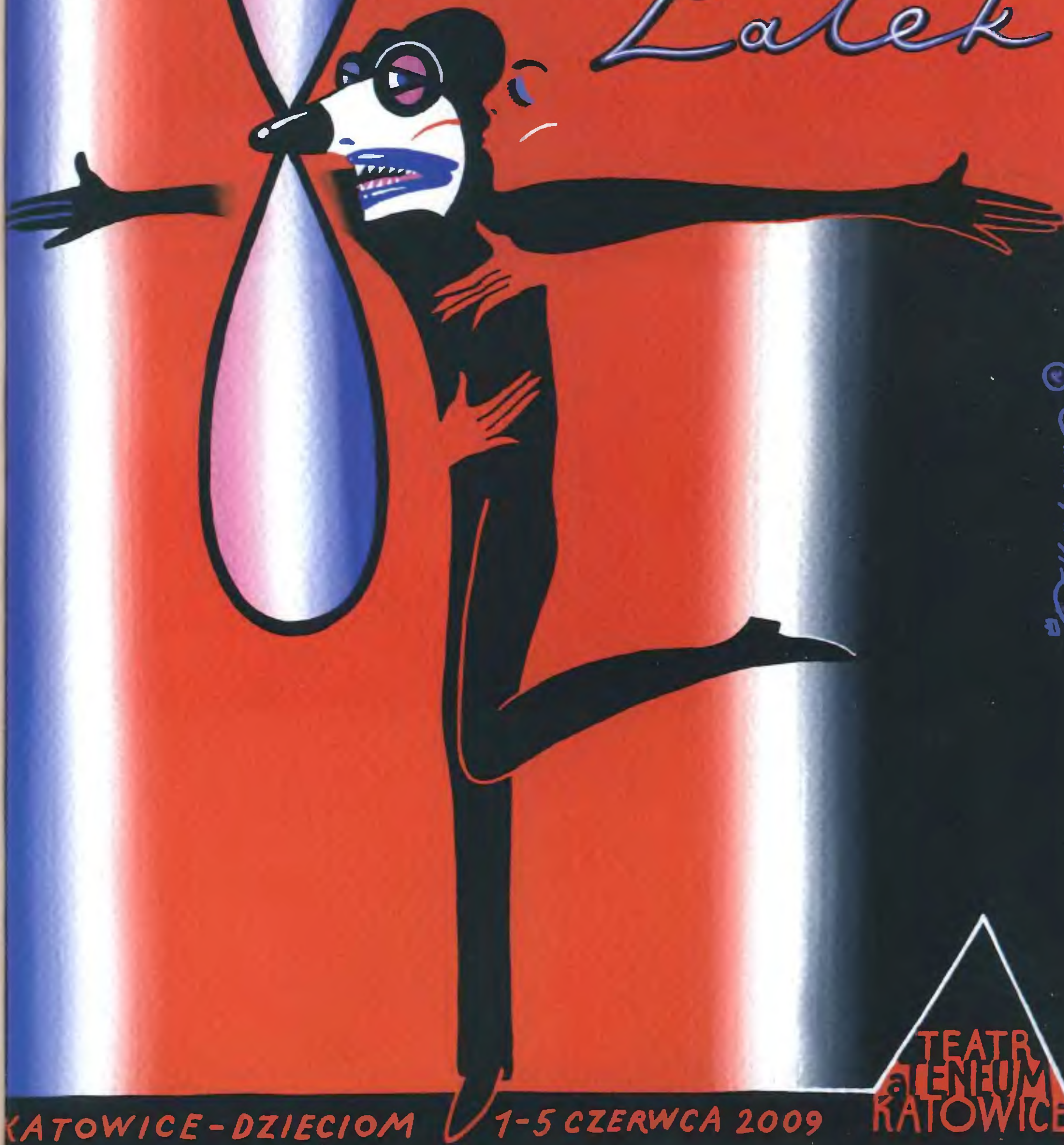
godz. 9.30 i 11.30
Opolski Teatr Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki, Opole
Marta Guśniowska: **O MNIEJSZYCH BRACISZKACH**
ŚW. FRANCISZKA
(Galeria Ateneum)

godz. 15.15 i 17.15 *(spektakl poza konkursem)*
The China Zhangzhou Puppet Troupe (Chiny)
SKARB ORIENTU, CZYLI CHIŃSKI ŚWIAT LALEK
(Scena Ateneum)

godz. 19.15 ZAMKNIĘCIE FESTIWALU
(Galeria Ateneum)

M I Ę D Z Y N A R O D O W Y

Festiwal
Teatrów
Lalek



© Ed Kalamus

KATOWICE - DZIECIOM

1-5 CZERWCA 2009

TEATR
ALIENIUM
KATOWICE

